

MIĘDZY MŁOTEM A PIORUNEM

KRONIKI
ŻELAZNEGO
DRUIDA

KEVIN HEARNE



KEVIN HEARNE

MIĘDZY MŁÓTEM A PIORUNEM

KRONIKI ŻELAZNEGO DRUIDA

Przełożyła Maria Smulewska



DOM WYDAWNICZY REBIS

Wskazówki dotyczące wymowy

Jednym z problemów, na które się człowiek niechybnie natyka, odwołując się do mitologii nordyckiej, jest pomieszanie kilku języków: norweskiego, szwedzkiego, duńskiego, islandzkiego oraz staronordyckiego na dodatek. Od około siedmiu wieków nikt normalny nie posługuje się już językiem staronordyckim, ale oczywiście uczonym nie przeszkadza to w wydawaniu sądów na temat jego wymowy. Zdecydowałem się na zanglizowaną wersję imion Odin^[1] i Thor, żeby anglojęzyczni czytelnicy mieli jakieś takie szanse je przeczytać intuicyjnie. I choć w większości wypadków używam islandzkiego zapisu, a co za tym idzie – islandzkiej wymowy, nie jest to reguła uniwersalna. Czasami wybieram hipotetyczną wymowę staronordycką, a tu i ówdzie zmieniam sobie samogłoski, po prostu dlatego że mi się tak podoba. Czytelniku, też masz prawo robić to samo, a niniejsze wskazówki bynajmniej nie mają funkcji normatywnej, raczej jedynie opisową, to jest dają pojęcie, jak by to przeczytał autor, a czytelnicy mogą sobie je, według uznania, przyjąć lub odrzucić, albo po prostu ponabijać się ze mnie na swoich forach językowych.

[1] W polskim tłumaczeniu spolszczona wersja imienia: Odyn.



Bogowie nordyccy

Baldr = Bolder

Bragi = Bragi (Ja wymawiam to w ten sposób, choć na Islandii na przykład „g” wymawiane jest jak „j”, jeśli znajduje się między samogłoską po lewej, a „i” lub „y” po prawej, ale ja zdecydowałem się na staronordycki myk. Bóg poezji)

Freja = Freja (bogini piękna i wojny, siostra bliźniaczka Frejra)

Frejr = Frejr (Pisownia staronordycka/islandzka wyglądałaby tak: Freyr. Pierwsze „r” wymawiane jest tu z wibracją tak, że stanowi z „f” jakby osobną sylabę, taki muzyczny ozdobnik. Czasami drugie „r” jest w ogóle pomijane w zapisie i wymowie. Bóg płodności)

Heimdall = Hejmdatl (Islandczycy czytają podwójne „ll” jako „tl”, trochę jak w angielskim słowie *battle*. Heimdall pełni funkcję boskiego psa obronnego o niesamowicie wyczulonych zmysłach)

Idunn = Idun (bogini młodości, strażniczka złotych jabłek)

Odyn = Odyn (praojciec, twórca run. „D” należałoby tu właściwie wymawiać bardziej jak angielskie „th”, ale i tak nikt tak nie robi)

Thor = Tor (bóg piorunów)

Týr = Tir (bóg walki)

Ullr = Utler (bóg łucznictwa)

Widar = Widar (bóg zemsty, syn Odyna)

Różne urocze nordyckie zwierzątka

Gullinbursti = Gutlinbersti (złoty dzik Frejra; jego imię oznacza „złota szczecina”. Ściśle biorąc, jest to twór krasnoludów, a nie prawdziwe zwierzę, ale na oko niczym się nie różni od dzika, jeśli nie liczyć rozmiaru i złotej sierści)

Hugin = Hugin (Myśl, jeden z kruków Odyna. Tu też nie przejmuję się za bardzo islandzką wymową, więc można to uznać za staronordyckie imię zapisane po angielsku, bo pominąłem dodatkowe „n”, które pojawia się w głównych źródłach nordyckiej mitologii, to jest w *Eddzie starszej* i w *Eddzie młodszej*)

Jörmungandr = Jormungander (gigantyczny wąż, który pozabija nas wszystkich!)

Munin = Munin (Pamięć, drugi kruk Odyna)

Ratatosk = Ratatosk (wiewiórka, która mieszka na Drzewie Świata)

Sleipnir = Slejpnir (ośmionogi koń Odyna, dziecko Lokiego i ogiera)

Odjazdowa broń nordycka

Gungnir = Gungnir (magiczna włócznia Odyna)

Mjölnir = Mijolnir („mi” pełni tu w zasadzie rolę ozdobnika. Bojowy młot Thora)

Uroczę domostwa i ich wyposażenie

Hliðskjálf = Hlidskjalf (srebrny tron Odyna)

Gladshheim = Gladshajm (dwór bogów)

Valaskjálf = Walaskajalf (pałac Odyna)

Bilskirnir = Bilskirnir (pałac Thora)

Walhalla = Walhala (masa możliwych wersji tej nazwy, ale ja wybieram najprostszą i tyle. Nawet nie wymawiam podwójnejgo „ll” jako „tl”)

Nazwy geograficzne (w Asgardzie i na Islandii)

Alfheim = Alfheim (dom elfów)

Hnappavellir = Nahpahvedler

Húsavík = Husawik

Idavoll = Idawal

Jötunheim = Joltunheim (pierwsza sylaba rymuje się z *boat*. Oznacza to dosłownie: „olbrzymi dom”. Olbrzym to „jötunn”, liczba mnoga „jötnar”)

Muspellheim = Maspelheim (kraina ognia)

Mývatn = Miwatn („jezioro muszek”)

Nidavellir = Nidawetlir (kraina krasnoludów)

Niflheim = Niwulheim („dom mgły”, utożsamiany z królestwem Hel i krainą umarłych)

Reykjavík = Rejkiawik

Svartalfheim = Swartalfheim („kraina mrocznych elfów”)

Vanaheim = Wanaheim („kraina Wanów”, nie mylić z vanami)

Vígríð = Wigrid

Yggdrasil = Igdrasil (im bardziej wibrujące „r”, tym więcej zabawy. Drzewo Świata)

Islandzkie miasteczko, które zapewnia wygraną we wszelkich barowych zakładach

Kirkjubæjarklaustur = Kirkjubajarklostar (Wystarczy podpuścić jakiegoś anglofona, a na pewno będzie usiłował wymówić „j” jako „dż” i będzie kupa śmiechu. Zresztą nawet jeśli sobie poradzi z „j”, to na pewno wyłoży się potem na samogłoskach. Da się na tym wygrać jedno czy dwa piwa, a przy dobrym wietrze pić za darmo całą noc)

Rozdział 1

Wogólnym przekonaniu wiewiórki to istoty wprost urocze. Gdy skaczą po drzewach, ludzie pokazują je sobie palcami i pieją:

– Ojej! Ale rozkoszna! – a ich głosy stają się niezwykle przesłodzone i wznoszą się falsetem w górę.

Pozwólcie jednak, że wyjaśnię tu od razu jedną rzecz: wiewiórki są rozkoszne tylko wtedy, gdy są na tyle małe, że można je rozdeptać. Kiedy człowiek staje przed gigantyczną wiewiórką wielkości betoniarki, jakoś z miejsca przechodzi mu słabość do tych stworzonek. Toteż zęby wielkości lodówki, wąsy grubości batogów, oczy jak opony od traktora gapiące się na mnie niczym wulkaniczne bańki tuszu chińskiego w żadnym razie mnie nie zaskoczyły – przeraziło mnie tylko, że prawdą okazały się moje najgorsze podejrzenia.

Bo na przykład moja uczennica Granuaile klóciła się ze mną, jeszcze w Arizonie, że wyobrażam sobie jakieś niestworzone rzeczy.

– Nie, Atticusie – powiedziała – cała literatura przedmiotu twierdzi zgodnie, że jedyna droga do Asgardu wiedzie przez most Bifröst. Obie *Eddy*, poezja skaldów, no po prostu wszystkie źródła zgadzają się co do tego, że trzeba przejść przez Bifröst.

– Oczywiście, że tak mówi cała literatura – potwierdziłem. – Literatura to tylko tuba propagandowa bogów. Zresztą *Eddy* powiedzą ci prawdę, jeśli tylko dobrze się wczytasz. Kluczem do tylnych drzwi do Asgardu jest Ratatosk.

Granuaile posłała mi rozbawione spojrzenie, jakby nie była pewna, czy dobrze mnie usłyszała.

– Ta wiewiórka, która mieszka na Drzewie Świata? – spytała.

– Właśnie ona. A raczej on. Wiewiór, który lata jak szalony między orłem siedzącym na szczycie a wielkim smokiem zamieszkującym pod korzeniami, nosząc od jednego do drugiego wieści pełne oszczerstw i jadu i tak dalej, i tak dalej. No sama pomyśl, niby jak mu się to udaje?

Granuaile zastanawiała się chwilę, po czym powiedziała:

– Cóż, według tego, co mówi literatura przedmiotu, Yggdrasil ma dwa korzenie, które wrastają poniżej Asgardu: jeden wrasta w studnię Mimira w Jötunheimie, a drugi czerpie wodę z potoku Hvergelmir w Niflheimie, gdzie wyleguje się smok Nidhögg. Domyślam się więc, że ta wiewiórka... czy też wiewiór... zrobiła sobie gdzieś tam małą dziurkę, przez którą się przemyka.

– Pokręciła głową na podsumowanie. – Przecież się w nią nie wciśniesz.

– Zakład o kolację, że owszem, wciśnę? O taką dobrą, domową kolacyjkę z winem i świecami, i różnymi nowoczesnymi wynalazkami, takimi jak sałatka Cezar.

– Przecież to żaden nowoczesny wynalazek.

– Na mojej osobistej skali czasu bardzo nowoczesny. Wynaleziono ją dopiero w 1924 roku.

Granuaile wybałuszyła na mnie oczy.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – Ale natychmiast machnęła na to ręką. – Nie, tym razem nie uda ci się odwrócić mojej uwagi. Przyjmuję zakład. A teraz udowodnij mi, że masz rację, albo już się zabieraj do gotowania.

– Dowody będę miał dopiero wtedy, kiedy wespnę się po tym korzeniu Yggdrasilu, ale – uniosłem palec, żeby powstrzymać jej protesty – tymczasem podzielę się z tobą wszystkimi moimi podejrzeniami, żebyś potem doceniła, jak zabójczo prorocze miewam wizje. Otóż moim zdaniem z tego Ratatoska jest niezły skurczybyk. Pomyśl tylko: orły zwykle zjadają wiewiórki, a okropne, złe smoki, takie jak Nidhögg na przykład, powinny zżerać wszystko, co im się nawinie

pod pazur, a jednak żaden z nich nigdy nawet nie usiłował tknąć Ratatoska. Gadają sobie z nim jak równy z równym i tylko proszą ładnie, żeby był tak uprzejmy i skoczył do ich wroga i przekazał mu łaskawie, że go wyzywają od takich i owakich. I dodają: „Hej, Ratatosku, ale nie spiesz się. Nie zależy mi na czasie. Naprawdę”.

– Dobra, czyli chcesz przez to powiedzieć, że to całkiem spora wiewióra.

– Nie. Chcę powiedzieć, że to turbowielgachny wiewiór. Mniej więcej wielkości Paula Bunyana, bo musi być proporcjonalny do Drzewa Świata. Jest na pewno większy niż ty i ja razem wzięci. Jest na tyle duży, że Nidhögg traktuje go jak kogoś do pogadania, a nie jak coś na ząb. Nigdy nie słyszeliśmy o nikim, kto by próbował wspiąć się po korzeniach Yggdrasilu, bo nie ma głupich, którzy by się chcieli porywać z motyką na słońce.

– Z tego, co mówisz, to raczej z siekierą na wiewiórkę – powiedziała ze złośliwym uśmiechem.

– Otóż to. – Pozwoliłem sobie na sardoniczny grymas twarzy.

– No dobrze, to gdzie tak konkretnie znajdują się korzenie Yggdrasilu? – Granuaile zaczęła się zastanawiać na głos. – Zakładam, że gdzieś w Skandynawii, ale wydawałoby się, że już dawno powinni je namierzyć przez satelitę czy coś, nie?

– Korzenie Yggdrasilu znajdują się w zupełnie innej krainie i tak naprawdę to dlatego nikt nigdy nie próbował się po nich wspiąć. Ale są uwiązane do ziemi, tak zresztą jak Tír na nÓg czy Pola Elizejskie, czy Tartar i wszystkie inne światy. A tak się akurat składa, że pewien znany ci skądinąd druid też jest uwiązany do ziemi poprzez swoje tatuaże – dodałem, wskazując moje prawe ramię.

Granuaile rozdziawiła usta z zaskoczenia, gdy docierały do niej moje słowa, bo oczywiście z zawrotną prędkością chwyciła implikacje tego, co powiedziałem, i przeszła do odpowiednich wniosków.

– Czy ty mi właśnie mówisz, że możesz wędrować między tymi światami?

– Yhmy – potwierdziłem. – Ale staram się tym nie chwalić – pomachałem jej ostrzegawczo palcem przed nosem – i ty też nie powinnaś, gdy już będziesz związana z ziemią w ten sam sposób. Wystarczy, że cała masa bogów i tak już za dużo o mnie myśli przez tę całą aferę z Aenghusem Ógiem i Bresem. Ale ponieważ zabiłem ich na tym świecie, a w dodatku sami się zaczęli, nikt jeszcze nie podejrzewa mnie o skłonności do bogobójstwa. Uznali pewnie, że wprawdzie jestem niezły w samoobronie, ale poza tym nieszkodliwy, jeśli się mnie nie zaatakuje na moim terytorium. W dodatku wierzą, że tylko dlatego, iż nigdy nie widzieli u siebie żadnego druida, można założyć, że nigdy go tam nie zobaczą. Gdyby wiedzieli, że jestem w stanie dorwać każdego z nich, gdziekolwiek by się schował, urósłbym w ich oczach do najgorszego zagrożenia. A takie zagrożenia się likwiduje.

– A co? Bogowie nie mogą wędrować, gdzie chcą?

– Y-yy – mruknąłem, kręcąc głową. – Większość z nich jest w stanie podróżować tylko między dwoma światami: ich własnym i ziemią. Toteż nigdy nie spotkasz Kali na Olimpie czy Isztar w Abhassarze. Zresztą nie zwiedziłem nawet jednej czwartej tych wszystkich miejsc. Nigdy nie byłem w żadnym niebie. Raz wpadłem do Nirwany, ale trochę tam przynudzali... nie zrozum mnie źle, to bardzo ładna kraina, ale kompletny brak pragnień objawiał się między innymi tym, że nikt tam nie chciał nawet ze mną zagadać. W Mag Mell jest naprawdę pięknie; musisz tam kiedyś pojechać. No i koniecznie powinnaś wybrać się w swoim czasie do Śródziemia, żeby zobaczyć Shire.

– Oj, nie żartuj sobie! – Uderzyła mnie żartobliwie w ramię. – Przecież na pewno nie byłeś w Śródziemiu!

– Jak to nie? Oczywiście, że byłem. Jest związane z naszym światem tak jak każda inna

kraina. Elrond nadal mieszka w Rivendell i powaga, że w ogóle nie wygląda jak Hugo Weaving. Raz zszedłem też do Hadesu, żeby spytać Odyseusza, co mu powiedziały syreny, mówię ci: warto było, bo w życiu byś nie uwierzyła, co mu nagadały. Ale nie mogę powiedzieć.

– Niby czemu? Znowu mi powiesz, że jestem na to za młoda czy co?

– Nie. Po prostu trzeba to usłyszeć na własne uszy, żeby robiło wrażenie. Ale jest w tej opowieści i hasenpfeffer, i węże morskie, i nawet koniec świata.

Granuaile zmrużyła oczy i syknęła:

– Dobra, nie chcesz mi powiedzieć, to się wypchaj i nie mów. Powiedz mi przynajmniej, jakie masz plany co do Asgardu.

– Hmm, pierwsze, co muszę zrobić, to zdecydować, który korzeń wybieram, ale to raczej prosty wybór: wolałbym nie natknąć się na Ratatoska, więc pójdę tym z Jötunheimu. Ratatosk rzadko nim wędruje, a poza tym stamtąd jest bliżej niż z Niflheimu. A skoro tak się ładnie naczylaś odpowiedniej literatury, to mi, proszę, powiedz teraz, dokąd muszę się udać na Ziemi, żeby znaleźć splot wiążący ją ze studnią Mimira.

– Na wschód – odpowiedziała bez wahania. – Jötunheim jest zawsze na wschód.

– Dobrze. Na wschód od Skandynawii. Studnia Mimira jest uwiązana do pewnego subarktycznego jeziora niedaleko małej rosyjskiej miejsciny Nadym. Tam właśnie się udam.

– Przyznam, że nie jestem aż tak obeznana z geografją Rosji. Gdzie to jest dokładniej?

– W zachodniej części Syberii.

– Dobra, czyli jedziesz nad to jezioro i co wtedy?

– Z jeziora pije wodę korzeń drzewa. Nie będzie to jesion, raczej jakieś skarłowaciałe drzewko zimozielone, bo to już obszar tundry. Gdy tylko je znajdę, muszę go dotknąć, spleść się z nim, potem przesunąć się wzdłuż wiązania z ziemią i ta-da-da, jestem na korzeniu Yggdrasilu w krainie nordyckiej, a jezioro staje się automatycznie studnią Mimira.

Granuaile aż zabłyśły oczy.

– Ja cię! Też bym już tak chciała umieć. I wtedy to już się możesz wspinać, tak? Bo przecież korzeń Drzewa Świata musi być ogromny.

– Tak, taki jest plan.

– A jak daleko jest z pnia Yggdrasilu do domu Idunn?

Wzruszyłem ramionami.

– Pojęcia nie mam. W życiu tam nie byłem. Zdam się na intuicję. Jakoś nie znalazłem żadnej mapy. Można by pomyśleć, że ktoś powinien dawno już opracować porządny atlas wszystkich krain, ale nie. I potem błądź, człowieku.

Granuaile zmarszczyła brwi.

– Nawet nie wiesz, gdzie jest Idunn?

– Nie – przyznałem ze smutnym uśmiechem.

– Czyli że zdobycie tego jabłka dla Lakshy może nie być takie proste.

Tak, raczej nie zapowiadało się na łatwą robotę, ale umowa to umowa. Obiecałem ukraść to złote jabłko z Asgardu w zamian za zabicie dwunastu bachantek w Scottsdale. Indyjska wiedźma Laksha Kulasekaran dotrzymała swojej części umowy, więc teraz przyszła kolej na mnie. Istniała jakaś tam szansa, że ukradnę to jabłko i nie spotka mnie za to żadna kara, ale na pewno nie było żadnych szans, żeby Laksha odpuściła mi, gdybym nie dotrzymał umowy.

– No z pewnością zanoszą się na nie lada przygodę – oznajmiłem Granuaile.

Wiewiórczą przygodę. Gdy stałem właśnie przed żywym dowodem na to, że miałem niestety rację, i gapilem się na kolosalnego gryzonia siedzącego sobie nade mną na pniu Drzewa Świata, doszło do mnie, że to będzie twardy orzech do zgryzienia.

Naprawdę liczyłem na to, że Ratatosk będzie akurat na drugim korzeniu. Albo może

nawet będzie sobie smacznie spał snem zimowym. W końcu był już dwudziesty piąty listopada, w Ameryce obchodzono właśnie Święto Dziękczynienia, a tymczasem Ratatosk wyglądał tak, jakby ledwo co zeżarł całą Rhode Island indyków. Na pewno się już najadł i powinien właśnie ukladać się do snu. Ale teraz, skoro już mnie zobaczył, to jeśli nawet nie odgryzie mi głowy tymi zębiskami, na pewno zaraz komuś powie, że widzi jakiegoś człowieczka wspinającego się po korzeniu z Midgardu, a wtedy to już cały Asgard będzie wiedział, że się zbliżam. Moje szanse na utrzymanie tej misji w sekrecie malały w zawrotnym tempie.

Dotąd wspinałem się po Yggdrasilu bez żadnego trudu, po prostu splatając kolana, buty i kurtkę z korą i pobierając moc poprzez dłonie, bo było to w końcu Drzewo Świata i jako takie stanowiło swego rodzaju przedłużenie Ziemi, skoro poruszałem się między krainami. Wprawdzie radziłem sobie całkiem nieźle i nie groził mi raczej upadek ani nic, ale na pewno nie mogłem się mierzyć z szybkością i zwinnością Ratatoska. W porównaniu z nim poruszałem się jak lodowiec, a Asgard był jeszcze całe mile nade mną.

Zaczął coś do mnie groźnie nadawać i owionął mnie jego oddech, wypełniając moje nozdrza stęchłym smrodem starych orzechów. Miałem w życiu do czynienia ze znacznie gorszymi zapachami, ale w każdym razie nie należało to do przyjemności. Nie bez powodu Body Shop nie ma linii o nazwie Pieprzony Wielgachny Wiewiór.

Uruchomiłem ten charms z mojego naszyjnika, który nazywam szkłem faerycznym, bo pozwala mi zobaczyć to, co się dzieje na poziomie magicznym, i zrozumieć powiązania między rzeczami. Poza tym charms ten ułatwia mi znacznie plecenie własnych wiązań, bo dzięki niemu widzę w czasie rzeczywistym, jak wyglądają węzły, które plotę moimi zaklęciami.

Ratatosk, jak zobaczyłem, był bardzo ściśle związany z Yggdrasilem. Stwierdziłem z rozpaczą, że jest w pewnym sensie gałęzią tego drzewa, przedłużeniem jego tożsamości. Oznaczało to, że polowanie na tę wiewiórkę równałoby się skrzywdzeniu drzewa, a tego naprawdę nie chciałem. Tylko że nie widziałem innego wyjścia. Co mam niby zrobić? Kazać mu przysięgać na misiaczka i żelki, że nikomu nie powie o złodzieju skradającym się w stronę złotych jabłek Idunn?

Skupiłem się na niciach jego świadomości i delikatnie splotłem je z moimi, tak że możliwa stała się komunikacja między nami. Umiałem mówić po staronordycku, bo był to język bardzo w Europie popularny jeszcze pod koniec trzynastego wieku, i mogłem iść o zakład, że Ratatosk też nim włada, skoro był przecież wytworem pranordyckich umysłów.

Witaj, Ratatosku – nadałem przez mentalne łącze.

Podskoczył na te słowa, zakręcił się, aż jego ogon trzepnął mnie w twarz, i podbiegł kilka kroków w górę. Dopiero wtedy zatrzymał się, obrócił i obrzucił mnie niepewnym spojrzeniem. Może powinienem był poruszać chociaż ustami, kiedy nadawałem komunikat.

<Na mroźne ziemie Hel, kim ty jesteś?> padła odpowiedź, a masywne wąsy wiewióra poruszyły się z przejęcia. <Skąd się wzięłeś na korzeniu Drzewa Świata?>

Jako że wspinałem się po korzeniu ze środkowej krainy, mogłem przybywać tylko z trzech miejsc. Na pewno nie wyglądałem jak mroźny olbrzym z Jötunheim; w życiu mi też nie uwierzy, że jestem zwykłym sobie śmiertelnikiem, więc nie pozostawało mi nic innego, jak wcisnąć mu inny kit i liczyć na to, że go kupi.

Jestem wysłannikiem z Nidavelliru, krainy krasnoludów – wyjaśniłem. – *Nie jestem istotą z krwi i kości, lecz zupełnie nowym konstruktem. Stąd właśnie moje ogniste włosy i ten odrażający smród.*

Pojęcia nie miałem, czym mu pachnę, ale jako że odziany byłem w stosunkowo nową skórę, z której nie ulotnił się jeszcze zapach po garbowaniu, uznałem, że śmierdzę jak zdechła krowa. Poza tym chciałem za wszelką cenę wypaść na coś zupełnie niejadalnego. Nordyckie

krasnale są słynne ze swych magicznych konstruktów, które wyglądają zupełnie jak normalne stworzenia, ale często wyposażone bywają w jakieś specjalne zdolności. Kiedyś zrobiły dzika dla boga Frejra i nie był to byle jaki zwierz – umiał chodzić po wodzie, ujeżdżać wiatr i miał złotą szczecinę, która świeciła w ciemności. Nazwały go Gullinbursti, co oznacza „złota szczecina”. W sumie logiczne.

Nazywam się Eldhár. Stworzył mnie Eikinskjaldi, syn Yngwiego, syna Fjalara – powiedziałem. Te trzy imiona wzięłem z Eddy poetyckiej. Zresztą Tolkien znalazł wszystkie imiona dla swoich krasnoludów w tym samym źródle, tak zresztą jak i Gandalfa, więc czułem, że i ja mam prawo pożyczyć sobie kilka w potrzebie. Eldhár, imię, które nadałem sobie na poczekaniu, oznaczało po prostu „ogniowłosa”, bo uznałem, że skoro mam udawać twór krasnali, to to będzie pasowało do imion typu Gullinbursti. – Jestem w drodze do Walhalli, by z polecenia króla krasnoludów porozmawiać z Odynem Wszechojcem, Jednookim Wędrowcem, Siwym Twórcą Run, Dosiadającym Sleipnira, Ciskającym Gungnirem. Niosę wiadomość najwyższej wagi. Nornom grozi wielkie niebezpieczeństwo.

<Nornom!> Ratatosk tak się tym przejął, że aż zamarł na... pół sekundy. <Trzem znad Studni Urd?>

Tym właśnie. Czy pomożesz mi w mej wędrówce, co przyspieszy moje posłannictwo, by uratować Drzewo Świata?

Norny były odpowiedzialne za podlewanie drzewa wodą ze studni. W praktyce oznaczało to nieustającą walkę ze zgnilizną i starością.

<Natychmiast zabiorę cię do Asgardu!> oznajmił Ratatosk. Znów się zakręcił, ale tym razem skoczył do tyłu i zgrabnie wystawił w moją stronę tylną łapę, troskliwie odsuwając ogon, żeby mi nie wchodził w drogę. <Jesteś w stanie wspiąć się na mój grzbiet?>

Zabrało mi to znacznie więcej czasu, niżbym chciał, ale w końcu wdrapałem się na niego, splotłem się mocno z rudym futrem i powiedziałem, że jestem gotów na przejażdżkę.

<Ruszamy> stwierdził po prostu i pomknęliśmy w górę po pniu tak raptownie i dziwnie, że chyba obiliśmy sobie trochę śledzionę.

Nie miałem jednak prawa narzekać. Ratatosk zupełnie przerósł moje oczekiwania. Nie tylko był olbrzymi i niesamowicie szybki, ale także łatwowierny i skłonny do pomagania nieznanym. To znaczy, jeśli mówili akurat po staronordycku. Być może w ogóle nie będę go musiał zabijać.

Rozdział 2

Większość wizji przedstawiających kosmologię nordycką można sprowadzić do jednego prostego przekazu: „Stąd się tam nie dostaniesz”. Wynika to z tego, że kosmologia ta jest magiczna nie tylko w tym sensie, iż wymyka się ujęciu naukowemu, ale także w tym znaczeniu, że jest ze swej istoty niekoherentna – po to właśnie, by takie osoby jak ja, które wymyśliły sobie, że przemkną się z jednej krainy do drugiej, poplątały się zupełnie po drodze i przepadły. Na przykład według pewnych źródeł Hel znajduje się w Niflheimie, krainie lodu, ale według innych Hel jest zupełnie osobną krainą, nijak niezwiązaną z Niflheimem, toteż ten, kto chciałby tam wpaść z wizytą, musiałby dosłownie znaleźć się w dwóch miejscach naraz. Z kolei Muspellheim, kraina ognia, znajduje się „na południe”, ale najwyraźniej nikt jakoś nie wie, na południe od czego. Na szczęście ja nie musiałem ani tym bardziej nie chciałem zwiedzać żadnego z tych miejsc. Musiałem tylko dotrzeć do Asgardu i wykraść jedno złote jabłko Idunn, aby mieć pewność, że Laksha nie wpakuje mi się nagle do mózgu i go nie wyłączy. (Tak naprawdę nie wiedziałem na pewno, czy jest w stanie to zrobić. Miałem cichą nadzieję, że ochroniłby mnie przed tym mój amulet, ale wyłączanie mózgu to jedna z tych rzeczy, których lepiej raczej nie sprawdzać doświadczalnie).

Ratatosk niósł mnie we właściwym kierunku, miałem więc pewność, że choć z obitą śledziona, ale jednak trafię do Asgardu. Nadal nie miałem tylko pojęcia, co się wydarzy, gdy już tam dotrzemy. Najczarniejszy scenariusz zakładał, że wyląduję na miejscu właśnie w chwili, gdy przy Studni Urd, tuż przy Nornach, zbiorą się na naradę wszyscy bogowie, a Ratatosk rzuci mnie im pod nogi i zawoła:

<Cześć wszystkim! To jest Eldhár i ma dla nas jakieś straszne wieści z Nidavelliru!> a wtedy to już będzie po mnie, i to szybko.

Być może powinienem jakoś tego uniknąć.

Ratatosku, jak daleko jeszcze do Asgardu? – spytałem, gdy wspinaliśmy się po potężnym korzeniu. Był znacznie, znacznie grubszy niż pień sekwoi, ale szary i gładki, a nie czerwony i chropowaty.

<Mniej niż godzina drogi> odparł wiewiór.

Kurczę, ale szybko pędzisz. Odyn z pewnością nagrodzi cię za to, gdy mu powiem, że mi pomogłeś. Nie wiesz przypadkiem, czy bogowie będą akurat na naradzie przy studni Urd?

<Wcześniej wstają. Już pewnie skończyli. Ale Norny będą tam na pewno. Może po prostu im powiesz, na czym polega problem? Hej!> Przystanął raptownie, zatrzymany w biegu męczącą myślą, i gdybym nie przywiązał się porządnie do jego futra, poleciałbym na pewno do góry, nim grawitacja ściągnęłaby mnie z powrotem na dół. <Przecież Norny powinny zobaczyć nadchodzące niebezpieczeństwo! Dlaczego w ogóle musimy kogokolwiek ostrzegać?>

Wyglądało na to, że nie jest zdolny biec i myśleć w tym samym czasie.

Niebezpieczeństwo pochodzi spoza Asgardu – wyjaśniłem, a potem wcisnąłem mu masę kitów. – Nadciąga od strony Rzymian. To rzymskie Parki wysłały Bachusa i spółkę, by zabili Norny, wiedząc dobrze, że one nie przewidzą ich przybycia.

<O!> Ratatosk skoczył naprzód, ale po ledwie kilku susach znów się zatrzymał raptownie, gdyż kolejna myśl zablokowała jego funkcje motoryczne. <To dlaczego wie o tym Król Krasnali, skoro Odyn nie wie?>

Co za cholernie dociekliwa wiewiórka.

Dowiedział się o tym od Króla Mrocznych Elfów. Cała ta podła intryga wyklula się w ich... yyy... podłych umysłach.

W razie wątpliwości – zrzucaj winę na mroczne elfy.

<Aha!> powiedział Ratatosk ze zrozumieniem. Coś mi mówiło, że był święcie przekonany, iż jeśli w ogóle ktoś jest w stanie zachować coś w tajemnicy przed Odynem, są to właśnie mroczne elfy. <To kiedy zaatakuje Bachus?>

Król Krasnoludów uważa, że Bachus już może być w drodze. Czas nagli. Nie szczędź sił, by dotrzeć na miejsce jak najszybciej, Ratatosku.

<Już pędzę> zapewnił mnie i znów pełen entuzjazmu pomknął jeszcze szybciej po korzeniu Yggdrasilu. <Czy Bachus to bardzo potężny bóg?>

Powiadają, że niejedyn heros drzał na jego widok. Doprowadza ludzi do szaleństwa. Nie wiem jednak, co zamierza zrobić Nornom. W tym właśnie tkwi jego siła. Skoro Norny nie wiedzą, że się zbliża, będzie w stanie je wziąć z zaskoczenia. Lecz jeśli je ostrzeżę, będą gotowe, a z twoją pomocą wszyscy bogowie Asgardu będą mieli czas, by przygotować odpowiednie powitanie dla tego parweniusza.

<Mam nadzieję, że ujrzę to na własne oczy> wyznał mi Ratatosk z przejęciem. <Od zbyt dawna bogowie nie rozłupali nikomu orzecha>.

Trochę mnie zaskoczył ten eufemizm, ale szybko przypomniałem sobie, że w końcu przecież rozmawiam z wiewiórką. Poprzez nasze mentalne połączenie przejrzałem obrazy i emocje w jego głowie i upewniłem się, że był to tylko synonim do sformułowania „pokonać wroga”, nic poza tym.

Przytaknąłem mu grzecznie i zamilkłem, bo zacząłem rozważać prawdziwe możliwości wynikające z moich kłamstw. Gdy dotrzemy do Asgardu, przy pniu Yggdrasilu już będą czekały Norny. Byłem prawie pewien, że nie będą wiedziały, kto się do nich zbliża – nie żebym jak Bachus należał do innego panteonu czy coś, ale po prostu dlatego że mój amulet chronił mnie przed namierzeniem za pomocą wróżb. Mimo to jednak z pewnością miały świadomość, że Ratatosk kogoś lub coś wiezie, oraz pewnie były w stanie oszacować, kiedy to coś do nich dotrze. W najlepszym wypadku będą zaintrygowane, w najgorszym – w kompletnej paranoi, a jeśli akurat zdarzy się to drugie, prawdopodobnie zgotują mi jakieś niemiłe powitanie. Być może pošlą nawet kogoś na dół, żeby sprawdził, kto jedzie na Ratatosku. Gdy tylko zaświtała mi ta myśl, rzuciłem kamuflaż na siebie, na moje ubrania oraz miecz, tylko tak, na wszelki wypadek. Jeśli wierzyć mitologii, nordyccy bogowie nie powinni go przejrzeć. Według *Edd* nic tylko oszukiwali jeden drugiego za pomocą naprawdę bardzo podstawowych przebrań i kamuflaży, czasami nawet zupełnie pozbawionych magii.

Mieliśmy jeszcze kawał drogi, pomyślałem sobie więc, że to idealna chwila na wybadanie terenu. Powiedziałem Ratatoskowi, że mój twórca, Eikinskjaldi, wyposażył mnie jedynie w bardzo podstawowe informacje na temat Asgardu. Czy Ratatosk byłby tak miły i wypełnił rozliczne luki w mojej wiedzy? Wiewiór wykazał się niezwykle uprzejmością, zasypał go więc pytaniami o stare mity: czy Loki nadal związany jest jelitami własnego syna? Tak. Czy most Bifröst jeszcze działa i czy wciąż na jego straży stoi bóg Heimdall? Tak. Czy orłu i smokowi skończyły się w końcu pomysły na wyzwicka?

<Skądże znowu!> zachichotał Ratatosk. <Chcesz usłyszeć ostatnie?>

Mów, mów.

<Nidhögg wyzwał orła od zasranych miotełek do kurzu, które nawet nie wiedzą, jak mają na imię!>

Nieźle – przyznałem. – Zwiężle, lecz dosadne. Czy orzeł coś na to odpowiedział?

<O tak. Właśnie biegłem na dół, żeby przekazać jego odpowiedź, ale Norny kazały mi skrócić na ten korzeń, żeby sprawdzić, co tam się dziwnego pojawiło. Hej!> Znowu zamarł. <Przecież one na pewno miały właśnie ciebie na myśli, bo jesteś bardzo dziwnym czymś>.

Tak, mówiono mi to już nieraz – przyznałem.

<No, ale skoro wiedziały, że się zbliżasz, to nie jest tak źle> stwierdził z ulgą Ratatosk i znów zaczął pędzić po korzeniu. Ale nie mogłem się z nim zgodzić. To, że Norny się mnie jednak spodziewają, wydawało mi się raczej wyjątkowo złym znakiem.

<W każdym razie> ciągnął wiewiór <orzeł mu na to: „Nidhögg może sobie wsadzić lewą część języka w moją kloakę, to się dowie, co myślę o posiadaniu imienia”. Ale wiesz, wydaje mi się, że powiedział już coś zupełnie podobnego z jakieś trzysta lat temu>.

Stosunki między nimi są naprawdę dziwne, prawda? A skoro już o stosunkach mówimy, dlaczego Idunn poślubiła Bragię, boga poetów?

Nie był to może najsztelniejszy sposób na sprowadzenie rozmowy na temat bliżej związany z moim wypadem do Asgardu, ale miałem przeczucie, że Ratatosk nie jest z tych, którym potrzebna jest subtelność.

Zwolnił wyraźnie, gdy przemyślał sobie moje pytanie, ale jednak tym razem się nie zatrzymał.

<Myślę, że to dlatego, że tych dwoje lubi się parzyć> oświadczył w końcu, po czym przyspieszył.

Po części z pewnością taka właśnie jest przyczyna – zgodziłem się. – Ale wyobrażam sobie, że ich życie musi być przez to bardzo niewygodne. Przecież jabłka Idunn rosną z dala od miasta Asgardu, a tym samym z dala od miejsca boskich audiencji Bragię, prawda?

Ratatosk zaświergotał przeraźliwie, co mnie zbiło z tropu, póki nie poczułem przez nasze łącze, że jest po prostu rozbawiony. Ten straszny dźwięk był tylko jego śmiechem.

<Nikt nie wie, gdzie rosną jabłka. To pilnie strzeżona tajemnica. Ale oboje mieszkają poza Asgardem>.

No właśnie. Gdzie konkretnie mieszkają?

<Na północ od Gór Asgardzkich, na granicy między Vanaheimem a Alfheimem. Ale ich dom znajduje się po stronie Vanaheimu, a po drugiej stoi domostwo Frejra. Nie da się go przeoczyć>.

Nie da się? Dlaczego?

<Bo nocą niebo rozświetla szczecina dzika Gullinburstiego, nawet jeśli kryje się pod dachem stajni>.

Wiedziałem, że domostwo Frejra znajduje się w Alfheimie, ale nie miałem pojęcia, że przy samej granicy. Chętnie złożyłbym wizytę temu Gullinburstiemu, jako że jest on przecież takim samym konstruktem jak ja, ale moi twórcy nie powiedzieli mi wiele poza tym, jak dotrzeć do Gładsheimu. Może wybiorę się tam, gdy już dostarczę wiadomość. Jak mam dojść z Gładsheimu do domostwa Frejra?

<Biegnij na północ> powiedział Ratatosk.

Oczywiście nikt mi w ogóle nic nie powiedział o geografii Asgardu, ale liczyłem na to, że pytając o położenie względem Gładsheimu wszystkich słynnych domów i innych ważnych miejsc znanych mi z sag, jakoś powoli zbiorę dość informacji, by się połąpać w okolicy. Chyba nawet poczułem mały wyrzut sumienia na myśl o tym, że tak wykorzystuję tego naiwnego zwierzaka, ale zdusiłem tenże wyrzut bez skrpułów i wróciłem do zadawania pytań. Z każdą kolejną informacją zwiększały się moje szanse na umknienie stąd bez większych wpadek, a poza tym Ratatosk znał naprawdę kapitalne plotki o bogach. Heimdall spędza ostatnio mnóstwo czasu w domostwie Frei, której kotki właśnie się okoczyły, ale niestety psy Odyna zeżarły aż trzy maleństwa. Odyn zabronił komukolwiek wspominać nawet imię Baldra w jego obecności.

<A skoro już mowa o Odynie, właśnie krąży nad nami Hugin i Munin!>

Gdzie?

<Tam, na lewo>.

Daleko na błękitnym niebie rysowały się dwie czarne sylwetki, które niezinnie wskazywały na obecność kruków Odyna. Widział wszystko, co widziały one, zacząłem się więc nerwowo zastanawiać, czy są w stanie przejrzeć mój kamuflaż. Miałem wielką nadzieję, że jednak nie.

A rzeczywiście. Widzę – powiedziałem do Ratatoska.

<Skoro masz przekazać wiadomość Odynowi, lepiej może po prostu im to szybko powiedz i z głowy, nie?>

Nie mogę rozmawiać z nimi tak, jak rozmawiam z tobą.

Prawdopodobnie mógłbym, ale łączenie umysłu z Odynem, choćby nawet pośrednio, było naprawdę ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę.

<Nie możesz? To nie problem. Mogę im przekazać twoją wiadomość. Musisz mi tylko wyjaśnić, co mam im konkretnie powiedzieć>.

Czarne plamki na niebie stawały się coraz większe. Nie mogłem nawet się z tego wykręcić, mówiąc coś w stylu: „Muszę przekazać tę wiadomość samemu Odynowi”, bo te ptaszyska w rzeczywistości były właściwie Odynem. Były jego Myślą i Pamięcią. Czas na więcej kłamstw. Wszystkie zrzuci się jak zwykle na mroczne elfy.

Powiedz im, że nadciąga Bachus, by zamordować Norny – rzekłem. – Powiedz, że mroczne elfy ze Svartalfheimu sprzymierzyły się z Rzymianami, by przerzucić Bachusa do Asgardu sekretnym tunelem, który kopią już od stulecia. Resztę szczegółów podam, gdy pokłonię mu się przed jego tronem w Gładsheimie.

<Dobra. Tak im powiem>. Zatrzymaliśmy się raptownie, by Ratatosk mógł się skoncentrować na rozmowie z krukami, jakkolwiek się z nimi porozumiewał. Nie usłyszałem ani jednego dźwięku, ale po ledwie kilku sekundach kruki zakręciły i wróciły, skąd przyleciały. <Odyn jest wściekły> odezwał się do mnie Ratatosk, znów biegnąc w górę drzewa <lecz będzie na ciebie czekał w Gładsheimie>.

Dziękuję – powiedziałem.

Naprawdę się cieszyłem, że Odyn rzeczywiście przebywa w Gładsheimie, a nie w swojej drugiej rezydencji zwanej Valaskjalfem, bo tam miał do dyspozycji srebrny tron Hliðskjalf, z którego potrafił zobaczyć wszystko, kto wie – może nawet zakamuflowanych druidów.

<Już niedaleko> dodał Ratatosk. <Zaraz wjedziemy do środka pnia i wyjdziemy na powierzchnię już w Asgardzie>.

Spojrzałem w górę, ale trudno mi było skupić na czymkolwiek wzrok z powodu silnych, wiewiórczych turbulencji. Widziałem jednak, że zniknęło niebo, a my zbliżamy się do cienia pod wielkim... płatem ziemi. A zatem oto Asgard. Od dołu.

Żyzna brunatna ziemia podtrzymywana była przez zapiaszczone skały, a strzępiaste korzenie powiewały na wietrze niczym cienkie włosy wyrastające dziko z uszu jakiegoś starca.

Nie widziałem żadnej, nawet najmniejszej szczeliny między ziemią nad nami i pniem Yggdrasilu, żadnego przejścia dla wiewiórki, i przez chwilę byłem już pewien, że walniemy prosto w spód krainy, chyba że Ratatosk wślizgnie się na górę przez jakąś odwaloną optyczną iluzję z typu tych, które ma Bruce Wayne przed swoją jaskinią. Ale on wskoczył po prostu do wielkiej dziupli w korzeniu Drzewa Świata, która najzwyczajniej była zupełnie niewidoczna, póki nie znaleźliśmy się na jej wysokości, i na krótką chwilę – krótszą niż zmrúzenie oczu z przerażenia – znaleźliśmy się w pozycji horyzontalnej w niewielkim zagłębieniu u podnóża długiego drewnianego gardła, które ziało pustką nad nami. Tylne ściany tej jamy były zupełnie gładkie, ale podłóże okazało się nierówne, zaśmiecone łupinkami orzechów i kłakami futra. W mniejszej norze, którą widać było przez krótki, mroczny tunel, leżały sterty orzechów i liści,

tworząc jakieś posłanie. Uznałem, że to pewnie schronienie Ratatoska na zimę. Wewnętrzna ściana – a raczej wewnętrzna strona kory korzenia – była tak podziurawiona, że można się było po niej bez trudu wspiąć, i Ratatosk skoczył na nią (razem ze mną) i zaczął się piąć po jej powierzchni.

Poruszaliśmy się do góry w egipskich ciemnościach, których głębokość czułem tylko po tym, jak wiatr świstał mi upiornie we włosach.

Jak długo będziemy tak podróżować po ciemku? – spytałem Ratatoska.

<Za chwilę zaczniesz widzieć światło> odpowiedział wiewiór. <Padnie na nas z dziury w korzeniu ponad zielonymi trawami równiny Idavoll>.

Jak wysoko ponad tymi trawami?

<Ledwie na wysokość wiewiórki>.

Masz na myśli: tak wysokiej wiewiórki jak ty na przykład?

<Oczywiście. Gdyby dziura znajdowała się na poziomie ziemi, zbierałoby się tu przecież masę błota>.

Już widzę światło. Doskonale. Bez wątpienia jesteś najwspanialszą wiewiórką, jaką znam.

<Dziękuję> odparł Ratatosk i wyczułem bijącą od niego mieszankę dumy i zawstydenia. Był z niego taki miły gość. Uśmiechnąłem się pod nosem, wciąż siedząc na jego grzbiecie, nim zmrużyłem oczy od światła. Problem Norn zbliżał się do nas w zawrotnym tempie wiewiórczych skoków. Nie miałem nawet jak współpracować w tej sprawie z Ratatoskiem, bo cokolwiek on zrobi, Norny to przewidzą. Coraz bardziej bałem się jednak, że te trzy panie dzielają moją paranoję i będą się tak rwały do zaatakowania mnie – to jest niewidzialnego niebezpieczeństwa na grzbiecie Ratatoska – że mogą nawet zaryzykować bezpieczeństwo ludności cywilnej (czytaj: tegoż Ratatoska). Nie chciałem, żeby stała mu się jakakolwiek krzywda, ale nie chciałem też, żeby się zatrzymywał – będą na takie rozwiązanie przygotowane. Toteż koniec końców siedziałem nadal okrakiem na wiewiórze i byliśmy coraz bliżej Norn, które będą mnie zaraz miały jak na dłoni na tle pnia – nic, tylko atakować. Szlag by to wszystko trafił.

Ratatosk wypadł z dziury w korzeniu i popędził po jego zewnętrznej powierzchni w dół, a ja – gdy tylko ujrzałem ziemię ze trzy metry pod nami, rozwiązałem sploty łączące mnie z jego sierścią i zeskoczyłem, robiąc salto, żeby przynajmniej wylądować na stopach. Gdy jeszcze byłem w powietrzu, przeszło je wykrzyknięte zachrypłymi głosami przekleństwo. Błysnęło. Usłyszałem (i poczułem) wrzask Ratatoska, kiedy wylądowałem z taką siłą, że aż mnie zabolęły kostki i kolana. Wiewiór nie przestawał się drzeć, a ja padłem na ziemię i przetoczyłem się na prawo, żeby nie zgmiotło mnie jego wielkie cielsko, gdy spadnie z drzewa. Ale to się nie stało. Jego głos zamilkł raptownie, łączy między naszymi umysłami zerwało się, a gdy spojrzałem w górę, ujrzałem tylko chmurę popiołu i resztek kości, opadającą powoli z miejsca, gdzie przywarł do Drzewa Świata.

Szczeńka sama mi opadła i chyba nawet jęknąłem cicho. Norny unicestwiły go zupełnie – jego, istotę, którą znały od wieków. Przeze mnie. Czułem się tak, jakby na moich oczach Święty Mikołaj strzelił do Rudolfa.

A zatem Norny musiały uznać, że stanowią bardzo poważne niebezpieczeństwo. Oderwałem wzrok od tego koszmaru i przyjrzałem im się z niepokojem, starając się ani drgnąć, żeby zmaksymalizować działanie kamuflażu.

Nie widziały mnie. Ich płonące żółte ślepia – dym wił się im jeszcze z oczodołów – zwrócone były ponad moją głowę na wirujące w powietrzu pozostałości po Ratatosku. Wszystkie trzy były zgarbionymi staruchami o szponowatych palcach, a twarze miały wykrzywione w ten charakterystyczny sposób, przed którym wszystkie mamusie zawsze ostrzegają dzieci („Nie krzyw się, bo ci tak zostanie!”). Odziane w brudne, szare łachy, które idealnie pasowały do

tlustych strąków zwisających z ich czerepów, zbliżyły się ostrożnie w stronę drzewa, by się upewnić, że niebezpieczeństwo, które przewidziały, zostało zażegnane.

Ale nie zostało.

Nie musiałem długo czekać na potwierdzenie tego z ich ust. Jedna z nich pochyliła głowę na pomarszczonej szyi i wycharczała:

– Wciąż tu jest. Niebezpieczeństwo nie minęło.

Jakie znowu niebezpieczeństwo? Przecież nie przybyłem tu, by z nimi zadzierać. Chciałem tylko zdobyć pewien dość rzadki na rynku produkt spożywczy. Im należało się wprawdzie kilka porządnych kopas w dupas za to, co zrobiły biednemu Ratatoskowi, ale choć bardzo miałem ochotę im je wymierzyć, nie widziałem za wiele korzyści we wszczynaniu bójk z trzema rozsierzdzonymi babami, które są w stanie tak sprawnie ukatrupić gigantycznego gryzonia. Zrobiłem krok na prawo, który zarazem miał być pierwszym krokiem ucieczki, ale musiały zauważyć ten ruch, bo wszystkie trzy głowy odwróciły się raptownie w moim kierunku i spojrzały na mnie trzy pary oczu o wyraźnych objawach żółtaczki.

– Tu jest! – zakrzyknęła ta w środku, wskazując na mnie, po czym zgodnym chórem zanuciły coś w jakimś wyjątkowo starym języku i strzepnęły w moją stronę otwartymi dłońmi, a z ich brudnych paznokci sypnął się paskudny pył.

Nie wiedziałem, jaka właściwie jest funkcja tegoż pyłu, ale uznałem, że generalnie ma doprowadzić do mojej rychłej śmierci. Oczywiście mogło się zdarzyć, że coś im się pomieszało w tych zniedołężniałych ze starości głowach i były pewne, iż obrzucają mnie różowym konfetti, ale ich ogólne zachowanie nie wydało mi się ani serdeczne, ani powitalne. Właściwie to wprost przeciwnie. Mój amulet z zimnego żelaza rozgrzał się do czerwoności w okamgnieniu, a jego błysk potwierdził, że owszem, usiłowały mnie zabić. Żołądek ścisnął mi się dziwnie, wywołując solidne pierdnięcie.

Zwykle śmieję się z takich drobiazgów. Zresztą nie ma nic lepszego jak niewinny bąk, żeby rozładować napiętą atmosferę. Tym razem jednak nie był to w żadnym razie wynik mojego naturalnego procesu trawienia – było to pierdnięcie śmiertelnie poważne, znak, że jakaś niepokojąca część magii Norn przebiła się przez amulet. Być może była to ledwie drobinka tego pyłu, ale i tak poważnie mnie to zaniepokoiło.

– Wciąż żyje! – warknęła ta po prawej.

Pryśły ostatnie wątpliwości co do ich intencji.

Wtedy właśnie powinienem był podać tyły. Ale sęk w tym, że gdybym czmychnął, wszczęłyby taki alarm, że cały Asgard rzuciłby się na poszukiwanie mojej skromnej osoby. A to nie mogło się dobrze skończyć. Ze względów strategicznych, logistycznych, a nawet instynktownych (w końcu była to samoobrona) musiałem się ich pozbyć. A gdy tego typu decyzja zapada w momencie tak krytycznym, nie ma mowy o spokojnym, racjonalnym wprowadzeniu jej w życie. Działanie zostaje podyktowane przez te co bardziej podstawowe części mózgu.

Łachy zwisające z kościstych sylwetek Norn zrobione były z naturalnej wełny, a jako takie poddawały się moim manipulacjom bez żadnych oporów. Gdy Norny wpakowały sobie ręce do kieszeni, by wydobyć więcej pyłu, i zaczęły nucić jakąś nową, jeszcze groźniejszą melodię w tym ichnim prajęzyku, wymamrotałem szybko zaklęcie splatające materiał na ich łopatkach, a gdy tylko skończyłem, materiał przyciągnął je raptownie plecami do siebie, aż stworzyły syczący wściekle ludzki trójkąt. To zaburzyło im ich magiczne działania oraz spowodowało trochę jęków i zgrzytania zębami. Zawahałem się. I byłbym je tak zostawił – splecione ubraniami i pozornie nieszkodliwe, gdyby nie to, że zaraz się uspokoiły i zaczęły wirować zgodnie, nucąc coś cicho i jadowniczo. Migwały mi ich twarze i widziałem, że każda wyciąga ze swojego ubrania po nitce i

podaje ją siostrze na lewo. Zaczęły tkać z nich coś, splatać je i wić, wciąż kręcąc się szybko. Wyglądało to co najmniej podejrzanie i nie miałem wątpliwości, że nie mogę im dać dokończyć tej szemranej czynności (cokolwiek to było), bo z pewnością ma ona na celu wykończenie mojej osoby. Obnażyłem Moralltacha i rzuciłem się na nie, nie dbając już nawet o to, czy mnie słyszą, czy nie. Ich żółte oczy poszerzyły się nieprzyjemnie, gdy usłyszały, że się zbliżam, ale nie przerwały nucenia, więc i ja nie mogłem przerywać ataku. Zamachnąłem się Moralltachim i odrąbałem wszystkie trzy głowy za jednym zamachem, a one poleciały daleko niczym motki szarej włóczki i tak oto świat nordycki uwolniony został z okowów przeznaczenia.

A ja wylądowałem w galaktycznej kadzi beznadziei.

– Szlag by to trafił! – ryknąłem bezsilny i załamany tym, jak niesamowicie źle to wszystko rozegrałem.

Odwiązałem splot i bezgłowe ciała opadły bezwładnie na ziemię. A ja tuż przy nich – pod ciężarem tego, co się właśnie wydarzyło.

Kiedy kradniesz jabłko, to możesz po prostu zniknąć. Kiedy zabijasz uosobienia losu, „to cię znajdą”, jak zauważył Hans Gruber w *Szklanej pułapce*.

W głowie pojawiła mi się nawet myśl, żeby zarzucić całą tę misję. Myśl ta miała przyjemny, lekki smaczek jakby miłego zaskoczenia. Mógłbym przecież spróbować szczęścia w fachu zwanym „bezrobotny na Grenlandii”. Przecież chybaby mnie tam nikt nie namierzył. Na pewno nie Laksha w każdym razie.

Choć co do tych nordyckich typków to już nie byłem taki pewien. No i Oberon by się o mnie martwił. I tu myśl ta ujawniła swój gorzki posmak.

Czas wymyślić jakieś lepsze rozwiązanie. Muszę zdobyć to złote jabłko przed Nowym Rokiem. Do tego czasu Laksha nawet nie zacznie mnie szukać, a zatem mam jeszcze chwilę na lepsze zaplanowanie ucieczki.

Tylko że w takim razie zanosi się na to, że będą deptać mi po piętach i Laksha, i Nordowie. Czy mi się to podobało, czy nie, zabicie Norn, choćby w samoobronie, uczyniło ze mnie wroga całego tego panteonu. Kradzież jabłka już naprawdę nie pogorszy sprawy. A skoro tak, to najlepiej będzie ukończyć zadanie i w ten sposób przynajmniej uregulować dług wobec Lakshy.

Wytarłem Moralltacha z krwi jednym z łachów Norn i schowałem go z powrotem do pochwy, a potem kucnąłem i zanurzyłem palce w liście, by dotrzeć do darni Asgardu, która okazała się w dotyku zadziwiająco podobna do jakiegoś bagna, przynajmniej tu, w bezpośrednim sąsiedztwie Yggdrasilu. Tymczasem ciała Norn czerniały upiornie. Przemówiłem do ziemi poprzez tatuaże i odpowiedziała mi, choć zdawała się docierać do mnie z dala, jakby zza wielu warstw tłumiącego ją płótna. Posłusznie rozstała się i pozwoliła ciałom Norn zapaść się w torfiaste głębiny, a potem zamknęła się nad nimi, nie pozostawiając śladu po całym tym przykrym wydarzeniu. Zakończywszy to zadanie, zacząłem przeglądać ziemię tuż przy samym pniu, w poszukiwaniu pozostałości Ratatoska, najwspanialszego z wiewiórów. Dobrze, że choć umarł dumny z siebie. Ostrożnie wsypałem fragmenty jego kości do sakwy przy pasie. Później pożegnaj go odpowiednimi słowami.

Zniknięcie Norn zostanie zauważone, gdy bogowie zbiorą się na swoją poranną naradę, miałem więc czas do rana, by ukraść jabłko i zawijać bambosze. Nie mogłem sobie pozwolić nawet na chwilę zwłoki, spojrzałem więc już tylko na pień Yggdrasilu, żeby dobrze zapamiętać drogę ucieczki.

Jego rozmiary przerastały możliwości wyobraźni. Rozciągał się w obie strony na całe mile, aż zdawało się, że to potężna drewniana ściana, a nie cylinder. Pomyślałem, że gdzieś tu musi być jeszcze jedna dziura w pniu, której Ratatosk używał, gdy schodził na korzeń

prowadzący do Niflheimu. Kilka minut truchtu w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara i już ją miałem, przy czym rzucało się w oczy, że jest większa i znacznie częściej używana. Zadowolony, że teraz już nie pomyłę tych dwóch dziur i nie wyjdę niewłaściwym wyjściem, ruszyłem w drogę zgodnie ze wskazówkami Ratatoska – nie do Gładsheimu, ale wprost do domostwa Idunn. Biegłem więc na zachód i lekko na południe, w stronę północnego pasma Gór Asgardzkich. Liczyłem na to, że jeśli dotrę tam już po zmierzchu, co wydawało się dość prawdopodobne, to kierunek wskaże mi – niczym latarnia – szczecina Gullinburstiego. Z każdym krokiem pobierałem odrobinę mocy z ziemi, żeby się nie męczyć i nabrać sił. Tymczasem Odyn pewnie właśnie żołądkował się z powodu plotek o zdradzie w Svartalfheimie i rzymskiej inwazji. Wsadziłem niezły kij w to nordyckie mrowisko i teraz wszyscy bogowie wypadną z niego rozeźleni i gotowi do jatki.

Rozdział 3

Jestem głęboko rozczarowany tym, że *Star Trek* nie stał się jednak religią. Archetypiczny szkielet nowego kultu był właściwie gotów, ale nikt się jakoś nie palił, żeby wyjść ponad stworzenie zwykłego serialu. Lecz gdyby zrobiono z tego porządną religię, jej wyznawcy mogliby z rozkazów mgławicowych bogów Federacji odkrywać nowe światy i śmiało kroczyć tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek; załoga *Enterprise* mogłaby robić za pomniejsze bóstwa – może nawet coś w rodzaju aniołów – i wspierać nas w pokonywaniu naszych osobistych granic każdego dnia. Spock mógłby być aniołem logiki na twoim lewym ramieniu, wytykać błędne rozumowanie i wskazywać działania oparte na mnóstwie rozsądnych dowodów, a Kirk występowałby w roli anioła uczuć na prawym ramieniu, nakazując zebrać się na odwagę, zdać na intuicję i działać instynktownie.

– Zabij je, Atticusie – powiedział wyimaginowany Kirk w mojej głowie. – Jeden cios Moralltacha i po wszystkim. Nie widzą cię, więc to betka.

– Nie byłoby to rozsądne – sprzeciwił się wyimaginowany Spock, szepczący w resztki chrząstki usznej po mojej lewej. Trzy tygodnie temu większość mego ucha odstrzeliła mi pewna niemiecka wiedźma i choć leczyło się ono znacznie szybciej niż wtedy, kiedy prawe ucho odgryzł mi pewien demon, wciąż nie wyglądało najlepiej. – Zalecałbym tajne i dyskretne dokończenie misji. Prawdopodobieństwo obrażeń i śmierci wzrasta wprost proporcjonalnie do stopnia ujawnienia twojej obecności w tej krainie oraz do czasu na rozprzestrzenienie się alarmu.

Kirk posłał swojemu rozsądkowi buziaka na do widzenia i powiedział:

– Niech cię licho, Spock, znajdujemy się tu w zupełnie innym wymiarze i czasami trzeba sobie powiedzieć: „Zwisa mi to i powiewia”, a potem dopieprzyć komu należy. Nie, Atticus? Zabij je wszystkie! Za Ratatoska!

– Kapitanie, celem naszej misji jest kradzież jabłka, które zapewnia młodzieńczą witalność. I nic poza tym. Hurtowe morderstwo nie jest ani zalecane ani konieczne.

– Co z tobą, Spock? Nic tylko rozwaga i ostrożność, i skradanie się na paluszkach. Czy ty naprawdę jaj nie masz w tych swoich wolkańskich gaciach?

– Moje organy rozrodcze są na swoim miejscu i działają bez zarzutu, kapitanie, nie ma to jednak żadnego znaczenia, jeśli chodzi o przedmiot naszej dyskusji. Machismo i przemoc nie wystarczą, gdy mamy do rozwiązania tak poważny problem.

– Czemu nie? Chuckowi Norrisowi jakoś zawsze wystarczają.

Tak właśnie zabawiam się, gdy muszę biec przez całe godziny i naprawdę mam już dość rozpatrywania wszystkich dziewięćdziesięciu dziewięciu sposobów, na jakie może spotkać mnie śmierć. To jest, kiedy akurat nie mam przy sobie iPoda.

Błotniste grunty Yggdrasilu zmieniły się pod moimi pędzącymi stopami w równinę Idavoll, nieokiełznane połacie dziewiczej trawy, w której kryły się tłuste bażanty, norniki preriowe i rude lisy. Na olśniewająco błękitnym niebie wisiały podarte kłęby chmur, a późnojesienny wiatr owiewał mi twarz zapachem traw i ziemi. Był to doprawdy piękny dzień, lecz jakoś nie umiałem się nim zachwycić. Byle początkujący tropiciel mógłby bez trudu pójść po moich śladach i choć była to oczywiście moja sprytnie obmyślona taktyka w grze pod tytułem *Dorwać i zniszczyć intruza*, to i tak nie opuszczał mnie niepokój.

Złapałem się nawet na marzeniu, by Scotty (patron wszystkich wędrowców?) przeteleportował mnie po prostu pod samo domostwo Idunn. W końcu należało to do jego boskich mocy – obok doprowadzania silników do prędkości warp, i to za pomocą ledwie kilku tajemniczych cewek i gondoli.

Kiedyś niektórym zdawało się nawet, że druidzi też są zdolni do teleportacji, ale to oczywiście wierutna bzdura. Nigdy w życiu nie rozpadłem się w jednym miejscu na atomy, by poskładać się z nich w innym. Ale owszem, zdarzyło mi się nieraz biec bez ustanku przez całe mile, tak jak teraz na przykład, i rzeczywiście biegłem pewnie szybciej, niż był w stanie posapywać jakikolwiek normalny człowiek. No i czasami oszukuję, robiąc sobie różne skrótory przez Tír na nÓg, gdzie każdy gaj może być spleciony z każdym faerycznym lasem na Ziemi. Przez „faeryczny” rozumiem tu po prostu zdrowy. Dlatego przetransportowanie się z Arizony do Rosji zajęło mi mniej niż pięć minut: najpierw przeszedłem do Tír na nÓg, tam znalazłem węzły prowadzące do rosyjskich lasów niczym porządne tory kolejowe, przeciągnąłem się wzdłuż nich i już stałem po drugiej stronie globu, w krainie barszczu i śmiesznych, włochatych czapek w kształcie doniczek. Jednakże, żeby wykonać opisane przesunięcie, musiałam pojechać z Tempe aż do Aravaipa Canyon, a to zajęło mi prawie dwie godziny. W Rosji natomiast wylądowałem wprawdzie w lesie, ale nim dotarłem do położonego wśród tundry jeziora, które splecione było ze studnią Mimira, minęły dobre trzy godziny zdrowego biegu.

Teraz zaś nie miałem nawet co marzyć o jakichkolwiek skrótach. Wszędzie będę musiał dobiec na własnych nogach. Choć nie było to takie znowu złe. Moje teleportacyjne fantazje bladły, im dłużej biegłem – blisko ziemi, czując pod sobą pulsującą magię. Spośród wszystkich ontologicznych projekcji ludzkiego strachu przed życiem po śmierci Asgard jest naprawdę jednym z przyjemniejszych miejsc, może nieco oszczędnym, jeśli chodzi o różnorodność życia, jak zresztą wszystkie zmarznięte krainy Skandynawów, ale jednak pięknie wyrysowanym, a zarazem przywołującym na myśl coś tajemniczego i niebezpiecznego.

Choć prawdę powiedziawszy, to coś niebezpiecznego to były może raczej projekcje moich strachów. Nie biegłem przecież dla przyjemności w jakimś charytatywnym maratonie – był to bieg śmiertelnie niebezpieczny.

Ratatosk zapewnił mnie, że nie będę miał wątpliwości, gdy dotrę do Vanaheimu, bo po pierwsze ujrzę nad sobą fioletowe zęby Gór Asgardzkich, a po drugie równinę Idavoll zastąpią pola, idylliczne ziemie usiane na horyzoncie jasnymi punkcikami koloru – stodołami i spichlerzami, niczym pacnięcia impresjonistycznego pędzla położone od niechcienia na samym końcu pracy malarza – czekające już na pierwszy śnieg. Gdy tam wreszcie dotarłem, słońce już zachodziło przede mną, co skłoniło mnie do refleksji nad skandynawską wyobraźnią, która kazała słońcu, grawitacji i pogodzie zachowywać się zupełnie tak samo w krainie unoszącej się w powietrzu i przyczepionej jedynie do jakiegoś wielkiego jesionu, jak na Ziemi.

Mimo to jednak całkiem nieźle sobie obmyślili ten swój raj. Gdyby nie to, że miałem zaraz stać się najbardziej poszukiwanym na tych ziemiach przestępcą, chętnie zabawiłbym tu chwilę dłużej.

Biegłem dalej, słuchając wieczornych ptasich treli, i na wszelki wypadek włączyłem nocne widzenie, żeby na coś nie wpaść. Biegłem tak już od ponad ośmiu godzin bez przerwy, cały czas równo dziesięć mil na godzinę. Góry Asgardzkie były coraz bliżej. Wznosiły się na tle ciemniejszego nieba jak olbrzymie ziguraty.

Pokonawszy kolejną milę, na północnym zachodzie ujrzałem bladożółtą poświatę błyszczącą zza lasu. Jeśli nie było to olbrzymie ognisko harcerzy, co wydawało się raczej mało prawdopodobne, to musiała to być złota szczecina Gullinburstiego. Zrozumiałem, że pobiegłem nieco za daleko na południe, i poprawiwszy kurs, popędziłem prosto na światło. Po chwili zatrzymałem się po raz pierwszy, odkąd opuściłem Norny. Stałem nad rzeką. Z pewnością to ona właśnie wyznaczała tradycyjną granicę Vanaheimu, przynajmniej z tego, co mówił Ratatosk. Wcale mi się nie uśmiechała kąpiel, ale nie widziałem innego wyjścia. Żeby przelecieć nad rzeką jako sowa, musiałbym zostawić tu prawie wszystko. Wzdrygnąłem się, westchnąłem i wlałem w

wodę. Wszystko to, co powinno pozostać suche, i tak miałem w nieprzemakalnej sakwie.

Na szczęście nurt okazał się powolny i słaby, więc mimo obciążenia ubraniami i mieczem przeszedłem bez większych problemów, jeśli nie liczyć przemarznięcia. Przyznaję: trochę mi się skurczył.

Uznawszy, że najlepszym lekarstwem na drzenie będzie podjęcie biegu, przetruchtałem może ze czterdzieści metrów w stronę bladej poświaty, nim znów się zatrzymałem. Byłem już prawie w lesie, gdy wypadło z niego coś z jasnym błyskiem. Oślepiąco fosforyzująca kometa wystrzeliła w niebo, zagrzmiało straszliwie i nie wiadomo skąd pojawiła się potężna, ciemna chmura. Zamarłem, a potem padłem na ziemię i zrobiło mi się jeszcze zimniej na sercu. Nie było to bowiem UFO.

Bogowie. I to bogowie szukający mojej skromnej osoby.

Najpierw ujrzałem boga płodności Frejra, na grzbiecie Gullinburstiego. Za nim na rydwanie zaprzężonym w dwie kozy pędził Thor. Zmierzali w stronę Yggdrasilu.

Oczekałem, aż niemal całkiem zniknęli mi z oczu, i dopiero wtedy podjąłem wędrówkę – teraz już bez wahania w kierunku północno-zachodnim, bo nie ulegało wątpliwości, że jest to kierunek właściwy i jestem już blisko celu.

Dobrze się zresztą składało, gdyż mój plan działania nabrał nagle znacznie szybszego tempa. Liczyłem, że zniknę stąd, nim ktokolwiek w ogóle się zorientuje, że Norny nie żyją, ale wydawało się, że nie ma już na to żadnych szans. Jak szybko trafią na mój trop, zależało wyłącznie od tego, jak szybko poproszą o pomoc Heimdalla. Bóg ten miał zmysły tak doskonale wyczulone, że był archetypem tropiciela. Jeśli akurat znajduje się w pobliżu, z pewnością słyszy bicie mojego serca i wyczuwa mój strach.

Nie widziałem innego wyjścia jak działać, i to szybko. Prawdopodobnie Odyn już przejrzał mój podstęp. Miał naprawdę dość czasu, żeby się domyślić, iż Bachus jednak wcale nie nadciąga, a mroczne elfy są tym razem niewinne. Mimo to wciąż nie miał pojęcia, kim lub czym jestem, jakie są moje cele ani gdzie się znajduję. I dlatego pewnie wysłał Thora i Frejra na misję wywiadowczą pod Yggdrasil. Zresztą być może wybierają się tam i inni bogowie – ale nie sam Odyn. Szedłem o zakład, że Odyn jest już w drodze do swego srebrnego tronu, jeśli w ogóle już na nim właśnie nie zasiada. Na pewno chce sam mnie odnaleźć i zorganizować mi odpowiednie przyjęcie powitalne. I dlatego właśnie musiałem działać natychmiast, nim będzie miał czas wszystkiego się dowiedzieć na tym swoim stolcu. Tłumaczenia Ratatoska były trochę niejasne, jeśli chodzi o odległość między Gładsheimem a Valaskjálfem, trudno więc było szacować, ile czasu mi zostało.

Chaotyczny las zmienił się po czterech milach w uporządkowany sad z równiutkimi rzędami grusz, śliw, jabłoni i innych niemych świadków mej wędrówki, a po chwili moim oczom ukazała się powolna, głęboka rzeka, być może ta sama zresztą, którą już raz przekroczyłem. Założywszy, że to pewnie granica między Vanaheimem a Alfheimem, ruszyłem południowym brzegiem rzeki, wyglądając domostwa po jakiegokolwiek jej stronie. Ujrzałem oba zaledwie po mili.

Na północnym brzegu wyrastało domostwo Frejra niczym solidny dąb pośród bujnego ogrodu w pełnym rozkwicie, mimo że już mieliśmy przecież listopad. Zdawało się, że ten dom dosłownie sam tu wyrósł, przez nikogo niebudowany, choć byłem w stanie dojrzeć ściany i wodoodporny dach. Był z pewnością bezpieczny i wygodny jak każdy inny pałacyk. W ogrodzie, na porozstawianych tu i ówdzie drewnianych piedestałach stały wielkie kosze pełne owoców i warzyw. Małe nocne zwierzątka racyły się tymi dobrami, a wokół krążyła sowa, wyraźnie zamierzająca się racyć tymiż małymi nocnymi zwierzątkami. Ciepły blask ognia na kominku widać było nie tylko przez otwarte okna, ale i przez równie szeroko otwarte drzwi. Od schodów

do granicy ogrodu prowadziła ścieżka, która dalej wiała się na południe i poszerzała, by w końcu dotrzeć do potężnego, pięknego mostu na rzece. Po grubych, solidnych deskach mogłoby przejść troje ludzi ramię w ramię i z pewnością bez trudu utrzymywały one ciężar sporych zwierząt i wozów.

Ścieżka ciągnęła się po mojej stronie rzeki i prowadziła prosto do mocnej, ale mniejszej budowli, zdecydowanie wzniesionej ludzką ręką, a nie wyrosniętej. Każdy jej centymetr pokryty był runami i scenami z dziejów dzielnych wikingów. Podkrałem się tak blisko, że mogłem odczytać runy. Były to w większości najróżniejsze wiersze skaldyczne, które głosiły, że jest to dom Idunn i Bragiego, niech żyją długo, szczęśliwie, w miłości i spokoju i takie tam.

Moje rozkoszowanie się sztuką zakłócone zostało przez szepty dochodzące z wnętrza domu. Drzwi i okna były tu otwarte tak samo jak u Frejra, a ogień na kominku palił się chyba raczej w ramach oświetlenia niż ogrzewania.

– Podejdź bliżej – ponaglał mnie mój wyimaginowany Kirk. – Chcę usłyszeć, co mówią.

– Zgadzam się – dodał wyimaginowany Spock. – Dodatkowe informacje zawsze mogą się okazać przydatne.

Powiedziałem im obu, że naprawdę już wolę, jak się kłócą, i zacząłem się ostrożnie skradać, tak że w końcu przykucnąłem przed frontowym oknem pałacu Idunn.

W uszach zadźwięczał mi ciepły, piękny kobiecy głos:

– ...co to znaczy? Jeśli Norny rzeczywiście nie żyją, być może ich przepowiednie są już nic niewarte. Teraz jesteśmy naprawdę wolni, Bragi, tylko pomyśl!

– Ragnarök nie nastąpi? – odpowiedział jej w zamyśleniu donośny baryton. Głośny huk i zgrzyt odsuwanej krzesła po podłodze, jakby ktoś usiadł ciężko. – Być może jest nadzieja dla nas wszystkich.

– Tak! – krzyknęła w uniesieniu kobieta, którą wziąłem za Idunn. – Dla wszystkich, a dla nas w szczególności! Nie pojmujesz? Być może będziemy w końcu mieć dziecko! Może fatum, na które nas skazały, zniknęło wraz z nimi!

Usłyszałem odgłosy całowania i gardłowy śmiech barytonu.

– A! Teraz rozumiem! Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać, prawda?

Odgłosy całowania stały się bardziej intensywne, a po nich nastąpiły inne, mniej niewinne, oraz głośne sapanie. Przykucnąłem przygnębiony, gdy dotarło do mnie, że to może trochę potrwać. Oni nie byli nastolatkami, którzy by kończyli taką sprawę w kilka szalonych minut. Długowieczni wiedzieli dobrze, jak długo się kochać.

Lecz ten krótki urywek podsłuchanej rozmowy dał mi do myślenia. Ze słów Idunn wynikało, że na tych dwoje spoczywało przekleństwo bezdzietności, a ich zachowanie sugerowało, że nie mogli się doczekać końca tej klątwy. Co więcej, oznaczało to, że Bragi i Idunn wciąż się kochają. Śmiertelni nie mają szansy się przekonać, czy ich miłość przetrwałaby wieki, ale najwyraźniej miłość Idunn i Bragiego przetrwała. Poczulem zazdrość, a potem ścisnęło mi się serce na wspomnienia, które przez nich do mnie wróciły.

Była kiedyś w Afryce kobieta, którą kochałem ponad dwa wieki. Gdy wróciłem wraz z hordami Czyngis-chana na obrzeża wschodniej Europy, szybko się przekonałem, że nic tam po mnie. Przeszedłem więc przez Arabię, ot, dziwny niewierny w Kalifacie, i zagłębiłem się w afrykański kontynent, by się zagubić wśród cudów sawanny, dżungli i pustyni. I nie wróciłem aż do piętnastego wieku, przez co szczęśliwie nie załapałem się na Czarną Śmierć. A jeszcze szczęśliwiej – Aenghus Óg stracił mnie zupełnie z oczu. Gdybym był przesądny, przypisałbym to może właśnie mojej miłości. (Prawdopodobnie jednak wynikało to z tego, że poczyniłem wtedy znaczne postępy w pracy nad amuletem, szczególnie w zakresie chronienia przed wywróceniem, toteż póki nie wymyślił nowych sposobów na namierzenie mnie, byłem bezpieczny).

To, co mnie tak długo przyciągało do Tahirah, zasadzało się oczywiście na idealnie dopasowanej chemii, tym samym szaleństwie, które najwyraźniej łączyło parę bogów obcałowujących się tuż za mną. Ze swym ciętym dowcipem zawsze dorównywała mi kroku w rozmowie, a w jej łagodnych, ciemnych oczach znajdowałem kojący spokój, tak że chętnie trwałem wiernie przez te wszystkie lata u jej boku. Jej niski, melodyjny głos był dla moich uszu jak aksamit, a jej śmiech, szczery i czysty niczym kamerton przyłożony do moich kości, nieodmiennie przyprawiał mnie o radosne drżenie. To ona była ostatnią osobą, z którą dzieliłem się swoją herbatką „Młodości Czar”. Przez te dwa stulecia naszego małżeństwa Tahirah dała mi dwadzieścioro pięcioro dzieci, a każde z nich było dla nas wielką radością. Niczego nie żałuję. Być może do dziś byśmy się kochali, wciąż robili nowe dzieci i bez końca pilnowali tych młodszych, żeby nie poślubiały potomków starszych („Bardzo mi przykro, kochanie, ale nie możesz za niego wyjść. Sama rozumiesz, on jest praprawnukiem twojego brata, tego urodzonego w tysiąc osiemset czterdziestym drugim”). Ale nigdy się już tego nie dowiem; wojsko Masajów, na które natknęliśmy się zupełnie przypadkiem, przekreśliło nasze szanse na wieczną miłość.

Ze wspomnień wyrwało mnie skrzyknięcie krzesła. Usłyszałem kroki, które zniknęły gdzieś w głębi domu, a wraz z nimi coraz cichsze sapanie i nowe figlarne chichoty.

Teraz miałem szansę.

Podniosłem się powoli z kucek i ostrożnie zajrzałem przez parapet. Najpierw zauważyłem kominek na lewo. Nad płomieniami gotowało się w żeliwnym saganie coś, co Idunn i Bragi widocznie zostawili, żeby się samo pichciło. Przede mną stał kuchenny stół, a na nim drewniana misa pełna owoców. Widziałem w niej gruszki, śliwki i brzoskwinie. Ale żadnych jabłek.

Od razu odezwał się wyimaginowany Kirk.

– Odważysz się zjeść brzoskwinie?

– Jasne, że się odważę – szepnąłem.

– Pozwólcie, że przypomnę, iż znaleźliśmy się tu, by zdobyć złote jabłko – mruknął wyimaginowany Spock. – Nie powinniśmy tracić czasu na żadne zbędne owoce.

Wsadziłem więc rękę przez okno i wziąłem z misy śliwkę, bo uznałem, że nie będzie czasu na całą brzoskwinie. Poczułem pod palcami dojrzałą i miękką skórę.

– Bravo! – krzyknął Kirk, gdy wziąłem kęs.

Była niesamowicie smaczna.

Uśmiechnąłem się psotnie i uznałem, że czas wprowadzić w życie plan C. Całą tę wyprawę zaplanowałem w tylu różnych wariantach działań, że wykorzystałem literki aż do Q (ale niestety w żadnym z planów nie wziąłem pod uwagę starcia z Nornami). Plan C zakładał, że zostawię na miejscu zbrodni list. Teraz, gdy żulem sobie śliwkę, list ten nabierał w mojej głowie coraz wyraźniejszego kształtu. Jedyne, czego mi było trzeba, to... jabłek.

Cicho zakopałem pestkę śliwki pod oknem za pomocą szybkiego zakłęcia. Dotykiem rozwiązałem rzemień na sakwie i odwinąłem jej wodoodporny materiał. W środku miałem między innymi papier oraz wieczne pióro przeznaczone do planu C. Zrzuciłem kamuflaż, wyciągnąłem kartkę i pióro, a potem bezszelestnie wszedłem do domu, gdy tymczasem jego właściciele głośno rozkoszowali się sobą.

Gdy tylko przekroczyłem próg, na prawo zobaczyłem drewniany piedestał, bardzo podobny do tych, które otaczały dom Frejra. Z okna nie było go widać, ale gdy wchodziło się przez drzwi, zauważało się, że stoi na honorowym miejscu, bogato zdobiony płaskorzeźbami jakichś postaci, pewnie nordyckich bogów. Na nim spoczywał kosz pełen złotych jabłek, którymi widocznie mógł się poczęstować każdy gość. Uśmiechnąłem się i ruszyłem do kuchennego stołu z kartką i piórem w dłoni. Czas wdroić plan C. Inspirację czerpiąc z modernistycznego poety Williama Carlosa Williama, napisałem po staronordycku krótki wiersz, który poczuć smaku

Bragiego bez wątpienia odrzuci, jako że skaldowie z zasady nie mieli cierpliwości do wolnego wiersza.

*Chcę tylko powiedzieć
Że ukradłem
Śliwki
Które leżały
W waszej misie
I które pewnie
Trzymaliście
Dla Norn
Na cycki Frei!
Ale były pyszne
Jakie słodkie
I jakie zimne*

Dopisałem jeszcze: „Wszyscy jesteście głupi. Możecie mnie pocałować. Bachus”, a potem zapakowałem sobie wszystkie śliwki do kieszeni, zostawiając w misie tylko gruszki i brzoskwinie. Wszystko mi było jedno, czy uwierzą, że to naprawdę napisał Bachus, czy nie. Chodziło tylko o to, żeby ich zbić z tropu. Teraz będą szukać kogoś, kto jest w stanie dać popis frywolnej poezji modernistycznej, a ja tymczasem dam drapaką.

Nadeszła chwila kradzieży. W sypialni Idunn i Bragi eksperymentowali radośnie z przyjemnymi efektami tarcia, a boskie złote jabłka kusiły tuż przy drzwiach. Bezszelestnie wyciągnąłem jedno z kosza i zamarłem z perwersyjnej chęci sprawdzenia, czy włączy to jakiś rodzaj alarmu. Gdzieś w głębi domu zawyła Idunn, żądając, by Bragi dał jej natychmiast dziecko, ale to się chyba nie liczyło.

Poruszając się możliwie szybko, by nie czynić żadnego hałasu, wróciłem po swoich śladach nad rzekę i wrzuciłem do niej wszystkie śliwki. Moje stopy odbijały się wyraźnie w ziemi, a ślad prowadził wprost nad wodę, ale to mi nie przeszkadzało. Najlepiej, żeby myśleli, że do niej wskoczyłem, bo wtedy tracą mnóstwo czasu na przeszukiwanie brzegu w dole i w górze rzeki, żeby się przekonać, gdzie wyszedłem z wody.

Wycofałem się powoli i tym razem poprosiłem ziemię, żeby natychmiast zakryła moje ślady, tak że zostały tylko te, które prowadziły nad rzekę. W końcu znów znalazłem się pod gałęziami sadu, gdzie ziemia była nieco twardsza i pokryta liśćmi, które wyciszały moje kroki i na których zacierał się ślad, bo były dość mokre i zupełnie jeszcze nie szeleściły. Miałem nadzieję, że tu już zgubią mój zapach. Odłożyłem ostrożnie jabłko w zagłębienie na gałęzi, potem rozebrałem się i starannie złożyłem ubrania. Miło było pozbyć się wreszcie mokrych skórzanych ciuchów. Napisałem też drugi liścik: „Uwielbiasz owcze tyłki i wszyscy o tym wiedzą. Wstydz się, wstydz! Bachus”, i umieściłem go na stercie ubrań. Miecz odłożyłem na bok, po czym poprosiłem ziemię, żeby się rozstąpiła, a ona posłuchała i utworzyła dziurę głęboką i szeroką na jakieś pół metra. Wsadziłem w nią ubrania oraz sakiewkę z liścikiem na samej górze i poprosiłem ziemię o zamknięcie się nad tym wszystkim. Potem powiedziałem kilka słów pożegnania dla Ratatoska, bo jego kości znajdowały się wciąż w mojej sakwie. Rozsypałem trochę liści nad zakopaną dziurą i wstałem zadowolony. Jeśli ktokolwiek, dajmy na to Heimdall, wywęszy mnie aż tutaj, to wykopie te ciuchy i będzie miał z tego tyle, że się wkurzy z bezsilności.

Miałem tylko nadzieję, że Odyn jeszcze tego wszystkiego nie widzi. Zdjąłem jabłko z drzewa i położyłem je ostrożnie na ziemi kilka kroków od siebie. Następnie zarzuciłem sobie Moralltacha na plecy i wydłużyłem pasek tak bardzo, że miecz zwisał mi głupawo z prawej strony. Przesunąłem miecz na plecy, ułożyłem go sobie odpowiednio, potem stanąłem na

czworakach, więc pasek zwisał mi teraz z piersi i dotykał ziemi. Przez chwilę jeszcze walczyłem, żeby miecz ułożył się wreszcie odpowiednio, i w końcu byłem gotów. Uruchomiłem charms, który pozwalał mi zmieniać się w jelenia, a gdy transformacja się zakończyła, miecz wreszcie leżał porządnie na moich jelenich plecach.

Cały ten proces wymagał całkiem sporo ćwiczeń, które wykonałem jeszcze w Arizonie, i wielu godzin walki, by zrobić sobie wreszcie odpowiedni pasek, ale warto było, ponieważ był on częścią wszystkich planów od A do Q. Teraz mogłem biec znacznie szybciej, a jednocześnie mieć pod ręką miecz na wypadek, gdyby zaszła potrzeba walki. Delikatnie ująłem jabłko w mój jeleni pysk i rzuciłem kamuflaż i na siebie, i na jabłko, i na Moralltacha. Teraz jako jeleni wydzielałem zupełnie inny zapach – moi wilkołaczy przyjaciele z Arizony potwierdzili kiedyś, że owszem, gdy zmieniam postać, zmienia się też mój zapach, i jeśli polega się tylko na węchu, nie da się stwierdzić, że jestem tą samą istotą. Tak więc jeśli Odyn nie dojdzie jakimiś innymi sposobami, co się dzieje, nie powinno być żadnych problemów z powrotem do Yggdrasilu w ciągu jakichś pięciu czy sześciu godzin (dla porównania – droga w tę stronę zajęła mi osiem). Kto niby miałby zauważyć zakamuflowanego jelenia biegnącego nocą po równinie Idavoll?

Nie byłem oczywiście aż tak naiwny, by naprawdę wierzyć, że wszystko pójdzie jak po maśle. Po prostu żadnych konkretnych problemów nie przewidziałem.

Rozdział 4

Zdarza mi się czasami przechodzić napad samozadowolenia. Nikomu pewnie nie jest to obce, ale szczególnie dotyka osób, którym się wydaje, że są niezwykle sprytnie. Gdy tak się coraz bardziej zbliżałem do Yggdrasilu, a nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek mnie gonił, czy choćby nawet wszczął alarm, czułem, że napad samozadowolenia zbliża się z każdym moim jelenim krokiem. Dzięki połączeniu zaskoczenia, szybkości i przebiegłości wystrychnąłem oto na dudka cały panteon. Teraz nie byli w stanie odróżnić własnych nóg od lutefiska. Wprawdzie moja beznadziejna wpadka z Nornami powinna była zdusić ten napad samozachwyty, ale twardo wypychałem z głowy tę myśl, uznawszy, że już lepsze samozadowolenie niż myślenie o Nornach.

Jakieś dziesięć mil przed celem, to jest już blisko pnia Yggdrasilu, ale wciąż dość daleko od korzenia prowadzącego do Jötunheimu, mój samozachwyty przeszedł nagle w beznadziejny przypadek oh-shitu. Z tego, co mi się wydaje, jest to fachowy termin psychologiczny; a jeśli nie, to na pewno powinien nim być.

Oto dlaczego: gdy się coś komuś ukradnie i ucieka przed okradzionym, pierwsze słowa, jakie przychodzą uciekającemu do głowy, gdy uświadomi sobie, że jest goniony, to zawsze: „Oh, shit!”, tyle że w języku, którego nauczył się jako dziecko. W takiej chwili jest po prostu psychiczną niemożliwością pomyśleć sobie cokolwiek innego. Podobno Angole łamią tę tradycję i mówią sobie wtedy: „Oh, bugger!”, ale to tylko w pierwszej chwili, bo gdy już się upewnią, że naprawdę są ścigani, zawsze, bez wyjątku poprawiają się i dołączając tym samym do reszty ludzkości, mówią: „Shit!”

Pominąwszy ten drobiazg, że akurat byłem jeleniem i miałem w pysku jabłko, nie mogłem więc powiedzieć tego na głos, wybrałem drogę tradycyjną. Gdy zorientowałem się, co za mną pędzi, krzyknąłem w myślach: „Oh, shit!”, a następnie zrobiłem wszystko, by osiągnąć maksymalną prędkość warp, niech się schowa Scotty ze swoimi maszynami.

Rutynowa, paranoiczna kontrola otoczenia wykazała, że tuż nade mną lecą dwa kruki. Jeszcze dziesięć minut temu z całą pewnością ich tam nie było – bo wtedy właśnie wykonałem poprzednią rutynową kontrolę. A to oznaczało, że Odyn wie, gdzie jestem, i mogło również oznaczać, że już jest w drodze, by mnie dorwać. Nie miałem pojęcia, jak dobrze mnie widzą kruki, skoro jestem zakamuflowany i biegnę po ciemku, ale nie ulegało wątpliwości, że mniej więcej były w stanie mnie namierzyć. Być może po prostu słyszały tętent moich racic po równinie.

Z godzinę wcześniej widziałem złoty błysk Gullinburstiego oraz ciemne chmury Thora wracające w stronę domostwa Frejra. Minęli mnie, wyłoniwszy się na północnej stronie nieba. Biegłem trochę bardziej na południe, właśnie by uniknąć takiego spotkania. Wiedzieli już o Nornach, a być może i o Ratatosku. Teraz pewnie podążali śladami, jakie dla nich zostawiłem. Tyle miałem z tego, że przynajmniej wiedziałem, iż nie czekają na mnie pod Yggdrasilem.

Cichy grzmot gdzieś za mną kazał mi zaryzykować spojrzenie za siebie. Po dźwięku należałoby wnosić, że ciągnie za mną cała kawaleria, ale nie. Na horyzoncie majaczyła sylwetka pojedynczego rumaka. Aczkolwiek był to rumak potężny; rumak wielkości przeciętnego wielbłąda, a nie konia czystej krwi. Poza tym miał osiem nóg zamiast czterech, do których widoku byłem bardziej przyzwyczajony. Zatem Sleipnir, wierzchowiec Odyna. Na jego grzbiecie pędził jednooki bóg z włócznią w dłoni. Nad horyzontem galopowało w powietrzu dwanaście latających koni, a każdy wiózł zakute w zbroję dziewczę z tarczą i mieczem. Walkirie. A to oznaczało, że gówno, w jakim właśnie grzązłem, było głębsze niż Rów Mariański. Tu, w tej

krainie, to one były Szafarkami Śmierci, nordyckim ekwiwalentem Morrigan, tyle że z upodobaniem do śmiesznych hełmów ze skrzydełkami. Miałem nieprzyjemne przeczucie, że jeśli zamierzają szafować śmiercią, to raczej podarują ją mnie niż Odynowi.

Podkułem ogon i przyspieszyłem jeszcze bardziej.

Fajnie, scena pościgu, pomyślałem sobie na pocieszenie, sapiąc jakoś, mimo że trzymałem jabłko w pysku. Gdybym tylko wziął ze sobą iPoda, mógłbym sobie teraz puścić *Cwał Walkirii* Wagnera jako ścieżkę dźwiękową. Chociaż po chwili zastanowienia stwierdziłem, że w sumie jest to zbyt ponury kawałek i nie nadałby mi większej prędkości. Może fajniej byłoby posłuchać w tym czasie czegoś bardziej inspirującego, czegoś zupełnie niepasującego tu kulturowo i kompletnie absurdalnego, dajmy na to jakiś hymn na bandžo Jerry'ego Reeda z tych komedii z lat siedemdziesiątych. Odyn i walkirie mogliby grać rolę szeryfa, a ja bym udawał legendarnego Bandziora. Tylko że wyglądało na to, iż Odyn zna się na rzeczy nieco lepiej niż szeryf Buford T. Justice, a ja nie poruszałem się z aż taką zawrotną prędkością jak 1977 pontiac trans am. Stukot kopyt Sleipnira stawał się coraz głośniejszy. Byli coraz bliżej.

Włócznia Odyna, Gungnir, należała do przedmiotów magicznych z tej samej grupy co Moralltach czy Fragarach. Dzięki runom wyrzeźbionym na grocie miała jakoby zawsze trafiać do celu, a tenże cel za każdym razem miał umrzeć. Tego rodzaju magia zwykle działa całkiem sprawnie – wiedziałem o tym z własnego doświadczenia z Fragarachem i Moralltachem. Nie wiedziałem tylko, jaki Gungnir ma zasięg. Czy jego magia jest na tyle silna, że Odynowi wystarczy wycelować mniej więcej, cisnąć na odwal gdzieś tam w moim kierunku i zdać się na runy? Czy też raczej powinien jednak znajdować się w odległości naturalnego (czyli w tym wypadku boskiego) rzutu, żeby ją za mną cisnąć? W takich chwilach zawsze marzę o oku ciemieniowym.

Słyszając ryk wojennych rogów, rozejrzałem się wokół. Walkirie nie mają zwyczaju grać sobie na rogach dla zabawy. Robią to tylko w jednym celu – by rozpocząć bitwę. Zdążyłem jeszcze zobaczyć, jak Odyn – nadal z ćwierć mili ode mnie – unosi się w siodle i pięknym łukiem ciska Gungnirem wysoko w powietrze, celując najpewniej w moje serce lub mózg. W tej samej chwili walkirie uniosły miecze i skierowały je w moją stronę. Mój amulet zakwitł kryształkami lodu i zadrżał mi na piersi, nie miałem więc złudzeń co do celu ich gestu. Może i mogłem pozostawić ochronę przed ich wyrokiem śmierci amuletowi, ale mam istną paranoję na tym punkcie i jeśli tylko jest jakiś wybór, nie zdaję się w tych sprawach na kawałek metalu. A jeśli amulet wpłynie na ich celowanie, dopiero wtedy gdy włócznia dotrze do mojej aury? Nie mogłem przecież pozwolić, by włócznia zbliżyła się na kilka centymetrów od mojej skóry, i dopiero wtedy robić unik. Chciałem wypróbować inną opcję.

Przyszło mi do głowy, że mógłbym pozbawić włócznię celu, a klątwę walkirii jej przedmiotu, poprzez zmieniienie natury tegoż celu. Skoczyłem na bok, żeby zejść z drogi włóczni, i w okamgnieniu wykonałem następujące czynności: zrzuciłem kamuflaż, zmieniłem się z powrotem w człowieka i przestałem biec. Jabłko wypadło mi z ludzkich już ust, więc złapałem je lewą dłonią. Całe było oślizłe od jeleniej śliny, ale poza tym w stanie nienaruszonym.

Jeleń, którego miała zabić włócznia Gungnir, zniknął. Usłyszałem świst tuż nad głową i dopiero potem moje oczy ujrzały, jak włócznia wbija się przeraźliwie mocno w błoto jakiegoś czterdzieści metrów dalej, tam gdzie stał jeszcze przed chwilą jeleń. Obejrzałem się na moich prześladowców i zobaczyłem, że Odyn i walkirie zamarli przekonani, że cierpią na halucynacje.

Nie mogli własnym oczom uwierzyć. Włócznia, która nigdy nie chybiła celu... właśnie chybiła. Wybranek Szafarek Śmierci bynajmniej nie był martwy, tylko właśnie paradował nagi po równinie Idavoll z jabłkiem w dłoni i wielkim uśmiechem na twarzy. Patrzyli zdumieni, jak rudowłosy demon unosi dłoń, dając im wyraźny znak, żeby zaczekali, a potem pewnym siebie

krokiem zmierza ku Gungnirowi, jakby była to zwykła włócznia, którą sam przed chwilą cisnął. Potem tajemnicza ta istota miała czelność położyć na niej swoje łapy – na włóczni Odyna! – i bezceremonialnie wyrwać ją z ziemi. A potem... potem...

Odyn ryknął dziko na walkirie, gdy pojął, co zamierzam. Nie był w pełnej zbroi, ale też nie był odziany jak prostoduszny podróżnik w szeroki kapelusz i szary płaszcz czy coś. Miał hełm okularowy oraz kolczugę i tunikę ze skóry renifera. Spiął konia, a walkirie poszły jego śladem.

Minęły wieki, odkąd ostatnio ciskałem włócznią czy choćby oszczepem, ale wszystko wskazywało na to, że czas najwyższy znów wrócić do tego sportu. Jeśli Gungnir w coś trafi, zatrzymają na chwilę pogoń, a ja będę miał czas zwiększyć odległość między nami; jeśli nie trafi, i tak zwolnią, chcąc odzyskać broń, więc mimo wszystko będę miał szansę się odsadzić.

Skupiając się na sile idącej z pleców i ramienia oraz usiłując przypomnieć sobie technikę rzutu, cisnąłem włócznią jak najmocniej w strategicznie słaby punkt wroga – czyli wcale nie w Odyna, ale w Sleipnira. Nie patrząc nawet, jak leci, padłem na kolana i zmieniłem się z powrotem w jelenia. Chwyciłem jabłko w pysk i otrząsałem się, żeby poprawić pasek z pochwą na miecz. Gdy unosiłem łeb, żeby się rzucić do biegu, ujrzałem, jak włócznia wchodzi gładko w gardło ogiera, który rży z bólu i zrzuca Odyna z grzbietu, by natychmiast samemu runąć na ziemię.

Na co mało nie wypuściłem jabłka z pyska. Ani przez chwilę nie liczyłem na to, że tak świetnie trafię. Czyli że te runy działają, bez względu na to, kto ciska włócznią. Walkirie natychmiast rzuciły się na pomoc Odynowi, a ja pomknąłem przed siebie, by nie tracić szansy.

Gdy prulem w stronę korzenia, z nieba zleciały na ziemię dwa bezwładne czarne kształty. Dotarło do mnie, że to kruki, Hugin i Munin. Myśl i Pamięć. Jeśli one spadły, to Odyn musi być co najmniej nieprzytomny, jeśli nie martwy. Muszę się stąd wydostać, nim spowoduję jeszcze więcej strat wśród okolicznych mieszkańców. Znów rzuciłem na siebie kamuflaż, zakładając, że być może bez pomocy Odyna walkirie nie będą w stanie mnie dojrzeć, i skupiłem się na rozpaczeniu, co robić.

Problem stanowił Moralltach. Nie było mowy, żebym dał go radę ciągnąć ze sobą do kryjówek Ratatoska i po korzeniu, bo teraz, ścigany, nie miałem czasu schodzić po Yggdrasilu tak, jak tu wszedłem, czyli splatając skórę z korą za każdym mozolnym krokiem. Musiałem sfrunąć na dół, a sowy raczej nie mają siły ciągnąć ze sobą miecza.

Nie było wyboru. Trzeba go zostawić tutaj. Gdy dotarłem do korzenia, sprawdziłem, co się dzieje na szóstej. Kilka walkirii znów uniosło się w powietrze i teraz krążyły chaotycznie, szukając mnie bez skutku. Hugin i Munin nie wróciły na nieboskłon, więc Odyn wciąż jest co najmniej nieprzytomny. Klnąc, na czym świat stoi, znów zmieniłem się w człowieka, zdjąłem miecz z pleców (złapawszy jabłko, które wypadło mi z ust), klęknąłem na ziemi i poprosiłem, żeby się przede mną rozstąpiła. Zrobiła to posłusznie, a ja wcisnąłem w nią miecz aż po łokieć na sztorc, tak że tkwił teraz w dziurze jak jakiś kolec. Uznawszy, że w zaistniałych okolicznościach na więcej i tak nie ma co liczyć, starannie zasunąłem i zasklepiłem ziemię nad mieczem, upewniłem się, że darń nad nim nie wygląda na poruszoną, a nawet odsunąłem się na dziesięć kroków i usunąłem wszystkie ślady moich stóp.

I tak mogą go znaleźć. Jeśli tylko Heimdall będzie wiedział, że ma go szukać, pewnie go odnajdzie. Ale jeśli uda mi się zniknąć stąd, nim Odyn się ocknie, nie będą mieć najmniejszego powodu do podejrzeń, że nie wzięłem miecza ze sobą. A ja i tak musiałem przecież wrócić do Asgardu: obiecałem mojemu prawnikowi i zarazem przyjacielowi, wampirowi Leifowi Helgarsonowi, że przetransportuję go tu, by mógł możliwie brutalnie uregulować rachunki z Thorem.

Zmieniłem się w puchacza wirginijskiego i chwyciłem jabłko w szpony najostrożniej jak się dało. Nie obeszło się bez lekkiego podziurawienia skórki, ale uznałem, że Laksha będzie to musiała jakoś przeżyć. Wleciałem prosto w dziuplę w korzeniu, a gdy tylko znalazłem się w środku, złożyłem skrzydła i dałem nura w dół.

Wyfrunąłem pod Asgardem i znów dałem nura, aż na sam koniec korzenia. Studnia Mimira była tak samo opustoszała jak w mojej drodze do Asgardu. Mimirowi dawno już obcięli głowę Wanowie, ale mimo to spodziewałem się, że jednak tak ważna placówka nie będzie pozostawiona bez nadzoru. Jako że już był Czarny Piątek, strażnik studni zrejterował pewnie, by pobiec na tradycyjne wyprzedaje. Wylądowałem, rzuciłem jabłko w śnieg i zmieniłem się z powrotem w zwykłego Atticusa. I od razu dostałem dreszczy.

Oplótny rękami i nogami korzeń, ściskając kurczowo cholerne jabłko, odnalazłem nie łączącą korzeń z ziemią i przesuwalem się po niej tak długo, aż wreszcie wylądowałem w świetle, o którym mawiają, że jest prawdziwy. Na Syberii było równie zimno jak w Jötunheimie, a ja nie miałem żadnych ubrań. Jęknąłem głośno i przez chwilę cieszyłem się miłym uczuciem, że nikt mnie nie goni. Poza tym mojemu ciału potrzebna była chwila wytchnienia. Choć cała energia, której używałem, pochodziła z ziemi, ciągle, tak pośpieszne zmienianie postaci i tak dawało mi się we znaki. Byłem cały roztrzęsiony i słaby, a moja wątroba koniecznie chciała wiedzieć, czy choć przez moment mogłaby pozostać w swoim zwykłym kształcie.

Niestety odpowiedź brzmiała – nie. Jeszcze nie byłem bezpieczny. Nordyccy bogowie mogli mnie bez trudu dorwać także w tej krainie i bez wątpienia prędzej czy później im się to uda. Gdy dotrą po moich śladach do domostwa Idunn i Bragięgo, zaczną sobie wszystko składać do kupy. Jeśli znajdą moje ubrania w sadzie, będą już wiedzieli, że pochodzę z Midgardu. Jeśli się natkną na ciała Norn, zorientują się, że zginęły od miecza. Jeśli znajdą Moralltacha, rozpoznają broń faeryczną i pójda tym tropem, aż w końcu dotrą do prawdy – czyli odkryją, że istota, która ukradła złote jabłko i skopała tyłek Odynowi, to nie demon ani bóg, ale zwykły druid.

Miałem tylko nadzieję, że zanim do tego dojdą, upłynie trochę czasu. Albo że w ogóle to nigdy nie nastąpi. Przewagę dawała mi moja anonimowość. Gdy już Odyn się ocknie i nie będzie mnie mógł namierzyć w Asgardzie, być może straci trochę czasu na szukanie mnie w Jötunheimie, póki ktoś nie wpadnie na pomysł, że być może jestem z Midgardu.

Biorąc kilka głębokich wdechów, żeby się jakoś przygotować, i przepraszając szczerze wątrobę, znów zmieniłem się w jelenia i podniosłem pyskiem złote jabłko. Bieg na południe zajął mi tylko dwie godziny zamiast trzech. Nigdy w życiu nie ucieszyłem się aż tak na widok kilku znajomych drzew. Gdy już dotrę do Tír na nÓg, będę mógł wyciągnąć ze schowka swoje zapasowe ubrania i wreszcie będę wyglądał jak człowiek. Stamtąd zamierzałem się udać wprost do Karoliny Północnej, by jeszcze tego dnia po południu położyć Lakshy wiadome jabłko na dłoni z nonszalancką obojętnością, jakby jego zdobycie było tyleż męczące co skoczenie do warzywniaka na końcu ulicy.

Ona zabiła tamte dwanaście bachantek bez żadnego wysiłku – mnie by się to w życiu nie udało – jeśli więc chodzi o udawanie skurczybyka nie do zdarcia, musiałem tak to rozegrać, żeby uwierzyła, iż ta wyprawa to była dla mnie pestka, i nie domyśliła się nawet, że mało jej nie przypłaciłem życiem. Przemknęło mi już też przez myśl, że być może Laksha liczyła właśnie na to, iż nie uda mi się wrócić z tej wycieczki, a cała ta umowa miała na celu tylko i wyłącznie wysłanie mnie na (niemal) pewną śmierć. Będzie być może po części – nawet po dużej części – rozczarowana, że nie tylko mi się udało, ale i nie odniosłem przy tym większych obrażeń.

Na myśl o tym, jak bardzo ją zaskoczę, uśmiechnąłem się do siebie. Gorzej – byłem niebezpiecznie blisko kolejnego napadu samozachwyty. Lecz gdy już zamierzałem przytulić się

do starego dębu, który miał mnie przenieść do Tír na nÓg, spojrzałem nieopatrznie w niebo. Nade mną krążyły dwa kruki. Od północy nadciągały burzowe chmury, kłębiąc się i buzując znacząco.

Résumé: Odyn się ocknął, te cholerne kruki były jednak w stanie widzieć mnie mimo kamuflażu, a sam Thor Niech Go Piorun Trzaśnie szedł w moją stronę, by wyrównać rachunki.

Rozdział 5

Zdarza się, że ktoś mnie pyta, jakim cudem żyję aż tak długo. Nie było lekko, mówię mu. Sztuka polega na tym, żeby żyć najlepiej jak się da, unikając wszystkich tych rzeczy, które mogłyby cię zabić. Ale taka odpowiedź nigdy nikomu nie wystarcza. Ludzie zawsze chcą jakichś konkretnych mądrości życiowych, typu: „Nie żegluj przy nabrzeżach Somalii” albo „Nigdy nie jedz sushi w restauracji, w której poza tobą nie ma żadnych klientów”. Ale nawet gdy usłyszą takie wskazówki, są nadal trochę rozczarowani. Tak czy siak hasło: „Unikaj faceta, który ciska piorunami” to prawdziwy klasyk gatunku. Polecam z całego serca.

Mój amulet nie jest w stanie ochronić mnie przed błyskawicą, szybko więc przeskoczyłem do Tír na nÓg, nim znalazłem się w zasięgu Thora. Pewnie i tak spalił cały las, gdy tylko zniknąłem. Tak z czystej złośliwości.

W Tír na nÓg spędziłem dłuższą chwilę, żeby odzyskać ubrania, a potem przenieśliem się do innej krainy faerycznej – Mag Mell, by porozkoszować się gorącymi źródłami. Nie tylko pomogło mi to odzyskać siły, ale i, jak miałem nadzieję, zmyliło Huginą i Muniną. Kruki Odyna nie były w stanie wlecieć do irlandzkich krain, co dawało mi pintę świętego spokoju.

Kolejną pintę otrzymałem od pewnej nadobnej nimfy w jednym ze źródeł. Ścisłej mówiąc, była to pinta piwa uwarzonego przez Goibhniu. Jest to napój niezwykle szlachetny, ale i zmysłowy, wręcz na swój sposób pyskawy, łagodny, a jednak z wyraźnym posmakiem ziaren, imponujący w swej głębi, o prowokacyjnym posmaku, łączącym woń rozpusztych brzoskwiń z niewinnością dziewicy. W Mag Mell rozdają go za darmo.

Tak, to prawda: w irlandzkim rajku piwo jest za darmo. Dlatego wszyscy nam go zazdroszczą.

Po kilku takich pintach mój napad samozadowolenia sięgnął zenitu i przeskoczyłem do Pisgah National Forest tuż przy Asheville, w Karolinie Północnej, żeby złożyć wizytę Lakshy. Umówiliśmy się przez komórkę, że spotkamy się w centrum miasta, w Pritchard Park, gdzie usiedliśmy na kamieniach tuż przy niewielkim wodospadzie. Jeśli rzeczywiście była zaskoczona lub może zawiedziona tym, że jednak wróciłem, dobrze to skryła. Wypytawszy mnie o drobne dziurki w skórcie, nagryzła jabłko i ujrzałem, jak twarz ciała, które zamieszkiwała od niedawna, rozradowała się z prawdziwej przyjemności. Jej skóra (już i tak bardzo ładna) stała się jędrniejsza, gładsza i teraz dosłownie promieniała zdrowiem.

– Zadowolona? – spytałem.

Kiwnęła głową.

– Bardzo. Dobra robota, panie O'Sullivan.

– To w takim razie już sobie pójdę – oświadczyłem, wstając i kłaniając jej się szybko. – Na twoim miejscu zjadłbym je bezzwłocznie, bo Hugin i Munin już go szukają. Powodzenia z hodowlą drzewka nieśmiertelności.

– I to wszystko? – Zmarszczyła swoje piękne czoło. – I tak mnie zamierzasz zostawić? To bardzo niegrzecznie z twojej strony.

– Dotrzymałem danego ci słowa, Laksho. Sądź mnie po tym i po niczym innym. Co do uprzejmości, zostawiam cię przecież w znacznie lepszej sytuacji niż ty mnie po tym, jak zabiłaś tamte bachantki. Wzywają mnie ważne sprawy, wybacź więc, ale już cię opuszczę.

Odwróciłem się na pięcie i pobiegłem z powrotem do Pisgah Forest, bo choć doceniałem to, że Laksha ma zwyczaj dotrzymywać danego słowa i jest niezwykle uzdolnioną wiedźmą, to jednak nie zależało mi na jakiejś bliskiej z nią przyjaźni.

Nie kłamałem wcale, gdy mówiłem, że mam na głowie ważne sprawy. Gdy moczyłem się

w gorących źródłach, miałem aż nadto czasu, żeby przemyśleć sobie wszystko to, o czym dotąd starałem się nie myśleć. Prawda była taka, że nie miałem niestety żadnych powodów do odczuwania samozachwytu, może poza tym, że wszedłem w paszczę lwa i przeżyłem – jak na razie. Nie było się co łudzić: Odyn nie puści mi płazem zabicia Sleipnira i Norm, pewnie nawet nie powinien. Niby mogłem się kłócić, że zabiłem je w samoobronie, ale niewygodna, acz naga prawda była taka, że sam się pchałem do tego Asgardu. Nikt mnie nie zmuszał do tej wyprawy. Obiecałem ją Lakshy i w ten sposób wymieniłem jeden zestaw problemów na inny, znacznie większy. I nie widziałem teraz sposobu na wymienienie go na jakiś lżejszy zestaw, chyba że porzucę wszystko, na czym mi zależy.

Kiedyś było mi tak łatwo uciekać, nie dbać o nic poza sobą i ziemią pod stopami. Funkcjonowałem tak właściwie od śmierci Tahirah. Nigdzie nie zostawałem na tyle długo, by się do czegokolwiek zobowiązać, nigdy nie łączyłem swego życia z życiem innych i powtarzałem sobie, że to jedyny sposób, by umykać przed Aenghusem Ogiem. Było w tym więcej prawdy, niż to sobie uświadamiałem. Bo tak naprawdę, choć myślałem, że uciekam przed bogiem miłości, uciekałem przed samą miłością, tą najpotężniejszą nicią, jaka może cię z kimś związać, przed bólem, który rozrywa ci serce, gdy ktoś lub coś zerwie to połączenie.

Minęło ponad pięć wieków. Nadal za nią tęskniłem.

Czasem uśmiecha się do mnie w snach, a wtedy budzę się, łkając z tęsknoty.

Gdy byliśmy małżeństwem, nigdy nie przenosiłem się nigdzie, dopóki nie pomyślałem o niej. Teraz było podobnie. Nie mogłem przenieść się nigdzie, nie myśląc o Oberonie i o moich obowiązkach względem Granuaile. Nie mogę i nie chcę porzucać tych dwojga na pastwę losu. Dopiero teraz zrozumiałem, że to potrzeba bronienia ich i chronienia była motorem moich działań w ostatnich miesiącach: od zabicia Aenghusa Óga, po niemądrą umowę z Leifem, żeby pomógł mi wyekspediować paskudne niemieckie wiedźmy. Wtedy przy Tony Cabin Flidais powiedziała mi wprost, że wiedziała, iż uciekłbym przed Aenghusem, gdyby Oberon nie stał się zakładnikiem. I miała rację. I tak samo, gdyby *die Tochter des dritten Hauses* nie zabiły Perry'ego i nie usiłowały zabić Granuaile, nie zadzwoniłbym do Leifa po pomoc i nie zgodziłbym się zabrać go do Asgardu. Były to szybkie, nieprzemyślane decyzje, które bynajmniej nie należały do tego typu wyborów, które jak dotąd pomagały mi przetrwać. Ale gdy jest się związanym więzami miłości, czasami nie można podjąć innych decyzji, bo nie byłoby się człowiekiem. Były to zresztą bardzo proste decyzje, gdy je podejmowałem. Tylko że teraz paskudnie komplikowały mi życie. Moje bezpieczeństwo było tylko złudzeniem. Konsekwencje moich czynów wróca do mnie jak syn marnotrawny – jak karmiczny dług, jak by powiedziała Laksha, ale z nieludzkimi odsetkami naliczonymi przez podłego lichwiarza.

Czas opuścić Arizonę. Był przecież jeszcze ten nieznośny detektyw z Tempe, ten cały Kyle Geffert, który ubzdurał sobie, że miałem do czynienia z wydarzeniem, które media ochrzciły mianem „Masakry w Satyrnie”. I co gorsza miał rację. Jak dotąd moim prawnikom udawało się ochronić mnie przed długimi przesłuchaniami w szarym pokoiku pełnym papierosowego dymu, ale raczej marna szansa, żeby dali radę jeszcze długo tak ciągnąć.

Jedna jedyna bachantka, która uciekła z beznadziejnie wykonanego pogromu, przekonała się na własne oczy, że najstarszy druid na świecie mieszka właśnie w Arizonie. Samo to już by pewnie wystarczyło Bachusowi, że już nie wspomnę o tym, jak zareaguje, gdyby jednak nordycki panteon kupił mój kit i rzeczywiście oskarżył go o moje wybryki w Święto Dziękczynienia.

Grupa fanatycznych rosyjskich pogromców demonów (nazywali się dumnie Młotami Boga) była przekonana, że pozostaję w zbyt bliskich stosunkach z ciemnymi mocami, i to mimo że pewnie pokonałem w swoim życiu znacznie więcej demonów niż oni wszyscy razem wzięci. Rabbi Yosef Bialik wróci mnie nękać, to pewne, ale prawdopodobnie tym razem zabierze ze sobą

kilku kumpli, skoro już wie, że trzymam się z wilkołakami i wiedźmami.

A na dodatek jeden z moich stałych klientów spytał mnie w księgarni w zeszłym tygodniu, jak to się dzieje, że wciąż wyglądam tak młodo.

Czas zniknąć.

Wizja przeprowadzki nie przerażałaby mnie tak bardzo, gdyby nie to, co musiałem tu raz na zawsze zostawić. Pyszną rybkę w Rúli Búli, sączenie whisky z panią MacDonagh, proste przyjemności żywota zielarza – na samą myśl ścisnęło mi się serce z tęsknoty. I była jeszcze ta martwa ziemia wokół Tony Cabin, która znajdowała się w tak opłakanym stanie po części z mojej winy, i naprawdę chciałem spędzić jak najwięcej czasu, by naprawić tę wyrządzoną jej krzywdę. Miałem jednak całą masę pilniejszych zobowiązań, które należało najpierw wypełnić – przysłowiowych kaczuszek do ustawienia w rządku.

Po bieganii przez większość czasu w ciągu ostatnich dwóch dni sam siebie zaskoczyłem, gdy zaraz po powrocie do domu spytałem Oberona, czy nie wybrałby się na małą przebieżkę.

<A żebyś wiedział, że bym się wybrał!> powiedział.

Wcześniej odebrałem go z domu pani MacDonagh, bo zostawiłem go u niej na czas mojej nieobecności. Staruszki akurat nie było w domu, ale to nawet lepiej, bo gdyby była, musiałbym usiąść i pogawędzić z nią chwilę, a Oberon już i tak się dość naczekał. Koty wdowy dostarczyły mu wprawdzie niezbędnej rozrywki, ale ona nie była w stanie wyprowadzać go na spacer i zapewniać ćwiczeń potrzebnych tak dużemu wilczarzowi irlandzkiemu.

Pobiegliśmy więc przez okolicę Mitchell Park, a Oberon zrelacjonował mi wszystko, co mnie ominęło.

<Koty się już zaczynają do mnie przyzwyczajać> gderał. <Już zauważyły, że chociaż na nie szczekam i je gonię, to jakoś nigdy żadnego nie ukatrupiłem. Ba! Nawet nie ugryzłem. Nawet się już na mnie nie raczą zjeżyć. To dobijające. Gorzej! Przechodzę przez nie kryzys psiej tożsamości>.

Zachichotałem i przemówiłem do niego na głos. Często mówię do niego bezpośrednio przez mentalne łącza, ale przecież biegliśmy, i tak nikt nie mógł mnie usłyszeć, więc z przyjemnością użyłem własnego głosu.

– Niezłe, niezłe. Naprawdę trudne sformułowanie. Jestem pod wrażeniem.

<Zasłużyłem na smakołyk>.

– Bez dwóch zdań. I gdy tylko będę mógł sobie na to pozwolić, wybierzemy się na polowanie. Bardzo mi przykro, że przechodzisz kryzys tożsamości.

<Wcale nie jest ci przykro. Ale zaraz będzie. Poczekaj, aż ci powiem. Otóż wdowa ma mnóstwo problemów zdrowotnych>.

Zmarszczyłem brwi i spojrzałem na niego kontrolnie, mając nadzieję, że tylko żartuje.

– Ma?

<Yhmy. Opowiedziała mi o wszystkim, ze szczegółami. Nawet zrobiła pokaz>.

– Ojej, to rzeczywiście przykra sprawa. Nigdy mi o niczym nie mówiła.

<A nie mógłbyś jakoś jej pomóc?>

Zrobiliśmy kilka kroków, nim zdobyłem się na odpowiedź. Para gołąbków z sąsiedztwa ćwierkała do siebie przymilnie. Zgarbiony staruszek w bermudach przycinał krzak szaławii przed zimą, powoli i starannie. Gdy go mijaliśmy, był tak pochłonięty swoją pracą, że nawet nie zauważył, iż mówię do psa.

– Tak. Mógłbym teoretycznie spowolnić proces starzenia się herbatką „Młodości Czar”, a to pomogłoby jej prawie na wszystko. Herbatka naprawia zniszczone komórki, zapobiega rakowi, zwiększa poziom białych krwinek, w sumie robi wszystko, co trzeba. Tylko co by było, gdybym to dla niej zrobił? Jak myślisz, co by się stało?

<Lepiej by się poczuła, Atticusie. I o to tu chodzi>.

– To prawda. Ale pomyśl o wszystkich konsekwencjach. Wdowie zaraz stuknie dziewięćdziesiątka, jeśli już nie stuknęła. Powiedzmy, że aplikuję jej intensywną kurację „Młodości Czarem” i w ciągu pięciu tygodni zrzuca pięćdziesiąt lat. Wyglądałaby wtedy i czuła się jak czterdziestolatka i nawet jeśli nie dam jej potem już więcej herbaty, będzie musiała przeżyć kolejne pół wieku.

<To by było super, nie?>

– Nie. Ludzie zaczęliby zadawać pytania. Wszyscy chcieliby wiedzieć, jak to się stało. A w szczególności jej przyjaciele i krewni. Opowiedziała ci pewnie o swoich dzieciach i wnukach, nie?

<Tak>.

– No to wiesz sam, że jej najstarszy syn ma już sześćdziesiąt siedem lat. Wdowa wyglądałaby na młodszą od niego. To by było trochę dziwne, nie? Jej wnuki wpadłyby w panikę, gdyby ich ukochana babcia przestała wyglądać jak słodka staruszka. Co by im powiedziała? „A jeden taki miły druid wyświadczył mi przysługę”?

<No. Czemu nie? Przecież nic ci nie mogą zrobić>.

– To nie o to chodzi. Ale też będą chcieli być wiecznie młodzi. A z nimi ich przyjaciele i krewni i nim się zorientujemy, już się tym tematem zainteresują brukowce i przysiąą jak siedem szczeniaków do sześciu cyków.

<Ożeż kurza kaczka, to nie brzmi najlepiej!>

– A potem oczywiście zainteresowałby się tą sprawą rząd, bo jak ktoś żyje za długo, to w końcu się nim zainteresuje urząd podatkowy i goście od ubezpieczenia społecznego. Zdjęcie w jej prawie jazdy nie będzie pasowało do jej twarzy. Będzie coraz więcej i więcej pytań.

<Ale czy twoi przyjaciele nie są warci odrobiny kłopotu?>

– Wdowa jest warta każdego kłopotu. Ale nie mogę skazywać jej na takie życie. Sam pomyśl, założmy, że to zrobiłem. Zaczyna życie od nowa jako czterdziestolatka, gdy tymczasem jej dzieci nadal się starzeją i umierają. Czy będzie mi wdzięczna za tę wieczną młodość, gdy stanie nad grobem własnego syna? Albo nad grobami wnuków?

<No tak, pewnie nie. Rozumiem teraz, co masz na myśli>.

– To dobrze. Przechodziłem już przez to zbyt wiele razy, Oberonie. Pochowałem swoje dzieci i ich dzieci, i tak dalej. Za każdym razem łamało mi się serce.

<Nigdy nie wpadłeś na to, żeby im też dać „Młodości Czar”?>

– Jasne, że wpadłem. I w ten właśnie sposób dowiedziałem się tego wszystkiego, o czym ci teraz opowiadam. Na własnych, bolesnych błędach. Wiem też, że część ludzi, gdy żyje zbyt długo, zaczyna odsuwać się od innych, wpadać w chorobliwy niepokój, dziczeć. Trochę tak jak wampiry, tylko bez wysysania krwi. Bez druidzko wyćwiczonego mózgu zaczynają się ich czepiać wszelkie możliwe nerwice, tak jak zmarszczki czepiają się tych, co za dużo czasu spędzają na słońcu. A „Młodości Czar” nie pomaga na kompletnego świra.

<Któreś z twoich dzieci ześwirowało?>

– Tak. To właśnie dlatego w końcu przestałem im dawać tę herbatę.

<A ty będziesz ją jeszcze pił?>

– Nie w najbliższej przyszłości. Bo do tego potrzebuję jakiegoś bezpiecznego miejsca, w którym mógłbym dłużej pomieszkać. A tu przestaje być bezpiecznie. Właśnie miałem z tobą o tym pomówić.

<Znaczy o czym?>

Zacząłem mu więc wyjaśniać, że musimy się wyprowadzić z Tempe.

– Najpierw będę musiał znów skoczyć do Asgardu, tylko że tym razem to będzie dłuższa

wycieczka i wcale nie wiem, czy stamtąd wrócę. Jeśli nie wrócę, to będziesz musiał być bardzo grzecznym pieskiem dla pani MacDonagh. Ale jeśli wrócę, znikamy stąd od razu po moim powrocie.

<Dokąd jedziemy?>

– Jeszcze nie wiem.

<Wszędzie dobrze, gdzie są kielbaski i suki>.

– He, he. Nigdy tak jakoś o tym nie pomyślałem. – Uśmiechnąłem się. – Ale teraz, gdy mi już to uświadomiłeś, to w głowę zachodzę, jak to możliwe, że nigdy nie wspominają o żadnej z tych dwóch rzeczy w ogłoszeniach biur nieruchomości. Co za karygodne zaniedbanie.

<A bo ludziom kompletnie mieszają się priorytety, Atticusie. Już dawno to zauważyłem, ale kto by tam słuchał mądrego psa>.

– Ja cię słucham, chłopie. Wiem, że jesteś niewiarygodnie mądry.

<To pozwól, że ci niewiarygodnie mądrze doradzę, byś zaadoptował jakąś francuską pudlicę>.

Roześmiałem się.

– Może, jak już osiadziemy w jakimś bezpiecznym miejscu.

<Obiecujesz?>

– Nie mogę ci tego obiecać, Oberonie – przyznałem z żalem, bo wiedziałem, że go to rozczaruje. – Ale słuchaj, naprawdę dobrze jest mieć jakieś marzenie, ale tylko póki nie zaczyna ono zżerać twojej radości z terażniejszości. Widziałem nieraz ludzi męczonych przez ich własne marzenia. To nic dobrego. Jeśli zbyt się uczepisz jakiegoś marzenia, czy to będzie pudlica czy osobisty kuchmistrz specjalizujący się w kielbasie, to tracisz zwykłą radość z tego, że bije ci serce, że pachnie trawa i uciekają przed tobą jaszczurki, gdy biegniesz z przyjacielem po okolicy. Twoje marzenie powinno być jak ta ulubiona stara kość, którą doceniasz, którą się cieszysz, którą ostrożnie podgryzasz. Wtedy zamiast zmuszać cię do tęsknych westchnień, zamiast kraść ci radość z leniwej chwili, twoje marzenie wzmacnia cię i daje ci tę dziwną nostalgię za wydarzeniem możliwym w przyszłości, perspektywą tak soczystą i pachnącą podsmażanym czosnkiem i płatami bekonu, że aż się czujesz najedzony, choć niczego jeszcze nie tknąłeś. I wtedy, pewnego dnia, gdy słońce uśmiechnie się do twego pyska, gdy nadejdzie właściwy czas, wgrzyziesz się w nie z całych sił. Wtedy to marzenie jest twoje. Możesz je wtedy żuć i żuć, aż trafisz na następne.

Oberon zarechotał na to swoim odpowiednikiem ludzkiego śmiechu.

<Na miauczącego kota, Atticusie, gadasz do mnie, jakbym był jakimś podenerwowanym pomeranianem czy coś. Weź pod uwagę, że jestem emocjonalnie znacznie silniejszy od ciebie. Bynajmniej nie przeoczyłem jaszczurek. Jak dotąd naliczyłem ich siedem, ot co, siedem jaszczurek szeleszczących w krzakach lantany. Najbardziej lubią te fioletowe i żółte odmiany, białe mniej. Co do twojej przemowy natomiast, to chciałbym wiedzieć tylko jedno: skąd się bierze takie kości?>

Rozdział 6

Oto po czym wiadomo, że ktoś wpadł na dobry pomysł: inni przyznają się swoim przyjaciołom z własnej woli, że tenże pomysł zmienił ich życie. Większość współczesnych przyzna na przykład, że dobrym pomysłem były ogień i koło. Co do reszty jednak to ustalenie jednoznacznego rankingu najwspanialszych wynalazków byłoby trudne i prowadzi zwykle do niekończących się sporów. Fanatycy wskazują tego czy innego boga, naukowcy wypychają na sam szczyt Darwina, ludzie praktyczni wskazują na pismo i mówią coś w stylu: słuchaj, stary, ale to, że te idee w ogóle stały się popularne, zawdzięczamy temu prostemu faktowi, że komuś udało się je zapisać.

W sobotni wieczór, dzień po powrocie z Asgardu, usłyszałem o nowym, rewolucyjnym (dla niektórych) wynalazku: wirówce do sałaty.

– Normalnie kocham moją wirówkę do sałaty – wyznała Granuaile. – Zmieniła moje życie.

Słowa te wypowiedziała w swojej kuchni, gdzie szykowała właśnie kolację, którą wygrałem, bo to ona źle oszacowała rozmiar Ratatoska i jego sposób na wchodzenie do Asgardu po Yggdrasilu.

– Muszę cię na chwilę przeprosić – powiedziałem i przeszedłem z kuchni do salonu, gdzie stał jej laptop z wi-fi.

Zguglowałem: „Wirówka do sałaty zmieniła moje życie” i wypadło mi ponad sześć tysięcy wyników. Znalazłem nawet na Facebooku Towarzystwo Miłośników Wirówki do Sałaty. Nie była to może jeszcze rewolucja kulturowa, ale jednak miało toto spory potencjał, więc warto się było dowiedzieć więcej o tym fenomenie.

Wróciwszy do kuchni, powiedziałem więc:

– Przepraszam. Opowiedz mi, proszę, jak to się stało, że wirówka do sałaty zmieniła twoje życie.

– Och. – Powieki Granuaile drgnęły, być może z lekkiego zawstydzenia. – No, wiesz, jak się umyje sałatę, to strasznie ją potem trudno wysuszyć. Marnuje się masę papierowego ręcznika... no i czasu, żeby rzeczywiście była sucha. Z drugiej strony, jeśli zostawisz liście mokre, to ci rozwodnią sos i zepsują smak. Oliwa i woda się nie łączą, no nie? Ale – jej głos stał się tak podekscytowany jak u przeciętnego komentatora żużlowego – teraz mogę zdać się na nieograniczoną moc WIRÓWKI DO SAŁATY! – Jej głos uniósł się pod koniec zdania w maniackalnym podnieceniu, a dłoń opadła na rączkę wirówki i zaczęła nią machać jak opętana, gdy tymczasem jej coraz bardziej szalony głos kontynuował: – Tylko SPÓJRZ! Siła odśrodkowa to istna MAGIA! Czy liść jest zielony czy czerwony, czy to szpinak czy rukola, NIEWAŻNE! Wrzucaj mokre liście do wirówki i kręć, kręć, póki CAŁA woda nie ZNIKNIE! OTO SUPER! SUCHA! SAŁATA! – Tu ujęła się pod boki i wygięła biodra lubieżnie. – ZAJADAJ!

I tym mnie rozłożyła na łopatki. Już wcześniej moje szczęki wisiały rozdziawione w totalnym szoku, ale kiedy wypchnęła tak miednicę z powodu byle sałaty, zupełnie mnie rozbroiła i wybuchnąłem szalonym śmiechem. Jej przedstawienie zloopowało mi się w głowie i jego absurdalność stawała się coraz bardziej łaskocząca, aż zupełnie nie mogłem się powstrzymać. Dostałem takiego napadu śmiechu, że spadłem z krzesła, a to tylko pogorszyło sprawę. Łzy napłynęły mi do oczu i traciłem oddech, gdy waliłem dłonią o jej panele podłogowe. Granuaile poczerwieniała na twarzy i zanosła się takim śmiechem, że też osunęła się na ziemię, rechocząc zarówno z siebie, jak i z mojej reakcji.

W końcu nawet zjedliśmy tę sałatkę, ale przedtem zupełnie rozbolały nas brzuchy od

nadmiernej radości. Sałatka zresztą była przepyszna: szpinak z czerwoną sałatą oraz jicama, biała cebula, mandarynki i smażone w cukrze orzechy laskowe, a do tego domowej roboty winegret.

Był to jednak zaledwie dodatek. Kuchmistrz Granuaile, MacTiernan, zaserwowała tego wieczoru pieczony filet z gardłosza na pilawie z dzikiego ryżu, a na tym podpieczone lekko pieczarki, marynowane w beaujolais. Rybie towarzyszyło kilka lekko osolonych, skropionych oliwą szparagów, a zawartość butelki Pinot Noir z Santa Cruz Mountains wyczyniała w naszych ustach wszystkie te skomplikowane rzeczy, o których tak lubią nudzić koneserzy wina.

– Wyśmienite – wymamrotałem, żując z aprobatą. – Naprawdę fantastyczne.

– Zawsze wyrównuję rachunki – wyjaśniła Granuaile, znacząco unosząc brew.

– Dobrze wiedzieć. Ja też zresztą. Tylko że jest też masa ludzi, którzy by chcieli wyrównać porachunki ze mną, i powinniśmy o tym poważnie porozmawiać.

– Jasne – powiedziała, ale zmrużywszy oczy, wycelowała we mnie widelc i wymachując nim dla podkreślenia słów, dodała: – Ale jeśli znowu będziesz mnie usiłował przekonać, żebym rzuciła naukę na druidkę, to marnujesz czas.

Pokręciłem głową ze smutnym uśmiechem.

– Jeszcze nie masz pełnego obrazu sytuacji.

Już przedtem opowiedziałem jej o Ratatosku i Yggdrasilu oraz opisałem ogólne wrażenia z tej krainy, ale nie wyjaśniłem jej jeszcze, co się konkretnie stało poza tym, że udało mi się ukraść wiadome jabłko. Teraz zrelacjonowałem jej całą wyprawę.

– Czyli szukają cię Hugin i Munin? – spytała, gdy skończyłem.

– Nawet w tej chwili, gdy sobie spokojnie rozmawiamy. Jestem tego pewien. Te kruki nie znalazły mnie jeszcze tylko dlatego, że nie mają pojęcia, czego szukać. Ale jeśli Odyn zacznie podejrzewać, że to druid zabił mu Norny oraz jego ukochanego konika, narobi rabanu w Tír na nÓg i wtedy znajdą mnie w trymiga, bo teraz już wszyscy tam wiedzą, gdzie mnie szukać. Muszę się przeprowadzić.

– To oczywiście, ale – zachmurzyła się – to oznacza, że i ja muszę się przeprowadzić.

– Właśnie. – Pokiwałem głową. – I zmienić nazwisko. I zerwać wszelkie kontakty z rodziną i przyjaciółmi, żeby ich chronić. Chyba że jednak lubisz mieć rodzinę i przyjaciół. Bo w takim wypadku powinnaś przestać marzyć o zostaniu druidką i żyć sobie długo, spokojnie i szczęśliwie.

Granuaile rzuciła widelcem o stół.

– Niech cię diabli, sensei, już ci mówiłam, że nie zrezygnuję!

– Ale jak przyjmą to twoi bliscy, Granuaile? Choć przez chwilę spójrz na to z ich perspektywy. Dla nich to będzie wyglądało tak, jakbym cię porwał albo jakbyś wstąpiła do jakiejś sekty.

– Hmm... ale to jest rodzaj sekty, nie? – zażartowała.

Uśmiechnąłem się blado.

– No, tak, w sumie tak. Choć ta sekta nie ma za wielu wyznawców. Powiedziałbym, że mamy właśnie walne zebranie. Możesz ogolić głowę dla większej siły przekonywania.

Granuaile spojrzała na mnie zdumiona.

– Myślałam, że ci się podobają moje włosy.

Cholera. Zauważyła. Nie da się wybrnąć z tej sytuacji inaczej jak poprzez zgrabną zmianę tematu...

– Ale, ale nie odpowiedziałas na moje pytanie. Czy twoi rodzice nie będą się zamartwiać? Nie będziesz się z nimi mogła zbyt często kontaktować, a może nawet w ogóle.

Wzruszyła ramionami i wydeła lekko usta.

– I tak prawie z nimi nie gadam. Są rozwiedzeni. Tata zawsze gdzieś coś tam kopie w

jakiejś kolebce cywilizacji, a mama nie ma na nic czasu poza swoją nową rodziną w cholernym Kansas. – Sposób, w jaki wycedziła słowo Kansas, sugerował, że raczej nie uważa go za kolebkę cywilizacji. – Dałam im do zrozumienia, że chcę się uniezależnić trochę wcześniej, a oni z chęcią na to przystali.

– Całkiem nieźle cię uposażyli – zauważyłem, rozglądając się wokół.

– No, wiem. Skąd niby zwykłą barmankę stać na takie wypasione mieszkanie, nie? Starzy za nie płacą. Nowy mąż mamy jest obślizgłym nafcjarzem i wazeliniarzem zarazem. Tak obślizgłym, że wygląda, jakby sypiał w wielkim opakowaniu wazeliny. Ma taką strasznie długą kępkę włosów, które tak żałośnie sobie zaczesuje na łysinie, żeby niby jej nie było widać. Nie znoszę go i ze wzajemnością. Kiedy im powiedziałam, że chcę iść na Arizona State University, z wielką radością był gotów płacić za mnie wszystkie rachunki, byleby tu została.

Przymknąłem oczy i westchnąłem. Wyglądało na to, że raczej rzeczywiście nie będzie tęsknić za swoim starym życiem. Normalnie trafiła mi się idealna kandydatka na naukę. A jednak żeby być w pełni uczciwym, powinienem przedstawić jej wszystkie zniechęcające fakty.

– Granuaile. Czy ja ci kiedykolwiek mówiłem, co się stało z moim ostatnim uczniem?

– Nie, ale głowę daję, że zaraz mi powiesz, iż zmarł potworną śmiercią.

– Tak, tragiczną. W dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym ścięli go Maurowie w Królestwie Galicji. Ledwie kilka miesięcy dzieliło go od otrzymania tatuaży i stania się druidem. Był zupełnie bezsilny. Kompletnie bezbronny. I ty też taka właśnie będziesz przez następne dwanaście lat. Nie ma tu prawie żadnych dróg na skróty. Nic nie da się przyspieszyć. To nie tak jak w tych filmach, że poczujesz Moc, ani że nauczysz się wszystkiego co trzeba na trzyminutowym przyspieszeniu, ani jak w tych czytałach, gdzie młody bohater uczy się fechtunku w dwa miesiące w drodze po zwycięstwo. I cały ten czas będziesz wystawiona na najróżniejsze ataki, na które nie byłem wystawiony ani ja, ani nawet Cibran.

– Twój uczeń miał na imię Cibran?

– Tak. Uczyłem go w tajemnicy. Wszyscy w okolicy byli przekonani, że jestem zagorzałym chrześcijaninem, ostoją całego sąsiedztwa, nawet nie podejrzewali prawdy. A wtedy, kiedy ja się uczyłem, jeszcze przed chrześcijaństwem, bycie druidem było zupełnie bezpieczne. To była wręcz najlepsza rzecz, jaka się mogła zdarzyć młodemu człowiekowi. Ale twoja sytuacja jest zupełnie inna. Stanowię aktualnie cel ataków, stałem się cennym łupem, po zbliżającej się nieuchronnie wycieczce do Asgardu bogowie wyślą za mną prawdziwy list gończy. I to bez względu na to, jak potoczy się moja misja. A jeśli zrobi się naprawdę źle, prawie na pewno ciebie to też nie ominie. Być może ryzykujesz całe swoje życie.

Granuaile zacisnęła usta i ułożyła je w wymuszony uśmiech.

– Przykro mi, ale tym mnie nie odstraszysz. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale jak na razie jest pięć do zera dla ciebie.

– To naprawdę słabe porównanie. Wystarczy, że zdobędą jeden punkt, a jestem martwy, i to oni wygrywają.

– Nieważne. – Uniosła ręce. – Chodzi mi o to, że umiesz skopać tyłek komu trzeba. A właśnie! To mi przypomina, że cały czas zapominam cię zapytać o jedną rzecz: jakim cudem Rzymianom w ogóle udało się wytepić druidów? Jesteście w stanie przemieszczać się z krainy do krainy, kamuflować, przybierać postać zwierzęcia i walczyć bez wytchnienia, więc co się stało?

– Cezar i Minerwa – mruknąłem. – Oto co się stało.

Granuaile nic na to nie powiedziała. Uniosła kieliszek i wzięła łyk, marszcząc brwi, jakby oczekiwała, że rozwinę to stwierdzenie.

– To tyle. To wystarczyło – przyznałem z niechęcią. – No i być może maczały w tym palce także wampiry. Ale z tego, co mi wiadomo z całą pewnością, Cezar po prostu wkroczył do

Galii i spalił wszystkie święte gaje, co większości druidów skutecznie uniemożliwiło przemieszczanie się do innych krain, a zatem najłatwiejszą ucieczkę. Wtedy jeszcze nie byliśmy w stanie używać do tego każdego zdrowego lasu, co zresztą niewiele później uznałem za swój priorytet. Sęk w tym jednak, że ogień nie pali tylko drzew, pali też nici wiążące je z Tír na nÓg. I tak wszyscy druidzi kontynentalni utknęli w tej krainie. A gdy już osiągnięto ten etap, wykończyła nas Minerwa, która dała rzymskim zwiadowcom możliwość widzenia nas mimo kamuflażu, żeby mogli nas wybić co do jednego. Zdolność walczenia bez wytchnienia nie pomaga za wiele, kiedy otacza cię kohorta legionistów i każdy ciska w ciebie włócznią. A tak właśnie robili, wierz mi. Było to systematyczne, celowe druidobójstwo. Ci, którzy usiłowali umknąć pod postacią ptaka, ginęli od strzał łuczników.

– Ale na pewno kilku udało się czmychnąć.

– O, tak. Wciąż jakoś tam ciągnęli tu i ówdzie, szczególnie w Irlandii, bo nie było w niej Rzymian. Ale pojawił się święty Patryk, szerząc katolicyzm, i to był koniec. Młodzi ludzie stawali przed prostym wyborem: albo dwanaście lat ciężkiej nauki i odpowiedzialności, albo błyskawiczne przyjęcie do chrześcijan. Potem to już była tylko kwestia czasu. Inni druidzi nie znali tajemnicy ziół Airmid, więc wymierali ze starości, jeśli wcześniej nie dorwali ich Rzymianie. I pewnego dnia, nie pozostawiając następcy, zmarł ostatni druid, znaczy nie licząc mnie. Nie jestem w stanie ci powiedzieć, kiedy dokładnie się to wydarzyło, ale najprawdopodobniej gdzieś w szóstym czy siódmym wieku.

Granuaile odstawiła kieliszek i pochyliła się w moją stronę.

– Powinniście byli ich wszystkich zniszczyć! Przecież masz na swoje rozkazy całą ziemię! Widzisz połączenia i sploty między wszystkim. Czemu nie możesz, no wiesz... – Zawahała się i próbowała nadrobić brak słów jakimiś gestami, jakby coś łamała.

– Pytaj, pytaj, nie krępuj się. Każdy uczeń musi przejść przez swój zestaw pytań.

– No nie wiem, nie możesz zerwać połączeń trzymających do kupy czyjąś aortę na przykład? Albo wywołać tętniaka mózgu? Albo wyciągnąć z krwi całe żelazo?

– Nie. Z powodu tego – powiedziałem, wskazując tatuaże na mojej prawej ręce. – Wiem, że jeszcze nie umiesz czytać tych splotów, ale jest w nich zawarty pewien podstawowy warunek. Gdy tylko spróbujesz użyć energii ziemi bezpośrednio w celu skrzywdzenia lub zranienia jakiejś żywej istoty, jakiegokolwiek żywej istoty, nie tylko człowieka, jesteś martwy. Tylko pod tym warunkiem ziemia użycza druidom swojej mocy: przysięgamy zawsze chronić życie. Toteż jeśli pędzi na mnie, dajmy na to, nosorożec, nie wrywam mu serca, tylko się odsuwam.

Granuaile popatrzyła na mnie krytycznie.

– To nie ma sensu.

– Owszem, ma.

– Przecież przed chwilą powiedziałeś, że splotłeś te Norny, a potem obciąłeś im głowy.

– Splotłem ich ubrania, które akurat miały na sobie. Nie wykonałem żadnej magii bezpośrednio na ich ciałach. Zabiłem je mieczem, nie magią.

– No i gdzie tu chronienie życia?

– Chroniłem moje własne życie.

– Ale przecież mówiłeś, że Aenghus Óg posłużył się magią, żeby manipulować umysłem Faglesa!

Miała na myśli pewnego detektywa z komisariatu w Tempe, który postrzelił mnie sześć tygodni wcześniej. Jako że Tuatha Dé Danann są związani z ziemią tak samo jak ja, i oni muszą być posłuszni tym samym regułom.

– Tak było. Ale sploty, które na niego nałożył, nie krzywdziły Faglesa bezpośrednio. Faglesa zabili policjanci z Phoenix.

– Ale przecież to te sploty sprawiły, że Fagles do ciebie strzelił! To się nie liczy?
– Magia była skierowana na Faglesa, nie na mnie. A Fagles strzelił do mnie z zupełnie zwykłego, niemagicznego pistoletu.

Granuaile zabębniła paznokciami o blat stołu.

– Te rozróżnienia są dość subtelne.

– Tak. Właśnie na takich rzeczach świetnie znał się Aenghus Óg.

– Ale po co one w ogóle? Przecież ziemia musi mieć świadomość, że używasz jej mocy, żeby wzmocnić swoje ramię, w którym trzymasz miecz, albo żeby skoczyć wyżej i tak dalej.

– Tak. Używam swoich mocy, żeby walczyć. Żeby każdego dnia udowodnić, że mam prawo go przeżyć. Walka, konflikty, drapieżnictwo to wszystko rzeczy naturalne i przez ziemię popierane. Muszę być po prostu bystrzejszy niż ten drugi, wykazać się większą zwinnością i pomysłowością, żeby przetrwać. Nie mogę załatwić wszystkiego przez proste stopienie ludzkiej móżdżku.

– Sekundka. Ale z komórkami skóry to możesz sobie robić, co ci się podoba? Przecież nieraz dla żartu splatałeś bawełnę majtek ze skórą na czyichś plecach. Wtedy przed Satyrnem wywołałeś całą tę bójkę policjantów, bo splotłeś skórę ręki jednego z policzkiem drugiego.

– Ale nie zrobiłem im krzywdy. Nigdy nie naruszyłem skóry. Nie ma krzywdy, nie ma problemu.

– No dobra, a demony? Przecież zabijasz je Zimnym Ogniem.

– Demony nie są żywymi istotami ziemi. To duchy z piekła, które tylko przyjęły cielesną powłokę. Ale muszę cię od razu ostrzec, że lepiej nawet nie próbować na nich żadnych standardowych działań. Są splecione zupełnie inaczej niż fauna i flora ziemi, więc magia druidów po prostu na nie nie działa, znaczy z wyjątkiem Zimnego Ognia. Najskuteczniej po prostu je porąbać na kawałki. To je dość efektywnie odplątuje z ich cielesnej formy.

Granuaile zdmuchnęła sobie z twarzy niesforny lok i schowała go za uchem, przemyślując znaczenie moich słów.

– Czy to tabu rozciąga się także na działania uzdrawiające?

– Teoretycznie nie, ale w praktyce tak. Ingerowanie w tkanki i organy jest naprawdę bardzo skomplikowane. Zbyt łatwo popęknąć jakiś błąd, zrobić komuś krzywdę, zamiast pomóc, a wtedy od razu jesteś martwy. To dlatego nigdy tego nie próbuję na innych. Używam magii uzdrawiającej na sobie, bo nie ma zakazu robienia krzywdy sobie samemu, a poza tym dobrze znam swoje ciało.

– Aha, to dlatego druidzi uzdrawiali za pomocą ziół.

Pokiwałem głową.

– Tak. Na zerwanych już roślinach i zawartych w nich substancjach możesz sobie do woli eksperymentować magicznie. To wolniejsze rozwiązanie niż bezpośrednie uzdrawianie, ale znacznie bezpieczniejsze. Nie naruszasz wtedy zakazu czynienia krzywdy, a poza tym nie zdradzasz się ze swoimi umiejętnościami. Jeśli nawet ludzie zaczynają się zastanawiać, jak to jest, że akurat twoje herbatki czy kataplazmy są nadzwyczaj skuteczne, zawsze możesz powiedzieć, że to kwestia wyjątkowej receptury albo świeżych składników, albo coś w tym stylu, ale nikt wtedy nie podejrzewa magii.

– I jesteś pewien, że poza tobą nie ma już ani jednego druida?

Zamachałem ręką w powietrzu, by pokazać jej, że owszem, nie jestem.

– Ściśle mówiąc, Tuatha Dé Danann są druidami, bo mają takie tatuaże jak ja. Są w stanie robić wszystko to co ja i jeszcze trochę. Tylko że lepiej ich nie wyzywać od druidów, bo lubią, kiedy się ich ma za bogów. – Prychnąłem kpiąco. – Druidzi to istoty niższe, sama rozumiesz. Ale jeśli chodzi o te właśnie istoty niższe, to tak, wydaje mi się, że jestem ostatnim żyjącym druidem.

No chyba że doliczysz do tego wszystkich tych radosnych hippy-neo-druidów, którzy niby kochają ziemię, ale jakoś nie władają żadną magią.

– Nie no, mam na myśli takich druidów jak ty.

– To takich więcej nie ma i nie będzie. Póki ty nie zostaniesz druidką. Jeśli tego dożyjesz.

– Oczywiście, że dożyję – oświadczyła. – Przecież dałeś mi ten kompletnie nieseksowny amulet, więc nic mi nie grozi.

Pomachała mi przed nosem kroplą zimnego żelaza zawieszoną na złotym łańcuszku, który chował się za jej bluzką. Dała mi go Morrigan, a ja przekazałem go mojej uczennicy.

– To cię nie ochroni przed każdym zagrożeniem – przypomniałem jej.

– Wiem, wiem. Jednym słowem, powinniśmy stąd zniknąć i tyle.

– Na niewiele się to zda. Oni i tak będą nas szukać.

– Tak właściwie to jacy „oni”?

– Pozostali przy życiu nordyccy bogowie oraz wszyscy inni bogowie, którzy zapragną udowodnić całemu światu, że nie można bezkarnie zabijać bogów.

– A co, gdyby myśleli, że już i tak nie żyjemy? Dalej by nas szukali?

Uśmiechnąłem się i westchnąłem z zadowoleniem.

– Zachwycasz mnie bez ustanku, wiesz? Normalnie za każdym razem, gdy powiesz coś tak bystrego, to sobie myślę, że może jednak uda ci się zostać pierwszym nowym druidem od ponad tysiąclecia.

Rozdział 7

Nie cierpię przewodzących.

Takie zdanie wywoła pełne zrozumienia potakiwanie prawie u każdego. Ale to jeszcze wszystkiego nie wyjaśnia. Bo tak dokładniej, to jak bardzo ich nie cierpię? Nie aż tak bardzo jak smrodu za restauracją specjalizującą się w stekach. Nie da się też tego uczucia porównać do, powiedzmy, złamanego serca czy przeszywającego bólu, jak cię ktoś kopnie w krocze. To uczucie jest chyba najbliższe temu tajemniczemu, egzystencjalnemu strachowi, który czuję zawsze na widok żelków w kształcie robaków.

Na początku lat dziewięćdziesiątych miałem w San Diego taką jedną dziewczynę, która zorientowała się, że jestem wyjątkowo nieobznajomiony ze smakołykami współczesnych Amerykanów. Pewnego dnia, gdy przysnąłem na plaży, postanowiła sprawdzić granice mojej ignorancji i ułożyła na moim ciele całą paczkę takich żelowych robali, a jak otworzyłem oko, wzięła mi, że te tajemnicze cylindry to jakiś rodzaj nowej terapii SPA o nazwie „słoneczne promienie”, z wbudowanym filtrem UV i kto wie czym jeszcze. Dałem sobie zamydląć oczy, a potem obudziłem się cały w jasne, upiorne ślady po syropie kukurydzianym, spływające powoli i lepko i oskarżające mnie w biały dzień o wybicie jakiejś niepojętej masy robaków na gorącym słońcu wybrzeża. Nawet potężna fala Pacyfiku nie była w stanie zmyć tego piętna. Resztki robali przywarły do mnie jak wysysające duszę pijawki. Jeszcze tej samej nocy wyprowadziłem się z San Diego. Bez dziewczyny.

Im dłuższe przerwy między jedną przewodzącą a drugą – tym gorzej, bo człowiek ma skłonność do gromadzenia niesamowitych ilości śmieci, nawet jeśli się mu (tak jak mnie na przykład) wydaje, że minimalizuje swoje konsumpcyjne zapędy.

Gdy tak patrzyłem na graty, które namnożyły się wokół mnie przez tę ostatnią dekadę, przemknęło mi przez myśl, że to nawet lepiej, iż muszę je teraz wszystkie zostawić. Jeśli cokolwiek ze sobą wezmę, „oni” domyślą się, że dałem drapaka. Toteż muszę zostawić za sobą kilka wspaniałych skarbów dwudziestego wieku, detrytusów ocalałych po poprzednich przewodzących. Zostanie tu mój *White Album* Beatlesów z autografem. A z nim oryginalne opakowanie figurek Chewbakkii. Zostanie piłeczka baseballowa podpisana przez samego Randy'ego Johnsona, kiedy jeszcze grał dla Diamondbacksów, oraz butelka po piwie, która dotknęła kiedyś ust Hemingwaya. Zostanie większość broni z garażu – wezmę tylko łuk i strzały pobłogosławione przez Maryję, bo to się może akurat przydać. Poza tym po prostu wezmę Fragaracha, Oberona i tyle ciuchów, ile mam na grzbiecie, i zniknę. Generalnie z domem sprawa była prosta.

Gorzej z księgarnią. Jeśli chciałem, żeby to wyglądało tak, jakbym planował wrócić, księgarnia musiała nadal działać. Tyle że poza Granuaile miałem już tylko jedną osobę do pomocy. Rebeccę Dane. Wcale mi się nie podobała taka opcja, że ta biedna dziewczyna zostanie sama z całym sklepem na głowie, szczególnie że będzie to pierwsze miejsce, w którym zaczną mnie szukać wrogowie. Tylko że tak samo jak z domem – jeśli spakuję sklep albo go sprzedam, od razu będą wiedzieli, że wcale nie zszedłem, tylko zdrow i żyw po prostu opuściłem miasto. A tego wołałem za wszelką cenę uniknąć.

Tylko że choćbym nie wiem jak to sobie tłumaczył, zawsze jednak czułem, że zostawienie Rebekki na pastwę wszystkich moich przeciwników dorównywałoby w swoim chamstwie sławie Thora. Zatrudnienie kogoś zupełnie nowego na jej miejsce tylko by to chamstwo pogłębiło. No i był jeszcze problem mojej kolekcji białych kruków. Znajdowało się wśród nich kilka naprawdę niebezpiecznych tomisk, chronionych przez równie niebezpieczne

sploty. Nie mogłem zostawić ani tych tomów, ani zabezpieczeń, ale jednocześnie musiałem zachować pozory, że owszem, zostawiłem.

To właśnie takie problemy sprawiają, że lubię mieć prawników. Robią dla mnie masę przydatnych rzeczy i jeszcze zachowują to w tajemnicy adwokackiej. Po porannej przebieżce z Oberonem i włączeniu mu Animal Planet spotkałem się z jednym z nich, Halem Haukiem, w piekarence z bajglami zwanej Chompie's. Hal zamówił bajgla z łososiem (błeee), a ja jagodowego z serkiem śmietankowym.

Hal zachowywał się wyjątkowo prawniczo: minę miał profesjonalnie nijaką, a ruchy oszczędne i precyzyjne. Wyglądał tak, jakby mu było trochę niewygodnie w tym granatowym garniturze w prążki, co wydało mi się o tyle absurdalne, że na pewno był to garnitur szyty na miarę. Wiedziałem już, że takie zachowanie oznacza u niego jedno – nerwy. Nie zachowywał się tak od chwili, gdy wprowadziłem się do Tempe i Wataha nie rozwiązała jeszcze problemu mojego statusu. To mnie zaintrygowało: czyżby mój status zmienił się nagle jakoś drastycznie czy co?

– Coś ty taki nabuzowany, Hal? No już, wypłacź się kumpłowi w rękaw, stary.

Jego oczy spojrzały na mnie ostro i patrzyłem z rozbawieniem, jak jego ramiona wyraźnie się rozluźniają, ale tylko dlatego, że je do tego zmusił.

– Bynajmniej nie jestem nabuzowany. Przedstawiona przez ciebie charakterystyka jest obelżywa i niczym nieuzasadniona. Przez te dwie minuty, gdy tu jesteśmy, nic we mnie nie buzowało.

– No wiem. Tylko że tak się spinasz, żeby nie buzować, że dostaniesz od tego niestrawności. Może po prostu mi powiesz, co cię gnębi, co? Wyrzuć to już z siebie, od razu będzie ci lepiej.

Hal patrzył na mnie w upiornym milczeniu przez kilka sekund. Potem jego palce zaczęły bębnić miarowo o blat. Był spięty jak licho, ale kiedy w końcu przemówił, ledwo go słyszałem.

– Nie chcę być alfą.

– Nie chcesz być alfą? – powtórzyłem jak echo. – No to ziściły się twoje marzenia. Nie jesteś żadnym alfą. Gunnar nim jest, a ty jesteś pieskiem numer dwa.

– Ale Gunnar jedzie z tobą do Asgardu.

Zamrugalem zdezorientowany.

– Że co?

Kiwnął głową niemal niedostrzegalnie.

– Decyzja zapadła wczoraj w nocy. Leif go do tego namówił. Póki nie wróci, ja przejmuję obowiązki alfy. A jeśli w ogóle nie wróci... no to już po mnie.

– Ha-ha-ha. To szyderczy śmiech, jakbyś się nie zorientował. Nie możesz mówić, że już po tobie, jak staniesz na szczycie tej waszej hierarchii. To szczyt marzeń każdego psa. I nikomu nie wciśniesz kitu, że jest inaczej, Hal.

– Wolę być betą Gunnara – upierał się gderliwie Hal. – Nie chcę wciąż musieć podejmować decyzji. A jeśli on nie wróci, będzie ich mnóstwo. A jeszcze więcej, jeśli Leif też nie wróci.

– A właśnie, jak tam Leif? Odrósł mu w końcu ten palec?

Leif stracił palec i omal by nie stracił swej egzystencji umarlaka podczas walki z *die Tochter des dritten Hauses*, kiedy to udało mu się podpalić swoje łatwopalne ciało.

– Taa, nic mu nie jest. Wpadnie do ciebie dziś wieczorem. Razem z Gunnarem.

– Dobra. A niby czemu się martwisz, co by było, gdy Leif nie wróci?

– Jeśli on nie wróci w ciągu miesiąca, będziemy tu mieli najbardziej krwawą wojnę wampirów od stuleci. Już węższą.

- Słucham?
- Wampiry. Chcą zająć jego terytorium.
- Najbardziej krwawa wojna wampirów w historii... o Tempe?

Hal wbił we mnie miazdzące spojrzenie, które miało z pewnością ustalić, czy się z niego nabijam.

– Terytorium Leifa jest nieco większe niż Tempe, Atticusie. Nie mów mi, proszę, że o tym nie wiesz.

– No właśnie ci to mówię. Nigdy nie gadałem z Leifem o jego terytorium, bo mnie to nie interesuje, a on z kolei nie jest chwalipiętą. Wiem na pewno, że ma na wyłączność całe Tempe, bo nigdy tu nie widziałem ani nawet nie wyczułem ani jednego innego wampira, ale no bez przesady, jak by zdołał kontrolować większe terytorium niż jedno miasto?

Hal prychnął i schował twarz w dłoniach. Spoglądając na mnie spomiędzy palców, wycodził:

– Atticusie, Leif ma pod kontrolą całą Arizonę. Sam jeden. To największy wampirzy skurczybyk, a zarazem najstarsza istota na tej półkuli, poza tobą i rdzennymi bogami. – Opuścił dłonie i przechylił łeb, niczym zaintrygowany pies. – Poważnie tego nie wiedziałeś?

– Nie. Co by mnie to miało obchodzić? Nie jestem wampirem. Nie chcę jego terytorium. Ty zresztą też nie jesteś zainteresowany całym stanem, no nie?

– Oczywiście, że nie, ale musisz mieć na uwadze to, co się tu będzie działo.

– Nie, nie muszę. Ja stąd spadam.

– Gdziekolwiek się przeprowadzisz, odczujesz skutki tutejszych wydarzeń. Tak potężna próżnia ściągnie tu do nas każdego co ambitniejszego wampirka, a wszystkie one skoczą sobie do gardła, żeby się dochrapać choć kawałka stanu. Po nich z kolei zostaną mniejsze próżnie tam, skądkolwiek przybędą. Jeśli Leif rzeczywiście nie wróci, to się odbije echem w całym kraju, to ci mogę zagwarantować. A pewnie i w kilku innych.

– No, ale co niby ja miałbym na to poradzić?

– Możesz się, cholera, spiąć i zrobić tak, żeby Gunnar i Leif wrócili. W ten sposób ja nie będę musiał być alfą i jeszcze nie będę się musiał martwić nalotem jakichś zassanych krwiopijców.

– Nie chce mi się wierzyć, żeby Leif budził postrach w całym stanie. To taki miły facet.

– Dla ciebie. Dla mnie. Tak. Z nami bardzo elegancko współpracuje. Ale z tego, co mi wiadomo, innym wampirom daje nieźle w kość. Boją się go jak święconej wody i nie bez kozery. Wiesz przecież, że nie powinien był w ogóle przeżyć tamtego poparzenia.

Zmarszczyłem brwi.

– Nie? Czemu nie?

– To nie był normalny ogień. To było ogień piekielny, Atticusie. Przy piekielnym ogniu nie wystarczy się rzucić na ziemię i turlać, aż zgaśnie. Właściwie prawie nie da się go zdusić. Każdego innego wampira by po prostu zniszczył.

Zapadła cisza, gdy trawiłem tę informację. Wojna wampirów rzeczywiście nikomu nie była na rękę, ale doprawdy nie miałem pojęcia, jak niby miałbym jej zapobiec. I tak lista moich zadań była niepokojąco długa. Zresztą tym razem mogłem z zadowoleniem stwierdzić, że to naprawdę nie mój problem.

W końcu ciszę przerwał Hal.

– To przejdźmy do interesów.

– Tak, oczywiście.

Położył na stole swoją teczkę i wyciągnął notatnik. Powiedziałem mu, czego mi trzeba: około trzystu umiarkowanie rzadkich książek, nic nadzwyczajnego, byle były w miarę stare.

Potrzebuję ich na jutro rano, dostawa FedExem. Poza tym poprosiłem go jeszcze o sporządzenie odpowiednich stosów papierzysk, które pozwoliłyby za trzy miesiące przekazać sklep Rebecce Dane za dolca siedemdziesiąt dwa.

– Ale po co te dodatkowe siedemdziesiąt dwa centy? – spytał Hal.

– Żeby każdy, kto spojrzy na tę umowę, zadał sobie to samo pytanie. Chcę, żeby detektyw Geffert był przekonany, że to niezwykle ważna wskazówka. Może nawet zbuduje wokół tego jakąś ciekawą teorię spiskową. Ale tak naprawdę to chodzi tylko o to, żeby go trochę pomęczyć i żeby stracił na to czas.

Hal wzruszył ramionami i zapisał to sobie. Ustaliliśmy z nim też, że jego firma przez trzy miesiące będzie wypłacała pensję Rebecce oraz ewentualnym dodatkowym pracownikom, których Rebecca zdecyduje się zatrudnić.

– Powiem jej, że ma się zajmować sklepem i mówić każdemu, kto by pytał, że pojechałem na dłuższe wakacje na antypody.

Hal uniósł brwi, ale tego nie skomentował.

Do kawiarenki przyniosłem ze sobą pewne pudełko, które leżało teraz przy mnie na kanapie. Położyłem je na stole i rozwiązałem sznurek, żeby zdjąć pokrywkę. W środku owinięta papierem leżała naprawdę stara książka. Zielona, materiałowa okładka z połączonymi literami i tłoczonymi liśćmi w końcu zwróciła uwagę Hala.

– Czy to... pierwsze wydanie? – spytał.

– Yhy. Wyjątkowo rzadki egzemplarz *Żdźbel trawy* Whitmana. Powinno się to sprzedać za co najmniej sto pięćdziesiąt patyków, ale pewnie i za dużo więcej. Książkę ma dostać Rebecca, dopiero kiedy kupi sklep, nie wcześniej.

Położyłem wieczko z powrotem i dopiero wtedy Hal oderwał wzrok od okładki.

– Dobra. – Potrząsnął mocno głową, żeby otrzeźwieć, i wrócił do interesów. – Co jeszcze?

– Potrzebuję nowej tożsamości dla siebie i dla mojej uczennicy. Wybierz pierwsze z brzegu irlandzkie nazwiska.

– Dobrze. Tylko prześlij mi mejlem jakieś zdjęcia. A gdzie ona będzie, kiedy ty wyjedziesz?

– Zostanie tu jeszcze przez kilka dni, po czym przeniesie się w bezpieczne miejsce, które pozostaje ścisłą tajemnicą. – Hal podniósł wzrok na taki dobór słów. – Nie, nie będzie tam wiceprezydenta.

– Dobra. To wszystko?

– Prawie. Granuaile skontaktuje się z tobą po trzech miesiącach, jeśli do tego czasu nie otrzyma ode mnie żadnych wiadomości. W takim wypadku musisz założyć, że nie żyję. – Naprawdę miałem nadzieję, że to akurat nie nastąpi, ale lepiej zawsze przewidzieć wszystkie ewentualności. – Ktoś będzie się musiał wtedy zająć Oberonem i najlepiej, żeby to była Granuaile. Muszę też założyć dla niej teraz fundusz inwestycyjny.

Opracowaliśmy wszystko ze szczegółami i wtedy Hal powiedział:

– I ja mam dla ciebie pewne nowe informacje. Pamiętasz pewnie, jak zaczęliśmy tamto śledztwo w sprawie grupy zwanej Młotami Boga?

– Tak?

– Przepadł nasz detektyw. Podejrzewam, że nie żyje.

– Hmm. Czy to oznacza, że podejrzewamy też, iż rabin wybiera się do nas z posiłkami?

Rabbi Yosef Bialik został przekonany, że najlepiej będzie, jak opuści miasto, nie czyniąc nikomu żadnej krzywdy, ale zawsze zakładałem, że wróci.

– Tak. Wszyscy w Watasze będą już wkrótce nosić pod ubraniami cienką zbroję. Powinna

wystarczyć jako ochrona przed srebrnym sztyletem.

– Mają zwyczaj zakładać uroki na rękojeści, więc sugerowałbym też jakieś rękawice czy coś. Te sztylety mają tak działać, że atakują cię jeszcze raz, gdy próbujesz je wyciągnąć.

Hal wzruszył ramionami.

– Magii się nie boję. Tylko srebra.

Ciekawe, jak to jest bać się w życiu tylko jednej rzeczy.

Po śniadaniu z Halem poszedłem do sklepu. Rebecca Dane już trwała na stanowisku.

Uradowała się niezwykle, gdy jej oznajmiłem, że dostaje podwyżkę i awans. Następnie spędziłem całe przedpołudnie na wprowadzaniu jej w zasady działania sklepu, żeby była w stanie sobie sama poradzić. Oczywiście nie będzie mogła robić tych najbardziej skomplikowanych herbatek, które wymagały wykonania splotów, ale wszystkie prostsze ziółka były spokojnie w zakresie jej możliwości, nie wykluczając „Wesołego Życia Staruszka”, mojego najbardziej chodliwego towaru dla klientów-artretyków.

– Jeśli chcesz, zatrudnij sobie kogoś do pomocy. Mnie nie będzie przez raczej dłuższą chwilę, Granuaile też nie. Wybieramy się na wykopki archeologiczne na antypody.

– O – powiedziała, a między jej brwiami pojawiła się mała zmarszczka niepokoju. – Na jak długo?

– Może i na kilka miesięcy. – Na pewno na wiele miesięcy. A raczej lat. Staralem się przygotować ją na to, jak najlepiej się dało, wyjaśniając też, że kancelaria Magnusson & Hauk będzie wypłacać jej pensję i ogólnie pozostanie z nią w kontakcie. Bardzo się przejęła taką odpowiedzialnością. Była miła i bezpośrednia, a moi stali klienci bardzo ją lubili. Emanowała niewinnością, a wszystkich obsługiwała bez żadnej protekcyjności czy naciągactwa. Miałem nadzieję, że to wystarczy, by ją uratować, gdy pojawią się ludzie, którzy będą mnie szukać, i dotrze do nich, że Rebecca nic nie wie.

Na lunch zaplanowaną miałem randkę z Maliną Sokolowski, przywódczynią Sióstr Trzech Zórz. Spotkaliśmy się w browarze Four Peaks na Ósmej. Miała na sobie ten sam czerwony wełniany płaszcz, który widziałem już na niej podczas naszego pierwszego spotkania dwa miesiące temu. Blond włosy rozłożone były na jej ramionach jak bogata, naga kobieta na łożu – lśniące, piękne i zabójczo dekadentkie. Gdy na powitanie obdarzyła mnie swym olśniewającym uśmiechem i wymruczała moje imię, poczułem, jak w plecy wwierca mi się wzrok zazdrosnych mężczyzn.

Nadal nie mogłem się przyzwyczaić do myśli, że zawarłem pokój z całym sabatem więdźm, ale musiałem przyznać, że Malina i spółka były jednak inne. Oczywiście też wykorzystywały ludzi i zawsze, ale to zawsze knuły i kombinowały tak, żeby przejąć kontrolę nad innymi, przynajmniej jednak poza tym miały ambicję być dobrymi obywatelkami. Walczyliśmy już ramię w ramię i musiałem przyznać, że mieliśmy pewne wspólne interesy – srebrną elipsoidę niczym z diagramu Venna między zbiorem „druid” a zbiorem „więdźmy”, gdzie mogliśmy się spotkać i udawać, że olbrzymie przestrzenie tych zbiorów za naszymi plecami to jakieś ziemie nieznane, a nie nasze strefy bezpieczeństwa.

Z początku rozmawialiśmy o różnych drobiazgach. Ona zapytała, co tam u Oberona i Granuaile; ja spytałem, co u jej sióstr z sabatu. Pojawiły się nasze piwa. Ja piłem Kilt Lifter, ona Sunbru Kölsch. Wypiliśmy toast za udane sojusze i westchnęliśmy z uznaniem, odkładając kufle na stół.

– Takie dobre piwo pozwala mi na chwilę zapomnieć o niebezpieczeństwie, w jakim się znajdujemy – powiedziała.

– Że co proszę? Znaczy, no jasne, że piwo jest całkiem dobre, ale jakie znowu niebezpieczeństwo?

– Wykonałyśmy odpowiednie rytuały wróżebne, ponieważ byliśmy przekonane, że Młoty Boga zechcą wrócić. Z tego, co widzimy, rabin rzeczywiście już nadciąga, a z nim więcej kabalistów. To jednak nie wszystko – ciągnęła. – Na horyzoncie czai się coś więcej. I to kilka rzeczy naraz. Wydaje mi się, że jedną z nich jest Bachus. Niewykluczone, że już pana szuka.

To bynajmniej nie było dla mnie zaskoczeniem, po tym wszystkim, co zrobiłem jego bachantkom w Scottsdale. A na dodatek jeszcze zrzuciłem przecież na niego winę za wszystkie wypadki w Asgardzie.

– Kiedy tu będzie?

– Najwcześniej jutro, jeśli dobrze odczytuję przyszłość.

To natomiast było zaskoczeniem.

– Bogowie niejedyni – zakląłem. – Nie mam teraz na to czasu.

– Czasu? – wybąkała Malina. – A siłę pan ma? Przecież nie jest pan w stanie walczyć z jednym z Olimpijczyków!

– Jeśli mnie pamięć nie myli, jeszcze niedawno uważała pani chyba, że z Aenghusem Ógiem też nie jestem w stanie walczyć – zauważyłem z przekąsem. – Nie zasłużyłem sobie u pani chociaż na jakąś małą szansę w walce z Bachusem? Ale to zakładając, że mam ochotę z nim walczyć, a naprawdę nie mam. Co jeszcze pani widziała?

– Niezliczoną liczbę wampirów. – Gdybym potrzebował jakiegoś potwierdzenia słów Hala, to oto i ono. – Czy pan Helgarson powrócił już do zdrowia?

– Z tego, co mi wiadomo, jest zdrow jak ryba. Zobaczę się z nim jeszcze dziś wieczorem. Ale, tak między mną a pani sabatem, Leif wyjeżdża już jutro.

Malina zacisnęła usta.

– Wyjeżdża na zawsze?

Wzruszyłem ramionami.

– Z tego, co rozumiem, tak. Toteż wkrótce będzie się tu aż roić od jego hipotetycznych następców.

Malina skrzywiła się brzydko i wymamrotała coś po polsku, co ani chybi musiało być przekleństwem.

– Aha, i ja też wyjeżdżam – dodałem.

Jej oczy rozszerzyły się, a polskie przekleństwa przybrały na sile.

– A z nami Gunnar Magnusson.

Nie starczyło jej nawet polskich słów, by wyrazić szok. Bo też i dlaczego alfa miałby opuszczać swoją watahę?

– Co się dzieje? – wyszeptwała.

– Nie mogę pani powiedzieć. Ale z całym szacunkiem sugerowałbym pani, jako mojej sojuszniczce, wynieść się stąd czym prędzej. Młoty Boga chcą panią dorwać tak samo jak i mnie. I naprawdę nie jest dobrze być w okolicy, gdy toczy się akurat wojna wampirów. A ktokolwiek ją wygra, pewnie nie będzie ignorował pani sabatu z takim wdziękiem jak Leif.

– To pewne, że nie – zgodziła się i pociągnęła potężny łyk piwa na odwagę. – Myślę, że ma pan rację. Posłuchamy pana rady, ale nie mam pojęcia, dokąd się udać. Liczyliśmy na to, że ten teren pozostanie stabilny.

– Era stabilizacji minęła. To miasto zmieni się wkrótce w Dolinę Cienia Wielkiego Gówna. Najlepiej spadać stąd, póki się jeszcze da.

– Czyli to właśnie pan zamierza? Spadać stąd?

– Ja to chyba spadam z deszczu pod rynnę. Zresztą mniejsza o terminologię. Pani Malino, niech pani wynajmie ciężarówkę, zapakuje na nią wszystkie bambetle sabatu i wynosi się z tego stanu jeszcze dziś. Mogą przecież panie zrzucić wszystko do jakiegoś magazynu i potem na

spokojnie szukać bezpiecznego miejsca na nowy dom.

– Jak rozumiem, już nieraz pan tak robił.

– No jasne. Polecam. Ale jeśli ten pomysł pani nie odpowiada, to może powinna pani pomyśleć o odbudowaniu sabatu, co? Jedźcie do Polski, zwerbujcie jakieś nowe wiedźmy. Proszę spojrzeć na to z dłuższej perspektywy, zamiast płakać nad chwilowymi stratami. To najlepszy sposób na przetrwanie.

– To... to brzmi jak bardzo dobry pomysł. Tylko nie jestem pewna, czy byłybyśmy w stanie tak szybko opuścić miasto. Pozostaną nieuregulowane sprawy majątkowe.

– Niech je pani przekazuje kancelarii Magnussona. Zajmą się pozamykaniem wszystkiego i przetruceniem pieniędzy na bezpieczne konto w jakimś rajach podatkowym. Mogą też paniom załatwić nowe paszporty, chyba że panie nie chcą, ale radziłbym to zrobić, bo głowę daję, że Młoty Boga odrobiły pracę domową i wszystko już o paniach wiedzą.

– To dobra rada, panie Atticusie. Dziękuję.

– Nie ma o czym mówić.

Malina posłała mi zabójczy uśmiech, który zniknął jednak szybko, gdy doszło do niej, że to nasze przedwyjazdowe spotkanie jest pewnie ostatnim na dłuższy czas, jeśli nie na zawsze.

– Czy nasze drogi jeszcze się spotkają? – spytała.

– Być może, ale z pewnością nie w ciągu najbliższego dziesięciolecia. Jeśli w ogóle przeżyję, zamierzam na jakiś czas zapaść się pod ziemię.

– Ale nie powie mi pan, co takiego musi pan przeżyć.

– Nie. Bezpieczniej będzie, jeśli nie będzie pani wiedziała. A najbezpieczniej, jeśli znikniemy stąd i zaczniemy wszystko od nowa.

Skinęła ze zrozumieniem i rzekła:

– Cóż, nasza znajomość była krótka, ale wiele z niej wyniosłam. Wprawdzie jest pan odpowiedzialny za zmiecenie z powierzchni ziemi połowy mojego sabatu, ale też panu w dużej mierze zawdzięczam to, że przetrwała ta druga połowa. Za pierwszym razem był pan zmuszony do działania w samoobronie, ale za drugim nie miał pan obowiązku nam pomagać.

Podsumowując, muszę stwierdzić, że druidzi są znajomymi niebezpiecznymi, ale całkiem przyjaznymi, choć muszę zastrzec, że moja próbka jest dość niepokązna. – Uśmiechnęła się. – Cokolwiek pan zamierza, mam nadzieję, że pan przeżyje i że jeszcze nas pan w przyszłości znajdzie. Jeśli zapowie się pan z wizytą, Berta z pewnością upiecze dla pana ciasto.

– Z góry dziękuję. Czy istnieje jakieś miejsce, w którym miałbym szczególnie pań szukać? Gdybym na przykład chciał się nauczyć mówić z porządnym polskim akcentem?

Skrzywiła usta w złośliwym uśmiechu.

– Bezpieczniej będzie, jeśli nie będzie pan wiedział.

Rozdział 8

Jako że miała to być ostatnia moja noc w Arizonie, łudziłem się, że przynajmniej się porządnie wyśpię. Zabawne, że wampiry mają takie marzenia w nosie, choć jakoś zawsze oczekują, że da się im spokojnie pospać w dzień.

Całe popołudnie spędziłem na robieniu Rebecce Dane powtórki z przepisów na herbaty i zapoznawaniu jej z całą listą sprzedawców ziół. Potem godzinę tkwiłem nad stołem w kuchni i wyrysowywałem sobie mapę Asgardu, na podstawie własnych obserwacji oraz opowieści Ratatoska. W końcu wybraliśmy się z Oberonem na krótką przebieżkę w ten późnojesienny wieczór, a gdy wróciliśmy zaraz po zachodzie słońca, zastałem na werandzie elegancko odzianego wampira. Przy nim siedział w nienagannie skrojonym garniturze znajomy wilkołak.

Takich par się raczej nie widuje, ale Leif Helgarson i Gunnar Magnusson mieli wiele wspólnego: obydwaj byli prawnikami, obydwaj pochodzili z Islandii i obydwaj nienawidzili Thora. Całkiem nieźle się dogadywali, ale nie byli jakimiś serdecznymi kumplami. Przyjechali do mnie osobno, pewnie z tej prostej przyczyny, że żaden z nich by nie ustąpił i nie dał drugiemu prowadzić. Czarny kabriolet jaguar XK Leifa stał dumnie tuż przed srebrnym kabrioletem bmw Z4 Gunnara. Większość wilkołaków z jego Watahy jeździła zresztą kabrioletami, ale nigdy się nie odważyłem zapytać, czemu właściwie kupują sobie takie małe samochody.

<O, zobacz, martwy typek z mokrym psem> powiedział Oberon, gdy zatrzymaliśmy się przed moim trawnikiem. W półświecie ulicznych latarni widać było, jak Leif i Gunnar wstają, by nas powitać, a każdy wcisnął przy tym rękę do kieszeni kamizelki. Kamizelka Leifa była w iście wiktoriańskim stylu – bordowa, z matową, czarną satynową podszewką i ośmioma czarnymi guzikami w dwóch rzędach. Naprawdę się postarał, bo do tego dodał jeszcze złoty łańcuszek, który oplatał guziki i prowadził do zegarka kieszonkowego. Na szyi miał staroświecką muszkę. Gdyby nie jego proste, jasne, jedwabiste włosy i brak wąsów, wyglądałby zupełnie jak z jakiejś steampunkowej powieści. Ale co ważniejsze, w ogóle nie sprawiał wrażenia wypalonego po tamtym spotkaniu z ogniem piekielnym.

Garnitur Gunnara był równie staroświecki, ale utrzymany w szarościach i srebrze. Jego szara kamizela upstrzona była jakimiś tureckimi srebrnymi wzorami, a podszewka uszyta ze stalowoszarej satyny. Krawat miał nieco nowocześniejszy – czarny w taki sam srebrny wzorek. Nie obyło się też i u niego bez zegarka kieszonkowego. Jego blond włosy miały ciemniejszy odcień niż u Leifa i przypominały raczej płową grzywę lwa. Przylizywał je na bokach, ale i tak kręciły mu się na czubku głowy. Miał potężne bokobrody, które kończyły mu się prawie na brodzie i zawijały nad górną wargą. Taki dobór kolorów garderoby wydawał mi się nieco dziwny jak na wilkołaka, póki nie uzmysłowiłem sobie, że tu też, jak ze wszystkim u wilkołaków, chodzi przecież o pozycję w hierarchii. Jako alfa Gunnar musiał pokazywać, że nie boi się srebra, toteż oczywiście jeździł srebrnym samochodem i nosił same srebrne ciuchy. Jak tak się nad tym teraz zastanowiłem, to nigdy jakoś nie widziałem srebrnych ciuchów na Halu. Jeździł niebieskim metalikiem i to by było na tyle. Jeśli jednak zostanie alfą, będzie sobie musiał sprawić całkiem nową garderobę.

<Ten facet wcale nie śmierdzi tymi cytrusami tak jak Hal> zauważył Oberon. <Normalnie spuszcza swego wewnętrznego psa ze smyczy. To mi się podoba>.

– Dobry wieczór, Atticusie – powitał mnie Leif sztywno, jak to on.

– Atticusie. – Gunnar zdawkowo skinął mi głową.

Istniało między nami (i to od zawsze) lekkie napięcie, choć nie z mojej winy. Naprawdę nie miałem nic przeciwko niemu. On jednak nie mógł znieść myśli, że nie jest pewien, czyby

mnie zwyciężył w walce, a tym bardziej że nie są tego pewne jego wilki. Jako że też byłem w stanie zmieniać się w zwierzę, a ponadto byłem całe stulecia od niego starszy, jego Wataha mogłaby podążyć za mną jako przywódcą, gdyby akurat zaistniała odpowiednia sytuacja. Gunnar chciał mieć pewność, że to się nie zdarzy. Wiele lat temu ogłosił mnie Przyjacielem Watahy, a potem unikał mnie jak ognia, żeby jego wilki nie miały okazji widzieć nas razem i sobie nas porównywać. Zawsze jednak byliśmy wobec siebie dość serdeczni, choć ta serdeczność trochę przybladła po tym, jak aż dwa wilki z jego stada zginęły w Superstition Mountains podczas ratowania Hala, który został w to wszystko wciągnięty tylko i wyłącznie z mojej winy.

– Dobry wieczór panom – powiedziałem, kiwając każdemu z nich głową. – Jestem doprawdy zaszczycony. Może zechcą panowie wejść do środka na jakieś piwo czy może krew?

Od czasu do czasu dawałem Leifowi kielich mojej krwi i teraz zacząłem się zastanawiać, czy nie miało to przypadkiem jakiegoś związku z tym tajemniczym faktem, że przeżył atak, którego nie powinien był przeżyć.

Mruknęli z aprobatą, podrapali Oberona za uszami na powitanie i weszliśmy wszyscy do środka. Sięgnąłem do lodówki po dwie butelki Ommegang's Three Philosophers dla Gunnara i dla siebie, a potem wyciągnąłem kielich z szafki, nóż do steków z szuflady i zaciąłem się w ramię, żeby krew spłynęła do kielicha. Wystarczyła odrobina mocy, by stłumić ból.

– Słyszałem od innych, że w pełni powróciłeś do sił, Leifie – zagadnąłem uprzejmie. – A ty sam, co powiesz na ten temat?

– Snorri dosłownie pasł mnie torbami krwi ze szpitala – odparł, rzucając nazwisko wilkołaka-lekarza, który pracował w szpitalu w Scottsdale. – I choć był to dość pożywny trunek, to jednak to nie to samo. Żadnego aromatu strachu czy soczystego zapachu pożądania... W dodatku były prosto z lodówki – dodał z wyraźnym obrzydzeniem.

– Może to cię trochę pocieszy – powiedziałem, patrząc, jak wznosi się poziom krwi w kielichu. – Chociaż raczej nie masz co liczyć na zapach strachu lub pożądania. Czyli jesteś znów w pełni sił?

– Nie do końca – przyznał. – Ale twoja krew bardzo pomaga. Zresztą już się kiedyś zgodziliśmy co do tego, że coś w niej jednak jest...

– Tak, ciekaw jestem co konkretnie – mruknąłem. Kielich był już niemal pełen, więc splotłem rozciętą tkankę i skórę, żeby przerwać krwotok. – Pij, pij, na zdrowie. I może powinieneś popić sobie też trochę w najbliższych dniach. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić, przecież wszystkie te szkody poniosłeś z mojego powodu.

Otarłem ścierką kilka kropel z ramienia i podałem mu kielich. Podziękował i powiedział:

– Pomocna dłoń w zabicu Thora ureguluje nasze rachunki w zupełności.

– To samo jeśli chodzi o mnie – wtrącił się Gunnar.

Miał chyba na myśli poległych członków swojej Watahy, ale tak prawdę powiedziawszy, to czy im kto kazał wtedy jechać ze mną w góry? Wcale ich o to nie prosiłem. Jeśli ktokolwiek powinien mieć te dwa wilki na sumieniu, to raczej Gunnar, nie ja, ale pozostawiłem jego słowa bez komentarza. Skoro uważał, że wynagrodzę mu te wymaginowane krzywdy, robiąc coś, co i tak zamierzałem zrobić, to było mi naprawdę wszystko jedno.

– Wznieśmy więc toast – rzekłem, unosząc butelkę. – Może któryś z was powinien go wygłosić, bo to w końcu wam bardziej ta sprawa leży na sercu.

Jeśli chodzi o moje serce, to leżało na nim raczej przekonanie, że już i tak narobiłem dość szkód w nordyckiej krainie.

Leif i Gunnar przemówili od razu i tak zgodnie, jakby sobie to wcześniej przećwiczyli:

– Za zabicie Thora!

Z taką zaciekłością wypowiedzieli te słowa, że obawiam się, iż co najmniej jeden, a może

i obaj opluli mnie przy okazji.

– Zdrowie! – powiedziałem, starając się, by zabrzmiało to serdecznie i szczerze, po czym brzdękaliśmy się szkłem i wypiliśmy po dużym łyku. Leif od razu wydał mi się znacznie zdrowszy.

<W takich chwilach naprawdę żałuję, że nie mam przeciwstawnych kciuków> mruknął Oberon. <Nie jestem w stanie uczestniczyć w rytualnym picciu bez głośnych odgłosów chleptania>.

Może chciałbyś dostać jakiś smakołyk w ramach nagrody pocieszenia?

<Myślę, że to by mnie w znacznym stopniu pocieszyło>.

Wyciągnąłem mu ze spiżarni smakołyk, a do gości powiedziałem:

– A zatem? Wpadliście pograć w gry wideo? A może wolicie, żebym oldskulowo zapodał kości czy coś?

– Kiedyś, w spokojniejszych czasach, bardzo chętnie – odparł nieco oschle Leif. – Teraz wolałbym jednak omówić szczegóły naszej wyprawy do Asgardu.

– Oczywiście. Siadajcie, proszę. – Machnąłem w stronę kuchennego stołu i wszyscy siedliśmy. Mapa, którą wyrysowywałem wcześniej, leżała tu nadal, ale odwróciłem ją wierzchem do blatu, żeby ich póki co nie rozpraszała. Pokażę im ją oczywiście, ale za chwilę. – Pozwolę sobie zapytać: kto jeszcze wybiera się z nami poza Gunnarem?

Leif złożył palce razem, łokcie oparł o stół i spojrzał na mnie zza dłoni.

– Dołączą do nas jeszcze trzy inne osoby. Czekają tylko na miejsce naszej schadzki oraz wyznaczenie jej czasu.

– Mogę ci podać współrzędne GPS. Czy to wystarczy?

– W zupełności.

– Co to za osoby? – warknął Gunnar.

Wydaje mi się, że Leif i tak właśnie miał wymienić ich imiona, ale może nie zrobił tego dość szybko jak na wilkołaka. Jeśli Leifa zirytowało to pytanie, dobrze to ukrył.

– Perun, słowiański bóg piorunów, Väinämöinen, szamański bohater starożytnych Finów, oraz Zhang Guo Lao, jeden z chińskich Ośmiu Nieśmiertelnych.

<Podoba mi się imię tego ostatniego gościa> stwierdził Oberon. <Kto by wygrał w walce w klatce między nim a Pai Mei?>

Usadowił się na podłodze u moich stóp, żebym głaskał go po karku.

Zhang Guo Lao, oczywiście, bo on żyje, a Pai Mei nie.

<Pai Mei zginął w sześciu różnych filmach, z czego prosty wniosek, że umie zmartwychwstawać. Miał już masę czasu, żeby dojść do siebie po tamtych zatrutych rybich łbach, które mu dała Daryl Hannah w *Kill Bill 2*. Na pewno w tej chwili siedzi już sobie na Fejsie. Wystarczy sprawdzić>.

– I tyle? – spytał alfa. – Nas sześciu przeciwko całemu Asgardowi?

Gunnar był oczywiście przyzwyczajony do polowania z nieco większym stadem.

– Nic mnie nie obchodzi cały Asgard – wyjaśnił Leif. – Interesuje mnie tylko Thor.

Leif miał natomiast całkiem inny problem. Od tak dawna walczył w pojedynkę, i to zawsze wszystko roznosząc w pył, że pewnie mu się zdawało, iż sześć osób to nadwyżka środków bojowych.

– Ale cały Asgard stanie w jego obronie – zauważyłem. – A oni mają do dyspozycji sprzęt, o którym musimy pamiętać.

– Na przykład? – spytał Leif.

Opowiedziałem więc im o wszystkim, co widziałem, gdy kradłem jabłko: o rydwanie Thora, o Gullinburstim, o krukach Huginie i Muninie, o dwunastu wkurzonych walkiriach oraz o

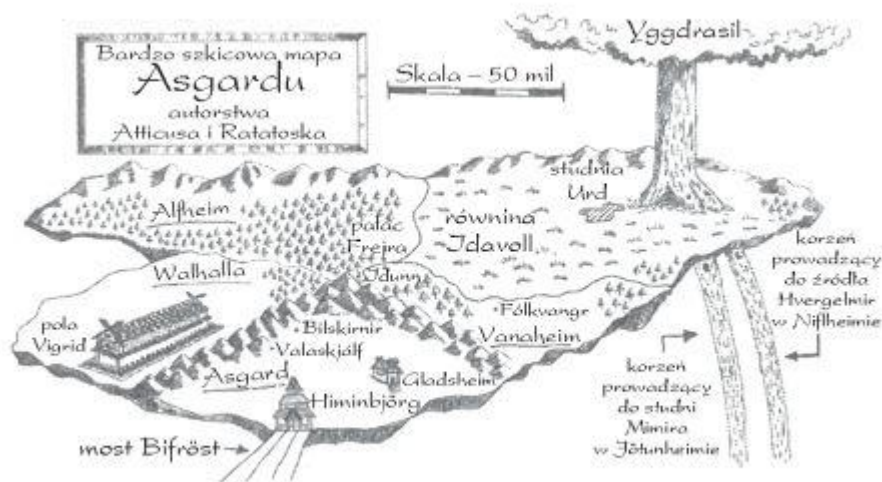
Odynie i reszcie bogów. No i byli przecież jeszcze einherjarzy, czyli polegli wikingowie, którzy na razie byczyli się w Walhalli, ale w każdej chwili mogli zostać wezwani na pomoc.

– Einherjarzy walczą każdego dnia na polach Vigrid, by przygotować się na Ragnarök – odezwał się Gunnar. – Codziennie giną na polu walki i codziennie zostają przywróceni do życia. Nie boją się śmierci, a ich zastępy muszą być niezliczone. To armia idealna. Spójrzmy prawdzie w oczy, przyjaciele, jesteście dobrzy, ale nie dość dobrzy.

– Nie będziemy musieli od razu stawać do walki z einherjarami – pocieszyłem go. – To raczej dość późny etap w grze. Im szybciej zwrócimy na siebie uwagę, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że ściągniemy na siebie einherjarów.

– Skąd takie przypuszczenie? – spytał Leif.

Odwróciłem swoją mapę i pokazałem im.



– Oto mapa nordyckiej krainy, przynajmniej częściowo dokładna – powiedziałem. – My wyjdziemy tędy, z korzenia Yggdrasilu. Ale widzicie tu? Pola Vigrid i Walhalla są według mojego źródła dokładnie po drugiej stronie równiny. – Powiedział mi to, wraz z wieloma innymi cennymi informacjami, Ratatosk podczas naszej podróży w górę korzenia z Jötunheim.

– Kim jest twoje źródło? – spytał Gunnar.

– Jest... był... wiewiórką.

– Wiewiórką?! – prychnął alfa. – Nie ufasz chyba wiewiórcy?!

<Tu się z nim zgodzę. Wszystkie wiewiórki to hochsztaplerzy> potwierdził Oberon.

– Słuchajcie, informacje tej wiewiórki... tego wiewióra oszczędziły mi masę kłopotu.

Były bardzo dokładne w tej części, którą miałem okazję zweryfikować. Nie ma powodu, by mu nie zaufać i co do reszty. Jeśli uda nam się wywabić Thora, tak żeby walczył z nami gdzieś w okolicach równiny Idavoll (a im bliżej Yggdrasilu, tym lepiej) einherjarzy nie zdołają zmobilizować się na tyle szybko, żeby mu pomóc. Nie mają latających kucyków takich jak walkirie. Będą musieli przemaszerować całą tę drogę, a to im zajmie lekko kilka dni.

– Tak, rozumiem – mruknął Leif – ale jak zwabimy Thora? Nie będzie przypadkiem chciał siedzieć za murami Gladsheimu czy Bilskirniru i po prostu czekać, aż do niego przyjedziemy?

– A skąd! Wystarczy, że wyśmiejemy jego męstwo albo powiemy coś o jego mamie, i

sam przyleci. To drań i gnida. Tacy jak on nie kierują się w walce rozsądkiem.

– Nie żartuj sobie, Atticusie – rzekł Leif. – Skąd by miał w ogóle wiedzieć o naszej obecności w tej krainie, a co dopiero o tym, iż wykpiwamy jego wątpliwe pochodzenie?

– Już on będzie wiedział, nie bój się – zapewniłem go. – Mam plan, choć przyznam, że nie bierze on jeszcze pod uwagę zdolności pozostałych członków naszej ekipy.

– Mów – zażądał Gunnar, a Leif kiwnął głową, opowiedziałem im więc, co mi chodziło już od jakiegoś czasu po głowie, a oni zgodzili się na wszystko poza gumowymi wdziankami i sprzętem do wspinaczki.

– To nam nie będzie potrzebne, zaufaj mi – zaręczył Leif. – Kiedy zatem wyruszamy?

– Jutro wieczorem.

Leif wyglądał na uradowanego tą informacją. Gunnar mniej.

– Musimy zaczynać aż tak wcześnie? – spytał.

– Młoty Boga oraz jeden prawdziwy bóg wybierają się tu, żeby mnie zabić, więc tak, musimy. Wolę już zabijać, niż zostać zabity.

Gunnar spojrzał na Leifa.

– To znacznie przesuwa w czasie twój plan działania.

– Tak, ale bynajmniej nie czyni go niemożliwym do zrealizowania – odparł wampir. – Szczególnie z pomocą druida.

– O czym wy mówicie?

Teraz miały nastąpić miłe pożegnania, dobranoc, pchły na noc i spotykamy się jutro w tym samym miejscu o tej samej porze. Ale nie, oni wyraźnie chcieli mnie w coś wciągnąć.

Leif skierował na mnie swój lodowato niebieski wzrok, uniósł kąciuki ust w nikłym uśmiechu i rzekł:

– O terytorium oczywiście.

– A tak, Hal coś wspominał, że kontrolujesz cały stan. Moje gratulacje.

Leif nic na to nie odparł i Gunnar wykorzystał tę okazję, by się natychmiast wciąć.

– Tak. Rozniosła się wieść o jego obrażeniach i kilka wampirów wybrało się sprawdzić naocznie, jak się sprawa ma.

– Tak, słyszałem – powiedziałem. – Czemu nie wyślecie im po prostu pisma z nakazem natychmiastowego zaprzestania działalności? Jesteście przecież świetni w takich prawnych gierkach.

– Nie tak postępuję z wampirami, które wkraczają na moje terytorium – syknął Leif.

Żadnego poczucia humoru.

– To jak postępujesz?

– Likwiduję je.

Na co wtrącił się Oberon:

<Widzisz, chodzi o to, że nie można rzucić takiego tekstu bez żadnych dodatków.

Powinien poprosić Danny'ego Elfmana, żeby mu skomponował jakiś taki przeszywający soundtrack, wiesz, taki specjalnie dla niego. I wtedy, jakby sobie zamierzał strzelić jakiś taki machowaty tekst, toby sobie włączał w tle tę muzyczkę, żeby nadać chwili odpowiedni nastrój, nie? No, a jeśli nie lubi muzyki, to przynajmniej mógłby ryknąć: Łaaa-a-a-a!>

Piekielnie trudno jest się nie śmiać na głos, kiedy Oberon wygłasza tego typu komentarze, ale zawsze lubię się zmierzyć z takim wyzwaniem. Trening czyni mistrza. Gdybym się roześmiał albo nawet tylko przejawiał odrobinę rozbawienia, Leif pewnie źle by to przyjął. A gdyby dotarło do niego, że mój pies się z niego nabija, na pewno by się obraził. Toteż zachowałem obojętny wyraz twarzy i powiedziałem:

– Ach, tak. I do tego właśnie potrzebna jest ci moja pomoc? Że na przykład dzisiaj w

nocy?

– Tak.

Tego właśnie się obawiałem.

– Leif, ale ja się naprawdę muszę dziś wyspać. – Westchnąłem. – Jutro mam ciężki dzień, a potem jeszcze cięższą noc, jeśli mam nas przerzucić do Rosji. Nie mogę się dziś w nocy wykończyć, jeśli chcesz, żebym dał radę dotrzeć do Asgardu. Twoje problemy z terytorium będą niestety musiały pozostać twoimi problemami. Bardzo mi przykro.

– Na stadionie Arizona Cardinals znajdują się właśnie sześćdziesiąt trzy wampiry z Memphis – poinformował mnie Leif, pukając w blat palcem wskazującym. – Przydałby mi się ktoś do pomocy.

– Skąd wiesz, że tam są?

Zignorował moje pytanie i zamiast tego zadał swoje:

– Czy mogę na ciebie liczyć, Atticusie?

– Tylko w tym sensie, że postaram się wyspać. Skąd wiesz o wampirach?

Mój upór wcale się nie opłacił. Znowu mnie zignorował i zwrócił się o pomoc do Gunnara. Zawsze kiedy pytałem Leifa o jakieś wampiry abrakadabry, które chciał zachować w tajemnicy, udawał po prostu, że nie słyszy. Kilka miesięcy temu wykorzystałem to nawet na swoją korzyść. Zabrałem go na jego pierwszy w życiu mecz baseballu. Przez otwarty dach zaglądała do nas ciepła czerwcowa noc, a Diamondbacksi gościli Padresów. Z góry wiedziałem, że Leif będzie zaintrygowany grą i zachowaniem ludzi w takim tłumie, ale przeszedł sam siebie i po prostu nie przestawał mnie zamęczać pytaniami: skoro maskotką jest grzechotnik, to czemu wokół lata jakiś skretyniały ryś imieniem Baxter? Czy ta zabawa tak naprawdę symbolizuje pierwotny ludzki strach przed istotami z kłami? Dlaczego gracze mają jakąś oralną fiksację na punkcie gumy, tytoniu i nasion słonecznika? I dlaczego niektórzy gracze czują potrzebę pogłaskania się po kroczu przed każdym rzutem? Czy to ma jakiś związek z tym, że po angielsku „balls” znaczy nie tylko „piłki”, ale i „jaja”? Kiedy miałem już naprawdę dość, po prostu zadałem mu pytanie, które męczyło mnie już od dłuższego czasu.

– Słuchaj, Leif, zawsze chciałem cię zapytać. Bo wiesz, jest ta słynna książeczka dla dzieci: Wszyscy robią kupę. Czy to dotyczy także wampirów? Mimo że jesteście na ściśle płynnej diecie, wyobrażam sobie, że taka akumulacja hemoglobiny może naprawdę niezłe przytykać. Macie jakiś specjalny środek przeczyszczający czy coś?

Leif patrzył na mnie lodowcowym spojrzeniem przez dobre kilka uderzeń serca, po czym bez słowa wstał ze swojego miejsca i zaczął się przepychać przez tłum.

– Hej, jak już i tak się ruszyłeś, to kup mi piwo, dobrze? – zawołałem za nim. – I poproszę hot doga z musztardą i cebulką!

Nie zobaczyłem go potem przez trzy następne zmiany, ale kiedy w końcu wrócił, przyniósł mi i piwo, i hot doga.

W każdym razie Gunnar też się wykpił z wątpliwej rozrywki polegającej na przeganianiu wampirów z boiska do futbolu amerykańskiego. Sam miał masę spraw na głowie, jeśli chciał do następnego wieczoru zostawić wszystko w ładzie i składzie.

– Muszę pozalać dla Watahy całe mnóstwo rzeczy – tłumaczył się. – Nikt tego za mnie nie zrobi.

Leif się poddał co do wilkołaka i znowu spróbował ze mną.

– Atticusie, musisz mi pomóc. Sen to żadna wymówka, jeśli po mieście wałęsa się tyle wampirów.

<On chyba nie mówi poważnie? Sen to najlepsza wymówka, żeby nie ruszać się z domu, skoro wszędzie czają się jakieś wampiry!>

– Nie zrozum mnie źle, Leif – powiedziałem. – Przepadam za polowaniem na wampiry. Serio. Nie ma nic przyjemniejszego niż widok syczącej głowy lecącej w jedną stronę, gdy ciało opada w drugą, wiesz? Ale uwierz mi, że nie przesadzam, gdy mówię, że zabranie całej naszej trójki do Tír na nÓg będzie męczące. Naprawdę lepiej będzie dla ciebie, jeśli będę jutro wypoczęty.

– Ale ty się nie męczysz – zauważył bezlitośnie. – Przecież pobierasz moc z ziemi.

– Jak złapiesz kogoś na nieściskości, to powinieneś krzyknąć: „Mam cię!”.

– Tak, jestem tego w pełni świadom, ale nie przepadam za tym prostackim sformułowaniem.

– Być może brzmi ono nieco prostacko. Tak czy siak, to i tak nie jest odpowiednia chwila na wołanie „Mam cię!”. Mówię tu o zmęczeniu psychicznym, nie fizycznym. Przemieszczanie się między krainami nie wymaga trudu fizycznego, lecz wysiłku mentalnego. Jeśli nie będę wypoczęty, to...

– Ani słowa więcej – przerwał mi Leif. – Rozumiem. Będę musiał po prostu sam je wszystkie zabić.

<No i znowu to samo. Mówię ci, Danny Elfman to by się dopiero ucieszył, jakby mógł mu bachnąć muzę pod te teksty>.

John Williams nie byłby tu lepszy?

<Jeśli masz zabójczo silnych bohaterów walczących ze złem plus maszerujące siły imperium, to nie obejdzie się bez Johna Williamsa. Potrzebujesz melodyjki, która by zmusiła ludzi do sięgnięcia po pudło chusteczek, dzwoń do Randy'ego Newmana. Ale kiedy trzeba ci akurat upiornej atmosfery i rozedrganych strun, które by wzmocniły zwyczajne zagrożenie śmiercią, to najlepiej się do tego nadaje Danny Elfman. Ot co>.

Gunnar przeprosił nas grzecznie i zaślaniając się obowiązkami wobec Watahy, oświadczył, że musi już iść. Wstaliśmy, żeby uścisnąć mu dłoń, i pożegnaliśmy się. Zniknął, błyskając w mroku nocy srebrem kabrioletu, a my z Leifem znów usiedliśmy.

– To co się właściwie stanie, jak się tam pojawisz, Leif? Czy wszystkie wampiry z całego południa wiedzą, jak wyglądasz, i mają małe plakaciki z twoim wizerunkiem w swoich trumnach? Zaczną pisać i prosić cię o autograf jako głównego wampirzego celebrytę?

– Słucham? Co powiedziałeś? Głównego wampirzego sybarytę?

– Nie, powiedziałem „celebrytę”.

– Nie znam tego rzeczownika.

– To stosunkowo nowe słowo. Oznacza osobę, na którą reaguje się wysokimi piskami z ekscytacji.

Leif trawił chwilę tę informację, aż w końcu uniósł wysoko jasną brew.

– Powiedz mi, Atticusie, czy zdarzyło ci się kiedyś pisać na widok celebryty? Czy poprawnie to odmieniłem?

– Tak, poprawnie. I tak, prawdę powiedziawszy, zdarzyło mi się.

– W jakichże okolicznościach?

– Kilka lat temu pojechałem do San Diego na Comic-Con i spotkałem jednego ze swoich ukochanych pisarzy i naprawdę wyrwał mi się na jego widok mimowolny pisk. A kiedy uścisnął mi dłoń, nie powstrzymałem się od odtąnczenia kilku radosnych kroków, a może nawet zrobiłem trochę siusiu.

– Nie wierzę – oświadczył kategorycznie Leif.

<Kłamczuch!> dodał Oberon.

– No dobra, może i nie zrobiłem siusiu, ale słowo daję, że odtąńczyłem kilka kroków albo jestem synem kozy. Pisarze nie są może wielkimi celebrytami w oczach innych ludzi, ale dla

mnie nie ma nic lepszego niż dobrze opowiedziana historia. Poza tym wydaje mi się, że ten facet może mieć jakieś nadprzyrodzone moce, bo przez niego ludzie tracą zupełnie głowę, a pewnie i kontrolę nad pęcherzem.

– Rozumiem. Co to za pisarz?

– Neil Fucking Gaiman.

– Na drugie imię ma Fucking?

– Nie, Leif, to imię honorowe, które otrzymują wszyscy celebryci od swoich fanów. To nie obelga, ale komplement, na który w pełni sobie zasłużył. Polubiłbyś go. Też się tak ubiera na czarno jak ty. Jakbyś przeczytał kilka jego książek, a potem go nagle spotkał, na pewno byś piszczał.

Leif wyglądał na zdegustowanego tą sugestią.

– Nigdy nie tracę godności. Nie życzę też sobie, by ktokolwiek zachowywał się tak na mój widok. Wampiry powinny wywoływać wrzaski paniki, a nie wulgarne piski. Przyznaję, że mimowolne oddawanie moczu zdarza się w naszej obecności, ale wypływa to z przerażenia, a nie ekstatycznego zachwyty na widok ulubionego bohatera.

– Wypływa? Czy my tu mamy spontaniczny festiwal żartów na temat sikania?

Lekkie zmrużenie oczu było jedyną oznaką tego, że Leif docenił mój dowcip. Poza tym jego twarz pozostała niewzruszona, jak zawsze, gdy decydował się na żart.

– Jeśli nie będę dziś w nocy dostatecznie ostrożnie obierał celu, mogę spowodować podtopienie stadionu.

– Dobrze. Pokażesz im, że nie zalewasz – odparowałem.

– Ale nie będę wobec nich wylewny.

– Spuścisz na ich porcelanową skórę ulewę sprawiedliwości.

– Hmm! Na pewno w każdym razie będę potem musiał od tego umyć ręce.

Zachichotałem, a twarz Leifa wykrzywiła się w końcu w uśmiechu. Dobrze było się tak pośmiać, ale oczywiście zaraz mnie zaczęło korcić, żeby go spytać, czy wampiry w ogóle sikają. Jako że na sto procent by mi nie odpowiedział, zamiast tego spytałem go o coś innego.

– Leif, ale dlaczego właściwie ci goście z Memphis wpakowali się wszyscy na stadion do futbolu?

– To rodzaj wyzwania. Symbolicznie przejmują władzę nad wszystkimi tymi ludźmi.

– Jak się im dobierzesz do skóry podczas meczu, to mogą być straty w ludności cywilnej. Kiwnął głową.

– Na to liczą.

– Że nie będziesz chciał zranić niewinnych osób?

– Nie, że nie będę chciał zrobić z tego przedstawienia i będę się bał zostawić po sobie kupę martwych wampirów oraz ludzi, bo odsłoniłbym w ten sposób tajemnicę naszego istnienia. Ale się przeliczą. Teraz mam już takie rzeczy w nosie. I nawet zależy mi na przedstawieniu. Jeśli cały stadion będzie pokryty ciałami umarlaków, to z pewnością trafi do wiadomości. W ten sposób wszyscy się dowiedzą, że nadal tu jestem i że umiem całkiem nieźle walczyć o swoje terytorium.

– Ale też wszyscy się dowiedzą, że wampiry naprawdę istnieją. Czy to nie stanowi jednak pewnej wady w twoim planie?

Leif tylko machnął ręką.

– Ludzie nigdy nawet nie dopuszczają do siebie tej możliwości. Nauka to dla nich istna świętość, a jest naukowo dowiedzione, że wampiry nie istnieją, toteż nas nie ma. Ta tautologia sprawia, że jestem zupełnie bezpieczny. Nawet jeśli jakaś próbka wykaże coś niezgodnego z normą, laboratorium ją po prostu odrzuci jako nieudaną.

– Czy te wampiry z Memphis są bardzo stare?

Leif prychnął z pogardą.

– To ja jestem najstarszym wampirem po tej stronie Atlantyku.

– A po drugiej?

Niebieska lodowatość jego oczu zelżała nieco, gdy wpatrywał się w pusty kielich, a potem podniósł wzrok na mnie.

– Ten, który mnie stworzył, wciąż gdzieś tam jest. I są też... inni.

– Któryś jest może starszy ode mnie? – spytałem lekko.

– Jeden na pewno. Ale może być ich więcej. Nigdy go jednak nie spotkałem. Tylko o nim słyszałem, ale wieść niesie, że nadal poluje.

Niemal oczekiwałem, że po tych słowach odrzuci głowę w tył i wyda z siebie przenikliwy, zachrypnięty rechot godny Strażnika Krypty, ale on zamilkł po prostu, a napięcie rosło.

Wiesz, ty jednak masz rację – powiedziałem do Oberona. – *Rzeczywiście przydałby mu się jakiś podkład muzyczny.*

<Jeden zero dla psa>.

– Ważysz się wymówić jego imię? – szepnąłem cicho.

Leif przewrócił oczami na znak, że wyczuł kpinę.

– Nazywa się Theophilus.

– Co?! – wykrzyknąłem, ubawiony grecką etymologią imienia. – W Europie siedzi sobie jakiś prastary wampir, który się nazywa „miły Bogu”?

– Wcale nie powiedziałem, że w Europie. Ale tak, takim właśnie imieniem się posługuje.

Nie wiem jednak, czy to jego prawdziwe imię, czy tylko taki ironiczny przydomek.

– A jak miał na imię ten wampir, który cię stworzył?

Leif zmrużył oczy.

– A dlaczego chcesz wiedzieć?

– Z ciekawości. – Wzruszyłem ramionami.

Nie spuszczać ze mnie uważnego wzroku, starannie wymówił:

– Zdenik.

– To mi nie brzmi na typowo islandzkie imię – zauważyłem.

– Cóż za świetny słuch. To czeskie imię.

Moje brwi same skoczyły do góry.

– Skąd tysiąc lat temu wziął się na Islandii czeski wampir, u licha?!

– Nigdy nie mówiłem, że zostałem zmieniony na Islandii – odparł Leif ze złośliwym uśmiechem.

Zmarszczyłem czoło, uświadomiwszy sobie, że cały czas funkcjonowałem w oparciu o to błędne założenie.

– *Touché* – mruknąłem. – Czy kiedykolwiek usłyszę więc całą historię twojego przemienienia?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Być może. Na razie jednak muszę się zająć sianem spustoszenia i broniem terytorium. – Wstał i wyciągnął w moją stronę dłoń. Także się podniosłem i ucisnąłem ją, a on wzruszył ramionami i dodał skromnie: – Po dolinie wałęsa się tylko osiemdziesięciu młodziaków. Reszta jest na meczu. Do jutra, Atticusie.

<Ha! Ha! Tylko osiemdziesięciu. Czy w ten sposób chciał ci dać do zrozumienia, że sra dalej niż ty?>

Zaczynam podejrzewać, że wampiry jednak nie robią kupy – odpowiedziałem.

<Nonsens. Wszyscy robią kupę>.

Odprowadziliśmy Leifa do drzwi i życzyliśmy mu dobrej nocy.

Czas iść spać po raz ostatni w tym starym domku – powiedziałem psu, gdy zamknąłem drzwi za wampirem.

<Fajowo! A możemy najpierw obejrzeć ostatni film?>

Jasne, chłopie. Co byś chciał zobaczyć?

<Może *Świętych z Bostonu*? Bo wygrywa ten Irlandczyk, a kot źle kończy. To potwierdza mój światopogląd, zapewniając mi tym samym psychiczną walidację.>

Rozdział 9

Rano ziewnąłem i przeciągnąłem się rozkosznie.

Zawsze, jak się przeciągam, to wydaję masę odgłosów, bo to sto razy lepsze niż przeciąganie się po cichu. Z nostalgią zrobiłem sobie moje ulubione śniadanie, po raz ostatni wypełniając kuchnię porannymi zapachami. Oberonowi przyrządziłem całą patelnię kielbasek, a sobie zaserwowałem kawę, sok pomarańczowy (taki, co to w nim pływają kawałki mięszu), tosta z marmoladą z pomarańczy oraz puszysty omlet z serem, szczypiorkiem i odrobiną tabasco. Robienie dobrego omletu jest jak dobre życie – musisz się wczuć w sam proces, jeśli chcesz być zadowolony z efektu.

Poranna gazeta pełna była panicznych nagłówek na temat Leifowej obrony terytorium na meczu: RZEŻNIA NA STADIONIE głosiła „The Arizona Republic” już na pierwszej stronie. Co rusz rzucały się w oczy frazy takie jak: „kompletna masakra” czy „strefa wojenna”. Zauważyłem, że doliczono się sześćdziesięciu trzech ciał, czyli dokładnie tylu, ilu wampirów spodziewał się Leif, a zatem udało mu się sprzątnąć całą drużynę z Memphis, i to bez zabijania przy tym ludzi.

A ludzie oczywiście nie mieli pojęcia, że za całą masakrą stoi jeden człowiek – a raczej jeden wampir. Zgasły wszystkie światła – na pewno już Leif o to zadbał – i gdy w końcu znów się zapaliły kilka godzin później, ciała leżały dosłownie wszędzie. Plus kilku fanów zgłosiło napastowanie na tle seksualnym i drobniejsze obrażenia, w toaletach wybuchła panika, a sędzia liniowy, który przedtem akurat rzucił o jedną flagę za dużo, został „przypadkiem” przewrócony przez „zdezorientowanego” gracza. Ludzie wydostali się ze stadionu dzięki kolektywnemu blaskowi komórek, a fani amerykańskiego futbolu przeszli załamanie nerwowe, bo Larry Fitzgerald nie miał szansy nawet na catcha, a co dopiero na touchdowna.

Policja podejrzewa, że mamy do czynienia z wojną gangów. Ktoś spytał nawet o opinię Dicka Cheney'a, który natychmiast stwierdził, że to terroryści. Kilku co bardziej bigoteryjnych polityków stanowych wskazało na nielegalnych imigrantów oraz handel ludźmi, bo w ich przekonaniu wszystko, co złe, musi pochodzić z południowej granicy. Wrr.

<Mogę iść dziś z tobą do pracy?> spytał Oberon.

– Jasne, chłopie. Czemu nie. Ale nie będziemy cały dzień w sklepie. Muszę tylko spakować najcenniejsze książki i upchać jakieś nowsze na ich miejsce.

<A potem co?>

– Potem muszę ukryć gdzieś wszystkie te naprawdę magiczne tomiszczka. No i powinienem pogadać z Kojotem.

<Serio? A co tam u niego? Nie widzieliśmy się z nim od tylu miesięcy>.

Uśmiechnąłem się z rozczuleniem. Mój pies ma naprawdę kiepskie poczucie czasu.

– Pewnie wszystko u niego w porządku, Oberonie. W końcu minęły ledwie trzy tygodnie od naszego ostatniego spotkania. A on jest raczej nie do zdarcia.

Został mi jeszcze jeden obowiązek, nim opuszczę ten dom na zawsze. Zarzuciłem Fragaracha na ramię i poluzowałem pasek, bo miałem dziś na sobie grubą skórzaną kurtkę. Była zdecydowanie za ciepła na łagodną arizońską jesień, ale uznałem, że może mi się przydać na Syberii, jak również potem w Asgardzie. Popatrzyłem na dom, a potem usadowiłem się na trawniku i zacząłem krok po kroku likwidować wszystkie zabezpieczenia i alarmy, a mojemu strażnikowi w postaci jadłoszynu pozwoliłem znów spokojnie zasnąć. Całkiem niedawno uratował mi skórę, gdy napadł mnie pewien demon, który uciekł z piekła. Wstałem więc i serdecznie uściskałem kochane drzewo.

<Ależ się zrobiłeś sentymentalny> zakpił Oberon.

– Nigdy nie gardzę okazją, by się przytulić do drzewa – przyznałem.

Gdy dotarliśmy do sklepu, Oberon usadowił się szczęśliwy za kontuarem herbacianym, by wylegiwać się w słońcu, gdy ja tymczasem zacząłem serwować moim stałym klientom ich „Wesołe Życie Staruszka”. Uprzedziłem ich przy okazji, że nie będzie mnie przez jakiś czas, ale że pod moją nieobecność zajmie się nimi Rebecca. Po ich wyjściu w sklepie nastąpiła chwila przerwy i spokoju, mogłem się więc zająć spakowaniem białych kruków do kartonów. Rebecca miała przyjść dopiero później. Chciałem, żeby wydawało jej się, że nic się w sklepie nie zmieniło. Raczej wątpiłem, by kiedykolwiek w ogóle przyjrzała się uważniej książkom za gablotką.

Należało też porozwijać rozliczne zabezpieczenia zamontowane w sklepie. Rozplątałem nawet to, które zapobiegało kradzieżom, oraz wiązanie na klapie prowadzącej na dach.

Potem FedEx podrzucił mi zamówione przez Hala rzadkie książki, zadzwoniłem więc do Granuaile, żeby po mnie przyjechała. Gdy ona pakowała moje białe kruki do swojego samochodu, ja szybko rozłożyłem za szybą te nowe starocie, wszystkie młodsze niż dwa stulecia. Było wśród nich kilka prawdziwych skarbów: pierwsze wydanie *Alicji w Krainie Czarów*, jedno z pierwszych wydań *O powstawaniu gatunków* oraz pierwodruk *Diuny* z autografem.

Okolo wpół do dwunastej pojawiła się Rebecca, przekazałem jej więc klucze do szafki z rzadkimi książkami, która teraz zamknięta była jedynie na zwykły zamek.

– Jakbyś miała chwilę, może byś skatalogowała te białe kruki i poukładała je, jak uznasz za stosowne, co?

Wielkie oczy Rebekki stały się jeszcze większe i zaczęła się nerwowo bawić wiszącym jej na szyi ankhem, jednym z wielu religijnych symboli, które nosiła po części z niepewności, po części chcąc zdobyć jak najwięcej punktów karmicznych.

– Pewien jesteś? Myślałam, że mam się trzymać z dala od tej gablotki.

– Już nie. Teraz pozostawiam pod twoją opieką cały sklep bez wyjątku. – Poklepałem ją po ramieniu, gdy wychodziłem. – Niech harmonia będzie z tobą.

Zapakowałem się do samochodu za Granuaile i Oberonem i kazałem jej jechać na wschód w kierunku Bush Highway. Jest to kręta droga, którą wprost uwielbiają rowerzyści i która biegnie wzdłuż rzeki Salt aż do jeziora Saguaro. Tam znaleźliśmy odpowiednie miejsce z kilkoma drzewami palo verde. Potem powinno się je dać łatwo rozpoznać. Ostrożnie wyciągnęliśmy z samochodu każdy karton po kolei i zanieśliśmy je wszystkie na pustynię, gdy tymczasem Oberon stał na czatach. Gdy już wszystkie leżały w jednym miejscu, usiadłem na ziemi, splotłem nogi w kwiat lotosu i położyłem prawą, wytatuowaną rękę na ziemi.

– Wykonam teraz trzy zawołania – wyjaśniłem Granuaile. – Jedno do Kojota, a pozostałe dwa do żywiołaków. Żywiołak to zawsze najlepszy przyjaciel druida. Bez nich naprawdę dużo byśmy nie działali. Gaja odpowiada bardzo powoli. Nawet moje bardzo przecież długie życie to dla niej coś około pół godzinki, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Żywiołaki żyją bardziej na bieżąco i zmieniają się wraz ze zmianami w ziemi. To one będą chronić te książki pod moją nieobecność. Poproszę je, żeby oddały je tobie, jeśli nie wrócę. Jedną z nich sam napisałem jeszcze w jedenastym wieku, kiedy było już jasne, że jestem ostatnim druidem. Potem przepisywałem ją co jakiś czas, żeby mieć pewność, iż nic z całej tej wiedzy nie przepadnie. To jedyna istniejąca spisana księga wiedzy druidzkiej.

– Byłam pewna, że nie istnieją żadne pisemne przekazy – wybąkała Granuaile. – Że najważniejsza jest tradycja ustna...

– No tak, ale sytuacja trochę się zmieniła. Jestem gatunkiem niezwykle zagrożonym, nie?

Więc to jest takie zabezpieczenie. Zawiera wiedzę o ziołach, opisy wszystkich rytuałów oraz instrukcje, jak się spleść z ziemią. Tylko że będziesz musiała poprosić kogoś o pomoc. Samemu nie da się wytatuować, wierz mi. Radziłbym poprosić o tę przysługę raczej Flidais. Na pewno nie idź do Brighid ani Morrigan, bo zaraz cię wciągną w swoją odwieczną walkę o władzę...

Granuaile pokręciła głową.

– Co? – zapytałem.

– Ale ty wrócisz, sensei. Nie muszę wcale tego wszystkiego wiedzieć.

– Nie gadaj głupot. Istnieje przecież możliwość, że musisz jednak wiedzieć. Samo istnienie wszechświata jest najlepszym dowodem na to, że gówno się zdarza. A teraz się skup.

– Ale ja nawet nie umiem się porozumieć z tymi całymi żywiołakami, że już o Flidais nawet nie wspomnę – broniła się Granuaile.

– Zaraz to załatwimy. Trochę cierpliwości. Już ci pokazuję, jak to się robi. – Przesłałem mentalny komunikat w głąb ziemi, wzywając najpierw żywiołaka pustyni Sonora i prosząc go, żeby zechciał poinformować Kojota, że muszę zamienić z nim słowo. Potem dopiero poprosiłem Sonorę, żeby mi pomógł zakopać i przechować wiedzę zawartą w moich księgach.

Rozmawianie z żywiołakami przypomina trochę pisanie mentalnej książki obrazkowej. Nie posługują się żadnym ludzkim językiem; komunikują się za pomocą obrazów połączonych syntaksą emocji. Dlatego moje próby przełożenia tego na język pisany są z góry skazane na porażkę, ale oto, co mniej więcej zasygnalizowałem żywiołakowi Sonory: //Druidowe zaklęcia / Książki / Potrzeba ochrony / Pomocy//

Po jakiejś minucie poczułem, że w górę po ramieniu wędruje odpowiedź, i w moim umyśle pojawiły się następujące obrazy: //Sonora przybywa / Pytanie: Potrzeba?//

Wyobraziłem sobie więc jak najbardziej obrazowo dziurę głęboką na jakieś dwa i pół metra ze schodkami w głąb, które by zniosły nasz ciężar. Trzymałem ten obraz przez jakiś czas przed oczami wyobraźni i w końcu powoli na prawo ode mnie zaczął się tworzyć otwór w ziemi. Granuaile aż jęknęła. Pewnie wyglądało to tak, jakbym strzelał tu jakieś triki w stylu Yody, ale tak naprawdę całą robotę odwalał żywiołak Sonora. Jakiś ferokaktus zniknął pod ziemią, jakby go tam z powrotem wciągnęła; trawy i korzenie rozrywały się przed nami, a dziura poszerzała i pogłębiała. Cały proces zajął ledwie kilka minut.

– Dobra. Teraz musimy zataścić te kartony tam na dół.

To zajęło nam znacznie więcej czasu. Gdy już skończyliśmy, musiałem znów porozmawiać z żywiołakiem Sonory, jak i z jeszcze jednym – tym od żelaza.

– Widzisz, sęk w tym, że jeśli po prostu zostawię te książki tak w ziemi, nie wyjdzie im to na zdrowie. A poza tym ten, kto będzie ich szukał, może łatwo je sobie namierzyć pierwszą z brzegu wróżbą, jeśli nie stworzymy jakiejś tarczy ochronnej.

– Kto ich może szukać?

– Ci źli. Dlatego poproszę żywiołaka żelaza, żeby mi je zamknął w żelazie.

– Niezłe. Czy wszystkie żywiołaki robią, co im każesz?

– Świetne pytanie, a odpowiedź brzmi: nie. Niektóre są bardziej skore do pomocy, inne mniej, ale generalnie mają świadomość, że jestem już jedynym druidem, który może o nie zadbać, są więc z zasady dość przychylnie.

– Czekaj, czekaj, to ty o nie dbasz?

– No jasne. Niby czemu, myślisz, dają nam dostęp do swojej mocy?

– Ale nie rozumiem, na czym miałyby polegać twoje dbanie o nie. Do czego ty im jesteś potrzebny? Przecież to super-duper-wielce magiczne stwory!

– To prawda. I czasami właśnie jakaś wiedźma czy inny czarnoksiężnik chce takiemu żywiołakowi ukraść jego magię i w tym celu przywiązuje go do siebie wbrew jego woli. Wtedy

właśnie do druida należy uwolnienie żywiołaka. Miałem taki przypadek ledwie dwa miesiące temu. Trzy czarownice uwięziły żywiołaka Kaibaba, ale byłem akurat w pobliżu, mogłem go więc uwolnić, nim zdolały zrobić cokolwiek wybitnie głupiego.

<Hej, sekundka! To było wtedy na naszym polowaniu, tak? To dlatego tak nagle zniknąłeś?>

No – odparłem lakonicznie.

<Powiedziałeś mi, że jakaś wiewiórka potrzebuje twojej pomocy. Myślałem, że ci całkiem odbiło>.

– Mówisz o Kaibab Plateau na północ od Wielkiego Kanionu? – spytała Granuaile, a ja kiwnąłem głową. – A jeśli potrzebuje cię akurat jakiś żywiołak w Chinach?

– Informacja dociera do mnie żywiołakową pocztą pantoflową, więc natychmiast przechodzę do Tír na nÓg, a stamtąd z powrotem na Ziemię bliżej miejsca, gdzie mamy problem.

– A jeśli nie dotrzesz na czas? Znaczący, no wiesz, jeśli żywiołak umiera?

– Wtedy otrzymujemy nową Saharę.

Patrzyłem na jej usta. Prawie powiedziała: „Gówna prawda”, ale powstrzymała się i mruknęła tylko:

– Pustynia Sahara istnieje od milionów lat.

– Nom. Tylko że nie była taka sucha jak teraz. Kiedyś było tam trochę więcej wody, dzięki czemu egzystowało tam znacznie więcej gatunków. Ale około pięciu tysięcy lat temu pewien czarnoksiężnik pojmał żywiołaka Sahary i pochłoniął go.

– Jak mu się to udało?

– Nie udało mu się. Kompletnie oszalał i umarł.

Moja uczennica zmarszczyła czoło.

– Czy to nie powinno uwolnić żywiołaka?

– Owszem. Moc została uwolniona, ale nie miała już koherentnej tożsamości żywiołaka.

Była tylko masą dzikiej magii wypuszczonej w okolicach delty Nilu. Wkrótce potem cywilizacja egipska zaczęła budować piramidy.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Nie, ponieważ nie przepadam za błędnym rozumowaniem, jeśli chodzi o związki przyczynowo-skutkowe. Ale to ciekawa zbieżność, prawda?

Pokiwała głową.

– Żywiołaki ci o tym powiedziały?

– Tak. To wydarzenia sprzed trzech tysięcy lat przed moimi czasami. Żywiołaki opowiedzą ci wiele tajemnic, jeśli będziesz dla nich miła. I o wiele szybciej zareagują, gdy już cię poznają. Ten żywiołak żelaza, którego teraz wzywam, zjadł przez te wszystkie lata całkiem sporo faerii. Naprawdę mnie lubi. Nazywa się Ferris.

Granuaile posłała mi groźne spojrzenie.

– Przestań, sensei.

– Że co?

Zrobiła naburmuszoną minę i założyła sobie niesforny lok za ucho, po czym spojrzała na mnie z jawnym niedowierzaniem.

– Ma na imię Ferris? Jak *ferrum*, „żelazo”? Przecież chyba nie myślisz, że ci uwierzę, co? Niby jakim cudem żywiołak żelaza miałby akurat takie samo upodobanie do dziwnych słówek jak ty?

Uśmiechnąłem się.

– Nie, no masz rację. Ale pozwolił mi nadać sobie imię, jako że tyle pracowaliśmy razem przez te wszystkie lata. – Urwałem. – Przywykłem myśleć o nim w rodzaju męskim, ale tak

naprawdę żywiołaki nie mają płci. To pewnie dość seksistowskie z mojej strony.

– Pewnie tak – zgodziła się. – Ale dam ci punkt za to, że to sam zauważyłeś.

<Co oznacza, że suma wszystkich twoich punktów wynosi: jeden! Gratulacje!> zawołał Oberon.

– Dzięki – powiedziałem im obydwójgu i skupiłem się znów na ziemi, żeby przesłać przez tatuaże następujący komunikat:

//Druid potrzebuje Ferrisa / Ochrona ksiąg / Żelazna skrzynia//

– Już kiedyś robił dla mnie podobne rzeczy – wyjaśniłem. – Wie dokładnie, o co mi chodzi. Tylko popatrz.

Granuaile pochyliła się i ujrzała, jak z ziemi spod ksiąg sączy się żelazo i krzepnie, obudowując je powoli ze wszystkich stron, twardejąc w czarne ścianki, aż w końcu wykryształizowała się też pokrywa i po chwili mieliśmy przed sobą żelazną skrzynię bez żadnych widocznych spoiw czy spawań.

– Ja nie mogę – wyszeptła Granuaile. – Może powinieneś zacząć produkować skarbcę dla banków, co?

– Te książki są warte znacznie więcej niż jakikolwiek skarbiec. Dobra, teraz już ich nikt nie wywróży. Co dalej? Mam kazać Sonorze zasypać dziurę?

Spojrzała na mnie czujnie, od razu orientując się, że to pytanie testowe.

– Nie, chyba nie – odpowiedziała. – Żelazo by zardzewiało od deszczu, jeśliś go jakoś nie ochronił. No i są jeszcze wody gruntowe...

– Świetnie. To co powinienem zrobić?

– Podziękuj ładnie Ferrisowi i zawołaj znowu Sonorę, żeby okryła żelazo szczelną skałą, a dopiero potem zasypała dziurę.

– Masz rację, powinniśmy podziękować zarówno Ferrisowi, jak i Sonorze. Sonora poprosi nas o małą przysługę w zamian za pomoc, i jeśli to będzie w twojej mocy, uważam, że powinnaś się zgodzić. Im szybciej zaczniesz budować dobre stosunki, tym lepiej.

– A Ferris o nic nie poprosi?

– Dostał ode mnie już tyle tych faerii, że uważa, iż to on jest mi winien przysługi, nie ja jemu.

Podziękowałem obu żywiołakom serdecznie i poprosiłem jeszcze Sonorę o zamknięcie żelaznej skrzyni w granitową skałę oraz zasypanie dziury. Patrzyliśmy w milczeniu na jego pracę. Gdy już książki spoczywały bezpiecznie pod ziemią, przedstawiłem obu żywiołakom Granuaile.

//Nowa druidka / Niezwiązana z ziemią / Chciałaby mówić//

Niemal natychmiast na powierzchni ziemi pojawiła się czarna kulka z żelaza. Wskazałem ją Granuaile, wyjaśniając:

– To mały kawałek Ferrisa. Weź to do ręki i skup myśli na powitaniu i zainteresowaniu.

Spytaj, czy możesz coś dla niego zrobić.

Otworzyła usta ze zdumienia i popatrzyła na mnie niepewnie. Wciąż miała czasem trudności z uwierzeniem, że to wszystko się naprawdę dzieje w epoce nauki i w ogóle. Nim zdążyła ją podnieść, tuż obok wyłoniła się z ziemi druga kulka. Ta była z turkusku.

– Czy to kawałek Sonory? – spytała.

– Tak. Właśnie w ten sposób będziesz się z nimi komunikować, jeśli nie wrócę. Lepiej od razu to przećwiczyć. Najpierw zagadaj z Ferrisem. Jest przyzwyczajony do wymiany myśli.

Ostrożnie ujęła żelazną kulkę między palcem wskazującym i kciukiem, trzymając ją, jakby to był jakiś odrażający owad.

– Zaciśnij kulkę w dłoni, zamknij oczy i powiedz w głowie „dzień dobry” –

poinstruowałem ją.

Zrobiła, co jej radziłem, i po kilku sekundach podskoczyła i wydała z siebie ciche, pełne zaskoczenia:

– O!

Na jej twarzy widać było kolejno szok, zdziwienie, potem fascynację. Wreszcie rozjaśnił ją szeroki uśmiech i już tam pozostał.

<Co ten Ferris jej tam gada? Że wygra na loterii czy co?> dopytywał się Oberon.

Nie wiem – wyjaśniłem. – *Nie jestem w stanie słyszeć ich rozmowy.*

<Czy te żywiołaki w ogóle wiedzą, że tu jestem?>

Sonora cię zna. Nazywa cię Przyjacieldruida, co w zasadzie oznacza, że ci nadał imię. W innym razie mówiłby o tobie po prostu: pies.

<Fajowo. A dlaczego Ferris mnie nie zna?>

Nie należysz do jego ekosystemu i nigdy nie nakarmiłeś go żadną faerią. Ferris myśli o faeriach mniej więcej to samo co ty o produktach wieprzowych.

<Nie gadaj? Czy to znaczy, że faerie smakują jak bekon?>

Nie. Jest tylko jedna rzecz, która smakuje jak bekon.

<...i jest to bekon!>

Właśnie. A ja zastosowałem tylko porównanie. Żelazo zjada magię, a faerie są istotami magicznymi urodzonymi w magicznej krainie. I dlatego, kiedy dają jakąś Ferrisowi, to mniej więcej tak samo, jakbym tobie dał tę Bekonową Eksplozję i jeszcze do tego smakowitą bekonową latte.

<Nigdy mi nie zrobiłeś takiej latte! Dlaczego nigdy mi nie dałeś bekonowej latte?>

Bo nie mam jak. Bekonowa latte nie istnieje.

<Nieprawda! Na logikę musi istnieć. Istnieją wampiry, istnieją wilkołaki, istnieją faerie. Skoro wszystkie te niemożliwe istoty kręcą się po świecie, to muszą być też bekonowe latte! Na pewno moglibyśmy zaraz wpaść do Starbucksa i sobie jedną zafundować.>

Oberon, poważnie nie wydaje mi się, żeby coś takiego było możliwe. Chodziło mi tylko o porównanie...

<Nie nabierzesz mnie! Muszą to mieć w swoim tajnym menu! To dlatego ta syrenka na kubku się tak uśmiecha! Po prostu wie, gdzie jest bekonowa latte!>

Oberonie, proszę cię, nie bądź śmieszny.

<Wcale nie jestem śmieszny! Śmieszny to jest ten, co płaci pięć dolców za gorące mleko z jakimś syropem! Ale teraz już rozumiem, o co tu naprawdę chodzi! Kasują cię tyle za tę kawę, bo potrzebują pieniędzy na prace badawczo-rozwojowe! Gdzieś na przedmieściach Seattle mają tajną fabrykę, tajniejszą niż Strefa 51, a w środku siedzi facet o słabym wzroku i kiepskiej fryzurze w laboratoryjnym fartuchu i usiłuje wyprodukować Święty Graal wszystkich napojów.>

Bekonową latte?

<Nie, Atticusie. Przecież ci powiedziałem: ona już istnieje. Ja tu mówię o prorocztwie! „Z pary i piany człowiek w bieli o słabym wzroku stworzy płynny paradoks, który zwać się będzie Potrójnie Beztłuszczowa Podwójnie Bekonowa Popiątne Serowa Mokka!>

Oberon, co ci odwalilo? – Już miałem go spytać, czy może usłyszał to gdzieś w telewizji, kiedy nagle otworzyły się oczy Granuaile.

– To było niesamowite – wyszeptała. – Jak... jak... sen. Te wszystkie obrazy w mojej głowie, tylko że byłam w stanie ten sen kontrolować i mówić, co chcę, ale bez słów.

– Fajnie to ujęłaś. I co powiedział? – spytałem.

– Ma nadzieję, że dwoje druidów oznacza podwójne ilości faerii.

Uśmiechnąłem się.

– Niewykluczone. Czas się przywitać z Sonorą. Zobaczysz, że Sonora jest nieco głębszy, bogatszy niż Ferris. Jeśli Ferris to szklanka czekoladowego mleka, Sonora to mus czekoladowy.

– Ja cię... Dobra – powiedziała Granuaile. – Ale pozwól, że będę jednak myślała o Sonorze w rodzaju żeńskim.

Wsadziła sobie żelazną kulkę do kieszeni w dżinsach i wzięła do ręki turkusową. Tym razem zacisnęła pięść znacznie pewniej i od razu zamknęła oczy. Lekkie drżenie i nagły mocny wdech oznaczały, że udało jej się nawiązać kontakt. Uśmiechnęła się tak jak przedtem.

Dobra, Granuaile będzie przez chwilę zajęta – powiedziałem do Oberona. – *To teraz wyjaśnij mi, jak Podwójnie Bekonowa Popiątnie Serowa Mokka może być beztluszczowa.*

<No właśnie nie może. I dlatego ci ludzie, którzy robią te badania, muszą mieć kiepskie fryzurki. Po prostu błędnie oceniają sytuację, bo tylko błędna ocena sytuacji może prowadzić do wniosku, że taka mokka jest możliwa>.

Taaa. Twoja logika powinna być zaopatrzona w informacje ostrzegające o skutkach ubocznych. I skąd w ogóle wzięłeś to proroctwo, co?

<Otóż, to bardzo ciekaw... he?> Zastrzygł uszami i nagle obrócił głowę na wschód. <Ktoś idzie!>

Podążyłem za jego spojrzeniem i zobaczyłem przebłyski znajomej psowatej postaci zbliżającej się do nas poprzez pustyne zarośla.

<To Kojot!> ucieszył się Oberon, machając ogonem.

Rzeczywiście był to Kojot. A raczej jedna z jego wersji. Ta akurat reprezentowała plemię Nawahów. Z wdziękiem wymijał kolejne kaktusy *teddy bear cholla*, a jęzor zwisał mu z boku pyska. Zaszczekał nam wesoło na powitanie. Nim jednak mieliśmy czas odpowiedzieć, zmienił się w Indianina w niebieskich dżinsach, kowbojkach i białym podkoszulku bez rękawów. Proste, czarne włosy spływały mu spod kowbojskiego kapelusza na ramiona, a z twarzy nie schodził złośliwy uśmieszek.

– Co tam słyhać, panie Druid? – przemówił. – Nie wściekasz się już pan na mnie, co nie?

Ton jego głosu dawał jednak jasno do zrozumienia, że mało go obchodzi, czy się wściekam czy nie. Jakiś czas temu oszukał mnie – ba! nawet zastraszył – żebym mu pomógł pokonać pewnego upadłego anioła z piątego kręgu piekielnego.

Mówił powoli, śpiewnie, z nutką rozbawienia, dostosowałem więc swój głos do jego rytmu rozmowy.

– A gdzie tam. Już mi przeszło całe tygodnie temu.

– Tegom się spodziewałem, co tu kryć. Co tam u ciebie, Oberonie?

Przykucnął i skinął na mojego psa. Oberon od razu do niego podszedł, wymachując entuzjastycznie ogonem.

<Nie mogę narzekać, Kojocie, no chyba że zapomniałeś o moich kielbaskach>.

Kojot roześmiał się z myśli Oberona, które był w stanie słyszeć z taką łatwością jak ja. Poklepał wilczarza obiema dłońmi, jedną pogłaskał go po grzbiecie, a drugą pomasaował mu kark.

– Przykro mi, Oberonie. Nie miałem czasu się zatrzymać, bo nie chciałem, żeby pan Druid tu na mnie czekał i czekał. A kim jest ta dama?

<To Granuaile>.

– Moja uczennica – wyjaśniłem. – Gadają sobie z Sonorą. Może dajmy im się napaplać w spokoju. Dasz się pan namówić na spacer?

– Jasne, panie Druid, ja tam zawsze bardzo chętnie.

Wstał z kucek i ruszyliśmy na południe, żeby nasza rozmowa nie przeszkadzała Granuaile. Oberon dreptał za nami, radośnie obwąchując kaktusy i krzaki kreozotowe.

– Potrzeba mi pańskich talentów, panie Kojot – powiedziałem i opowiedziałem mu, co mnie prawdopodobnie czeka w Asgardzie.

Zarechotał zdrowo.

– Tak se myślałem nawet, kiedy pan zaczniesz myśleć nad jakimś samobójstwem – wyznał, po czym natychmiast splunął przez ramię. – Żeby zadzierać z wikingami, to trzeba być bardziej szurniętym niż różowooka papuga.

– A może tylko tak szurniętym jak pan – odpowiedziałem. – Umowa, o której tu mówię, może wyjść z pożytkiem dla nas obu.

– Umowa, hę?

– Prawdziwa okazja. U nikogo byś pan czegoś takiego nie wytargował.

– Okazja? – Kojot uśmiechnął się dziko, a oczy mu zabłyśły. Teraz już nie mógł się oprzeć. Będzie się targował, póki nie utwierdzi się w przekonaniu, że puścił mnie z torbami, oczywiście lamentując, że to ja go okradam w biały dzień. Gdy wyjaśniłem mu, o co mi chodzi, zaczął się pokładać ze śmiechu i aż się złapał za brzuch, a łzy lały mu się strumieniami. Ale kiedy w końcu znów był w stanie mówić, targowaliśmy się porządnie, aż wreszcie na znak porozumienia uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Spotkania z panem, panie Druid, zawsze są niezwykle interesujące – skomplementował mnie. – Będę w okolicy, póki pan nie wrócisz. Chyba że nie wrócisz. – Spojrzał na Oberona. – A następnym razem postaram się mieć torbę tych kurczakowo-jabłkowych kiełbasek, które tak lubisz.

<Dobra, zapamiętam to sobie!>

Pomachawszy nam na pożegnanie, znów stopił się w swoją psowatą postać i popędził na wschód, tam skąd przybył. My z Oberonem wróciliśmy natomiast zobaczyć, jak sobie radzi Granuaile, która właśnie wstawała z ziemi, otrzepując kolana.

– I jak poszło z Sonorą? – spytałem.

Jej twarz dosłownie promieniała dziecięcą radością.

– Niesamowicie! Dała mi do wykonania naprawdę poważne zadanie, ale już się nie mogę doczekać, bo to w istocie konieczne.

– Co to za zadanie?

– Muszę się pozbyć wszystkich raków z rzeki East Verde.

Brwi uniosły mi się wysoko.

– Masz rację. To naprawdę poważne zadanie. – Raki nie były naturalnym gatunkiem w tej rzece i doprowadzały do wymierania ryb oraz żab, zjadając ich ikrę i zabierając im pożywienie. – Co zrobisz, żeby mieć pewność, że pozbyłaś się ich wszystkich?

– Sonora mi pomoże. Pokaże mi, gdzie one są, i opowie mi o swoim ekosystemie, wyjaśni, jak wszystkie zwierzęta i rośliny są ze sobą powiązane. Naprawdę już się nie mogę doczekać. – Podskoczyła kilka razy z przejęcia i zaklaskała w dłonie. – To rzeczywiście prawda, że ziemia żyje. Nigdy nie myślałam, że to tak wygląda, sensei. Czy wśród żywołaków jest jakaś hierarchia czy coś?

– Tak, tak. Tak myślałem, że to wyłapiesz. Gdzie byś umiejscowiła w tej hierarchii Ferrisa?

– Na najniższym poziomie.

– I słusznie. Jest wcieleniem minerału. Nader ograniczonym w tym, co jest w stanie zrobić, choć w tych granicach przewyższa wszystko. A jako że żelazo jest tak cholernie przydatne, dobrze jest się przyjaźnić z żywołakami żelaza, gdy tymczasem nigdy pewnie nie będziesz potrzebowała takiego na przykład żywołaka berylu czy molibdenu. Są gdzieś tam, ale nie wiszą cały czas na telefonie, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Sonora znajduje

się na następnym poziomie i to ten rodzaj mają chronić druidzi. Żywiolaki takie jak on to ucieleśnienie regionalnych ekosystemów. Mają niesamowitą moc, ale są też narażone na ludzką głupotę. Za każdym razem, kiedy pobieramy moc z ziemi, to właśnie od nich.

– A co jest wyżej?

– Płyty tektoniczne. Tak dosłownie to znajdują się poniżej ekosystemów, ale jeśli chodzi o hierarchię, to są o stopień wyżej. Lepiej ich nie wkurzać. Nie będziesz się z nimi wiele kontaktowała. A potem to już masz samą Gaję.

– Ja cię... Jaka ona jest?

Jej uśmiech był po prostu zaraźliwy i złapałem się na tym, że też się uśmiecham, mówiąc:

– Cierpliwa. Łagodna. Trudno się z nią rozmawia. Myślę, że to naprawdę dobrze, iż Sonora tak łatwo ci zaufała i powierzył ci te raki. To świetnie, że tak chętnie z tobą gadała.

– Gadała – poprawiła mnie z naciskiem Granuaile.

– Dobra, gadała, gadała – zgodziłem się, wzruszając ramionami, bo naprawdę było mi wszystko jedno. – Nawet lepiej będzie, jak przez jakiś czas pobędziesz poza miastem. I najlepiej weź ze sobą Oberona. Na pewno będzie wolał pobiegać sobie nad rzeką, niż znów siedzieć w domu z nieustraszonymi kotami pani MacDonagh.

<No jasne! Dzięki, Atticusie, to świetny pomysł!>

Masz mieć na nią oko cały czas, jasne? Czuwaj, gdy ona jest zajęta czym innym.

Ostrzegaj ją, gdy ktokolwiek się zbliża. Naprawdę nie wykształciła sobie jeszcze odpowiedniej paranoi.

<Tak jest>.

– Nie ma problemu, tylko czy mu nie będzie ciasno w tym moim małym samochodziku?
– zaniepokoiła się Granuaile.

– Słuszna uwaga. Jedźmy już z powrotem do miasta i trzeba też zatrzymać się przy banku. Wezmę trochę gotówki, żebyś miała na wynajem pikapa. Musisz przecież kupić też jakiś sprzęt kempingowy i wielkie wiadra na te raki.

– Superancko! – zawołała Granuaile i znów zapakowaliśmy się całą trójką do jej szewrolecika.

<Będzie mi brakowało rozmów z tobą> powiedział Oberon. <Ale Granuaile przynajmniej nie będzie mnie traktować jak psa>.

Tylko jej nie uciekaj, żeby się nie zamartwiała. Jak wrócę, wybierzemy się na polowanie, tylko ty i ja.

<Dokąd?>

Może w góry San Juan w Kolorado.

– Jak już skończysz z rakami – zwróciłem się do Granuaile, gdy jechaliśmy Bush Highway z powrotem do miasta – po prostu odwieź Oberona do wdowy. Wpadnę do niej dziś po południu i dam jej znać, że go u niej zostawisz.

Granuaile zupełnie oszalała z przejęcia, tak była podekscytowana swoją misją. Przypomniało mi to moje pierwsze spotkanie z żywiolakiem – duchem pewnego bagna w Irlandii. Mój zachwyt tym cudem był wtedy równie wielki jak teraz u Granuaile. W ogóle coraz bardziej się przekonywałem, że jej temperament zadziwiająco dobrze pasuje do druidzkiego życia. Wariowała z przejęcia aż do chwili, gdy musieliśmy się rozstać przy bankomacie na Mill Avenue. Ja zamierzałem teraz skoczyć na lunch, a ona chciała skoczyć wraz z Oberonem po sprzęt kempingowy do REI, a potem wynająć pikapa.

– Tylko mi tu wróć, sensei – powiedziała, dźgając mnie palcem w pierś, żeby wzmocnić przekaz. – Nie możesz mnie teraz zostawić na lodzie. To normalnie jak kupić dzieciakowi figurkę ulubionego bohatera, a potem powiedzieć, że nie może jej wyciągnąć z opakowania.

Jej zielone oczy spojrzały prosto w moje i poczułem, że zupełnie mnie zatyka, choć czułem, iż powinienem właśnie zdobyć się na jakieś słowa pocieszenia i wsparcia.

Minęło kilka niewygodnych nieco sekund, aż w końcu poddała się, uznawszy widać, że jednak nic mądrego nie powiem. Chwyliła mnie za koszulę, przyciągnęła do siebie i cmoknęła szybko w policzek. Gdy już się odsunęła, owionął mnie jej zapach – winno-kwiatowy szampon z truskawkową nutką błyszczyku. Błyskawicznie odwróciła się do mnie plecami i pomaszerowała do swojego samochodu, lekko przygarbiona, jakby oczekiwała, że ją za coś zganię. Otworzyła tylne drzwi, żeby Oberon mógł wskoczyć do środka, po czym obeszła samochód i siadła za kierownicą, ani razu nie oglądając się w moją stronę.

<To było całkiem słodkie, ale ja tobym chyba nie umiał się tak pożegnać. Mógłbym za to rzucić ci się czule na nogę czy coś>.

Przykucnąłem, chichocząc, i przytuliłem go za szyję.

Bądź grzeczny – przykazałem mu. – Wróć, gdy tylko się da. I wtedy poszukamy sobie jakiegoś nowego domu.

<To ja poproszę taki z większą przestrzenią do biegania> oświadczył Oberon.

Pomyślimy o tym.

Odprowadziłem go do samochodu i ostrożnie wskoczył na tylne siedzenie. Zatrzasnąłem drzwiczki i pomachałem za odjeżdżającym samochodem.

Potem westchnąłem radośnie, wciąż mając w głowie ten jej pocałunek i czując resztki jej zapachu, choć miałem lekkie wyrzuty sumienia, że w ogóle do niego dopuściłem. Niby liczyłem na to, że kiedyś jeszcze może się to powtórzy, ale zarazem byłem zły na siebie, że w ogóle o tym myślę.

Ostatni posiłek w najlepszej knajpie z fish'n'chipsami czekał już na mnie trochę na północ, w Rúli Búli, więc otrząsnąłem się z transu i ruszyłem w tym kierunku z twardym postanowieniem, że będę się cieszył jak należy tymi ostatnimi godzinami w Tempe.

– Hej, Siodhachan! – ryknął za mną jakiś męski głos.

Odruchowo zrobiłem unik, odwróciłem się na pięcie i kucnąłem, żeby przygotować się na atak. Prawa ręka sama poleciała w stronę rękojeści Fragaracha, który wisiał zakamuflowany na moich plecach. Ale gdy zrozumiałem, że nic mi nie grozi, uspokoiłem się i nawet nie wyciągnąłem miecza z pochwy. Przede mną, tuż przy sklepie Trippie Hippie, stał wysportowany Afroamerykanin i bezczelnie się ze mnie śmiał.

– No nie mogę. Ta paranoja to ci się, stary, normalnie pogłębia. Jak się ostatnio widzieliśmy, nie było aż tak źle.

Poczułem się okropnie zażenowany. Głupio mi było nie rozpoznawać kogoś, kto najwyraźniej znał moje prawdziwe irlandzkie imię. Wyglądał zresztą bardzo przyjaźnie, tylko że nie miałem zielonego pojęcia kto to.

Rozdział 10

Przytul Jezusa do swego serca! – ryknął mężczyzna z szerokim uśmiechem i równie szeroko rozłożył ręce. Miał na sobie farbowany po hipisowsku T-shirt, z przewagą czerwieni, żółci i zieleni, a na tym nadrukowaną białą pacyfę. Do tego dopasował luźne niebieskie džinsy i klasycznie czarne trampki. Wyglądał na bardzo miłego typu, a głosem i surową męską urodą bardzo mi przypominał tego gościa z reklam Old Spice'a.

Tylko że nadal nijak go nie umiejscawiałem w żadnych swoich wspomnieniach i było to wybitnie irytujące uczucie, bo wiedziałem, że powinienem go kojarzyć. Obcy ludzie nie mają zwyczaju znać mojego irlandzkiego imienia – tym bardziej że nie znają go nawet moi nowsi przyjaciele, nie wyłączając Granuaile. I raczej nie da się go tak łatwo zgadnąć: Siodhachan nie plasuje się na listach najbardziej popularnych imion dla dzieci, i to już od dłuższego czasu. Kimkolwiek był ten facet, musiał mnie naprawdę znać z dawien dawna albo przynajmniej znać kogoś, kto mnie znał. Już miałem spojrzeć na niego przez moje szkło faeryczne, ale w ostatniej chwili zwątpiłem. A jeśli to naprawdę Jezus? Gdybym spojrzał na niego w magicznym spektrum, moje siatkówki spaliłyby się jak sadzone jajka. Postanowiłem więc uciec się do testów werbalnych.

– Może wolałbyś pogadać po aramejsku? – spytałem, od razu przechodząc na tenże język.
– Już nie pamiętam, kiedy ostatnio mówiłem w tym języku. A ty?

Przeszedł na aramejski z zupełną łatwością.

– Jasne, że pamiętam – odparł. Jego uśmiech był już nie tylko szeroki, ale i wyraźnie kpiący. – Rozmawialiśmy po aramejsku wtedy w Anglii, jak przenosiliśmy ten skarb templariuszy i zostawialiśmy fałszywe wskazówki. Wiesz, naprawdę mnie ubawiły skutki tej mojej krótkiej wizyty na Ziemi. Teorie, które dzięki nam powstały, są tak imponująco kreatywne. I całkiem sporo przytępawych naukowców ma dzięki nam co do garnka włożyć.

– Jezus, to naprawdę ty! – Wstałem z kucek i uściśkałem go serdecznie, przy czym porządnie poklepaliliśmy się po plecach, jak to przystoi mężczyznom. – Ale się cieszę, chłopie. I świetnie wyglądasz. Kto ci załatwił taką aparycję?

Jezus machnął głową w stronę sklepu obok i przeszedł na angielski.

– A jeden z typków w tym sklepie. Chciał uaktualnić mój image – wyjaśnił.

– No nie możesz narzekać, nie? – stwierdziłem, też wracając do angielskiego. –

Wyobrażam sobie, że to znacznie wygodniejsze niż siedzenie półnago z koroną cierniową i tak dalej.

– Mało powiedziane. A szczególnie mnie wzruszyło to, że wyobraził sobie u mnie kolor skóry znacznie bliższy mojemu prawdziwego. Już naprawdę niewiele się pomylił.

– No jasne. Właśnie szedłem na lunch. Miałbyś ochotę wrzucić coś na ząb?

– A ty stawiasz? – Uśmiechnął się wesoło.

– Nie ma sprawy. Czuj się zaproszony. Jak długo już tu jesteś?

Światło znów zmieniło się na zielone i ruszyliśmy Mill Avenue na północ.

– Pojawiłem się tuż przed tym, jak przyszedłeś – powiedział. – Słyszałem od matki, że chciałeś iść ze mną na piwo.

– Racja, racja, tak jej powiedziałem. Była uprzejma pobłogosławić mi kilka strzał. Bardzo mi miło, że przyjąłeś moje zaproszenie.

– Chyba sobie kpisz – prychnął. – To ja jestem ci dłużny. Prawda jest taka, że nikt nie chce się ze mną tak po prostu spotkać. Zawsze jak nie jakieś interwencje, to chociaż wyjaśnienie tego czy tamtego, a w dodatku naprawdę nie wiem, po co mi mówią te wszystkie rzeczy.

„Dlaczego, Jezu? Pomóż mi, Jezu! O Jezu, jak dobrze, o Jezu, nie przestawaj”. I tak cały czas. Normalnie ostatnimi czasy tylko ty jeden wpadasz z rzadka na to, że może chciałbym po prostu skoczyć na browara.

– A to był kiedyś ktoś inny, z kim pijałeś sobie piwko?

– Bertrand Russell.

– O. On, małej wiary? Cóż, w każdym razie cieszę się, że dałem ci dobrą wymówkę, żeby zejść tu do nas, na dół.

– Muszę ci od razu powiedzieć, że mam też w tym inny cel – przyznał Jezus. – Nie chciałbym, żebyś sobie potem myślał, że ci wcisnąłem jakąś półprawdę, mówiąc, iż zszedłem tu tylko na piwo. Ale sprawy biznesowe mogą zaczekać.

Mijaliśmy właśnie wyjątkowo przypieczonego słońcem mężczyznę w ciemnych okularach i z gitarą. Brzdąkał sobie *They're Red Hot* – starą bluesową piosenkę o gorących tamalach – śpiewając ją ponurym, zachrypłym głosem. Otwarte pudło na gitarę leżało tuż obok. Jezus zaczął wymachiwać głową w przód i w tył do rytmu i nawet kiwać trochę ramionami.

– Jaki miły riff – zachwycił się. – Nie wiesz przypadkiem, kto napisał tę piosenkę?

– Wydaje mi się, że Robert Johnson, bluesman z delty Missisipi.

– Naprawdę? – Chrześcijański bóg przestał tańczyć i popatrzył na mnie zdumiony. – Ten, który wyszedł na rozdroże?

– Ten właśnie.

Jezus roześmiał się i pokręcił głową, idąc dalej na północ.

– Mój adwersarz gra mi pewnie na nosie. Ale to mimo wszystko miłe dać się tak zaskoczyć. Ten ludzki mózg nie radzi sobie z wszechwiedzą, więc jestem dziś trochę nie w formie.

Gitarzysta za naszymi plecami przestał nagle grać i wyszeptał:

– Co, do diabła?

Obróciłem się i zobaczyłem, że gapi się z rozdziawioną gębą na pudło po gitarze, które w cudowny, niewyjaśniony sposób wypełniło się dolarami. Krzyknął radośnie i pospiesznie zamknął pudło.

– Ale mu zrobiłeś niespodziankę – stwierdziłem.

– To betka. W końcu to tylko kawałeczki zielonego papieru.

Gdy dotarliśmy do Ruli Buli, otworzyłem przed swoim towarzyszem drzwi i gestem wskazałem mu, żeby wszedł do środka. Usiedliśmy przy barze naprzeciwko wejścia i zamówiliśmy sobie po piwie. Ja poprosiłem o Smithwick'sa, a Jezus uznał, że to dobry dzień na guinnessa. Potem zamówiliśmy słynne fish'n'chipsy, a ja poprosiłem też o menu whisky.

– Mają osobne menu na whisky? – zdziwił się Jezus.

– O tak, i są w nim naprawdę genialne rzeczy. Jakbyś sobie chciał coś wypić na odwagę, to niektóre ich trunki mają i po sześćdziesiąt lat. To co? Strzelimy sobie głębszego?

– Nie, nie powinienem – bronił się Jezus, robiąc dłońmi znak krzyża.

– No, daj się namówić, ja stawiam.

– Niech będzie – powiedział po chwili zastanowienia. – W końcu to zawsze jakieś nowe doświadczenie.

Fantastycznie! Właśnie mi się udało wmanewrować Jezusa w wypicie whiskacza. I tak mi nikt nigdy nie uwierzy, ale nieważne. Zamówiliśmy nieprzyzwoicie drogi trunek (siedemdziesiąt pięć dolarów za 1,75 uncji najlepszej whisky), bo jeśli zamierzasz pić z Jezusem, nie możesz mu przecież kupić byle szkockiej. Unieśliśmy szklanki za zdrowie irlandzkich twórców whisky i szlachetna ciecz gładko i z klasą wypaliła nam gardła.

– HUUU! – sapnął, odstawiając szklankę z hukiem na stole i krztusząc się odrobinę. –

Nieźle, nieźle!

Zgodziłem się z nim z całego serca.

– To może jeszcze po jednym? – spytałem.

– Nie, nie – zapewnił mnie cichutko Jezus, którego oczy robiły się coraz większe. – To jedna z tych sytuacji, w których muszę zatrzymać się na chwilę i pomyśleć, co ja bym zrobił na swoim miejscu?

Roześmiałem się i poklepałem go po plecach. Podążając tym torem myślenia, że najważniejsze to jednak szukać nowych doświadczeń, odsunęliśmy od siebie myśl o kolejnych whiskaczach i zamiast tego zdecydowaliśmy się na Irlandzkie Bomby Samochodowe, jako że wyszło przy okazji, że nigdy nie pił tego drinka. Nim pojawiły się nasze ryby i frytki, byliśmy już mile podchmieleni, więc rzuciliśmy się na jedzenie z nadzieją, że wchłonie przynajmniej odrobinę alkoholu.

Jezus wydawał pomruki zadowolenia i po kilku kęsach orzekł:

– Oto jedzenie godne bogów.

– Doprawdy? I celowo użyłeś liczby mnogiej?

– Aż tak to uprościłem? – Wzdrygnął się. – Gdzie te czasy, kiedy wymyślałem na poczekaniu te niesamowite przypowieści, które potem moi duszpasterze musieli całymi wiekami wyjaśniać swoim owieczkom? A teraz proszę, wystarczy kilka głębszych i tracę całą subtelność myśli.

– A zatem chciałbyś porozmawiać ze mną o bogach.

– O jednym właściwie, ale tak ogólnie o bogach też – przyznał, maczając frytkę w kałużę ketchupu. Spalaszowawszy ją z apetytem, znów przemówił. – Naprawdę przepyszne. Moim zdaniem wszyscy powinni spróbować tego smakołyku, nie sądzisz?

– To z pewnością powiększyłoby ogólną sumę szczęśliwości na świecie.

– Zrobione – zameldował Jezus.

– Że co, przepraszam? Co „zrobione”?

– Hej! – krzyknął mężczyzna siedzący dwa krzesła na lewo ode mnie. – A skąd się tu wzięła ta ryba z frytkami? Niczego takiego nie zamawiałem!

– Ani ja – wybąkała młoda kobieta siedząca przy stole z jakimś mężczyzną. – Ale wygląda na to, że wszyscy dostaliśmy te fish'n'chipsy.

Pozostali klienci też odkryli, że stoją przed nimi talerze z rybą, której nie zamawiali, i że nawet nie zauważyli, kiedy kelner im ją przyniósł. Obsługa powoli uświadamiała sobie, że klienci mają na stołach jedzenie, które nie zostało dodane do ich rachunków. Zaczęli się pytać nawzajem, kto im je zaserwował, potem zniknęli w kuchni, żeby wyjaśnić to z kucharzem, aż wreszcie poczęli się rozpaczliwie rozglądać za szefem. Wszystko to było bardzo dziwne. Odwróciłem się z powrotem w stronę Jezusa. Na ustach błąkał mu się wesoły uśmieszek.

– Wyglądasz na zadowolonego z siebie – zauważyłem.

– Cuda sprawiają naprawdę o wiele więcej radości, gdy ludzie się ich wcale po tobie nie spodziewają.

– Tak, przyznam, że i ja lubię się czasem rozerwać jakimś psotnym splotem.

Książę Pokoju zachichotał.

– Wiem, wiem. Ale o czym to ja mówiłem? A tak. Ten bóg, o którym chciałbym z tobą porozmawiać, to Thor. Ty i twoi sprzymierzeńcy chcecie go zabić, prawda?

– Yyy... – wybąkałem wzięty z zaskoczenia. – No tak – przyznałem się niechętnie.

Każdemu innemu wyparłbym się w żywe oczy, ale Jezusowi po prostu nie da się kłamać. – Choć ja zamierzam ograniczyć mój udział w tym przedsięwzięciu do usług transportowych jako taka międzykrainowa taksówka. Podwożę ich tam, a potem zabieram. Nie interesuje mnie zabijanie

Thora.

– Muszę ci powiedzieć szczerze, że to nie jest rozsądne działanie i najlepiej by było, gdybyś go zaniechał.

– Przejmujesz się moim bezpieczeństwem?

– Tak, to też. W większości z tych przyszości, które widzę, nie przeżywasz.

To stwierdzenie w jednej chwili niemal mnie otrzeźwiło. Zrobiłem dobrą minę do złej gry i powiedziałem:

– E tam. Mam całkiem niezłą wprawę w przeżywaniu. Nic mi nie będzie.

– Aha. – Jezus pokiwał głową. Urwał, żeby przeżuć rybę, po czym otarłszy usta serwetką, rzekł: – Masz na myśli swoją umowę z Morrigan.

– Już o tym słyszałeś, tak?

– Piekielne wrzaski Aenghusa Óga dochodzą aż do nieba. I uważasz, że Morrigan będzie w stanie pomóc ci także w Asgardzie? Może wprawdzie się tam z tobą udać, ale nie będzie miała prawa uzurpować sobie roli walkirii na ich terenie. Jeśli polegniesz, nie masz co liczyć na Walhallę. Freja też cię raczej nie zabierze do Folkvangru. Przypadniesz Hel, a ona zaciągnie cię do swojego królestwa i tam utkniesz. Nie uda ci się stamtąd dostać do Tír na nÓg.

– Cóż, to rzeczywiście cenna informacja i muszę ją uwzględnić w strategii i taktyce, ale to jeszcze nie powód, żeby się poddawać.

– Nie przekonują cię, widzę, względy przetrwania. Hmm... Dobrze, zastanów się więc nad tym: zabicie Thora sprowokuje cały jego panteon do wymierzenia kary nie tylko tobie, ale także twoim przyjaciółom i rodzinie. A bogowie z innych panteonów będą się czuli w obowiązku zastrajkować przeciwko tobie w solidarności z Nordami.

– Myślisz? Przecież wszyscy nienawidzą Thora, a przynajmniej ci, co go znają. Czy nie jest równie prawdopodobne, że raczej zaczną mi wysyłać magiczne ciasteczka i kosze upominkowe z ambrozją?

Jezus popatrzył na mnie w zamyśleniu.

– To niewykluczone. Obawiam się, że najgrzeczniejsze określenie, jakim się posługują bogowie, gdy o nim mówią, brzmi, z przeproszeniem, megabubek.

– Taaa... – Pokiwałem ze zrozumieniem. – Bo też jest bubkiem do potęgi. Ale u śmiertelnych ma niesamowity piar. Wydaje im się, że jest ich opiekunem, jakimś wręcz bohaterem, gdy tymczasem powinno się go wysłać na morze w porządnym płonącym statku, jak to robią wikingowie na pogrzebach, i tyle.

Jezus westchnął i przycisnął palce do skroni.

– Bogowie jednak nie staną po twojej stronie, Siodhachanie, mimo że szczerze go nienawidzą. Weź pod uwagę to, że takie działanie uświadomi im, jak bardzo są bezbronni. Źle tę świadomość zniosą.

– Nie wyłączając ciebie?

– Ja będę ponad to – oświadczył. Zamilkł, jakby zastanawiając się, czy dobrze to ujął, po czym pokręcił głową, stwierdziwszy widać, że nie ma potrzeby się poprawiać. – Mnie nikt nie zaatakuje. Ale mogą na tym ucierpieć moi przyjaciele. – Uniósł znacząco brew i pochylił głowę w moją stronę. – A ty jesteś jednym z nich.

– Serio? Jesteśmy przyjaciółmi? Jestem kumplem Jezusa?

Roześmiał się beztrosko.

– Na pewno kumplem od kielicha. A i starszym kolegą.

– Starszym kolegą, hę? Aż się od razu poczułem bardziej wiekowy.

– Nie posłuchasz mojej rady? Zaniechaj całej tej intrygi wokół Thora. To naprawdę nieprzyjemna sprawa, awantura poniżej twojego poziomu.

– Bardzo bym chciał – mruknąłem. – Ale nie mogę złamać słowa danego przyjacielowi. Tak się nie godzi. Zaryzykował własną egzystencję, żeby pomóc mi wyekspediować cały sabat knujących z piekłem czarownic. Nie mogę go teraz zawieść.

Zapadła cisza. Jezus rozmyślał, popijając guinnessa. Potem otarł pianę serwetką i stwierdził:

– Rzeczywiście trudna sprawa. Nie mogę ci przecież radzić, byś złamał dane słowo. Miałem raczej nadzieję, że być może uda ci się uprosić przyjaciela, by cię zwolnił z tej obietnicy.

– Pewnie i bym mógł spróbować. Ale wiem, że Leif się będzie upierał, żebym nie zrezygnował. Niczego tak nie pragnie jak śmierci Thora.

– A zatem jesteś zdecydowany wprowadzić tę intrygę w życie i wywołać fale, które zaleją wszystkie krainy?

– Wolałbym, żebyś tego tak nie przedstawiał. Przecież nie mam zwyczaju wszczynać bójek bez powodu. Po prostu wszyscy się na mnie uwzięli. Na horyzoncie już majaczy mi kilka burd, których naprawdę chciałbym uniknąć. Wcale nie chcę zadzierać z Bachusem ani żadnym innym Rzymianinem. Ani Grekiem, tak dla ścisłości. To prawdziwi nieśmiertelni i naprawdę napędzają mi niezłego stracha. A, i jeszcze są ci nowi goście, którzy sobie ubzdurali, że jestem ich najważniejszym celem... właśnie... może coś o nich wiesz? Słyszałeś kiedyś o organizacji, która się nazywa Młoty Boga?

Między brwiami Jezusa pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Mówisz o tych starych szwedzkich łowcach czarownic?

– Nie, o zupełnie współczesnych łowcach czarownic. Bazę mają w Rosji.

Zmarszczka pogłębiła się jeszcze bardziej.

– Czekaj no. Ta nazwa kojarzy mi się z kompletnymi dupkami...

Zamrugąłem niepewny, czy dobrze usłyszałem.

– Słucham?

Jezus skrzywił się i wskazał na swoją głowę.

– To ten mały ludzki mózg. Nie nadaje się do przetwarzania danych i wszystko mi się miesza. Ale chodzi mi o to, że intuicyjnie zakwalifikowałbym ich do folderu: Dupki, Które Zajmują się Czynieniem Zła i Innego Gówna w Moim Imieniu.

– Jezus. Znaczy tego... ojej. Naprawdę masz taki folder?

– Niestety jest to jeden z moich największych. Dlatego podzieliłem go już dawno na mniejsze i tym razem mówimy o folderze o nazwie: Dupki, Którym się Wydaje, że Mają Prawo Sądzić Ludzi, a nawet Ich Zabijać w Moim Imieniu. – Przymknął na chwilę oczy i zaraz je otworzył. – Tak, już wiem, o kim mówisz. Młoty Boga to organizacja osób różnego wyznania, która do oddziałów szturmowych rekrutuje czarnoksiężników kabalistycznych. I co z nimi?

– Hmm. Myślę, że już właściwie otrzymałem odpowiedź na swoje pytanie, bo chciałem tylko wiedzieć, czy mają twoje oficjalne błogosławieństwo.

– Nie. Zdecydowanie nie.

– Ciekawe. Ale od czasu do czasu udaje im się zabić jakiegoś demona, prawda?

– Tak, a zegar, który nie chodzi, też dwa razy na dobę pokazuje dobry czas. Słuchaj, naprawdę bym nie miał im za złe, gdyby pozbywali się istot nienależących do tej krainy. Oni jednak przyjęli sobie tak szeroką definicję zła, że najczęściej atakują osoby, które przynoszą więcej pożytku niż szkody. Nie wiedzą, co to miłosierdzie czy cierpliwość, i w ogóle nie biorą pod uwagę możliwości odpokutowania win.

– Rozumiem. Czyli pewnie nie mógłbyś do nich wpaść z wizytą i dać im do zrozumienia, żeby się ode mnie odczepili, co?

Obrócił głowę raptownie, wbijając wzrok w drzwi prowadzące na Mill Avenue, jakby

usłyszał jakiś hałas na ulicy. Potem spojrział znów na mnie z uśmiechem na twarzy i odparł dość zagadkowo:

– Nie sądzę, by to było konieczne. – A następnie pochłonął resztę guinnessa w zaledwie kilku wielkich łykach.

Pojąłem jego zachowanie dopiero, gdy w drzwiach ukazała się twarz rabiego Yosefa Bialika, za którym do restauracji wkroczyło, zionąc agresją, dziewięciu chasydów, a każdy z wielką brodą i imponującymi pejsami wystającymi spod kapelusza. Ludzie przestali jeść i podnieśli głowy. W Tempe w ogóle mało się widuje chasydów, ale ci koleś mieli jeszcze bardzo ponury wyraz twarzy, który doskonale pasował do ich czarnych ubrań. Nie sprawiali wrażenia klientów poszukujących koszernej irlandzkiej ryby. Zupełnie zignorowali kelnera, który spytał grzecznie: „Stolik dla ilu osób?”, i ustawili się przy wejściu w trzech kolumnach: czterech stanęło w środku, a po bokach trzech w każdej kolumnie.

– Chryste, to formacja bitewna.

– Wiem – zgodził się Jezus. – To kabalistyczne Drzewo Życia. Będzie zabawnie.

Nim miałem czas go spytać, co by miało w tym być zabawnego, facet na samym końcu, tuż przy drzwiach, wziął głęboki oddech i przemówił. Jego pozycja w formacji symbolizowała Malchut, gałęzie drzewa, czyli sferę ziemi, a krzyknął:

– *Jahwe, higen alejnu mimare haarec.*

Mój hebrajski naprawdę nie jest najlepszy, ale brzmiało to tak, jakby poprosił Boga, żeby go ochraniał przed ziemią. Wszyscy kabaliści klasnęli w dłonie, ręce trzymając przed sobą, proste w łokciach. Poniosło się to klaśnięcie dziwnym echem, jakby zmieniając ciśnienie powietrza. Dosłownie je poczułem. Najwyraźniej nie tylko ja, bo nagle wszyscy poprosili o rachunek.

Włączyłem szkło faeryczne, żeby się porządniej przyjrzeć zabezpieczeniom tych kabalistów, i zobaczyłem... że ich nie ma. Nie widziałem wokół nich żadnych wiązań, żadnych splotów, żadnych nici ani nawet aury. Zarówno oni, jak i przestrzeń wokół nich stanowiła pustkę w świetle.

– Odcieśli cię, zanim się z tobą przywitani – szepnął wyjaśniająco Jezus.

– Tak, widzę.

Rabbi Yosef wytknął mi palcem i przemówił do swych braci po rosyjsku:

– To on. Ten błady.

Jezusowi nawet powieka nie drgnęła, gdy przechodził na nowy język. Odpowiedział im piękną ruszczyzną:

– Kto? Ja? Mnie pan wyzywasz od bładych?

– Niech się pan do tego nie miesza. Przyszliśmy po tego tam – warknął rabin, znów wskazując na mnie.

– Siema, rabbi – przywitałem się z nim po angielsku, bo przecież nadal nie wiedział, że mówię po rosyjsku. Uśmiechnąłem się do niego i zamachałem, starając się wyglądać zupełnie beztrzesko. – W życiu mi nie uwierzysz, z kim właśnie jem lunch. Musicie sobie panowie koniecznie porozmawiać. – I nie dając mu czasu na odpowiedź, zawołałem barmana (starszego, łysiejącego jegomościa z fachowo czerwonym nochem). – Flanagan, dziesięć guinnessów dla tych posłańców pokoju, proszę.

– Już podaję! – odkrzyknął Flanagan.

– Stop! – Yosef uniósł dłoń w surowym geście, po raz pierwszy zniżając się do użycia języka angielskiego. – Nie przybyliśmy tu pić – oświadczył z twardym rosyjskim akcentem. – Ani tym bardziej, by zawierać pokój. Przybyliśmy osądzić i wymierzyć karę. Tego chce HaShem, tego chce lud.

Na co barman trochę się zdenerwował.

– Słuchaj pan, jeśli nie zamierzacie jeść ani pić, to będę panów musiał prosić o opuszczenie mojego lokalu.

Kabaliści po prostu go zignorowali.

– Nie mam nawet prawa do kilku słów obrony? – zainteresowałem się. – Przegapiłem rozprawę czy co?

– Żadne słowa nie zatrą twych czynów – warknął rabin.

– Nie chcę ich wcale zacierać. Chcę, żebyście je docenili. Nie stoję po stronie demonów. Ja je zabijam. Nawet raz zakatrupiłem jednego upadłego anioła. Najlepiej zapytajcie Jezusa, przecież on wam nie skłamie.

– Dość tych kpin. – Odwrócił trochę głowę i swoim towarzyszom rozkazał: – Zaczynajcie.

– Ale nic nie rozumiecie – zaprotestowałem, wskazując przystojniaka po mojej lewej. – Naprawdę odnalazłem Jezusa.

Barman zniknął pod barem, pewnie żeby zadzwonić po bramkarza, a może i policję. Klienci rzucali pieniądze na stoliki i wychodzili tylnym wyjściem, prosto na patio, z którego można było przejść na parking. Z kuchni wyłonił się szef knajpy i stanął za barem, bo w końcu dotarło do niego, że dzieje się coś podejrzanego.

– Co tu jest grane? – ryknął zniecierpliwiony.

Najwyraźniej nadal głowił się nad rozwikłaniem zagadki mnożących się ryb i frytek. Wyglądał na takiego, co by w każdej chwili mógł zacząć walkę z cholernymi Angolami, ale ten groźny wygląd (oraz godność) traciły na mocy na skutek niezwykle pstrokatej hawajskiej koszuli.

Flanagan wytknął czerwony nos, wskazał na kabalistów i wydukał:

– Ci faceci w czerni chcą złożyć skórę Atticusowi.

– Na pewno nie w mojej knajpie! – krzyknął szef. – Wynocha stąd!

Ale Młoty Boga nie słuchały go zupełnie. Rabini powyciągali z kieszeni srebrne amulety i trzymali je teraz w uniesionych dłoniach. Amulety rozbłysły złowieszczo, gdy zanucili po hebrajsku.

– *Jahwe, szema kolejnu biszeat hacorchejnu. Natan lanu koach lenakot et ojwejcha bishmecha.*

Z tego wyłapałem nawet mniej niż poprzednio, ale chyba prosili Boga o siłę i jeszcze padło słowo „gromić”. Światło przybladło, ale amulety nadal pobłyskiwały perłowo. Kabaliści zamknęli je w dłoniach, które zaczęły im pulsować na czerwono, tak jak kiedy się przykryje w nocy latarkę dłonią. Potem wszyscy jednocześnie kopnęli w powietrze lewymi nogami i zadali cios prawymi, pulsującymi dłońmi – stojąc nadal po drugiej stronie knajpy – oraz krzyknęli:

– *Cedek!*

(Co oznacza „sprawiedliwość”).

Mój amulet z zimnego żelaza zatopił się w moje ciało, jakby spadł na nie sejf, i pchnął mnie do tyłu, na bar, o który boleśnie obiliśmy sobie kręgosłup.

– Auć! – wrzasnąłem, a Jezus zarechotał i aż się poklepał w kolano z uciechy.

– Hej, to wcale nie było zabawne! – zacząłem gderać, rozcierając sobie plecy.

Cios wyraźnie miał mi oderwać głowę albo przynajmniej zrobić dziurę w piersi czy zadać inną równie śmiertelną ranę.

– Żartujesz? Takiego łączonego kanalizowania mocy nie widziałem od całych wieków. Mów, co chcesz, o pobudkach ich działania, Atticusie, ale jednak to był naprawdę odlot.

– To ty im dałeś tę moc? – spytałem z wyrzutem.

Chrystus uśmiechnął się promiennie.

– Nie, no oni jadą na Jahwie, przecież słyszałeś.

– Ale przecież ty jesteś jakoby...?

– Taa, jasne, dla chrześcijan może i jestem. Ale nie dla tych koleś tutaj. Ich koncepcja Jahwe jest bardzo odmienna od chrześcijańskiej, porozumiewają się więc z zupełnie innym bogiem. Ale, ty, patrz, patrz, o mały włos byśmy przeoczyli najlepsze!

I miał dosłownie na myśli włos. Kabaliści wcale się nie zdziwili ani nie zdenerwowali, że nie zmieniłem się w proch. Co najwyżej wyglądali na jeszcze bardziej zdopingowanych do pomęczenia mnie, ile się da. Brody Yosefa i dwóch kabalistów po jego bokach zaczęły się wydłużać i zmieniać w macki, po dwie po każdej stronie szczęki. Splotły się sprawnie, zawirowały w powietrzu i zaczęły sunąć w moją stronę mniej więcej w tempie spacerowym. Miałem masę czasu, żeby zrobić unik, ale jednak nie była to normalna prędkość, z jaką rosna ludzom brody. Zarejestrowawszy ten fakt, nieliczni pozostali klienci stracili wszelką ambicję zachowywania się spokojnie w obliczu sytuacji kryzysowej. Nastąpił ekspresowy exodus na patio, a towarzyszyło mu całkiem sporo pisków i niezbyt grzecznych próśb o zejście z drogi.

Szef knajpy zaczął protestować i rzucił się w pogoń.

– Najpierw zapłaćcie, a potem możecie sobie uciekać w panice, ile wam się podoba!

– Dość tego – oświadczył Flanagan, zaciskając grube dłonie na barze i wybałuszając oczy. – W życiu nie tknę już ani kropli. O Jezus, a to co?

– Co, co? Już patrzę – zapewnił go Jezus.

Flanagan posłał mu pełne irytacji spojrzenie, ale jego przerażone oczy same natychmiast skierowały się ku zarostowi sunącemu po barze. Rozumiałem jego niepokój. Wiedziałem już aż za dobrze, co potrafią zrobić te macki. Były znacznie silniejsze, niż się zdawało, poza tym, że wyglądały jak suche i chropowate trzewia. Ledwie trzy tygodnie temu rabbi Yosef zabił nimi całkiem zaawansowaną wiedźmę. Po prostu ją udusił. Przedarły się przez jej zabezpieczenia. Dopiero gdy o tym myślałem, przyszło mi do głowy, że nie jest wykluczone, że przedrą się także przez moją ochronę. Niby broda była kontrolowana magicznie, ale celem tej magii były przecież włosy rabinów, a nie moje. Były one nie tylko obrzydliwe, ale też mogły bez trudu zacisnąć mi się na tchawicy niczym porządne sznury – a było takich sznurów równo dwanaście i każdy dążył w moją stronę. Wystarczyło, że jeden z nich owinie mi się na szyi, a żelazo w mojej aurze nie poradzi sobie z agresorem w sposób magiczny, i już będzie dość kłopotu.

Nie miałem wyboru. W knajpie naprawdę nie było tyle miejsca, żeby móc sobie spokojnie wymachiwać mieczem, a zresztą i tak nie paliłem się do rozlewu krwi. Poza tym whisky pomieszana z Irlandzką Bombą Samochodową i smithwickiem sprawiły, że naprawdę nie byłem na tyle trzeźwy, bym zdołał skutecznie walczyć mieczem. Założenie na któregokolwiek kabalistę jakiegokolwiek splotu było wykluczone, jako że sprytnie zabezpieczyli się przed działaniem ziemi. Ucieczka z kolei zrównałaby mnie z tchórzliwymi klientami, którzy tak masowo opuścili lokal, a zależało mi na tym, żeby mój kumpel Jezus uważał, iż moje działanie dorównuje w swej odlotowości magii kabalistów. A to oznaczało, że nie pozostaje mi nic innego jak walka wręcz. Zresztą ludzie zawsze, gdy są pijani, decydują się właśnie na tę technikę.

Znam różne sztuki walki i umiem obronić się przed różnymi typami broni, ale nigdy jeszcze nie musiałem się zmierzyć z brodami. Z braku precedensu postanowiłem potraktować je jak bicze. Wystąpiłem do przodu i chwyciłem mocno pierwszą mackę z prawej, a potem pociągnąłem z całych sił w dół, licząc na to, że tym samym pociągnę twarz kabalisty na lewo i może nawet rozbiję ich formację.

Ale nic nie potoczyło się tak, jak to sobie wyobraziłem.

Rozdział 11

Nie napotkałem żadnego oporu, jakby broda w ogóle nie była przyczepiona z drugiej strony do niczyjej szczęki. Wrażenie było podobne do tego, kiedy się pociągnie linkę z wędki na luźnym kołowrotku i w ciągu kilku sekund wykręca się całe metry żyłki. Zachwiałem się, a pozostałe jedenaście macek wycofało się nagle niczym rozwścieczone kobry, a potem zaatakowało. Rąbnęły mnie jedenaście razy z zadziwiającą siłą. Zostać uderzonym czymś podobnym do olbrzymich, pełnych supłów lin żeglarskich to nie to samo, co zostać potrąconym przez autobus, ale nie jest to też podobne do muśnięcia trzepoczących skrzydeł motyla. Jedna z macek smagnęła mnie w policzek i odwróciła tak, że wylądowałem twarzą w twarz z ubawionym bóstwem chrześcijan.

– Rozumiem, że nie mam co liczyć na jakiegoś *deus ex machina*, co? – mruknąłem.

– Y-y-y – odparł radośnie.

Strąciłem z siebie dwie włochate liny, które już pełzyły w stronę mojej szyi, a kopniakiem pozbyłem się kilku innych, które usiłowały opleść mi nogi.

– No to może chociaż jakaś dobra rada?

– Jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi.

– Mateusza mi tu wyciągasz? – Nie mogłem w to uwierzyć. – To naprawdę nie jest odpowiedni cytat na tę chwilę. Może raczej: „Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz”, co? Pamiętasz ten tekst? Ten mi się znacznie bardziej podoba. Mam tu nawet miecz, mogę ci zaraz pożyczyć.

– Eee, nie taka jest moja wola.

Hmm. Słowo-klucz? To jaka jest jego wola? Przed chwilą mi wyznał, że wolałby, żebym nie zadzierał z Thorem, bo to by zmartwiło wszystkie inne panteony, a ja powiedziałem, że i tak to zrobię. Być może to sprawia, że staję się w jego oczach problemem. Może właśnie postanowił ten problem rozwiązać rękami Młotów Boga.

– To może jednak nadstawię ten drugi policzek – stwierdziłem, rzucając się na prawo i pędząc w stronę patio na tyłach sklepu, gdzie uciekli już wszyscy inni klienci.

Gdy się wychodzi z Ruli Buli tylnym wyjściem, na prawo znajduje się ogródek piwny ze skomplikowaną siecią rozpylaczy wody do chłodzenia powietrza nad stolikami, a na lewo duża żeliwna brama, która prowadzi na parking przed Tempe Mission Palms Hotel. Sam hotel oddziela od patio betonowy mur po wschodniej stronie, a ziemia przed nim wybrukowana jest na czerwono. Bramka nie była już żadnym wyjściem, bo blokowało ją kolejnych dziesięciu kabalistów, którzy wypuszczali klientów, ale niemal po jednym. Jeśli będę próbował wybiec tamtędy, już mnie mają. Betonowy mur wyglądał znacznie lepiej. Nie był bardzo wysoki, mógł mieć ledwie półtora metra, i byłem niemal pewien, że dałbym radę go przeskoczyć nawet na lekkim rauszu. Szybko jednak straciłem wszelką nadzieję na wykonanie tego manewru dyskretnie, bo awangarda kabalistów najwyraźniej tylko czekała na rudego faceta z bródką. Usłyszałem, jak jeden z nich krzyknął po rosyjsku:

– Już biegnie!

I tyle było z mojej próby dyskretnego ucieczki. Popędziłem sprintem w stronę muru, niemal czekając na uderzenie amuletu, na głośne: „Sprawiedliwość!” czy inny magiczny atak. Nic z tych rzeczy jednak. Gdy wybijałem się w powietrze, poczułem nagły, nieznośny ból w plecach. Wokół mnie świsnęły sztylety i gdy spadałem, wiedziałem już, że to kilku kabalistów cisnęło we mnie srebrnymi nożami – tymi samymi, które noszą przy sobie na wypadek, gdyby mieli się akurat natknąć na wilkołaka. Jedno z ostrzy weszło głęboko pod lewą łopatkę, a inne wbiło się w nerkę

po prawej stronie.

Być może kto inny, na przykład ktoś ze Scottsdale, uznałby za właściwe oplakać w podobnej chwili los skórzanej kurtki. Ale chyba nawet niewolnicy mody nie myśleliby o garderobie wobec noża w nerce, bo naprawdę nic nie dorównuje temu bólowi: zamierają od niego wszystkie mięśnie z odruchowego strachu, że każdy ruch zwiększy ból, i boisz się krzyczeć czy nawet oddychać, żeby przypadkiem nie nasilić cierpienia.

Opadłem ciężko na bruk po drugiej stronie muru i mało nie zemdlałem. Wyrwałem nóż z nerki i wydałem katartyczny jęk, a potem od razu skupiłem się na gojeniu rany, żeby nie okazała się przypadkiem raną śmiertelną. Trucizna tymczasem sączyła się do mego krwiobiegu...

Teraz dopiero pojąłem, że uprzejme potraktowanie Młotów Boga było poważnym błędem. Ich celem było zmiecenie mnie z powierzchni ziemi, i to bez zbędnych pogawędek, gdy tymczasem ja nieopatrznie wybrałem taktykę spokojnego wycofywania się. Gdybym od razu im przyłożył w tym samym stylu, w jakim oni mnie teraz męczyli, nie znalazłbym się w tej godnej pożałowania sytuacji. Pewnie byłbym w innej, także godnej pożałowania sytuacji, ale być może nie aż tak śmiertelnie niebezpiecznej.

Piekielnie trudno się porządnie skoncentrować, gdy się akurat umiera z powodu ostrej niewydolności nerek, a mózg ogranicza się do piszczenia w panice. Przykręciłem odczuwanie bólu z jedenastu na jedynekę i dopiero wtedy mogłem się wreszcie skupić na łataniu nerek. Zupełnie już jednak nie miałem głowy do wymyślenia, co zrobić z tymi całymi Młotami Boga. Mój sprytny, na wpół opracowany plan, żeby zgubić ich w labiryncie sklepów na Hayden Square, nigdy już się nie urzeczywistni. Obnażenie Fragaracha i waleczna bitwa do ostatniego tchu też raczej nie wchodziły w grę.

Dupna zasadzka i jeden szczęśliwie rzucony nóż wystarczyły, by mnie unieruchomić na najbliższą przyszłość. A drugi tkwił mi jeszcze pod łopatką w taki sposób, że nie mogłem go nijak wyciągnąć. Bruk nie dopuszczał mnie do ziemi; pewnie tuż pod nim wylany był cement. Resztkami zapasów z niedźwiedziego charmsa leczyłem się jak mogłem, żeby przeżyć, i naprawdę nie byłem pewien, czy w ogóle wykrzeszę z siebie cokolwiek, gdy już przyjdą mnie wykończyć. Uniesione głosy wdzierały się do mojego przymulonego ze strachu i wściekłości umysłu, a zbliżający się odgłos kroków na bruku zasygnalizował, że to nie koniec udręki.

– *Wot on!* – krzyknął ktoś, a moje pole widzenia szybko zapełniło się czarnymi butami i ciężkimi szatami kabalistów.

Potem nagle ledwie kilka centymetrów przed moim nosem zajaśniały na ich tle jasne dżinsy i converse'y.

– Dzień dobry, panowie, możemy zamienić słówko? – powiedział jakiś głos po rosyjsku.

Odpowiedział mu chór zajadłych warknięć i okrzyków, z których wynikało jasno, że Rosjanie żądają, by ich rozmówca natychmiast zszedł im z drogi, odwalił się i nie wtrącał w nie swoje sprawy. Kilku kabalistów wyraziło też zdziwienie, skąd się w ogóle wziął.

– Zejdę wam z drogi, ale najpierw sobie porozmawiamy – oświadczył głos spokojnie, acz stanowczo, i dopiero wtedy dotarło do mnie, że to Jezus. Otaczali nas zewsząd faceci w czerni. Miałem tylko nadzieję, że żaden z nich nie schował sobie noża z moją krwią. To by było naprawdę nefajne. Choć nie wiem, czy mogło być bardziej nefajne niż wbicie mi go w drugą nerkę.

Yosef Bialik strzelił swym głosem niczym biczem:

– Co się pan wtrąca? To nie pański interes.

– Pozwolę sobie się z panem nie zgodzić – stwierdził Jezus, przechodząc na angielski. – Przerwali panowie mój lunch, a mój przyjaciel musi jeszcze zapłacić rachunek.

– Jest pan przyjacielem tego człowieka? Człowieka, który żyje w harmonii z demonami?!

– odparował mu Bialik także po angielsku.

– Twoja mama żyje w harmonii z demonami – syknąłem, choć wypadło to słabo i właściwie brzmiało bardziej jak krztuszenie się flegmą niż pewne siebie stwierdzenie. Woli walki starczyło mi właściwie na tyle. Nie miałem siły ruszyć się ani na milimetr. Nerka to bardzo złożony organ. Żeby ją uleczyć, potrzebowałbym znacznie więcej mocy i spokoju, niż było mi dane. Udało mi się ją jedynie załatać na tyle, by nie zanieczyszczała moich wnętrzności, ale to nie wystarczyło. Już i tak do moich żył dostało się dość paskudztwa, które wyczerpywało mnie w zastraszającym tempie.

– Nie żyje on w większej harmonii z demonami niż panowie – tłumaczył cierpliwie Jezus.
– Źle zrozumieli panowie jego czyny. Krzywdzą panowie kogoś, komu powinni pomagać.

– Kim pan jest?

– Jestem Jezus Chrystus.

Bialikowi nawet powieka nie drgnęła.

– Z drogi, bo i ciebie zabiję.

– Nie zabijaj.

Jeden z kabalistów (ale nie Yosef) wyciągnął nóż zza pazuchy i zaczął nim groźnie wywijać.

– Mówimy poważnie, szaleńcze. Z drogi! Natychmiast!

– Najpierw porozmawiajmy o Atticusie O'Sullivanie.

– Sam się pan prosiłeś! – ryknął kabalista.

Zrobił krok do przodu i dźgnął Jezusa sztyletem w ramię. Nie był to cios śmiertelny, ale jednak gest ociupinkę przesadzony, jeśli się chce tylko, by ktoś się przesunął. Usłyszałem, jak rozdziera się materiał koszuli, a ostrze wbija się głęboko w ciało, ale Jezus nie zatoczył się do tyłu ani w ogóle nie zareagował zbyt emocjonalnie na tę przykrą sytuację, że z jego koszuli z pacyfą sterczy rączka sztyletu. Kabalista mógłby sobie równie dobrze sztyletować drewniany słupek.

– Szczerze mówiąc, to było bardzo niegrzeczne. Oj, nieładnie – zgnił go Jezus. – Zaczynam podejrzewać, że nie dotrzymujecie przysięgi.

Wyciągnął sobie sztylet z ramienia tak spokojnie, jak ty czy ja wydlubalibyśmy sobie jakieś ziarenko spomiędzy zębów. Był oczywiście zupełnie odporny na zakłęcie umieszczone na rękojeści. Ostrze wyszło bez trudu i bez żadnych śladów krwi, co zauważyłem dopiero, gdy je rzucił na ziemię.

– Kim jesteś? – zdenerwował się rabbi Yosef. – Demonem?

– Bynajmniej – odparł Jezus. – Wręcz przeciwnie. Już się wam zresztą przedstawiłem. Ale komuż w dzisiejszych czasach wystarczą słowa? Widzę, że nie obejdzie się bez namacalnych dowodów.

Rozbłysło nade mną jakieś nowe światło – nie było ciepłe, tylko bardzo jasne. Zmrużyłem oczy i spojrzałem w górę: nad głową Jezusa ujrzałem biały, lśniący krąg. Zaczął się unosić i dopiero po chwili pojąłem, że to cały Jezus wznosi się w powietrzu. Spojrzałem na ziemię i zobaczyłem, że jego buty już się od niej oderwały. Lewitował.

– Jestem bogiem chrześcijan, a prorokiem waszego ludu, rabbi Yosefie – tłumaczył cierpliwie. – Jestem Żydem. Czy wysłuchacie mnie? Obiecuję wam, że pan O'Sullivan nigdzie się stąd w tym czasie nie ruszy.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Nie co dzień widuje się faceta w hippisowskiej koszuli unoszącego się nad ziemią w aureoli. Trzeba dłuższej chwili, żeby przetrwać taką informację, przesunąć ją do pamięci długoterminowej i tak dalej.

– Posłuchamy – oświadczył w końcu rabbi Yosef, przemyślawszy widać, co widzą jego

oczy.

Żaden demon nie jest w stanie stworzyć sobie wokół głowy aureolki. To po prostu wbrew regułom. Umieją to robić anioły, ale one z kolei nie mają zwyczaju kłamać i twierdzić, że są kimś, kim nie są. Kiwnąwszy głową, Jezus wrócił znów na ziemię. Gdy tylko jego stopy dotknęły bruku, wyłączył niebiański neon.

– Wyczuliście ślady magii mojego przyjaciela w miejscach, gdzie przebywały demony, ale zamiast się zastanowić, czy przypadkiem z nimi nie walczył, a tak właśnie było, założyliście, że je wezwał.

A potem wyjaśnił im, że to Aenghus Óg otworzył drzwi inferna w Superstition Mountains, a ja tylko posłałem większość tych demonów z powrotem do piekieł, oraz że zająłem się także upadłym aniołem Basasaelem.

– Ale on przestaje z wampirem i całym stadem wilkołaków! I z wiedźmami! – oponował rabin.

Uznałem, że czas najwyższy samemu przemówić, choć wypadło to dość słabo.

– Wampira i alfę wilkołaków usuwam jeszcze dziś – zapowiedziałem, bo było to w zasadzie zgodne z prawdą. Młoty Boga oczywiście uznają, że to znaczy, iż zamierzam ich zabić, ale za to właśnie kochamy przecież niedomówienia. – A przynajmniej taki miałem zamiar, bo nie wiem, czy tego dożyję. Wiedźmy natomiast zgodziły się opuścić nasz stan.

– No i sami widzicie. Prześladowaliście człowieka, który gra dla naszej drużyny – podsumował Jezus. – On zaproponował wam piwo, a wy usiłowaliście go zabić.

– Nawet może im się to udać – wystękałem. Nie byłem już dłużej w stanie tłumić bólu. Ostatki magii musiałem zużywać na ratowanie krwi przed zupełnym zatruciem. Naprawdę trudno się skupić, gdy oczy zachodzą człowiekowi nieubłaganą mgiełką bólu. – Hej, Synu Człowieczy, nie pomógłbyś mi tu trochę?

– Cierpliwości, Atticusie – odparł Jezus. – Muszę jeszcze zapytać o coś panów rabinów, nim przejdziemy do innych działań. Czy zostawią panowie tego człowieka w spokoju? Uczynił on dla nas wszystkich wiele dobrego.

Rabinowie popatrzyli zgodnie na Yosefa. To on w końcu ich tu wezwał. Wbił we mnie nienawistne spojrzenie. Wcale nie chciał mi odpuścić. A może po prostu nie miał ochoty przyznawać, że się pomylił. Tylko że wyraźnie miał problem z wymyśleniem jakiegokolwiek powodu, by mnie nadal męczyć. Co miał biedaczek zrobić – wyzwąć Jezusa od kłamczuchów?

– Na tym terytorium rozpoczyna się właśnie wojna wampirów – rzuciłem jako gałązkę oliwną. – Zajrzyjcie do dzisiejszej gazety, a zobaczycie, że już się właściwie zaczęła. Jak macie tak ochotę zabijać sługi pana mroków, to w najbliższych tygodniach będziecie ich tu mieli w bród.

Wszyscy pozostali rabinowie wyglądali na dość przejętych tą informacją. Pokiwali głowami, a oczy im rozbłysły. Pewnie i tak mieli za pazuchą drewniane kołki.

Yosef pojął, że jest na przegranej pozycji.

– Dobrze więc – wycedził przez zęby. – Sądzę, że ten człowiek jest rzeczywiście wolny od diabelskich sił. Zajmiemy się na razie innymi ofiarami.

– Doskonale! – Jezus uśmiechnął się do niego promiennie. – A teraz idźcie i zabijajcie wampy. Najlepiej te błyszczące w stylu emo.

Yosef i reszta rabinów posłała mu spojrzenia wyrażające kompletny brak zrozumienia.

– Mniejsza z tym. – Jezus machnął na nich. – Idźcie w pokój.

Kilku z grupy Młotów Boga przyklękło, by podnieść noże, ale wtedy Jezus poprosił ich grzecznie, by racyli je pozostawić jako wyraz dobrej woli. Odwrócili się i ruszyli przed siebie, a towarzyszyły im coraz głośniejsze syreny i po chwili na parking zajechała policja. Żaden

kabalista nawet się nie pożegnał ani nie przeprosił nas za zepsucie lunchu. Więcej – nie powiedzieli Jezusowi, że miło im było go poznać. Jezus patrzył chwilę za nimi, a potem klasnął w dłonie i tak je trzymał chwilę przed sobą zaciśnięte razem.

– Dobrze. Ale musisz przyznać, że miałem ich we właściwym folderze, nie? Całkiem sprawni magicy, lecz ich osobowość pozostawia wiele do życzenia. A teraz czas zniknąć z oczu policji, żebyśmy mogli sobie w spokoju pogadać.

Schylił się, żeby zebrać wszystkie srebrne sztylety, w tym też ten z moją krwią, ale pozostawił nóż tkwiący mi w plecach. Uznałem z początku, że to poważne przeoczenie. Potem jednak zrozumiałem jego plan, gdy ujął mnie za lewy nadgarstek i zaczął ciągnąć brzuchem po bruku w stronę Mission Palms Hotel. Zalała mnie nowa fala bólu i poczułem, że coś się odrywa w moim ramieniu, gdzie ostrze dało właśnie mięśniom znak, że czas zacząć próbną separację. Potem straciłem na kilka minut kontakt ze światem.

Ocknąłem się na podwórzu hotelu. Można na nie wejść z ulicy, nie przechodząc przez hol, ale jednak zdziwiło mnie, że nikt nas o nic nie pyta. Nikt nie zauważył faceta zaciągającego na podwórze drugiego faceta? Nawet założmy, że wyglądam tylko na pijanego; czy jednak rączka noża wystająca mi z pleców nie powinna komuś dać do myślenia? Jezus zauważył moje zdezorientowane spojrzenie.

– Niezbadane są ścieżki mojego działania. I tej wersji będziemy się trzymać.

Skrzywiłem się, gdy moje rany znów boleśnie o sobie przypominały, a nerwy trzępnęły w mózg, wołając: „Hej! Co jest? Zapomniałeś już? To nadal boli jak cholera!”. Byłem już kompletnie wypompowany z wszelkiej mocy. Nie dawałem rady tłumić bólu, że o rozpoczęciu leczenia nie wspomnę.

– Myślałem, że jesteśmy kumplami – wymamrotałem przez zaciśnięte zęby.

– Bo jesteśmy. Lecz ból zawsze nas czegoś uczy, w przeciwieństwie do whisky i piwa. Pomyśl o tym jako o trudnej miłości.

– Zgoda, zgoda. To czego ma mnie to nauczyć? Zamieniam się w słuch.

– Chciałbym, żebyś się zastanowił nad tym, jak do tego wszystkiego doszło, Atticusie. Jaka decyzja sprawiła, że mało cię nie zabili łowcy czarownic? Przeanalizuj ciąg przyczynowo-skutkowy.

To nie zajęło mi dużo czasu. Już i tak to sobie przemyślałem w Mag Mell.

– Taa... kiedy postanowiłem przestać uciekać przed Aenghusem Ógiem i zabić go, jeśli się uda.

Jezus pokiwał głową.

– Otóż to. Gdy postanowiłeś zabić boga, uruchomiłeś serię wydarzeń, która omal nie zakończyła się twoją śmiercią. Gdybyś pozostał łagodny, odziedziczyłbyś ziemię.

– Że co?

– Nie, nie, daj mi skończyć. Teraz, kiedy zabiłeś także Norny... tak, o tym też wiem... nie masz pojęcia, jaka przyszłość jest ci pisana. Skutki tego czynu dadzą się odczuć dopiero za jakiś czas i będziesz musiał za niego słono zapłacić, tak jak teraz płacisz za Aenghusa Óga. Zabicie Thora tylko pogorszy sprawę, Atticusie. Znacznie ją pogorszy. Mimo całej powagi sytuacji jest kilka możliwości, że przeżyjesz, i umowa z Morrigan niewiele ma tu do rzeczy. Jest też kilka sposobów na to, żeby mimo wszystko świat to przetrwał, Atticusie. Słyszysz mnie? Gra toczy się o świat, ten świat. Zabicie Aenghusa ściągnęło na ciebie uwagę Młotów Boga. Któż wie, czyje zainteresowanie wzbudziłeś, pozbawiając życia Norny?

– Założę się, że ty wiesz – mruknąłem.

– Hmm, no tak, wiem. I właśnie dlatego postanowiłem cię ostrzec. Przyszłość już rysuje się dla ciebie bardzo kiepsko, przyjacielu. Uwolniłeś Los, a on rzadko wybiera ścieżkę spokoju i

porządku, jeśli tylko ma okazję pójść własną drogą. Proszę cię, nie pogarszaj tej sytuacji. Zabicie Thora uruchomi siły, których zupełnie nie pojmujesz. Ból, który odczuwasz w tej chwili, to masaż w porównaniu z tym, co cię czeka, jeśli nie zaprzestaniesz swych działań.

Dałem mu znak, że rozumiem, ledwie kiwając głową. Bolał mnie każdy oddech. Bolało samo siedzenie. Bolało nawet to, że jestem przytomny.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – spytał.

– Tak – szepnąłem.

– To dobrze. W takim razie to ci już nie jest potrzebne.

Wstał z krzesła i pochylił się nade mną, żeby wyrwać mi nóż z pleców.

– Aaaaaaaaau!

– O, już bez przesady, straszna z ciebie beksa – skarcił mnie. – Jak by powiedział Czarny Rycerz, to powierzchowna rana. Wstawaj.

– Czekał no. Czy ty zacytowałeś właśnie *Świętego Graala*?

– No, czemu nie? To natchnione dzieło sztuki filmowej. – Puścił do mnie oko. – Wstawaj już.

– Ale nie masz na myśli boskiego natchnienia, co?

Jezus przewrócił oczami.

– Z tobą to naprawdę trzeba mieć anielską cierpliwość. No, rusz się, przecież próbuję ci pomóc. – Chwyił mnie za lewe ramię i podciągnął do pionu, co wywołało z moich ust ryk rozpacz. – Pamiętaj o tym, jak następnym razem będzie ci się zdawało, że spotkanie z bogiem to betka.

– Ale czemu nie pozwolisz mi po prostu umrzeć, skoro jestem taki niebezpieczny? – spytałem, opierając się na nim ciężko.

– Ponieważ w tobie akurat jedyna nadzieja na zapobiegnięcie temu kataklizmowi.

– Jakiemu znowu kataklizmowi?

– Nie mogę powiedzieć. To by było nie fair. A teraz zamilknij na chwilę.

– Strasznie się nagle zacząłeś rządzić.

– Na niewiele się to moje rządzenie zdaje, skoro nadal bez ustanku gadasz. Nie ruszaj się chociaż.

Jezus położył mi dłoń na resztkach po lewym uchu i całe moje ciało wypełniło przyjemne ciepło. Ból zniknął i poczułem, jak mięśnie sprawnie się łatają. Nerka zagoiła się dosłownie w mgnieniu oka, a toksyny trujące krew po prostu się rozpadły. Nawet pozszywał mi kurtkę. A najlepsze, że odrosło mi przy okazji ucho.

– Ja nie mogę. To było sto razy lepsze niż metody Morrigan przy pierwszym uchu – powiedziałem. – Dzięki. Wielkie dzięki.

Uśmiechnął się do mnie i uściśnął mnie o wiele serdeczniej niż na powitanie.

– Nie ma za co. Dzięki za lunch i za piwo, i resztę – odparł, kiwając znacząco w stronę Rúli Búli i mojego nieuregulowanego rachunku. – I z góry dziękuję za podejmowanie mądrych decyzji w przeszłości.

Zacząłem się śmiać. Jezus przekrzywił głowę i spojrzał na mnie pytająco.

– Co cię tak ubawiło?

– Następnym razem, jak mnie będą pytać, czy Jezus mnie ocalił, to mogę powiedzieć, że zdecydowanie tak. A wtedy sam tylko pomyśl, jak źle mnie zrozumięją!

Jezus westchnął i zrobił minę w stylu „kiedy ty wreszcie wydorosłejesz?”.

– Druidzi – mruknął, a potem nagle wskazał palcem coś za mną. – Uważaj, gliny!

Obejrzałem się za siebie, ale nikogo nie zobaczyłem. Gdy się odwróciłem, Jezusa już nie było.

– Punkt dla ciebie – powiedziałem, wznosząc oczy ku niebu. – Niezły żarcik.

Ale on nie żartował. Za chwilę z przejścia prowadzącego do Rúli Búli wyłonili się policjanci i od razu mnie zobaczyli na środku podwórza.

– Proszę pana, musimy z panem porozmawiać – powiedział pierwszy z nich.

Na podwórzu przed hotelem było kilka marnych kępek trawy, na których rosły sobie jakieś palmy. Stałem przy jednej z nich i uśmiechnąłem się do policji, pobierając moc z ziemi, żeby napęlić niedźwiedzi charms. Nim mieli czas mnie usidlić na długie godziny przesłuchań, rzuciłem na siebie kamuflaż i umknąłem, by mogli sobie oszołomieni zdjąć przeciwsłoneczne okulary i przyglądać im się długo w poszukiwaniu wyjaśnienia tego zjawiska.

Świadom swoich zobowiązań zakradłem się do Rúli Búli, żeby uregulować rachunki z Flanaganem i zostawić szczodry napiwek. Przyda się tyle dobrej karmy, ile tylko się da.

Rozdział 12

Są takie wydarzenia w życiu, o których się wie, że nigdy nie da się już ich powtórzyć. Pierworodne dziecko nie może urodzić się dwa razy; nie odzyska się straconego dziewictwa; i z niczym nie da się porównać podziwu, który wywołuje położenie rąk na pniu sekwoi. Inne wydarzenia natomiast uciekają nam niezauważone, przeciekają przez palce i nie doceniamy ich, póki nie jest już za późno na cokolwiek poza żalem, że się w danej chwili nie było bardziej uważnym.

Ja najbardziej zawsze żałuję straconych okazji, by się pożegnać z dobrymi ludźmi, życzyć im długiego życia i powiedzieć im ze szczerego serca: Budujesz, a nie niszczysz, siejesz dobro i zbierasz jego plony, z każdym twoim krokiem rozkwita kolejny uśmiech szczęścia, twoją życzliwość zachowam troskliwie, by przekazać innym. W tej krainie pełnej lęku i zmartwień twoje życie jest jak kojący powiew spokoju.

Zbyt wiele razy nie udało mi się tego powiedzieć, choć powinienem był. Zbyt często żegnałem bliskich jakimś odpowiednikiem „To do następnego, stary!”, by jakiś czas potem okazało się, że nie będzie już żadnego następnego. Nie chciałem, żeby tak się stało też z wdową MacDonagh.

Lecz gdy dotarłem do jej domu, zorientowałem się, że przegapiłem ten moment. Wdowa nie siedziała na werandzie, nie sączyła whisky i nie witała mnie z uśmiechem. Jej żółty domek wydał mi się smutny i opuszczony. Zadzwoiłem, potem zapukałem, ale nikt mi nie odpowiedział. W domu panowała ciemność. Zwykle miała zapalone światła nawet w dzień, powiedziałem więc sobie, że pewnie wyszła. Zmartwiony, że mogę stracić szansę pożegnania się, wyciągnąłem kosiarkę i zacząłem kosić trawnik przed domem, żeby nie czekać na nią bezczynnie. Gdy skończyłem pracę i nadal byłem sam, chwyciłem za sekator i zabrałem się do przycinania jej grejpfutowego drzewka, wciąż się niepokojąc, że jeśli nie wróci przed zmrokiem, będę musiał zniknąć bez pożegnania, a przecież może się zdarzyć, że już jej nigdy nie zobaczę. To by oznaczało, że moje ostatnie słowa do niej, które rzuciłem lekko w środę, gdy zostawiłem jej Oberona, brzmiałyby: „To do zobaczenia”. Było to pożegnanie tak nieodpowiednie, że aż mi się serce ścisnęło na myśl, iż na tym mielibyśmy poprzestać.

Pojawiła się wreszcie po czwartej. Podwiozła ją przyciężkawym minivanem pani Murphy, sąsiadka wdowy, która ogólnie uważała mnie za wiecznego studenta i darmozjada, ale tym razem niezwykle się ucieszyła na mój widok. Wyglądała na porządnie wymęczoną, a na tylnych siedzeniach hałasowało aż czworo jej dzieci. Pewnie bała się je zostawić bez nadzoru na tę chwilę potrzebną na otworzenie drzwiczek przed wdową.

– Dziękuję – sapnęła, gdy rzuciłem się pomóc wdowie wysiąść z vana. Odjechała z piskiem opon, nim mieliśmy czas oddalić się od niego na trzy kroki. Domyśliłem się, że pewnie ktoś z tylnego siedzenia musiał pilnie udać się do toalety.

– Bogu dzięki, że tu jesteś, Atticusie – wyszeptęła słabym głosem wdowa. Była zgarbiona, policzki miała pobladłe, a oczy podkrążone ze zmęczenia. – Ta cała Murphy to kochana dusza, ale wychowuje całe stado potwornych bachorów, jeśli by mnie kto pytał o zdanie.

– No ale przynajmniej to irlandzkie bachory – zauważyłem na pocieszenie. – Mogły być angielskie.

– To prawda, trzeba być wdzięcznym Bogu za takie błogosławieństwa, kochanieńki. – Zachichotała cicho i śmiech nieco ją ożywił. – Widzę, że skosiłeś mi trawnik i przyciąłeś drzewko. Kochany chłopak. – Poklepała mnie po ramieniu. – Dziękuję, słonko.

– Nie ma za co, pani MacDonagh.

Położyła mi rękę na ramieniu, żeby nie stracić równowagi.

– Pomógłbyś staruszce wdrapać się na werandę? Już nie jestem taka żwawa jak kiedyś, o nie.

– Oczywiście, proszę pani. – Gdy szliśmy powoli w stronę jej ulubionego krzesła, opierała się ciężko na lewej nodze. – Gdzie się pani podziewała? Nie widziałem pani od środy.

– Byłam u tego cholernego doktora. A to mnie kłuł, a to mnie prześwietlał i w końcu za wszystko skasował fortunę, tylko po to, żeby mi powiedzieć, że źle ze mną, co przecież i tak wiedziałam, zanim w ogóle weszłam do jego cholernego gabinetu.

– Ale co się dzieje?

– Nic. Po prostu jestem starsza niż Matuzalem i tyle. Ciało mi nawala, Atticusie. Mówi mi, że ma już dość bycia sexy przez taki szmat czasu, he, he.

– Ale tak poważnie, pani MacDonagh, co się dzieje?

– E, nic, naprawdę. – Jęknęła cicho, gdy pomagałem jej usiąść na krześle. – Nie będę ci tu zawracać głowy listą plag, które mnie nawiedziły, bo ciągnie się ta lista chyba na milę, a i tak najlepsze lekarstwo na nie wszystkie to pogadać sobie z kimś od serca. Napijesz się ze mną szklaneczkę irlandzkiej, kochanieńki?

– Jasne, mam właśnie wolną chwilę i wiem, że nigdzie indziej nie spędzę jej tak miło jak u pani.

Wdowa rozpromieniła się w uśmiechu, a jej oczy zalsniły ze wzruszenia.

– Kochany chłopak. Czekał, dam ci klucze. – Pogrzebała w torebce i podała mi je, więc wszedłem do środka i naszykowałem dwie szklaneczki Tullamore Dew z lodem.

– Wyśmienicie – ucieszyła się. Upiła łyk i westchnęła z zadowoleniem. – Atticusie, muszę ci coś powiedzieć. Myślę, złotko, że długo już tu nie zabawię. Wkrótce znów będę z moim Seanem, niech spoczywa w pokoju. Grób mi jest każdą trzecią myślą. – Popatrzyła na mnie sponad swojej whisky. – Tak napisał ten cały Szekspir, prawda?

– Tak. Parafrazuje pani wypowiedź Prospera z *Burzy*.

– Yhmy. Ten Szekspir to był chyba jedyny Angol wart mleka matki. Ot co. Naprawdę mądry człowiek.

– Nie mogę się z panią nie zgodzić.

– Dobra, w każdym razie, Atticusie, chcę przez to powiedzieć, że byłeś mi błogosławieństwem na starość. Dziękuję za to memu Panu i modlę się za ciebie każdego dnia, mimo że nie wierzysz w naszego Zbawiciela.

– Co to, to nieprawda. Wierzę święcie, że umie odwalać całkiem niezłe cuda – zapewnilem ją, znów sobie przypominając, jak mi wyleczył rany, jak pomnożył fish'n'chipsy i nappełnił futerał dolarami. – Tylko go nie czczę.

Wdowa popatrzyła na mnie zbity z pantaląku.

– Z ciebie to jest jednak dziwoląg. Już zupełnie nie wiem, co mam o tobie myśleć.

– Wie pani wszystko, co trzeba. Jezus był naprawdę i dalej jest. Niech się pani tego trzyma i tyle.

– Trzymam się tego całe życie, Atticusie. I nie zamierzam nagle tego wypuścić z rąk.

– I dobrze.

– Moje dzieci pewnie tu wkrótce do mnie wpadną, bo im się będzie zdawało, że jak się ładnie postarają, to jeszcze zmienię testament na ich korzyść, czeka mnie więc cała masa pieśczęt i całusów, to jest jeśli uda mi się tego dożyć. Ale jeśli pójdę do Abrahama na whisky, zanim tu przyjadą, dasz im znać? Zostawię ich telefony na drzwiach lodówki.

– Och. – Wbiłem wzrok w podłogę. – Pani MacDonagh, to mi się chyba nie uda. Widzi pani, przyszedłem tu dziś, żeby się z panią pożegnać.

Odstawiła szklaneczkę i spojrzała na mnie uważnie.

– Pożegnać się?

– Też muszę skoczyć w zaświaty – mruknąłem. – Tylko nie na whisky, niestety, i nie do Abrahama. No i zamierzam raczej wrócić, choć nie wiem, czy się uda, więc chciałem się właśnie z panią pożegnać.

– Ale dokąd to się wybierasz, chłopcze drogi? Przecież ledwo co wróciłeś z jakiejś strasznej wyprawy!

– Tak, ale muszę tam wrócić na jeszcze jedną robotę, znacznie bardziej niebezpieczną. Granuaile zabrała Oberona na kilka dni na małą wycieczkę, ale jak wróci, to by go tu do pani podrzuciła. Może tak być?

– Ale jak długo cię nie będzie?

– Co najmniej tydzień, ale może się przeciągnąć do trzech. Jeśli nie wrócę po trzech, to znaczy, że już nigdy nie wrócę.

– O nie, teraz to dopiero się będę o ciebie zamartwiać – zaczęła gderać. – Będę sobie oglądać *Koło Fortuny* i jakiś głupek będzie chciał kupić samogłoskę, i trafi mu się A, to zaraz będę się zastanawiać, gdzie się podziewa mój szalony chłopak Atticus i w jakie to straszne tarapaty się znowu wpakował.

– Przecież nie ma mnie pani za szaleńca – zaoponowałem.

– Nie miałam, póki nie zaczęłaś tracić uszu i ich sobie znów sprawiać w zawrotnym tempie. – Roześmiałem się. – A co? Myślałeś, że nie zauważę, co? Może i moje nogi są już do niczego, ale wzrok mam jeszcze całkiem niezły.

– W ogóle jest z pani niezły numer, pani MacDonagh – powiedziałem z uśmiechem, który robił się coraz smutniejszy. – Niezła dziewczyna.

– Cicho. Już naprawdę żadna ze mnie dziewczyna.

– Serce ma pani młodej dziewczyny, a duszę tak lekką jak płatek róży i czystą jak kryształ.

– Ho, ho, to mi pokadziłeś, chłopcze. – Zachichotała wesoło.

– Nic nie przesadzam – zapewniłem ją równie wesoło. – Przez kilka sekund słysząc było tylko gruchanie gołębi na jej grejpfrutowym drzewku, a potem zwróciłem się do niej już zupełnie poważnie. – Spotkał mnie wielki zaszczyt, że mogłem panią poznać i być pani przyjacielem. I nie kłamię tu ani trochę. Znałem w życiu wielu ludzi, rozumie pani, całe tysiące, bo żyję już dość długo. Ale pani... świat jest po prostu lepszym miejscem dzięki temu, że pani tu jest. Chciałem tylko, by pani o tym wiedziała.

Wdowa wyciągnęła rękę i poklepała mnie po dłoni.

– Och, Atticusie, to takie kochane z twojej strony.

Przykryłem jej dłoń swoją i uścisnąłem ją delikatnie. Potem westchnąłem i już tylko rozkoszowałem się zimnym pieczeniem whisky w gardle.

Gdy człowiek się pożegna w odpowiedni sposób, daje mu to wewnętrzny spokój. To jak założenie magicznego splotu i choć nie ma w nim mocy ziemi, to z pewnością jest jakaś inna magia tego świata.

Rozdział 13

Te kilka godzin u wdowy minęło jak z bicia trzask. O zachodzie słońca zadzwonił Leif. Zajechali po mnie do pani MacDonagh wynajętym fordem mustangiem GT, jako że w trójkę nie wcisnęlibyśmy się do żadnej z ich sportowych gablot. Zauważyłem, że samochód jest czarny, nie srebrny, musiał więc za niego zapłacić Leif.

Zatęskniłem za Oberonem. Na pewno by jakoś skomentował to połączenie zabójczych zapachów: Przemysłowy Odświeżacz Powietrza plus Mokry Pies plus Bukiet Aromatów Trupich. Uściskałem wdowę, ucałowałem ją w oba policzki, a potem zapakowałem się na ciasne tylne siedzenie. Gunnar już był cały najeżony.

– Dobrze zapanij pas, on jeździ jak wariat – poradził mi.

Obaj byli z Leifem ubrani znacznie praktyczniej niż poprzedniego wieczoru, ale i tak udało im się wyglądać ciut głupawo i zupełnie nie na czasie. Gunnar zarzucił srebrne kolory, może dlatego że i tak nie będzie go teraz przez jakiś czas widział nikt z Watahy. Miał na sobie koszulkę do rugby w biało-niebieskie pasy, trochę obcisłą w klatce i w ramionach, oraz dzinsy i ciężkie buty, jakie noszą robotnicy na budowie. Leif wyglądał całkiem nieźle – czarna skórzana kurtka, czarny T-shirt i czarne dzinsy – póki się nie spojrzało na jego obuwie. Nogawki spodni wcisnął w potężne wojskowe buciory z cholewami aż do pół łydki, zapinane na zamek z boku. Bez tych butów mógłby może uchodzić za jakiegoś modnego grafika, ale on wyglądał jak niespełniony muzyk punkowy, do którego nie dotarło jeszcze, że czasy buntu młodości już dawno minęły. Rzuciła się też w oczy jego biżuteria, czego nigdy przedtem u niego nie widziałem: na szyi dyndał mu naszyjnik z wisiosem z kutego srebra, stary pogański symbol noszony w Skandynawii, zanim zapanowała tam moda na chrześcijańskie krzyże.

– Pan Magnusson chciał przez to powiedzieć, że wariaci jeżdżą jak wampiry – wyjaśnił Leif. – Szanowny szef naszej kancelarii nie docenia mnie zupełnie.

– O czym my w ogóle mówimy? Doceniam głównie fakt, że przeżyłem te cztery czerwone światła, na których przejechałeś – syknął Gunnar.

Leif puścił to mimo uszu.

– Dokąd zatem? – spytał mnie.

– Podjedź jeszcze pod mój dom. Muszę zabrać kołczan ze strzałami.

– Dobrze – odrzekł Leif i ruszył bardzo powolnym tempem konduktu pogrzebowego, a ja z trudem powstrzymałem uśmiech. Robił to na złość Gunnarowi i byłem pewien, że będziemy się tak wlec, póki Gunnar mu nie powie, żeby jednak przyspieszył.

Nim dotarliśmy do Jedenastej, Gunnar niemal całkiem stracił cierpliwość, ale cieszę się, że jechaliśmy tak wolno. Gdy wyjechaliśmy zza rogu, Leif zatrzymał samochód i wbił wzrok w coś na ulicy. Gunnar też coś wyraźnie wyczuwał. Przerzuciłem się na szkło faeryczne i wtedy też to zobaczyłem. Coś nader potężnego dobrało się do mojego domu. W spektrum magicznym widziałem lśniąca białą postać człekokształtną stojącą tuż przy moim jadłoszynie i wymachującą rękami na bluszcz, najwyraźniej nakazując mu zarosnąć mój dom. Sądząc po natężeniu bieli w aurze tej postaci, musiał to być jakiś bóg. Tuż obok, na ulicy, dwie pantery zaprzęzione do rydwanu zastrzygły na nas uszami. Wokół nich widać było magiczne zakłócenia.

– Wiesz co, Leif? W sumie tak bardzo mi na tych strzałach nie zależy. Mógłbyś się jakoś zgrabnie wycofać i zabrać nas stąd jak najszybciej?

– Czy to nie...

– Nawet nie wymawiaj jego imienia. Tak, to rzymski bóg wina.

– Ale co on tu robi? – warknął Gunnar.

Leif zawrócił i ruszył swoim mustangiem jak wampir. Opony zapiszczały, gdy popędziliśmy z powrotem na Roosevelt Street. Leopardy zamruczały nieprzyjemnie, a ich lśniąca postacie obejrzały się za nami. To by było na tyle, jeśli chodzi o moje ciche zniknięcie.

– No... chce mnie dorwać oczywiście. On...

– Dokąd jedziemy? – przerwał mi Leif.

– Na US 60, a potem na wschód.

Leif wcisnął gaz do dechy i pomknęliśmy w stronę autostrady z karygodną prędkością, tak że mogłem się jeszcze ledwie sekundę napawać widokiem Jedenastej i znajomej okolicy. Wyłączyłem szkło faeryczne, a biała postać zmieniła się w Bachusa, który właśnie wskakiwał do swojego środka lokomocji. Nie był to na pewno zniewieściały chłopczyk Caravaggia czy Tycjana ani też pulchny dzieciak Guidona Reniego. Bardziej przypominał silnego, umięśnionego typu z *Midasa i Bachusa* Poussina, z tą różnicą, że skórę miał aż czerwoną z wściekłości, a oczy zupełnie szalone. Może i miewał lepsze dni, kiedy prezentował się wdzięczniej i bardziej zniewieściale, ale tym razem na pewno nie był w rozleniwionym nastroju. Postanowił objawić się nam jako uosobienie furii, jako bóg wina i winnych, czyli nas.

– Wygląda na to, że zaliczymy dziś też wyścig rydwanów. – Bardzo byłem z siebie dumny, że udało mi się powiedzieć to zupełnie spokojnym tonem, gdy tymczasem miałem ochotę wrzeszczeć: „SZYBCIEJ, DO CHOLERY, GAZU I SPADAMY!!!”. Sęk w tym, że każdy z nas miał być niby supertwardzielem. Gra toczyła się nie tylko o nasze życie, ale i o punkty testosteronowe. Żaden z naszej trójki nie mógł sobie pozwolić na chwilę słabości i niepokoju, bo skazałby się tym samym na bezlitosne drwiny pozostałych.

– Jak daleko jest to miejsce? – spytał Leif. – To, z którego się będziemy wynosić na tamten świat?

– Około dwóch i pół godziny. – Z metropolii Phoenix naprawdę nie dało się dotrzeć szybciej do żadnego zdrowego lasu. Zresztą między innymi z tego powodu wybrałem kiedyś tę okolicę. Przynajmniej żadne faerie nie mogły się do mnie łatwo dostać. – Ale to zależy od tego, jak szybko będziesz jechał.

Wampir zarechotał i jeszcze przyspieszył.

– No to nas załatwiłeś – mruknął Gunnar. – Już po nas.

Ponieważ miał to być żart i zarazem krytyka jazdy Leifa, nie stracił przez to żadnych punktów testosteronowych.

Leif szarpnął kierownicą na lewo i wypadł na Trzynastą, prując w stronę Mill Avenue. Stamtąd będzie mógł pojechać na południe prosto na US 60, a na autostradzie będzie w stanie rozwinąć naprawdę odpowiednią prędkość.

Walka z Bachusem po prostu nie wchodziła w grę. W przeciwieństwie do bogów nordyckich czy Tuatha Dé Danann bóstwa greckie i rzymskie naprawdę są nieśmiertelne, nie da się więc ich zabić – można je co najwyżej wkurzyć. To dawało im sporą przewagę w każdej bójce. Mimo woli wyrwały mi się słowa:

– „Dosiądź więc mego najszybszego konia, a ci powiem, jak z rąk nieprzyjaciół śpieszną ucieczką możesz się ratować. Nie trać więc czasu, [...] drogi synu!” – zacytowałem *Henryka VI*, część pierwszą. Na tym właśnie polega geniusz Szekspira, że facet ma coś do powiedzenia na każdą okazję, nawet na ucieczkę mustangiem przed rzymskim bogiem.

Leif posłał mi poirytowane spojrzenie i odciął mi się gderliwym głosem starego Kapuleta.

– „Cicho! burdą jesteś”.

Nie to nawet, że się nie zgadzał jakoś z moim cytatem, tylko chyba z samym pomysłem, żeby rozpoczynać pojedynki na Szekspira podczas śmiertelnie niebezpiecznego wyścigu.

– Naprawdę myślisz, że zawracałbym ci głowę, gdy jesteś zajęty wyciąganiem nas z

kłopotów? – spytałem. Powinienem być przeprosić i na tym zakończyć, ale po prostu nie mogłem się powstrzymać, żeby nie dodać jeszcze tego wersu z Hamleta. – „Myśl taka, panie, nie przeszła mi przez głowę”.

Gunnar jęknął i schował twarz w dłoniach. Już wiedział, co się święci.

Wysiłki Leifa, by jak najszybciej przemknąć przez Tempe, wydały się nieco jałowe, gdy Bachus uniósł się w powietrze (jego pantery były z tych latających) i zrównał się z nami, kiedy zwolniliśmy przed skretem w Mill Avenue. Usłyszeliśmy warczące nad nami zwierzęta, a potem jeszcze boski ryk, który miał nas wpędzić w panikę. I pewnie byśmy w nią wpadli, gdyby tylko któryś z nas był podatny na tego rodzaju magię. Gdy skręcaliśmy, o dach zaskrobały pazury.

– „Przebóg! Cóż to za hałas?” – rzekł Leif z uśmiechem, wczuwając się w sytuację, której makabryczny fatalizm oznaczał, że równie dobrze możemy się jeszcze zabawić póki czas. Mimo to jednak ostrożnie wyciągnąłem Fragaracha, na wypadek gdyby dach nie wytrzymał ciężaru i musielibyśmy odpierać atak z góry. Kark Gunnara zaczął się nieprzyjemnie marszczyć, a jego wilk walczył o wolność. Nie bardzo mu się podobało, że musi siedzieć na miejscu pasażera, zupełnie bezsilny, i tylko liczyć na to, że uda nam się umknąć rozsierzdzonemu bogu.

Usłyszeliśmy jeszcze kilka zgrzytów po lakierze, aż zacisnęliśmy zęby od tego okropnego dźwięku, i w końcu mustang wyskoczył do przodu spięty, a raczej przyciśnięty ciężkim butem Leifa.

– Mam tylko nadzieję, że wykupiłeś dodatkowe ubezpieczenie – zauważył Gunnar.

– Oczywiście! – zapewnił go oburzony Leif. – Za kogo ty mnie masz? Za wariata czy co?

Za nami ryczały klaksony, a ludzie przed nami wciskali hamulce do dechy na widok czarnego mustanga ściganego przez lecący rydwan. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że wszyscy świadkowie będą się dziś leczyć nieprzyzwoicie dużą dawką procentów, gdy tylko dotrą do domu.

Zapanował kompletny chaos, co wprawiło Leifa w zachwyt. Walił w klakson i mrugał na ludzi światłami, żeby mu zjeżdżali z drogi.

– „A ja pójdę walczyć z niepodobieństwami i wsiąść im na kark. Cóż jest do roboty?” – przechwalał się słowami Ligariusza z *Juliusza Cezara*.

Wątek rzymski mnie z kolei przypomniał o idealnym wprost cytacie z *Antoniusza i Kleopatry*.

– „Przybądź, przybądź, bogu szklenic! Świeć nam blaskiem twoich źrenic!” – zawołałem, a Leif drgnął, co uznałem za znak, że go jednak przebiłem.

Zaklął na pewno w duchu, że sam wcześniej tego nie zacytował (jeśli w ogóle znał ten kawałek). Punkcik dla mnie, nawet całkiem odblaskowy punkcik. Nie tak łatwo mu będzie odpowiedzieć.

Uciec Bachusowi też nie było takie proste. Gdy tylko schodziliśmy poniżej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, jego pantery natychmiast próbowały się przebić pazurami przez nasz dach. Ale sam Bachus nie jest też mistrzem sztuk walki. Jego tyrs zakończony jest sosnową szyszką i przez nic by się nie przedarł, może poza papierem toaletowym. Z drugiej strony bóg wina może się pochwalić imponującą siłą fizyczną – tak jak i jego bachantki – toteż jeśli już nas dorwie, to raczej nie będziemy mieli dużych szans się wymknąć w jednym kawałku.

Przed wjazdem na autostradę zabłysło przed nami czerwone światło. Na każdym pasie stały co najmniej cztery samochody i Leif zupełnie nie miał jak się przebić.

– To może być problem. Może się rozdzielimy? – zwrócił się do mnie, wskazując dłonią przeszkody. – Ty wyskocz z samochodu i niech on cię goni, a wtedy my z Gunnarem spadniemy na niego z tyłu.

Wygiąłem się, tak żeby zobaczyć, jak się ma nasza pogoń. Pantery trochę mi zasłaniały Bachusa i właśnie dzięki temu wpadłem na pewien pomysł.

– Nie. Myślę, że uda mi się go spowolnić.

Skoncentrowawszy się na szyszce z tyrsu, którym bóg wymachiwał wysoko nad głową, założyłem wiązanie łączące czubek szyszki z wąską łatą sierści między oczami jednego z leopardów. Nie robi to zwierzęciu żadnej krzywdy, ale je zdezorientuje. Gdy zakończyłem splatanie, Bachus był równie wyglupiony jak jego kotek, bo w życiu by się nie spodziewał, że tyrs może wystrzelić mu z dłoni i wylądować między oczami jego pantery. Zaklął siarczyście, kiedy zwierzak zawył i zaczął się pacać łapami po głowie, gdy tymczasem drugi nadal biegł, przez co rydwan zaczął się kręcić w powietrzu. Żeby opanować sytuację, Bachus będzie musiał zlecieć na ziemię. I rzeczywiście po chwili już lądował na ulicy za nami, gdy my zwalnialiśmy przed światłami.

Leif i Gunnar obejrżeli się, żeby popatrzeć, jak Bachus męczy się z parą wzburzonych wielkich kotów.

– LOL, kotki się wku***. ROTFL!! – zawołałem. Odwróciłem się, żeby się pośmiać z kumplami, ale oni wpatrywali się we mnie groźnie. – Co jest?

Leif pogroził mi palcem przed nosem i surowym, niskim tonem zapowiedział:

– Jeśli będziesz mi tu wmawiał, że aby pasować do tego społeczeństwa, muszę mówić jak niepiśmienny półgłówek, to cię strzele.

– A ja ci wyrwę tę twoją bródkę – dodał Gunnar.

– Język lolkotów to taki niu lej na spikanie – wyjaśniłem im. – Nie mus kotem być, coby tak spikać.

Leif uniósł pięść, a ja obie ręce.

– Dobra, dobra, już przestaję. A tak na marginesie, to mamy zielone.

Pokręcił głową i znów spojrział przed siebie, naciskając na gaz.

– Nie pojmuję, jak możesz przechodzić płynnie od Szekspira do tej żalosalnej namiastki języka.

Nie odpowiedziałem, bo zacząłem się poważnie martwić o panterę. Rzuciła się właśnie z pazurami na Bachusa, który chwycił mocno za szyszkę i wyglądał na tak rozsierzonego, że być może zaraz będzie próbował wyrwać ją siłą, przy okazji zdzierając zwierzęciu sierść z pyska. Toteż póki jeszcze miałem ich w polu widzenia, poluzowałem sploty na panterze i związałem szyszkę z tyrsu ze skórą między oczami samego Bachusa. Niech sobie zrywa własną skórę, jak ma ochotę. Barbarzyński jazgot aż zatrzęsł naszymi oknami, gdy zniknęliśmy, wjechawszy wreszcie na autostradę.

– I to by było na tyle? – spytał Gunnar. – Zgubiliśmy go?

– Chwilowo – mruknąłem. – Pewnie jest na tyle bystry, że się domyśli, dokąd jedziemy. Już nieraz miał do czynienia z druidami. A na dodatek może lecieć na skróty, przez co bardzo zyska na czasie.

– Innymi słowy chcesz powiedzieć – rzekł Leif, mijając inne samochody z przerażającą prędkością – że powinienem jechać trochę szybciej.

– Tak, ale z zastrzeżeniem, że wolelibyśmy jednak do celu dotrzeć żywi i w jednym kawałku.

Usiłowaliśmy w miarę możliwości wyluzować, gdy w Superior zjechaliśmy z autostrady, a potem skręciliśmy w drogę 177, na południe, w kierunku małej miejscowości Winkelman. Kiedy akurat ściga cię bóg, nader trudno udawać, że nic się nie dzieje, ale staraliśmy się ze wszystkich sił, bo wymagały tego zasady machismo. Rozmawialiśmy sobie o tym i o tamtym, jakbyśmy wybrali się na niewinną przejażdżkę, a nie uciekali w panice. Leif zabawił nas

opowieścią o swoich osiągnięciach z zeszłego wieczoru, z dokładnością komentatora sportowego relacjonując akcję zlikwidowania sześćdziesięciu trzech wampirów.

– W epoce elektryczności kluczem do wywołania chaosu jest pozbawienie ludzi prądu – rozpoczął. – Dlatego wyłączyłem nie tylko transformator stadionu, ale i zapasowe generatory. To z kolei oznaczało, że kamery są zupełnie do niczego, a jedyne, co zobaczą ludzkie oczy, to niewyraźne błyski. Kamery z komórek nie działają najlepiej przy tak słabym oświetleniu. Mogłem więc się bez przeszkód przemieszczać po całym stadionie i polować sobie spokojnie na gniazdo z Memphis. Zamiast trzymać się razem, tworząc szeregi nie do zdobycia, ci durnie rozproszyli się wśród tłumu. – Zaśmiał się szaleńczo we wstecznym lusterku. – Młodość i naiwność zginęła z ręki doświadczenia i przebiegłości.

– Gazeta nic nie wspominała o tym, żeby z tymi ciałami było coś nie tak, ale pewnie dopiero dzisiaj to odkryją – zauważyłem. – Pewien jestem, że jutrzejsze nagłówki będą wyjątkowo zajmujące. A może nawet już coś niecoś jest o tym w Internecie. Nie boisz się, że istnienie wampirów wyjdzie na jaw?

Leif wzruszył ramionami.

– To, że ja istnieję, pozostaje tajemnicą. A o resztę będę się martwić, jeśli wrócę.

– Kiedy – poprawił go z naciskiem Gunnar – nie jeśli.

– Ale, Leif, na pewno kilka z tych ciał stało w płomieniach, gdy tylko musnęły je promienie słoneczne – nie dawałem za wygraną. To raczej powinno im dać do myślenia. I nawet zupełnie niekompetentny koroner zauważy, że te trupy zmarły znacznie wcześniej niż wczoraj w nocy. Spójrz prawdzie w oczy. Właśnie uświadomiłeś ludziom, że wampiry naprawdę istnieją.

– Nic z tych rzeczy. Płomienie zrzucą na niewykryte wycieki łatwopalnych gazów lub cieczy. A koroner, który zasugeruje, że te ciała należały do wampirów czy innych martwiaków, natychmiast straci pracę. Jeśli nawet coś odkryją, ich rewelacje zostaną wyśmiane i odrzucone przez społeczeństwo wykarmione na nauce i sceptycyzmie.

Pokręciłem głową.

– Ty to musisz mieć wielkie włochate jaja – stwierdziłem i zaraz dodałem – chyba że ich w ogóle nie masz. Powiedz mi, Leif, jak to jest, wampiry mają jaja czy nie?

Gunnar usiłował zdusić śmiech – bezskutecznie.

– Atticusie? – rzekł Leif.

– Tak, Leifie?

– Masz moje osobiste pozwolenie, żeby się odpieprzyć – syknął, a następnie jak gdyby nigdy nic kontynuował swoją zabójczą historię polowania, której punktem kulminacyjnym było poćwiartowanie przywódcy gniazda Memphis.

Z Winkelman pojechaliśmy na południe drogą stanową 77, gdzie przyczepił się do nas jakiś policjant, którego zaniepokoił pędzący szaleńczo muscle car. Leif zdjął nogę z gazu i oddał Gunnarowi kierownicę, a potem otworzył okno i wychylił się, głowę obracając do tyłu. Spojrzał nieszczęsnemu policjantowi w oczy i było po wszystkim. Po chwili syreny ucichły, a radiowóz zjechał na pobocze.

Leif schował się z powrotem do samochodu i poświęcił chwilę na poprawianie sobie w lusterku rozwianej fryzury, gdy tymczasem Gunnar nadal prowadził z fotela obok. Zachichotałem.

– Ma pan coś do powiedzenia, panie O'Sullivan? – zapytał Leif wyniośle.

– Proszę, niech się pan nie kłopotuje tak swoim wyglądem, panie Helgarson – odparłem. – Mogę pana zapewnić, że wygląda pan naprawdę prześlicznie.

Gunnar prychnął, a Leif uniósł dumnie brodę.

– Za nic mam zawistne drwiny brzydkich mężczyzn – oświadczył.

– O tobie mówi, Atticusie – zwrócił mi uwagę Gunnar.

– Twoja mama o mnie mówiła – odparowałem, a wilkołak natychmiast stracił poczucie humoru i warknął głucho. Uśmiechnąłem się i już nic nie powiedziałem. Leif też milczał na wszelki wypadek. Nie należy za bardzo drażnić wilkołaka.

Skręciliśmy w lewo, w Aravaipa Road, i jechaliśmy kilkanaście mil, przy czym większość drogi po żwirze. Kanion Aravaipa nie jest, ściśle mówiąc, zalesiony, ani też nie rosną w nim dęby, jesiony czy głogi, ale mimo to jest zdrowym, zarośniętym terenem nad rzeką, na tyle silnym, że jest w stanie utrzymać nic do Tír na nÓg. Bytuje tu ponad dwieście gatunków ptaków, dziewięć gatunków nietoperzy, rozliczne ryby oraz niedźwiedzie czarne, rysie rude, owce pustynne i ostronosy. Przeważają drzewa liściaste, olchy, wierzby, orzechy włoskie, topole i jawory, stojące na straży wiecznego nurtu strumienia Aravaipa. W okolicy Tempe rośnie kilka prawdziwych lasów z mocniejszymi powiązaniem z Tír na nÓg, ale ponieważ chciałem się wydostać jak najszybciej z miasta, to była najlepsza opcja.

Wytarabaniliśmy się z mustanga, a Leif zostawił kluczyki w stacyjce. Włączyłem sobie noktowizję i zdjąłem sandały, które niosłem teraz w lewej ręce. Wejście do lasu było zamknięte, ale przeskoczyliśmy ogrodzenie i pobiegliśmy w stronę strumienia. Na górze nie było wystarczająco dużo dzikiej natury. To dno kanionu obfitowało w faunę i florę.

– Jak daleko musimy biec? – spytał Gunnar.

– Tylko z milę i już powinniśmy dać radę się przenieść – odpowiedziałem mu. – Ale miejcie uszy i oczy szeroko otwarte, dobra? – Gdy byłem w ludzkiej postaci, mój wzrok i słuch nie dorównywał ich zmysłom. – Nie wierzę, że Bachus po prostu się poddał.

Pędziliśmy bez trudu przez noc, a ja w tym czasie porozumiewałem się z Sonorą, żeby dać mu – lub jej, jak się upierała Granuaile – znać, że mam nadzieję wkrótce wrócić.

Jakieś pół mili od celu Gunnar nagle obejrzał się za siebie, a ledwie sekundę później Leif zrobił to samo.

– Zbliża się – szepnął Gunnar.

– Starczy już tego joggingu – zdecydowałem. – Leif, ty z nas jesteś najszybszy na dwóch nogach. Uniesiesz nas obu?

– Ale ja nawet nie wiem, dokąd biegniemy – zaprotestował.

– Prosto przed siebie. To jest przecież wąwóz, raczej nie da się tu zgubić. Powiem ci, kiedy się zatrzymać, i wtedy zaczniacie rzucać w niego kamieniami czy coś, bylebyście go czymś zajęli, zanim będę mógł nas przepchnąć na Tír na nÓg.

Gunnarowi wcale nie przypadło do gustu to, że ma być przez kogoś niesiony, ale widział, że nie ma innego wyjścia. Nie było szans, żebyśmy biegli szybciej, niż latają pantery. Leif z łatwością zarzucił sobie każdego z nas na jedno ramię i pomknął przed siebie. Przypominało to niestety trochę jazdę na Ratatosku. A jednak nawet wampir nie był w stanie biec równie prędko jak mityczne koty. Usłyszeliśmy za plecami ich ryk, a zaraz potem zwycięskie „Ha!” Bachusa. Nagle Leif się gwałtownie zachwiał, a my poleciliśmy do przodu i wylądowaliśmy boleśnie na pniu topoli. Zerwałem się na równe nogi i ujrzałem, że kończyny Leifa spętane są bluszczem czy też inną winoroślą. Bachus mknął prosto na nas, a jego twarz przypominała maski teatralne mające przedstawiać szal, w który jakoby wpędzał ludzi.

Cóż, zdrowy rozsądek zawsze przewyższa szaleństwo. Wysłałem więc do Sonory następujący komunikat drogą ziemską:

//Druid potrzebuje przysługi / Zapobiec szybkiemu wzrostowi roślin / Moje położenie / Teraz / Wdzięczny//

Gunnar już zrzucał z siebie buty i dżinsy i dosłownie wilczał w oczach. Nie przejmował się natomiast koszulką rugby, uznawszy widać, że dla większego efektu lepiej, żeby mu się

dramatycznie rozdarła podczas transformacji.

– Pomęcz tylko te kociaki – poprosiłem, czekając na odpowiedź Sonory. – Z bogiem nawet nie próbuj.

Gunnar zdołał jeszcze mi kiwnąć głową, nim twarz wydłużyła mu się w pysk i zatracił resztki ludzkich rysów.

//Oto przysługa// odparł Sonora, a ja podziękowałem mu serdecznie. Bachus wylądował i spuścił pantery z zaprzęgu, rzucając im jeszcze łaciński odpowiednik „Bierzcie ich!” na zachętę, po czym sam wyskoczył z rydwanu. Zwierzęta rzuciły się na Leifa, który już się na szczęście zdołał wyplątać z roślinek. Uskoczył przed nimi błyskawicznie jak to wampir, a one poleciały dalej siłą rozpędu, Leif natomiast ruszył podjąć walkę z bogiem wina, który – co ciekawe – nie miał przy sobie tyrsu, ale poza tym nic w jego zachowaniu nie wskazywało na to, że jeszcze godzinę temu tkwiła mu między oczami sosnowa szyszka. Gunnar tymczasem rzucił się w stronę panter.

– Po prostu ciśnij nim do strumienia, Leif. Nie siłuj się z nim! – wrzasnąłem, gdy Gunnar i pantery zmienili się w warczący kłęb sierści, pazurów i kłów. Bachus nie był kompletnie zielony w walce wręcz, co zresztą dało się zauważyć po pozycji, którą przyjął na widok zbliżającego się Leifa, ale też nie siłował się pewnie nigdy z wampirem mającym tysiąc lat doświadczenia w sztukach walki. Leif trzepnął go błyskawicznie w szczękę, potem zakręcił się zwinnie i kopniakiem w kolana powalił boga wina na tyłek. Gdy Bachus usiadł na ziemi oszołomiony, Leif szybko chwycił go za stopy i pociągnął mocno, potem zakręcił nim z wdziękiem dyskobola i cisnął nim kilkaset metrów od siebie. Bóg wylądował ciężko w skalistym strumieniu i pewnie sobie coś tam nawet złamał. Wielka szkoda.

W tym samym czasie Gunnar okulał obie pantery, choć sam też otrzymał poważne rany. Dobra wiadomość była jednak taka, że wilkołaki szybko się leczą, a za to pantery znowu tak zaraz nie będą w stanie nigdzie Bachusa zawieźć.

– Niezły rzut – pochwaliłem Leifa. – Chodźcie, spadamy stąd. Jeszcze mamy kawałek do przebiegnięcia.

Chwyciłem dzinsy i buty Gunnara i trzymałem je razem z własnymi sandałami, a Leif znowu przerzucił mnie sobie przez ramię i pognął dalej kanionem. Gunnar sadził susy tuż przy nas, w wilczej postaci równie szybki jak wampir.

– Trzymaj się łożyska rzeki, jeśli możesz – poprosiłem, a Leif posłusznie poprawił kurs, co pozwoliło mi przeprowadzić odrobinę roztrzęsioną, ale jednak obserwację Bachusa.

Bóg wstał powoli i bez trudu nas namierzył. Jedną ręką przyciskał sobie zadek, ale gdy tak się na niego gapilem, puścił obolałe miejsce i wyciągnął obie dłonie przed siebie na wysokość talii, a potem uniósł je powoli, ani chybi rozkazując czemuś urosnąć. Tylko że – dzięki Sonorze – nic nie urosło. Leif biegł dalej bez przeszkód, a ja zachichotałem.

Uprzejmym tonem zagałem rozmowę po łacinie.

– Bachusie, słyszysz mnie? Kiwnij głową, jeśli tak.

Bóg opuścił dłonie i skinął mi głową.

– Nigdy nie dałeś rady zabić żadnego druida i nigdy ci się to nie uda. Gdyby nie całe hordy bachantek i rzymskich legionistów oraz pomoc Minerwy, w życiu byś nie pokonał ani jednego. Pewnie kiedyś w końcu dopadną mnie twoje sługusy i mam świadomość, że nigdy nie zdołam cię zabić, ale przyznaj sam przed sobą, że w pojedynkę nie będziesz mi w stanie dorównać. Ziemia słucha mnie, synu, a nie jakiegoś bożka winogron i szklanic. – Ale na postscriptum przerzuciłem się już na angielski. – I pocałuj się wiesz gdzie, gówniarzu!

Bachus nie zwracał sobie nawet głowy żadną zrozumiałą odpowiedzią, tylko ryknął dziko i rzucił się w pogoń. Lecz naprawdę nie był zbyt szybki na piechotę – biegł z prędkością

przeciętnego śmiertelnika, a dzieliło nas już pół mili.

– Znajdź mi gdzieś tu blisko jakieś ładne drzewo, Leif – poprosiłem.

Leif natychmiast wybiegł z łożyska strumienia i zrzucił mnie pod potężnym platanem. W przeciwieństwie do faerii, które do przemieszczania się między krainami potrzebują dębu, jesionu i głogu, mi wystarczyłoby drzewo, które jest na tyle mocne i zdrowe, że wytrzyma połączenie z Tír na nÓg. Czy będzie to platan, czy sekwoja – wszystko jedno. Wystarczy mi jakikolwiek zdrowy las.

Gunnar przysiadł na zadzie tuż przy nas, sapiąc i krwawiąc.

– Dobra, teraz obaj dotknijcie mnie i platanu równocześnie.

Spojrzałem na Gunnara, żeby się upewnić, czy zrozumiał. Podniósł się na cztery łapy, a potem jedną przednią położył mi ciężko na piersi, a drugą na pniu drzewa. Potrzebny był nam kontakt skóra do skóry, więc wsadziłem palec lewej ręki (w której trzymałem już buty i dzinsy) w jego futro. Leif protekcyjnym gestem położył mi dłoń na głowie, a drugą na drzewie.

Obejrzałem się jeszcze na strumień, żeby sprawdzić, co u boga wina. Biegł niezbyt zgrabnie i kompletnie nie patrzył pod nogi. Poślizgnął się na porośniętym mchem kamieniu i zupełnie po śmiertelnemu wyrzwał twarzą w łożysko. Roześmiałem się, bo wiedziałem, że mnie usłyszy, a chciałem, żeby miał świadomość, iż widziałem tę upokarzającą sytuację. I tak mieliśmy z chłopakami jeszcze masę czasu do wyjścia z tej krainy.

Przeczuwając, że mu się zaraz wymknę, Bachus podniósł głowę z dna strumienia.

– Zapłacisz za tę zniewagę w swoim czasie – zagrzmiał głosem drżącym z wściekłości. – Przysięgam na Jupitera, że sam rozedrę cię na strzępy, druidzie. Twój czas już dawno minął.

– Być może zasługuję na śmierć – przyznałem. – Ale ty nie zasługujesz na życie. Twoja egzystencja to ledwie żalosne popłuczyny po Dionizosie. Jesteś tylko słabą kopią lepszego boga.

Nie dałem mu czasu na odpowiedź w imię zasady, że zawsze najlepiej mieć ostatnie słowo. Przymknąłem oczy, odnalazłem nić łączącą nas z Tír na nÓg i zacząłem przeciągać nas do krainy faerii.

Rozdział 14

Wilkołaki są odporne na wszelką magię poza magią ich własnej watahy, ale Gunnara udało mi się przeciągnąć bez większych problemów. Nie przyznałem mu się, że trochę się o to przedtem martwiłem. Ale splot przeciągający nie był założony na nim, tylko na mnie oraz wszystkim, co chciałem zabrać ze sobą. Skończyło się tylko na tym, że on zwrócił kolację, a my z Leifem udaliśmy, że tego nie zauważamy.

Kiedy skończył, poprosiłem, żeby zmienił się z powrotem w człowieka, zanim wrócimy na ziemię. Rzuciłem mu dzinsy i buty i odwróciłem się do niego plecami na czas przemiany, żeby ja z kolei nie zwrócił lunchu.

W tej części Tír na nÓg była już noc, zresztą tak jak i w Arizonie. Nie mogliśmy od razu przejść do Nadymu, bo tam już był ranek i po Leifie by nam została garstka proszku. Nie mogliśmy też zostać w Tír na nÓg – faerie nie zareagowałyby dobrze na obecność Leifa i już zresztą ciągnęły pewnie w naszą stronę, wyczuwszy, że coś się święci. Dlatego postanowiliśmy przejść gdzie indziej i na prośbę Leifa wypadło, że będzie to las, dwadzieścia pięć mil na północ od Pragi. Tam będzie miał jeszcze kilka godzin przed wschodem słońca.

Gunnar ubrał się i oświadczył, że jest gotów do drogi. Nawet cały podrapany na piersi prezentował się teraz znacznie lepiej niż w tamtej koszulce do rugby. Leczył się szybko, ale czułem, że te ciągłe przemiany, walka i przesunięcie się do obcej krainy trochę go jednak kosztowały. A to dopiero początek.

Tak jak przedtem, Leif i Gunnar położyli jedną rękę na mnie, a jedną na drzewo i przrzuciłem ich na zalesione wzgórze kawalek od malutkiej czeskiej osady zwanej Osinalicami. Gunnar znów wymiotował.

– Spotykamy się jutro wieczorem pod tym samym drzewem – zdecydował Leif, marszcząc nos. – Nie powinniśmy mieć problemu z jego odnalezieniem.

– Dokąd idziesz?

– Znajdujemy się teraz na terytorium Zdenika – wyjaśnił. – Muszę więc złożyć mu wizytę i uszanowanie. Jutro w nocy pokonamy resztę trasy. Tymczasem odpoczywajcie.

I rozplynął się w ciemności; w końcu widzieliśmy jedynie jego czuprynę niczym kukurydzianą wiechę, a po chwili zniknęło nawet to.

– Przechodzenie między krainami w ludzkiej postaci nie jest wcale lepsze – zaczął kwękać Gunnar.

– Przykro mi – odparłem. – Jesteś, z tego, co mi wiadomo, pierwszym w historii wilkołakiem, który wędruje między krainami. W bazie nie znajdowały się żadne dane na ten temat.

– W jakiej bazie?

– W bazie wiedzy druidzkiej.

– I co? Teraz opis moich wymiocin trafi do waszej bazy druidzkiej, hę? – Nie wyglądał na zachwyconego tą perspektywą.

– Nie będziesz wymieniony z imienia – zapewniłem go pospiesznie. – Pojawi się tam tylko wzmianka o wilkołakach w ogóle. Przy czym będzie trzeba tu zalecić wyjątkową ostrożność, bo jeśli ty, alfa, tak słabo to zniosłeś, to tylko pomyśl, co się może stać ze słabszym wilkiem.

Gunnar przemyślał to i w końcu skinął głową. Rany na jego piersi wyglądały już dużo lepiej. Wiedziałem, że wkrótce nie będzie po nich ani śladu. Ale nic za darmo.

– Umieram z głodu – oświadczył.

– Wolisz zjeść coś jako człowiek czy jako wilk? – zapytałem. – Możemy zapolować tutaj albo skoczyć do najbliższego miasteczka na jakąś jajecznicę czy coś.

– Mówisz tutejszym językiem?

– Nie – przyznałem. – Nie znam zbyt wielu słowiańskich języków. Ale pewnie mówią tu po rosyjsku czy po angielsku. Albo po prostu pokażemy im palcem, co wybieramy z menu.

– Masz czeską walutę?

– Nie. Tylko kilka dolców. Albo trzeba będzie uciec przed rachunkiem, albo odpracować to w kuchni.

Gunnar skrzywił się zde gustowany.

– W takim razie lepiej zapolujmy.

Zdjąłem Fragaracha i oparłem go o drzewo (był to akurat świerk), potem rozebrałem się i starannie złożyłem ubrania w kostkę. Gunnar westchnął i też zaczął zdejmować dzinsy i buty, które ledwie przed chwilą włożył. Zmieniłem się w wilczarza i odczekałem, aż Gunnar zakończy swoją znacznie dłuższą i boleśniejszą transformację. Skupiłem się na węszeniu, żeby dobrze zapamiętać zapach okolicy, a potem zdałem się na Gunnara i pobiegłem za nim na łowy.

Szło nam jak po grudzie, bo ani on nie mógł się ze mną porozumiewać za pomocą wataszego łącza, ani ja nie byłem w stanie stworzyć splotu między naszymi umysłami, ale w końcu udało nam się znaleźć małą łanię i upolować ją jeszcze przed brzaskiem. Zostawiłem ją Gunnarowi i wróciłem pod drzewo po ubranie i Fragaracha, bo naprawdę nie miałem chęci na surową sarninę.

Przemieniłem się szybko w sowę, obleciałem okolicę i namierzyłem najbliższą szansę na normalniejsze jedzenie. Znajdowała się pięć mil od Osinalic.

Po półgodzinnym biegu na bosaka dotarłem do uroczej osady złożonej z drewnianych domków i jednej wijącej się drogi w wąskiej dolinie. Kilka kogutów witało już świt. W tak małej wiosce nie było szansy na prawdziwą kolację, ale znalazłem pensjonat dla ekoturystów i pisarzy chcących skryć się przed zgiełkiem współczesnych miast. Właściciel, pełniący zarazem funkcję kucharza, był niski, jowialny i dość okrągły. Mówił po rosyjsku i wyraźnie uwielbiał swoją pracę. Fartuch miał poplamiony jedzeniem, a pod siwiejącym wąsem serdeczny uśmiech. Zgodził się ugotować mi olbrzymie śniadanie w zamian za trochę pomocy w gospodarstwie – wyczyszczenie frytkownicy z tłuszczu, posprzątanie za piecem, porąbanie drewna do kominka w jadalni. W pracy pomagała mu jego córka, która uparła się flirtować ze mną, gdy jadłem. Wyraźnie utożsamiała mnie z drogą ucieczki z tej ślicznej, malutkiej miejsciny i pewnie każda droga była dla niej dobra, byleby skuteczna. Zadziwiający jest ten paradoks natury – jedni robią wszystko, żeby być bliżej niej, a inni robią wszystko, żeby od niej uciec, nie wiedząc, że mówi to więcej o ich naturze niż o naturze samej w sobie.

Pozostali goście, którzy właśnie jedli śniadanie, starali się na mnie nie gapić, ale kiepsko im to szło. Może wyczuwali ode mnie zapach wilkołaka albo wampira – nieświadomie oczywiście, bo ich nosy na pewno nie były wystarczająco wrażliwe. W każdym razie chyba przeczuwali, że coś ze mną jest nie tak, choć pewnie nie to, że podróżuję z potworami. Nikt nie zagał ze mną rozmowy.

Podziękowałem gospodarzowi i jego córce i wyszedłem z gospody, czując na plecach wzrok wszystkich gości, gdy zadzwonił dzwoneczek zawieszony nad drzwiami. Przeszedłem przez jedyną we wsi ulicę i skryłem się w lesie. W ich głowach wykluje się pewnie wiele różnych historii na mój temat, ale to mi nie przeszkadzało. Jeśli moja tajemnicza obecność uczyniła ich życie choć odrobinę ciekawszym, poczytują to sobie za zaszczyt.

Nie spieszyłem się, wracając do drzewa oznaczonego wymiocinami Gunnara. I tak do powrotu Leifa nic nie mogliśmy zrobić. Szedłem z rękami w kieszeniach, delektując się lasem

wokół. Od lat nie porozumiewałem się z żywiołakiem z tej okolicy, posłałem mu więc pozdrowienie.

Bliżej miejsca spotkania, ale na tyle jednak daleko, żeby nie czuć kwaśnej zawartości żołądka Gunnara, zbudowałem mały szałas – idzie to dość szybko, kiedy można splatać gałęzie za pomocą magii – i postanowiłem zafundować sobie porządną drzemkę, skoro i tak według czasu arizońskiego była właśnie pora iść spać. Szałas miał mnie raczej ochronić przed niepożądaną obserwacją z powietrza niż przed deszczem. Z braku misia, poduszki, a nawet Oberona przytuliłem się do Fragaracha. Poszycie było chłodne. Śnieg pojawi się lada dzień...

Gdy tylko się obudziłem, ujrzałem Gunnara rozwalonego na plecach z łapami w powietrzu i językiem zwisającym z boku pyska. Wyglądał przekomicznie i trochę chrapał. Pożałowałem, że nie mam przy sobie aparatu, takiego z porządną lampą, bo już było po zachodzie. Coś mnie obudziło, ale – co dziwne – nie było to chrapanie wilkołaka.

Włączywszy szkło faeryczne, zacząłem się rozglądać wokół, nie ruszając się z miejsca, żeby nie narobić hałasu. Nic nie widziałem i nie słyszałem. Może obudziło mnie po prostu ciśnienie w pęcherzu. A jednak miałem dziwną pewność, że za moim szałasem coś się czai i może tylko czeka, żebym wychylił głowę.

Nie zamierzałem dać temu czemuś satysfakcji. Uznałem, że lepiej będzie obudzić najpierw wilkołaka i dopiero potem wymknąć się z szałasu, gdy to coś będzie zajęte problemami, jakie zwykle wywołują raptownie wybudzone ze snu wilkołaki. Poruszenie ziemi pod Gunnarem powinno dość sprawnie go obudzić. Położyłem dłoń płasko na ziemi i już miałem wydać jej polecenie, które by wyrwało Gunnara z drzemki, gdy przemówił jakiś głos i odwalił tę robotę za mnie.

– Opanuj się, Atticusie. I ty też, Gunnarze. To ja.

Zza drzewa wyłonił się Leif, a my z Gunnarem podnieśliśmy się go powitać z lekką irytacją, która wyraźnie go rozbawiła, bo uśmiechnął się złośliwie.

– Jak wam upłynął dzionek?

– W większości na spaniu – warknął Gunnar.

– I ja to właśnie zawsze robię za dnia – odparł Leif. – Śpię jak zabity.

– Jak tam Zdenik? – spytałem.

– Elegancki jak zawsze. Trochę zaskoczony moją wizytą. Zirytowany tym, że tak publicznie odparłem ataki na moje terytorium. Doceniający moje wyrazy szacunku. Ruszamy zatem do Nadymu?

Zdjąłem sploty wiążące do kupy gałęzie szałasu i oddaliłem się na stronę, a gdy wróciłem, oświadczyłem, że jestem gotów do drogi.

– Mógłbyś od razu nas przerzucić dalej bez postojów w Tír na nÓg? – spytał Gunnar. – Może udałoby mi się załatwić oba te odcinki jednym wymiotowaniem?

– Dobra, spróbuję – obiecałem.

Przerzuciłem nas więc do Tír na nÓg, a potem jak najszybciej na wschód od lasu ciągnącego się na południe od Nadymu. Gunnar zwymiotował od razu, gdy tam dotarliśmy, a my z Leifem odsunęliśmy się, by dać mu trochę prywatności i oszczędzić nasze nosy.

Gdy wreszcie Gunnar był gotów do dalszej drogi, pobiegliśmy pod czystym, gwiazdzystym niebem na północ, a na miejsce spotkania dotarliśmy koło dwunastej. Leif był tak miły, że zaoferował się ponieść mi miecz i nasze ubrania, żebyśmy mogli z Gunnarem biec jako zwierzęta. Nieustannie spoglądaliśmy w niebo nad nami, wyglądając z niepokojem wiele mówiących burzowych chmur, ale wyglądało na to, że nordyccy bogowie szukają mnie gdzie indziej. Nie było to zresztą z ich strony takie głupie oczekiwać, że będę się starał ukryć jak najdalej od Asgardu, a nie organizować sobie jeszcze jedną wycieczkę do tej krainy. Gdy naszym

oczom ukazało się jezioro, zobaczyliśmy też ognisko. Jego płomienie rozświetlały na tle nocnego nieba zarysy znajomego drzewa. Powinny czekać na nas trzy osoby, ale widziałem tylko dwie. Może Leifowi nie udało się dotrzeć do wszystkich z informacją o spotkaniu. Po przeciwnych stronach ognia siedziało dwóch starszych panów, którzy najwyraźniej zupełnie nie obawiali się niczego, co mogłoby się czaić w ciemnościach.

– Widzę, że przychodzimy ostatni – rzekł Leif. Albo oczekiwał tylko dwóch osób, albo widział gdzieś tego trzeciego. – Przybierzcie ludzkie postacie, to was przedstawię.

Zmieniliśmy się więc z Gunnarem z powrotem w ludzi, ubraliśmy i razem podeszliśmy do płomieni. Leif pozdrowił starszusków, a oni odwrócili się na dźwięk jego głosu. Nie zdradzając oznak artretyzmu czy słabego wzroku, wstali dziarsko z kamieni.

Jeden z nich był Azjata, więc musiał to być Zhang Guo Lao. Brodę oraz skronie porastały mu rzadkie, rozwichrzone siwe kosmyki niczym postrzępiona chmura, przez którą widać niebo. Miał na sobie tradycyjny kaftan *shenyi*, haftowany szafirową nicią i ze srebrno-złotą chryzantemą oraz wykończony błękitnymi lamówkami na kołnierzu, w pasie i na brzegach rękawów. Zhang Guo Lao, choć wyraźnie posunięty w latach, wyglądał na rozbawionego tym, że oczekujemy po nim kruchości czy słabości. Z doświadczenia wiedziałem, że tak luźne ubrania mogą kryć prawdziwe ruchy ramion, łokci, a nawet pięści. Leif i Gunnar mogli go nie doceniać, ale mnie na pewno nie udało mu się zwieść. Gdy przemówił, okazało się, że jego angielszczyzna jest nienaganna, z niemal niezauważalnym jedynie akcentem. Pokłonił nam się i rzekł:

– To dla mnie zaszczyt.

Drugim mężczyzną był Väinämöinen. Wskazał dłonią na mnie i rzucił:

– Urocza bródka.

Jego była siwa i po prostu niesamowita. Można było wiele o niej powiedzieć, ale na pewno nie, że jest urocza. Mogło się w niej kryć dosłownie wszystko: od broni, przez jakieś pociski z dymem maskującym, który pomógłby mu zniknąć w okamgnieniu, aż po całe gniazdo szpaków. Zaczynała się tuż pod jego ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi i spadała mu lawiną zarostu aż na brzuch.

Jego wąsy miały jeszcze jaśniejszy odcień bieli i ufryzowane były elegancko nad górną wargą, tak że spływały w cienkich kosmykach po obu stronach szczęki niczym świeży śnieg. Brwi miał równie imponujące i śnieżnobiałe. Zwisały niczym zwinięte markizy nad jego głęboko osadzonymi oczami, które kryły się przez to w pełnym mroku, a były ciemne jak plamy atramentu. Nie sposób było powiedzieć, czy spoglądają przyjaźnie, czy groźnie. Czarną czapczkę z nausznikami w fińskim stylu umocowaną miał jasnoczerwoną taśmą na czole i w ogóle sprawiał wrażenie człowieka, którego lepiej nie denerwować. Trochę taka diabelska wersja Świętego Mikołaja, zmizerniałego i głodnego, a wołającego „Ho-ho-ho!” tylko wtedy, gdy akurat skacze po czyjejs głowie.

Odziany był w zieloną tunikę przepasaną czarną skórą, a na to narzucił ciężki, czerwony wełniany płaszcz zawiązany gdzieś pod brodą. W pochwie przy pasie schowany miał krótki miecz, a spod tuniki wystawały jasnobrązowe pumpy, których nogawki wetknął w futrzane buty obwiązane na krzyż sznurówkami aż do kostek.

Gdy uścisnąłem mu dłoń, poczułem siłę jego ręki.

– Prześliczny kapelusik – powiedziałem. Skoro zamierzał kpić sobie ze mnie fałszywymi komplementami, nie miałem skrupułów, żeby mu odpowiedzieć tym samym. Nie byliśmy w końcu na misji dyplomatycznej. Poza tym miałem przecucie, że za wszelką cenę będzie chciał udowodnić, że to on jest tu najstraszniejszym ze wszystkich skurczybyków.

Väinämöinen potwierdził moje przypuszczenie, gdy zwrócił się do Gunnara z następującą gadką:

– A ty gdzie podziałeś koszulkę?

Jakby posiadanie koszuli było czymś zdecydowanie bardziej męskim niż niedbanie o zimno.

– Była wyjątkowo brzydka – wyjaśniłem, sugerując, że została zniszczona i nikt za nią nie płakał.

Gunnar posłał mi miazdzące spojrzenie, gdy ujął dłoń Fina, ale nie skomentował mojej wypowiedzi.

Dodatkowe starania Väinämöinena o zdobycie pozycji prawdziwego Nadczłowieka zostały udaremnione, gdy pojawiło się wśród nas prawdziwe bóstwo. Z nocnego nieba (pewnie siedział sobie cały ten czas gdzieś na gałęzi nad nami) zleciał orzeł i na naszych oczach przemienił się w niezwykle umięśnionego boga piorunów. Nie był to Thor, tylko słowiański bóg Perun, a tym samym trzeci, którego mi dotąd brakowało.

Jego imię – a raczej pewne jego odmiany – nadal oznaczają w wielu słowiańskich językach po prostu „piorun”. Mięśnie poruszały mu się jak kamienne płyty – rzeźbione, ale nie gładkie. Ostro zarysowane linie mięśni kryły się za gęstym owłosieniem – strasznie facet był włochaty, nawet na ramionach. Brodę miał potężną, koloru miedzi, a czuprynę szaloną i dziką.

Jego błękitne oczy błysnęły światłem i robiło to znacznie większe wrażenie niż te efekty specjalne z *Gwiezdnych wrót*, a potem nagle rozpromieniły się wesoło. Oczami wyobraźni ujrzałem go już jako postać z kreskówki na sobotni poranek: Perun – Wesoły Włochaty Bóg Piorunów.

Piękną ruszczyzną zapytał nas uprzejmie, czy może się nią posługiwać w rozmowie z nami. Spoglądając znacząco na zdezorientowane miny Leifa i Gunnara, wyjaśniłem, że nie wszyscy tu władają tym językiem.

– No to angielski, *da?* – mruknął z ciężkim akcentem. Pokiwaliśmy głowami. – Ja mieć pecha. Nie mówić dobrze angielski. – Wzruszył ramionami na to swoje nieszczęście. – Ja się starać.

Potem uściskał nam wszystkim dłonie, u każdego wywołując lekkie porażenie i chichocząc cicho z naszych reakcji, a następnie wyciągnął nie wiadomo skąd jakieś kamienne patyki.

– Ja przynosić wam prezenty – wyjaśnił i rozdał nam po jednym. – Ja nie znać na to angielskie słowo. To być ochrona na piorun.

Nie trzeba nam było dwa razy tłumaczyć.

– A! Fulguryty! – wyszeptalem. Puste w środku rurki ze strzelonego piorunem piasku, stopionego tak, że wewnętrzna ich powierzchnia była gładka jak szkło, a zewnętrzna chropowata.

Perun kazał mi powtórzyć to określenie, więc to uczyniłem. Przez chwilę cierpliwie ćwiczył wymowę, potem rzekł:

– Wy trzymać fulguryty zawsze. Fulguryty chronić od Thor. Teraz piorun nie problem. Wy rozumieć?

Leif spojrział na swój fulguryt bez przekonania.

– Ta rurka miałaby mnie ochronić przed piorunem?

– Bosko! – Perun klasnął w dłonie i uśmiechnął się do niego radośnie. – My mieć ochotnik na demonstracja.

– Słucham? – zaniepokoił się Leif.

– Nie martw się – zdążyłem wyszeptać, nim Perun wzniósł topór, który zwisał mu dotąd na plecach. Ciekawe, gdzie go miał, jak był orłem. Ciekawe, czyby mnie nauczył sztuki przechowywania broni pod postacią ptaka. – Wydaje mi się, że to działa jak talizman.

– Nie wiem, czy sobie może przypominasz, ale ostatni talizman, jakiego miałem

nieszczęście używać, nie stanowił dla mnie zbyt skutecznej ochrony – wypomniał mi Leif dość zjadliwie. Miał na myśli amulet z zimnego żelaza, który dałem mu, żeby go osłaniał przed piekielnie ognistymi niemieckimi wiedźmami. – Moje ciało jest wyjątkowo łatwo... – W tym momencie szlag go trafił, i to prosto w głowę. Na naszych oczach piorun spłynął po jego ciele i zgasł na ziemi. Grzmot był tak głośny, że wszyscyśmy aż podskoczyli, a jeśli o mnie chodzi, to pewien byłem, że już po Leifie i że zostanie nam po nim tylko kilka płonących resztek. Jakież było moje zdziwienie, gdy przekonałem się, że się mylę. – ...palne? – dokończył niepewnie zбитy z tropu Leif.

– Ha! Wy widzieć? – zakrzyknął Perun. – Lepsze niż tarcza. Ty nie czuć ani ciepła, ani iskry, tak?

– Yyy... tylko takie jakby... łaskotanie – wybąkał Leif.

Uśmiech zagościł na twarzach wszystkich spiskowców.

– Po prostu niesamowite – orzekł Väinämöinen. – A strzelisz teraz mnie?

Perun odpowiedział piorunem z jasnego nieba prosto w Fina. Włos mu z głowy nie spadł ani się nawet nie przypalił. Tym razem wszyscy już wyraziliśmy głośno zachwyt. Perun wyglądał na niezwykle z siebie zadowolonego i przeszedł do strzelania piorunem w każdego z nas po kolei „tak dla wprawy”.

– Czy ten wynalazek ma jakieś ograniczenia? – spytałem, wskazując na swój fulguryt. – Gwarancja obejmuje tylko dwanaście piorunów czy coś w tym stylu?

– Nie, ja pobłogosławić to raz na zawsze – zapewnił nas Perun. – Wy być bezpieczni od każdy piorun. Thor, Zeus, co wy chceć, żaden piorun nie problem, tylko wy musieć mieć to przy sobie.

– Wybacz pytanie ignoranta, o piorunowładny, ale czy mamy to nosić w jakiejś sakwie czy innym opakowaniu? – zażądał uściślenia Zhang Guo Lao.

– He? – Brwi Peruna spotkały się niczym olbrzymie włochate gąsienice nad jego oczami.

– Nie. To musieć dotykać skóry. Ręka, noga, tyłek, nieważne. Ty wsadzić do sakwy, to chronić sakwę, nie ciebie.

Nadzwyczajna praktyczność tego podarunku dopiero do nas zaczęła docierać i podziękowaliśmy wylewnie.

– Nie być o czym mówić – powiedział, choć było oczywiste, że bardzo mu pochlebia to, że owszem, gadamy o tym już od dłuższej chwili, i to z takim przejęciem.

– Teraz, gdy już jesteśmy tu wszyscy razem, rzucę na nas moje maskowanie – oświadczył Väinämöinen. – Skryje nas ono przed każdym, kto by węszył w okolicy.

Przemknęło mi przez myśl, że może raczej trzeba to było jednak zrobić, zanim pięć piorunów trzasnęło w to samo niemal miejsce, ale zachowałem tę myśl dla siebie.

– Wybacz śmiałość, ale nie wiesz przypadkiem, czy to maskowanie zwiedzie Hugina i Munina, oczy Odyna w Midgardzie? – zapytałem.

Ciemne ślepie czarodzieja błyskawicznie skoncentrowały się na mojej twarzy.

– Świetne pytanie, a odpowiedź brzmi: tak. Miałem już okazję się przed nim ukrywać. – Podszedł do głazu, na którym przedtem siedział, i wyciągnął z paczki jakiś dziwny instrument. Najbardziej toto przypominało dolną szczękę jakiegoś sporego zwierzęcia, bo miało zęby, ale wokół nich owiązane były cienkie, żółte struny. – Oto moje kantele – rzekł. – Zrobione ze szczęki wielkiego szczupaka i włosów pięknej blondynki.

Zatkało mnie. No bo i co można powiedzieć na takie dictum? „Kim była ta blondynka?” czy raczej „A czemu nie brunetki?”.

Väinämöinen zaczął śpiewać, przerzuciłem się więc na szkło faeryczne, żeby zobaczyć, co kombinuje w wymiarze magicznym. Naturalne sploty wokół nas zaczęły się dziwnie zacierać.

Odcinał nas po prostu od normalnego stanu rzeczy, tworząc rodzaj wymiaru kieszonkowego. Gdy skończył, jego wąsy uniosły się nieznacznie i dotarło do mnie, że usiłuje się uśmiechnąć.

– Załatwione. Głodni? Ugotowaliśmy tu co nieco – powiedział, wskazując żeliwny sagan wiszący nad płomieniami.

Gunnar dał do zrozumienia, że zjadłby konia z kopytami, wszyscy zbliżyliśmy się więc do ogniska. Staliśmy chwilę, czekając, aż Perun i Leif załatwią nam jakieś pieńki do siedzenia. Niewykluczone, że zrobili sobie przy tym konkurs, który znajdzie większy i cięższy.

– To skromny posiłek. Ledwie kilka zajęcy z marchwią i cebulą. Nie mieliśmy ziemniaków – wyjaśnił przepaszającym tonem Zhang Guo Lao. – Ale gotuje się już od zachodu słońca. Dodaliśmy trochę pieprzu i soli. Mięso powinno być już miękkie.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Naprawdę zrobiliście potrawkę z zajęcy? – To właśnie jedna z tych rzeczy, które mnie tak bawią w dwudziestowiecznych powieściach fantastycznych: że ci bohaterowie tak sobie siadają i w parę chwil organizują ognisko i porządną potrawkę. Jak dla mnie to wymaga więcej magii niż zabicie smoka, bo żeby naprawdę udusić mięso nad ogniskiem, trzeba co najmniej czterech godzin, a i dłużej, jeśli jest akurat zima. Ale nie, ci goście w książkach zawsze trzaskają taką potrawkę w godzinę, i to bez słowa wyjaśnienia. Choć w Pradze było ledwie godzinę po zachodzie słońca, tu, w Nadymie dochodziła północ, mięso więc rzeczywiście mogło już być gotowe.

Tobołki Väinämöinena i Zhanga Guo Lao okazały się wyśmienicie wyposażone – były tam sztućce i talerze. Obaj na pewno już nieraz spędzali noc pod gołym niebem. Zabraliśmy się więc do jedzenia – z wyjątkiem Leifa, który poprzestał na wypiciu kieliszka mojej krwi. Perun pochwalił jadło, ale wyraźnie zatroskał się na widok małych porcji.

– To być dobre. Ale następny raz my jeść niedźwiedź – powiedział.

Nikt się nie palił do pozmywania. Normalnie jakby wszyscy się nagle stali bohaterami Hemingwaya (łącznie z całym typowym dla tych postaci szowinizmem) i prędkiej by umarli, niż zniżyli się do prac „kobiecych” na oczach innych mężczyzn. Zgłosiłem się więc na ochotnika, co ich niezwykle ucieszyło. Podziękowali mi z ulgą, a ja zapakowałem wszystko i ruszyłem nad jezioro.

– Szanowny druidzie – przemówił Zhang Guo Lao, gdy wróciłem. – Niewiele wiem od pana Helgarsona ponad to, że jakoby dzięki tobie możliwa jest podróż do Asgardu. Wyjaśnij, proszę, jeśli łaska, jak nas tam zabierzesz.

– Przerzucę nas po prostu. Fizycznie nie jest to wielki problem, ale mentalnie olbrzymi. Moich dwóch towarzyszy – wskazałem na Leifa i Gunnara – przerzuciłem bez większego trudu, ponieważ znamy się od ponad dziesięciu lat. Znam ich sposób myślenia. Wiem, co ich cieszy, wiem, co ich martwi. Jesteśmy przyjaciółmi. Ale nasza znajomość – wskazałem na trójkę siedzącą naprzeciwko mnie – jest bardzo świeża. Nie znam istoty waszego istnienia. Kiedy będę musiał przytrzymać w umyśle Zhanga Guo Lao, Väinämöinena i Peruna, czym oni dla mnie będą, jeśli nie pustymi imionami? Każdy z was jest czymś więcej niż imieniem. Składacie się z doświadczenia i mądrości, sprytu i głupoty, nienawiści i żalu, siły i słabości. Motywują was inne siły, pchają was do działań różne cele. A wszystko to muszę uwzględnić, tak żebym, gdy będę nas przerzucał do północnej krainy, nie zostawił jakiejś części was tutaj.

– Czy to oznacza, że musimy ci o tym wszystkim opowiedzieć? – zainteresował się Väinämöinen.

– Nie tylko mnie. Musicie o tym opowiedzieć nam wszystkim. Żeby to przetrwać, musimy wszyscy zajrzeć do domów swych towarzyszy przez szeroko otwarte okna. A okna te otworzą się, jeśli opowiemy sobie nawzajem nasze historie.

– Historie? Jakie historie? – chciał wiedzieć Perun.

– Wszelkiego rodzaju. W Ameryce nazywamy to więzami męskiej przyjaźni i jest to termin bardzo w tym wypadku adekwatny, bo właśnie tego nam potrzeba: więzi. Pod względem mentalnym i duchowym musimy być na tyle mocno związani, żebym był w stanie nas przetrząść pod względem fizycznym. I dlatego właśnie musimy tu siedzieć tak długo, aż będę pewien, że możemy spokojnie wyruszyć dalej. A do tego czasu będziemy sobie snuć różne opowieści. Wydaje mi się, że najlepiej będzie zacząć od tego, co nas łączy, czyli od tego, dlaczego chcecie zabić Thora. Potem możemy przejść do jakichś lżejszych tematów. Zgoda?

Ogólnemu pomrukowi towarzyszyło kiwanie głowami, ale wzrok utkwili wszyscy w płomieniach. Pewnie każdy z nich widział w nich teraz znieawidzoną gębę nordyckiego boga piorunów.

– Kto chciałby zacząć? – spytałem.

Wszyscy przemówili naraz, ale czterech natychmiast zamilkło na widok jeżącego się Gunnara. Zdecydowanie nikt nie chciał, żeby sobie przypadkiem pomyślał, iż nie jest pierwszy w stadzie.

Rozdział 15

Opowieść wilkołaka

Jestem wśród was pewnie najmłodszy, jako że mam na karku niewiele ponad trzy setki, ale zdaje mi się czasem, że nienawidzę Thora znacznie dłużej, choć mnie osobiście skrzywdził ledwie dziesięć lat temu. To dziwne, jak emocje rozciągają lub kurczą czas. Równie dziwne jest jednak to, jak bóg, który tak często jest wrogiem ludzkości, cieszy się powszechnie opinią jej przyjaciela. Wiem przecież, że Thor uczynił krzywdę wam wszystkim, bo inaczej w ogóle by was tu nie było. Wiem też, że nie jesteśmy jedyni na tym świecie, których potraktował niesprawiedliwie. Słyszałem szept i całe opowieści, plotki o potwornych okrucieństwach i mniejszych złośliwościach. Być może z samej swej natury bóg ten musi być kapryśny i szokująco bestialski, skoro jego ciało jest butelką na wyjątkowo złą pogodę, a powiedzmy sobie wprost: jego wola kiepsko spełnia rolę korka. Jego poczucie tego, co dobre i złe, z pewnością już dawno szlag trafił.

To go oczywiście nie usprawiedliwia. Wilkołaki mają przecież w sobie bezwzględnych drapieżników, ale jakoś kontrolujemy swoje wewnętrzne wilki, żeby przeżyć na tym świecie. Zawsze trzymamy się prawa Watahy i prawie zawsze prawa śmiertelnych, z wyjątkiem tych wypadków, kiedy wchodzi ono w konflikt z prawem Watahy. To prawo właśnie odróżnia nas od barbarzyńców i od wyjących bestii, które mamy w sobie. Stanowi niezbędną smycz dla naszej mroczniejszej natury. Tak samo powinno być z bogami. Tak jak my jesteśmy posłuszni prawu, tak i oni powinni. Słyszymy niby te wszystkie opowieści o tym, że im sprawiedliwość wymierza wyższy bóg. Lecz nigdy jakoś ich kary nie są proporcjonalne do ich przewinień, gdy tymczasem oni sami bez mrugnięcia powieką skazują śmiertelnych na najgorsze i niekończące się katusze. Czas najwyższy, by jakiś bóg dostał za swoje.

Żeby w pełni wam wyjaśnić, co mnie uczynił Thor, musimy się najpierw przenieść z powrotem do roku tysiąc siedemset piętego.

Byłem wówczas wędrownym handlarzem i posłańcem. Latem obchodziłem wyspę, przekazując wiadomości i handlując drobiazgami z mojego tobołka, dostarczając informacje i dając ludziom z odległych gospodarstw poczucie, że nie są sami na świecie. Niejednokrotnie cieszyli się na mój widok, zupełnie tak jak ja, widząc ich. Za plotkę dostawałem nocleg i pożywienie, a oni mieli okazję porozumieć się z przyjaciółmi i krewnymi, powierzając mi list za jakąś drobną monetę czy coś dla konia.

Tamtego lata wizyta w gospodarstwie Hnappavellir zmieniła całe moje życie. Wszyscy byli akurat w polu, a w domu została tylko jedna osoba. Nazywała się Rannveig Ragnarsdóttir, miała dziewiętnaście lat i serdecznie dość życia na wsi. Jej włosy były jak pszenica, a gdy się uśmiechała, rumieniła się lekko. Gdy stanąłem w progu, właśnie wyrabiała ciasto w kuchni, suknię miała oprószoną mąką i była zupełnie nieprzygotowana na wizytę. Przejęta i zdenerwowana usiłowała przyjąć mnie pod dach, zachowując eleganckie maniery, których gdzieś się nauczyła, ale wyraźnie nigdy nie praktykowała. Wydała mi się czarująca, a gdy usiedliśmy się napić i porozmawiać przy stole, wyznała, że moje skromne życie jest jej zdaniem romantyczne i pełne przygód. Po kilku minutach jej zachowanie się zmieniło. Stawała się coraz bardziej zalotna i przyznam, że i ja ją zachęcałem. Od tygodni nie byłem z żadną kobietą. Nie minęło kilka chwil, a zaproponowała mi krótki wypad w poszukiwaniu zaginionej owcy. Zapakowała trochę suszonego mięsa, herbatników i koc, wybrała ze stajni dwie klacze i zaprowadziła mnie w miejsce, które dziś ludzie nazywają Parkiem Narodowym Skaftafell. Powiedziała, że znajduje się

tam coś zupełnie niesamowitego, co muszę zobaczyć. Był to wodospad Svartifoss, spływający z czarnych kolumn wulkanicznego bazaltu, który powoli ostygł i skryształizował się w podłużne sześciokątne kształty. Miejsce to było przepięknie pięknym ponurym i muzycznym. Gdy zaszło słońce, powiedziała, że mnie chce. Zgodziłem się.

W życiu Rannveig mało było ucieczek od szarości dnia codziennego. W Hnappavellir mieszkało dwadzieścia osób, w większości ze sobą spokrewnionych, a młoda dziewczyna nie miała wyjścia, jak posłusznie wykonywać nakazy innych. Miałem być pięknym interludium, krótkim, ale wspomnianym długo. Rozumiałem to i byłem jej za to wdzięczny.

Kochała się z zapamiętaniem i pamiętam do dziś, jak zaraz potem powiedziała, że chce od życia więcej, że chce żyć naprawdę. Oboje rozumieliśmy przez to, że miły seks pod światłem księżycy jest sto razy lepszy niż spokojne chrapanie w nocy, żeby potem cały dzień męczyć się nad ciastem na chleb i dbać o ogień pod kuchnią. Lecz to jej niewinne wyznanie zostało usłyszane i zinterpretowane zgoła inaczej.

Wilk, który nas zaatakował, nazywał się Úlfur Dalsgaard. Gdy my spleceni byliśmy w miłosnym uścisku, on wbił się kłami w moje ścięgno podkolanowe, a potem rozszarpał Rannveig łydki. Ranni, niezdolni ani do ucieczki, ani do walki, pewni byliśmy, że już po nas. Myśleliśmy, że zaraz rzuci się na nas cała wataha, ale wkrótce zrozumieliśmy, że jest przy nas tylko jeden wilk – olbrzymi – ale tylko jeden. Zwierzę wycofało się i patrzyło, jak krwawimy.

Własnym oczom nie mogłem uwierzyć. Na Islandii nie było wilków, choć oczywiście słyszałem różne historie o tych bestiach. Ten jednak nie zachowywał się jak wilki z opowieści. Nie rozumiałem zupełnie jego postępowania. Byliśmy ranni, przerażeni i krwawiliśmy. To powinno mu wystarczyć, by chcieć nas zabić, ale on tylko siedział tam i nic poza tym. Gdy próbowaliśmy czołgać się czy wołać o pomoc, warczał na nas i szczyrzył kły. Zupełnie jakby chciał nas sobie zostawić na potem.

– Czego on chce? – spytała mnie Rannveig.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Ale chyba nie mamy innego wyjścia, jak czekać.

– Myślisz, że zjadł nasze konie?

Nie słyszeliśmy ich, odkąd uwiązaliśmy je może z milę przed wodospadem i zostawiliśmy, żeby się pasły, ale też szum wody wszystko zagłuszał.

– Nie mam pojęcia – szepnąłem.

Nie pozostało nam nic innego, jak czekać i zastanawiać się, czy umrzemy od utraty krwi czy z rozszarpnymi gardłami.

Odpowiedź przyszła o świcie. Gdy słońce zdusiło bladą poświatę księżycy, wilk zaczął drzeć na ziemi i wyć przeraźliwie, a jego kości trzaskały, ścięgna przeskakiwały, skóra rozciągała się i zmieniała. Podczas tej przerażającej transformacji nie miał jak nas gonić, Rannveig więc uznała, że to świetna okazja, by mu uciec. Zebrała ubrania, wstała i krzyknęła:

– Chodź, szybko, dam już radę biec!

Wtedy zobaczyłem, że w te kilka godzin, które upłynęły przed świtem, jej łydki niemal zupełnie się zagoiły. Spojrzałem w dół i ujrzałem, że i moje ścięgna są w dziwnie dobrym stanie. To, w połączeniu z przemianą, której właśnie byliśmy świadkami, wyjaśniało osobliwe zachowanie wilka.

– To wilkołak! – jęknąłem. – A nas pogryzł podczas pełni księżycy!

Opowieści o wilkołakach są dziś bardzo różne, wtedy jednak jedno było jasne: mogły powiększać swoje stado tylko poprzez ugryzienie kogoś podczas pełni. Wszystko wskazywało na przerażającą prawdę, ale Rannveig jeszcze nie dopuszczała jej do siebie.

– Szybciej, Gunnarze! Uciekajmy! – ponagliła mnie, biegnąc już dalej.

– Nie! Spójrz! Czy nie widzisz? To człowiek!

Wskazałem na wijącą się postać na ziemi, która miała już wyraźnie ludzkie kształty. Był trochę ode mnie niższy, ale potężniej zbudowany, bardziej umięśniony. Jasne włosy miał dość rzadkie, ale za to porządną brodę. Gdy wymawiałem te słowa, drgawki ustały, a on stanął przed nami nagi i bezwstydnym.

– Powiedziałas, że chcesz żyć naprawdę! – zawołał za Rannveig kpiącym barytonem. – Oto dałem ci szansę. Dziś w nocy księżyc nie będzie już w pełni, ale i tak wystarczy, by nastąpiła transformacja. Staniecie się wilkołakami tak jak ja lub zginiecie. Stworzymy watahę i razem będziemy żyć w światach ludzi i natury.

– Ale ja nie chcę być wilkiem – zaprotestowała w panice Rannveig.

Mężczyzna tylko prychnął na te słowa.

– Gdy już nauczysz się samokontroli, wystarczy, że przemienisz się raz w miesiącu. To jak miesiączka, tylko że to nie ty krwawisz.

– Dlaczego nas najpierw nie spytałeś? – zdenerwowałem się. – Nigdy nie wybrałbym takiego życia.

– To życie wybiera ciebie – zagrmiał. – Jak niby miałem was o cokolwiek pytać, skoro byłem wilkiem? Zresztą nie wiedzielibyście, co odrzucacie, gdybyście tego nie spróbowali. Polubicie wilcze życie. Zaufajcie mi.

– Dlaczego miałabym ci zaufać? – krzyczała Rannveig. – Pogryzłeś mnie, ty szujo!

– Nie ma za co – odparł Úlfur. – Wiem przecież, że jeszcze mi za to podziękujecie.

– Podziękujemy ci? Za co? Za przemienienie w potwora? Za skazanie na piekło?

– Ty się martwisz piekłem? – Machnął ręką w moją stronę i roześmiał się złośliwie. –

Przecież ten mężczyzna nie jest twoim mężem, nieprawdaż?

Rannveig się splonęła.

– Bóg wybacz słabość. Ale nie wybacz... obrzydlistwa! – Ostatnie słowo wrzasnęła w rozpacz i zaczęła się pospiesznie ubierać.

Powinienem może wyjaśnić, że Rannveig była wtedy luteranką, tak jak i ja, jak cała zresztą Islandia. Ale w Skandynawii tu i ówdzie zdarzali się jeszcze wyznawcy starych nordyckich wierzeń, tak pewnie jak i dzisiaj. Úlfur, który pochodził z Danii, należał do tych właśnie nielicznych wyznawców starych bogów. Mieliśmy wtedy zresztą stały napływ imigrantów z Danii, bo Islandia pozostawała pod duńskim panowaniem, choć Fryderyk IV właściwie nas ignorował, zajęty wielką wojną północną w Szwecji.

– To zależy, jakiego boga masz na myśli – powiedział Úlfur. – Azowie nie mają żadnego problemu z podwójną naturą.

– Słyszysz? – jęknęła Rannveig. – Wygaduje jakieś pogańskie brednie. Jest potępiony, a my z nim.

Úlfur odrzucił łeb do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Nie jesteś potępiona. To błogosławieństwo. Z czasem to zrozumiesz. Pobiegnij ze mną w księżycową noc. Zapolujesz i poczujesz na języku smak gorącej krwi.

– Aaa! – Rannveig zakryła uszy i uciekła.

Nie chciała nawet słyszeć o gorącej krwi na języku. Chwyciłem ubrania i pobiegłem za nią. Úlfur znów zarechotał.

– Biegnijcie, biegnijcie, jeśli chcecie! – zawołał za nami. – Ale gdy zapadnie noc, lepiej, żebyście nie byli w pobliżu żadnych ludzi, bo inaczej posmakujecie krwi człowieka!

Rannveig nie zatrzymała się przez pół mili. Pędziła w stronę naszych koni i nie zdołałem jej dogonić, nim tam dotarła. Łkając, zatrzymała się tam, gdzie zostawiliśmy klacze, ale tylko jedna była żywa. Po drugiej została sterta zakrwawionych kości, kawałów skóry i mięsa.

– O Boże! O Boże! – wrzeszczała Rannveig. – Zjadł mojego konia! Gunnar, on zjadł

konia!

– Jeśli dzięki temu nie zjadł nas, to sporo temu koniowi zawdzięczamy – zauważyłem.

Rzuciła się na mnie z pięściami i waliła z całych sił w moją pierś. Bynajmniej nie była słaba, a z wściekłości wybuchnęła niczym wulkan.

– Jak! Śmiesz! Mówić! O wdzięczności! – darła się, waląc mnie za każdym słowem. – Już po nas! Już po nas, słyszysz? Goimy się jak demony! Już nie jesteśmy ludźmi! Nasza szansa na zbawienie przepadła! Przepadła!

Rozpląkała się i osunęła na ziemię, ściskając mnie kurczowo. Uklęknąłem, żeby ją przytulić, ale nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie mogłem jej pocieszyć, że wszystko będzie dobrze. Nie będzie jej łatwo wyjaśnić ludziom z gospodarstwa, co się stało z koniem. A jeśli naprawdę zmieni się dziś w nocy w wilka, wszyscy ludzie wokół będą w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Żeby więc nie ryzykować – oraz by dać sobie więcej czasu na wymyślenie jakiejś zgrabnej historyjki, gdyby się jednak okazało, że możemy wrócić do ludzi – postanowiliśmy ruszyć dalej moją trasą na zachód, do Kirkjubæjarklaustur. Nie było to jednak wcale łatwe, bo nasz jedyny koń nie dawał się w ogóle dotknąć. Rżał w panice i stawał dęba, gdy tylko któreś z nas się do niego zbliżało, aż w końcu musieliśmy go po prostu puścić wolno, a wtedy uciekł natychmiast. Pobiegł w stronę gospodarstwa Hnappavellir.

Nie widząc innego wyjścia, ruszyliśmy powoli za nim. Uznaliśmy, że wytrzymamy jeden dzień bez jedzenia i picia, a wcześniej rano dotrzemy do domu Rannveig. Cały dzień nie widzieliśmy ani nawet nie słyszeliśmy Úlfura.

Byliśmy obydwoje wykończeni. Poprzedniej nocy w ogóle nie spaliśmy, a teraz szliśmy cały dzień. O zachodzie słońca padliśmy ze zmęczenia pod jakimś drzewem. Drżeliśmy ze strachu na myśl o tym, co przyniesie noc, ale nie mieliśmy już siły się tym więcej zamartwiać. Udało mi się nawet zdrzemnąć.

Nigdy nie obudziło mnie nic straszniejszego. Mój szkielet łamał się w stu różnych miejscach i zrastał na nowo w jakiś dziwny kształt, wszystkie narządy kurczyły się i zmieniały, a w dodatku ten nieznośny ból głowy między oczami, gdy wyrasta ci nagle pysk. To, że byłem odziany w ludzkie ubrania, nie ułatwiało transformacji.

Rannveig przechodziła podobną przemianę. Jej skowyty i okrzyki bólu były chyba jeszcze głośniejsze niż moje darcie się wniebogłosy. W końcu nasze ubrania były w strzępach, a transformacja się zakończyła. Ból zelżał, więc po chwili leżeliśmy już tylko pod drzewem, skomląc cicho. Odwróciłem łeb i zobaczyłem wszystko o wiele wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem. Na miejscu Rannveig leżała na resztkach jej ubrania jasnoszara wilczyca o białych łapach.

Zerwałem się na równe nogi, a raczej łapy, i zrobiłem głęboki wdech. Mój umysł zalały zapachy, których nawet dotąd nie znałem. Gdzieś niedaleko znajdowała się nora leśnych myszy, ziemia pod drzewem upstrzona była ich odchodami. Czułem jeszcze ślady paniki naszego wierzchowca. Myśl o koniu przypomniła mi o głodzie. O polowaniu.

Rannveig też już wstała i wyglądała na wygłodniałą. Wyczuła konia i razem ruszyliśmy w pogoń. Nie wiem, jak zdołaliśmy się porozumiewać, pewnie jakoś na poziomie instynktownym, bo oczywiście nie mieliśmy jeszcze łącza, jakie ustala się w watasze.

Wspaniale było biec. Sadziłem susy bez żadnego wysiłku. Rannveig pędziła przy mnie i też wyglądała na zadowoloną z tej przebieżki. Wiedziałem, że jesteśmy coraz bliżej konia. Albo zwolnił, albo zupełnie się zatrzymał, może zgubiwszy drogę po ciemku. Ale po chwili wyczuliśmy zapachy innych koni i czegoś jeszcze – ludzi. Zacząłem się ślinić i resztki moich ludzkich myśli zostały stłumione przez wilka, który zupełnie zawładnął moim ciałem i umysłem. Następne, co pamiętam, to czyjś głos w głowie.

<Świetnie. Zjadłeś ludzkie mięso. Twój wilk się wzmocni. Trudniej go będzie z początku kontrolować, ale będziecie oboje silnymi członkami Watahy>.

<Co? Kim jesteś?> spytałem. Rozejrzałem się i zobaczyłem przy sobie Rannveig z zakrwawionym pyskiem. Czulem posokę na swoim języku, czulem jej miedziany zapach. Trochę dalej siedział spokojnie jeszcze jeden wilk. Poznałem go: Úlfur.

<Znasz mnie. Jestem twoim alfą. Jesteśmy Watahą>.

Rannveig oprzytomniała i zaczęła docierać do niej, co się dzieje. Nie rozpoznawałem ciała, które rozszarpaliśmy, ale ona tak. Odskoczyła od zwłok i zawyła przerażona.

Przez łącza Watahy usłyszałem:

<Niecee! To Sigurd! Zabiliśmy mojego brata! Gunnar! Zjedliśmy mojego brata!>

Pewnie szukał tu siostry. Odwróciłem łeb. Na ścieżce leżało jeszcze jedno ciało. Nie wiedziałem kto to, bo przecież nie znałem nikogo z gospodarstwa poza Rannveig, ale podejrzywałem, że ona bez trudu rozpozna trupa.

<Przykro mi. Czy to także ktoś, kogo znałaś?> spytałem. Nie słuchała mnie. Była tak zatrwożona tym, że zjadła własnego brata, że próbowała wymiotować. Było mi bardzo przykro z powodu tych ludzi, ale nie czyniłem sobie z tego powodu wyrzutów. Rozumiałem już, że to nie moja wina. Ci ludzie zostali zabici przez wilki, a nie zamordowani.

<Masz rację, Gunnarze> rzekł Úlfur, który najwyraźniej słyszał moje myśli. <To nie wy to zrobiliście. To wasze wilki. Rannveig? Rannveig! Uspokój się>.

Myślałem, że go zignoruje tak jak mnie, ale uspokoiła się od razu. Był silnym alfą. Podkuliła posłusznie ogon i tylko zaskomlała cicho.

<Słuchajcie> powiedział Úlfur <ruszymy teraz na północ, na drugą stronę wyspy, i tam osiadziemy. Powoli stworzymy Watahę i zorganizujemy sobie terytorium. Gdy rano zmienicie się w ludzi, poczujecie się znacznie lepiej. Będziecie silniejsi i nigdy już nie będziecie chorować. Nauczę was, jak kontrolować wilka, więc jeśli takie będzie wasze życzenie, będziecie mogli wypuszczać go na wolność tylko na jedną noc w miesiącu, a nie na trzy, tak jakby on chciał. Nigdy też już nie zawładnie wami tak dokumentnie jak dziś, póki mamy łącze Watahy>.

<Jesteśmy potępieni, Gunnarze> jęknęła Rannveig.

<Być może> zgodziłem się z nią. <Ale a nuż uda nam się odnaleźć jeszcze ścieżkę do zbawienia>. Prawdę powiedziawszy, nie byłem pewien, czy będzie mi się chciało tracić czas na jej szukanie. Już wtedy czulem, że podoba mi się bycie wilkiem, i nie byłem wcale tak przerażony jak ona. <Kim jest ten drugi człowiek?> spytałem ją znowu, bo już była dość spokojna.

Powlokła się zrezygnowana w kierunku ciała i spojrzała w zmasakrowaną twarz.

<Einar. Mój dziadek. To do niego należało gospodarstwo. O Boże, nie mogę uwierzyć, że to się dzieje>. – Odrzuciła łeb w tył i zawyła przejmująco.

<Nie dzieje się, Rannveig. Już się stało. I to nie my to uczyniliśmy. To był wypadek>.

<Nie zachowuj się tak, jakby nikt nie był za to odpowiedzialny! Cudzołożyliśmy i Bóg zesłał na nas karę. Przeklął nas. A teraz zabiliśmy mego brata i dziadka!>

<Wcale nie czuję się przeklęty> wyznałem.

Rannveig zaskomlała i padła na ziemię, zakrywając ślepią łapami, zupełnie jakby była człowiekiem. Uszy położyła po sobie, podkuliła ogon.

<Posłuchaj, Rannveig> powiedziałem, bo myślami już analizowałem możliwości, które się przed nami otworzyły. <Powiedziałaś mi, że chcesz naprawdę żyć. Teraz stało się to możliwe. Nie potrzebujesz już ani męża, ani brata. Zamiast tego masz Watahę, rozumiesz?>

<To prawda> potwierdził Úlfur. <Zamieszkamy w Húsavíku i będziesz tam mogła pracować, w jakim zawodzie ci się zamarzy. A gdy nadejdzie pełnia, wymkniemy się z miasta,

by zapolować na foki albo maskonury, albo na co tylko zapragniesz. Latem możemy nawet wybrać się nad jezioro Mývatn na kaczki>.

Na Islandii nie dało się wtedy właściwie zapolować na nic innego. Renifery z Norwegii pojawiły się dopiero w połowie dziewiętnastego wieku.

Oznaczało to również, że nie było na wyspie żadnych większych drapieżników. Najdzikszym zwierzęciem był lis polarny. Nikt nie uwierzyłby przecież, że człowieka zabił i zeżarł lis. A gdy ludzie znajdą te ciała, zaczną szukać mordercy.

<Czas nam w drogę> ponaglał Úlfur. <Chodźcie. Powinniśmy dotrzeć do Kirkjubæjarklaustur już jutro i tam zdobyć dla was jakieś ubrania. Powiemy, że napadli was zbójcy>.

Úlfur był oczywiście znacznie lepiej przygotowany na przemiany. Schował sobie zawczasu ubrania i sakiewkę z pieniędzmi.

<Zbójcy na Islandii?> spytałem sceptycznie. Właśnie dlatego mogłem pracować jako wędrowny sprzedawca, że żaden zbójca nie wyżyłby tu z rabowania. Między islandzkimi chłopami wymiana handlowa była wtedy naprawdę bardzo drobna, wręcz symboliczna.

<Czemu nie? Po prostu zróbcie żalosne miny, a wszyscy wam uwierzą>.

Zrobienie żalostnej miny nie stanowiło akurat żadnego problemu, bo przemiana w człowieka okazała się równie bolesna jak uprzednio w wilka. Dobrzy ludzie z Kirkjubæjarklaustur dali nam ubrania i pożywienie, a Úlfur kupił nam też tobołki, żebyśmy mieli w czym nieść zapasy na drogę. Ruszyliśmy na północ między dwoma lodowcami. Spaliśmy pod gołym niebem i nie baliśmy się niczego. Rannveig niewiele mówiła, a nocą popłakiwała cicho. Nie chciała, by ją pocieszać.

Zatrzymaliśmy się na jakiś czas w Mývatn, nim znów ruszyliśmy do Húsavíku. Na wybrzeżu łatwiej było o pracę, choć nie mogliśmy dołączyć do rybaków bądź wielorybników, ponieważ zbyt się baliśmy, że pełnia może nas zaskoczyć na morzu. Znaleźliśmy sobie inne zajęcia. Powoli przyzwyczajaliśmy się do tego, że jesteśmy wilkołakami, a w Húsavíku powiększyliśmy Watahę o dwa nowe wilki, kobietę i mężczyznę.

Dwa lata później, w tysiąc siedemset siódmym, Islandię nawiedziła zaraza. Wybiła jedną czwartą populacji. Zasugerowałem Úlfurowi, żeby trochę przyspieszyć powiększanie Watahy, bo wilkom nie groziła choroba, toteż ratowalibyśmy ludziom życie. To wtedy po raz pierwszy ujawniły się rasizm i bigoteria Úlfura. Zgodził się, że ratowanie ludzi poprzez rozszerzanie Watahy to dobry pomysł, ale tylko jeśli będą to potomkowie prawdziwych Skandynawów. Nie dopuszczał myśli o przyłączeniu do Watahy Celtów czy jakiegokolwiek innej grupy etnicznej i zdecydowanie preferował pogan. Nie mogłem pojąć tej wybiórczości, tej łatwości, z jaką skazywał wszystkich innych ludzi w Húsavíku na śmierć w męczarniach.

Gdy odważyłem się zakwestionować tę postawę, najeżył się i spytał, czy podważam jego przywództwo. Byłem jego beta, ale już wtedy pozostałe wilki często wołały porozmawiać raczej ze mną niż z nim. Rannveig nigdy nie rozmawiała z Úlfurem, jeśli nie było to konieczne.

– Nie przywództwo – odpowiedziałem – tylko rozumowanie stojące za decyzją, by wykluczyć przyjmowanie do Watahy Celtów. Znam wielu silnych Celtów, których można by uratować przed zarazą już podczas najbliższej pełni.

Ta rozmowa odbyła się ledwie trzy dni przed pełnią księżyca.

– Celtowie zaburzyliby harmonię w Watasze i zasiali niezgodę – oświadczył, choć naprawdę nie wiedziałem, o jakiej to harmonii mówi.

Choć stanowiliśmy bardzo małe stado, było już wtedy między nami wiele niepotrzebnych tarć.

Gdy wróciliśmy z biegu podczas pełni, tamci Celtowie już nie żyli lub właśnie umierali.

Była to w moim przekonaniu niepotrzebna strata dobrych ludzi. Tak zaczął się mój konflikt z Úlfurem.

– Mogliśmy ocalić tych ludzi – wypomniałem mu, a on warknął na mnie i uderzył tak mocno, że upadłem jak długi, a moje oczy zżółkły.

– Czystość gatunku to prawo Watahy – ryknął. – Nigdy więcej nie waż się sugerować, bym je zmienił!

Pomyślałem sobie, że facet nawet nie odróżnia rasy od gatunku, ale ugryzłem się w język i odwróciłem potulnie łeb.

– Jak sobie życzysz, alfo – wymamrotałem.

Tydzień później spotkałem wilkołaka z innej Watahy. Nazywał się Hallbjörn Hauk.

– Jestem betą z Reykjavíku – przedstawił się. – Moim alfą jest Ketill Grímsson. Jesteś betą Úlfura Dalsgaarda, tak?

– Tak.

– Czy moglibyśmy zamienić słówko na osobności? – zapytał.

– Niewiele jest miejsc, do których mógłbym się udać bez wiedzy Watahy – przyznałem.

Byliśmy małym stadem, ale Húsavík nie był wielkim miastem.

Hallbjörn uśmiechnął się.

– Rozumiem. Przedstawię więc sprawę krótko. Czy masz świadomość, że Úlfur Dalsgaard należał do niedawna do Watahy z Reykjavíku i został z niej wygnany ledwie dwa lata temu?

– Nie. Dlaczego został wygnany?

– Ketill i pozostali mieli już dość jego pomysłów na temat czystości rasowej. Nieustannie poniżał i naśmiewał się z tych członków Watahy, którzy mieli nieskandynawskich przodków, mnie samego nie wykluczając, po ojcu jestem bowiem anglosaskiej krwi. Ketill kazał mu się zabierać z tą całą rasistowską krucjatą i wygnał go z Reykjavíku.

– Po co przybyłeś?

– Żeby dać znać tobie i pozostałym wilkom, że jest na Islandii inna Wataha, gdybyście kiedyś poczuli potrzebę odmiany. Przyjmiemy was z otwartymi ramionami, jeśli tylko porzucicie przekonania Úlfura. Nasza Wataha to istna menażeria.

– I to tyle? Przybyłeś z tak daleka tylko po to?

– Nie. Jestem też ciekaw, co wiesz o prawie Watahy.

– Tworzy je Úlfur. Słowo alfy jest prawem.

– Oczywiście. Ale wiesz, jakie są mechanizmy zmiany przywódcy?

– Ja... że co?

– Załóżmy, że ktoś w waszym stadzie nie zgadza się z decyzjami alfy. Ktoś niżej w hierarchii albo nawet ty. Albo nawet większość Watahy jest zgodna co do tego, że powinno się zmienić alfę. Co wtedy?

– Nie wiem.

Hauk prychnął i pokręcił głową z taką miną, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Każdy może wezwać alfę do walki o władzę. Zwycięzca pojedynku staje się nowym alfą.

– Jakiego pojedynku?

– Krwawego. Jeden z wilków musi się poddać lub przynajmniej być tak mocno ranny, że przekroczy granicę samoleczenia.

– Interesujące. Úlfur zapomniał widać wspomnieć mi o tym akurat prawie Watahy.

– Uważaj na swoje myśli – ostrzegł Hauk. – Jeśli usłyszysz je przez łącze Watahy, walka

nastąpi, nim będziesz gotów.

– Może je usłyszeć już teraz – odparłem.

Natychmiast zwołałem wszystkich poza Úlfurem na spotkanie w moim domu. On sam zorientuje się przecież raczej szybciej niż później, co się święci, i albo stawi się na pojedynek, albo nie. W Húsavíku żyli jeszcze ludzie, których mogliśmy uratować przed plagą.

Mimo że księżyc był niemal zupełnie ciemny tej nocy, a zatem nasze wilki były bardzo słabe, ogłosiłem przez łącze Watahy, że wyzywam Úlfura na pojedynek, po czym z własnej woli wywołałem bolesną transformację i czekałem, aż się pojawi.

Nie będę się tu rozwodził nad samą walką. Była krótka i brutalna. Zabiłem go w niecałą minutę. Nie miałem nawet świadomości, że jestem aż tak silny, póki okoliczności nie zmusiły mnie do wystawienia swoich mocy na próbę. Lecz kiedy umierał, powietrze przeszył dziwny chłód, o czym potem przez lata nie pamiętałem, a tym bardziej nie byłem w stanie tego wyjaśnić. Zostałem alfą Watahy z Húsavíku, a potem alfą całej Islandii po pewnej scysji z Ketillem Grímssonem, która dla tej opowieści nie ma żadnego znaczenia. Jako przywódca najpierw zmieniłem prawo Watahy.

– Podczas rekrutacji w nasze szeregi pochodzenie etniczne nie stanowi żadnego kryterium wpływającego na wartość kandydata – ogłosiłem. – Czy ktoś chciałby zakwestionować tę decyzję lub moje przywództwo?

Nikt nie chciał. Przecież od początku popierali usunięcie Úlfura z jego dziwnymi przekonaniem.

W tysiąc siedemset osiemdziesiątym trzecim, po erupcji wulkanu Laki, opuściliśmy Islandię. Moja Wataha składała się wtedy z dwudziestu wilków. Przybyliśmy do Nowego Świata i powoli dodawaliśmy nowych członków z bardzo różnych środowisk. Niektórzy opuścili moją Watahę i dołączyli do innych, ale wielu pozostało. Największy wzrost naszego stada nastąpił podczas pandemii hiszpanki w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Przedtem nie mieliśmy wielu okazji ratować ludzkiego życia poprzez dar likantropii, który – jak byłem aż nadto świadomy dzięki Rannveig – bynajmniej nie przez wszystkich był przyjmowany jako błogosławieństwo. Lecz podczas wybuchu tej strasznej epidemii znów przypomniała mi się plaga z Islandii i nasza niemoc w niesieniu pomocy. Wiedziałem, że zrobię wszystko, by nie popełnić tego samego błędu. Toteż poinstruowałem Watahę, że mają mieć oczy i uszy szeroko otwarte, by szukać ewentualnych rekrutów. Chciałem, by były to osoby bez rodziny, o którą musiałyby dbać, osoby na granicy śmierci. Musiały jednak umierać w domu, najlepiej na terenie wiejskim, a nie w szpitalu. Nie mogliśmy sobie pozwolić na ujawnienie naszej egzystencji.

Niewielu ludzi pasowało do moich kryteriów, ale mimo to moje wilki uratowały tego roku osiem osób, które inaczej zmarłyby na gripę. Żaden z uratowanych nie był akurat skandynawskiego pochodzenia.

Dołączył do nas jeden Indianin, jeden Meksykanin, dwie Chinki, jeden niemiecki nastolatek, chudy chłopiec z Indii, dziewczynka z Anglii i imigrant z Filipin, którego cała rodzina zmarła podczas epidemii. Wszyscy oni okazali się wspaniałymi ludźmi i świetnymi wilkami. Życie całej naszej Watahy zyskało na ich obecności, ale szczególnie zyskała Rannveig.

Widzicie, sęk w tym, że byliśmy z Rannveig bardzo różnymi wilkami. Ja lubiłem dominować, ona była tak naprawdę (mimo lekkiej skłonności do flirtu i przygód) dość uległa. Nie mogłem nawet wybrać jej jako swojej samicy, bo nie umiałaby się zachowywać jak alfa, a Wataha nigdy by nie zaakceptowała tak uległego wilka na przywódczym stanowisku. Prawda była taka, że choć wszyscy bardzo ją lubiliśmy, nikt jakoś nie chciał się z nią związać. Toteż niezwykle się ucieszyłem, gdy zakochała się bez pamięci w tym Filipińczyku.

Miał na imię Honorato i to on tchnął w nią nowe życie po dwóch wiekach rozpaczy.

Uwierzcie mi, gdy zostali parą, Rannveig stała się inną osobą. Przestała wreszcie mówić o potępieniu, bo jakże potępiony mógłby zostać pobłogosławiony tak wspaniałą miłością? Po raz pierwszy zaczęła postrzegać swego wilka jako coś pozytywnego, a nie przekleństwo. Gdyby Úlfur nie wybrał nas całe wieki temu, nigdy nie poznałaby Honorata.

Lecz Úlfur, choć minęły już setki lat od jego śmierci, znalazł sposób, by zza grobu zrujnować jej szczęście. Tamto zimne powietrze, które poczułem w chwili jego śmierci – to były walkirie, które wybrały go, by dołączył do einherjarów w Walhalli. Teraz już to wiem. A tam, przygotowując się każdego dnia na Ragnarök, musiał się jakoś wyróżnić, ściągnąć na siebie uwagę Thora. A gdy już to mu się udało, wykorzystał boga i zlecił mu morderstwo.

Dziesięć lat temu zabrałem całą naszą Watahę na wycieczkę do Norwegii. Co roku podróżujemy w jakieś wyjątkowe miejsce, a że tak wielu mieliśmy w stadzie Norwegów i Islandczyków, naturalnie nasz wybór padł tym razem na Skandynawię. Zamierzaliśmy pobyc tam tydzień, polować, dobrze się bawić i dać naszym wilkom się wyhasać za wszystkie czasy. Trzeciej nocy, podczas pełni, ośmioro naszych drogich przyjaciół, których uratowałem w tysiąc dziewięćset osiemnastym, w tym mąż Rannveig, zginęło od piorunów. Nic się nie stało żadnemu skandynawskiemu członkowi Watahy. Zaznaczę, że nie polowaliśmy podczas burzy. Niebo było tylko nieco zachmurzone. Od razu wiedziałem, że nie mógł to być żaden wybryk natury. Na potwierdzenie moich przypuszczeń z nieba zniżył się do nas sam Thor i wyjaśnił wszystko w kilku słowach. Jego rydwan wisiał oczywiście poza zasięgiem naszych pazurów i kłów.

– Przekazuję ci ukłony od Úlfura Dalsgaarda, jednego z najdzielniejszych einherjarów w całej Walhalli – powiedział. – Nalega, byś przemyślał swoje prawo rekrutacji spoza naszej rasy.

Zarechotał, widząc, jak warczymy na niego i szekamy. Bardzo był zadowolony z naszej bezsilności. Odleciał bez słowa, a my pozostaliśmy, wyjąc w żałobie.

Jak łatwo sobie wyobrazić, Rannveig była zupełnie załamana. Do dziś prześladowe mnie jej wycie w tamtą noc, gdy zamordowany został jej ukochany Honorato.

Thor nie jest członkiem mojej Watahy i nigdy nim nie będzie. Nikt nie dał mu prawa głosu w sprawach naszej Watahy. Nic nie zyskuje na tym, że odnowi spór, który zakończyłem sprawiedliwie dawno temu, posyłając Úlfura do Walhalli. A już z ludzkiej perspektywy patrząc, nie miał żadnego powodu, by zabijać tych ludzi, i kolor ich skóry nie miał tu nic do rzeczy. Úlfur nie mógł mu zaoferować nic w zamian, sami rozumiecie. Uczynił to więc tylko dla rozrywki. Czy to nie podłe?

Rannveig... cóż. Poległa dwa miesiące temu w walce przeciwko wiedźmom, dźgnięta srebrnym sztyletem. Choć za nią tęsknię, czasem myślę, że być może tak jest lepiej. Po śmierci męża nosiła się z myślą o samobójstwie. Myślę, że gdyby nie wilk i jej luterańska wiara, już dawno by się zabiła.

Teraz wiecie już, dlaczego muszę udać się do Asgardu. Nie mogę drugi raz zabić Úlfura, a nawet gdybym mógł, nic by to nie pomogło, bo przecież pierwsza śmierć zupełnie niczego go nie nauczyła. Mogę jednak zabić Thora, by pomścić śmierć ośmiu osób i złamane serce jednej kobiety. I tak właśnie zrobię. Być może wtedy przestanę słyszeć w nocy jej wycie.



Gdy Gunnar usiadł z powrotem na swoim pniu, słyhać było przez dłuższą chwilę tylko trzaskanie płomieni w ognisku. Myślałem o tamtych dwóch wilkołakach, które zginęły w walce przeciwko Aenghusowi Ógowi pod Tony Cabin. Ich śmierć była zawsze tematem bardzo delikatnym w moim kontaktach z Watahą i teraz dopiero lepiej zrozumiałem dlaczego.

– Przykro mi z powodu Rannveig – powiedziałem, przerywając ciszę, a Gunnar skinął mi smutno głową, choć nie jestem pewien, czy uważał, że przyjmuje w ten sposób przeprosiny, czy wyrazy współczucia.

– Bardzo to dla mnie bolesne usłyszeć, jak obrzydliwie potraktował Thor ciebie i twoją Watahę – przemówił Zhang Guo Lao. – Z przykrością muszę jednak przyznać, że pasuje to dobrze do tego, co wiem o jego charakterze.

– Thor być potworny kałużojeb – dorzucił swoje trzy grosze Perun. Wszyscy obrócili się w jego stronę, po części ubawieni, po części zażenowani. – Co? To nie być angielskie słowo?

Zapewniłem go, że nawet jeśli takiego słowa nie ma w słowniku, to być powinno, a pozostali chętnie się ze mną zgodzili.

– I ja mam do opowiedzenia historię o zbrodni Thora – odezwał się Väinämöinen, gdy już wybrzmiał zabawny neologizm Peruna. – W jego nieudolnym umyśle musi tkwić przekonanie, że wszystkie jego przewiny są jakoś usprawiedliwione tylko dlatego, że jest jednym z Azów. Każda krytyka jego postępów uciszana jest piorunem. Posłuchajcie, a opowiem wam, jak zniszczył jeden z cudów tego świata.

Rozdział 16

Opowieść zaklinacza

Poza Finlandią prawie mnie nie znają, a nawet i tam wielu już o mnie zapomniało. Tak jak innych bogów i bohaterów w niepamięć mnie odsunięto, by miejsce dla nowego wybawcy uczynić – mężczyzny, dla którego ani muzyka, ani seks, ani śmiech nieważne są, a tylko obietnicę rajy potem w zamian za potulność tutaj ludziom daje.

Synem wczorajszej kuropatwy nie jestem, widziałem przecież, że mój lud chętkę zamienić mnie na coś łatwiejszego ma, i że choćbym się na to wściekał, walczył i pazurami się zapierał, nie urodzi się z tego ani dziecko, ani gówno.

Jedynie, co mi pozostało, to z gracją w cień się usunąć. Tak więc uczyniłem: miedzianą łódź sobie wyśpiewałem, spakowałem dobytek, wycesałem brodę i niczym Ulisses Tennysona pozeglować w stronę zachodzącego słońca postanowiłem, poprzysięgając sobie powrócić, gdy mój lud będzie mnie potrzebował. Pewnego dnia, myślałem, pewnego dnia, i to wkrótce, wreszcie im się ten blady, słaby bóg znudzi i sami mego powrotu zażądają. Było to w roku rogu i hełmu.

Minęło tyle lat, nadal nikt mnie nie wzywa, a ja dość już czekania mam. Ludzie nigdy już do mnie nie wrócą. Moja sława wieki temu przebrzmiała.

Lecz w Asgardzie roboty dla mego topora nie brakuje.

Przez jakiś czas rozgoryczony byłem. Odrzucony niczym stary krakers się czułem. Ale powoli, wznosząc się i opadając wraz z oceanem, nowy rytm w sobie rozpoznałem, przypląwy i odpływy poczułem, a one coś zmywają, coś zabierają, ale też na brzeg nowe rzeczy wyrzucają. Muzyka w moim kantele tak zawirowała, jak ocean wokół kila wirował, zaśpiewałem więc, by umysł ukoić.

Podczas podróży jedzenia w bród miałem. Rybom śpiewałem, gdy tylko głód czułem, i same mi do łodzi wskakiwały. Nie brakowało mi też towarzystwa. Śpiewałem wielorybom o słońcu, pszenicy i zwierzętach ziemi, a one mi o prądach, krylu i niekończących się peregrynacjach śpiewały. Więcej – śpiewały o prastarych stworach wciąż czających się w otchłaniach, o potężnych wężach, które człowiek ze strachem w rogach map szkicuje.

W końcu za lądem zatęskniłem, przybiłem więc do brzegu zielonej wyspy, skrytej w kłębach pary unoszącej się nad białych jezior. Ziemia wybuchała tu pianą tak gorącą jak oddech rozwścieczonego, rannego niedźwiedzia. Dziś wyspę tę zwą Islandią. W zachodniej jej części ludzie mieszkali, i tam współcześnie Reykjavík się znajduje, ale ja się po drugiej stronie wyspy trzymałem, by odpocząć na północnym brzegu fiordu, nad którym później Eskifjörður wybudowano. Postawiłem sobie tam mały szałas, częściowo rękoma, częściowo głosem go budując, by chronić się przed mroźnym wiatrem i moje skarby przed niepogodą bezpiecznie skryć. W imię samotności to zrobiłem, lecz nie z mizantropii. Nie. Ja bowiem tak ludzi ukochałem, że gotów byłem od nich stronić, by ich ocalić.

Serce me nękały pytania, na które żaden człowiek odpowiedzieć nie mógł. Marzyłem o zobaczeniu rzeczy, których żaden człowiek mi pokazać nie umiał. Opowieściom i pieśniom, które chciałem usłyszeć, użyzyć głosu żaden człowiek by nie zdołał.

Moją ciekawość wieloryby rozpały. To od nich wiedziałem, że gdzieś tam, w głębinach, kryją się istoty znacznie starsze niż cokolwiek innego, i to z nimi przestawać chciałem. I dlatego stroniłem od ludzi, by jeśli moja misja niepomyślny obrót przybierze, nikt z ludzi na tym nie ucierpiał. I tak po miesiącu bezowocnych starań, gdy szary zmierzch już się na wzburzone lekko

morze cieniem kładł, w końcu udało mi się samym głosem i dźwiękiem kantele na powierzchnię potwora wywołać.

Mówię „potwora”, bo tak zwykli ludzie nazywać stworzenia, które ich zjeść jako przystawkę by mogły. Toń morską zakotłowała się, by jego nadejście zapowiedzieć, a ja śpiewałem dalej o pokoju, rozmowie, o przyjemności poznawania i dzielenia się wiedzą, aż w końcu istota ta z wody się wyłoniła. Był to pokryty błękitnozieloną łuską lewiatan, tak wielki, że połknąć cały smoczy okręt by mógł. Na wysokość sześciu chłopa nade mną się wznosił, choć większość jego cielska pod powierzchnią pozostawała. Żeby unieść szyję tak wysoko, istota ta ciało o dno morza opierać musiała.

Pięć kościstych grani z jego głowy wyrastało, a między nimi membrany, które na wietrze łopotały, aż się zdało, że na łbie przedziwną koronę ma. W tamtej chwili tylko się tą koroną zachwyciłem, ale wkrótce dowiedziałem się, że były to po prostu organy czuciowe, odbierać mu wibracje wody pozwalające. Jego oczy lśnącymi plamami smoły były, a każde dwa razy większe niż moja głowa, jako że taki rozmiar lepiej widzieć w podwodnych mrokach pozwalał. Oczy te na brzegu mnie odnalazły i morską istotą na powitanie zawyła, ukazując półmetrowe zęby i czarny język. Na końcu pyska nozdrza miała, które, jak się okazało, nie do oddychania służyły, a do węszenia. Pod szczęką, wzdłuż szyi skrzela się ciągnęły, co oznaczało, że stworzenie to niedługo nad powierzchnią pozostanie. Ale zobaczyło mnie, a ja zobaczyłem je i to wystarczyło. W zimne wody fiordu opadło, lecz nie odplynęło. Miotало się chwilę, by odpowiednio swe wielkie cielsko ułożyć, aż w końcu z wody jego głowa się wyłoniła, spojrzały na mnie oczy czarne niczym obsydian i zafalowała korona koloru morza. Istota ta przemówiła do mnie, tak jak przemawiały wieloryby, pieśnią dla większości ludzi niepojętą zupełnie, ale dla mnie jasną i zrozumiałą jak moja czy twoja mowa. Tak jest bowiem z mową wszystkich zwierząt, i tak właśnie mogą mnie one zrozumieć. Zagrałem cicho na moim kantele i rozpoczęła się nasza rozmowa.

<Nie jesteś rybakiem> powiedziało stworzenie. <Jakiego rodzaju człowiekiem jesteś?>

– Jestem szamanem – odparłem. – Jeśli w ogóle jestem człowiekiem. Czarodziejem.

Niektórzy nazywają mnie bohaterem, niektórzy bogiem. Lecz przede wszystkim istotą ciekawą jestem. Ciebie ciekaw jestem. Jak ci na imię?

<Nie mam imienia w języku ludzi i bogów. Lecz żeglarze nazywają mnie węzem.

Potworem>.

– Jak ty siebie nazywasz?

<Nigdy nie odczuwałam potrzeby nazywania się, jestem tu bowiem od zawsze. A ty masz zwyczaj się nazywać?>

– Nie, ale inni mnie nazywają.

<I jak cię nazywają?>

– Zwą mnie Väinämöinen. Powiedz mi, czy jest was więcej?

<Są starsi. Nauczyli mnie mowy, gdy pływałam w głębinach, lecz teraz jestem Ciekawa, nie odezwą się więc do mnie, póki nie dorosnę>.

– Mówisz „ciekawa” tak, jakby to było coś złego.

<Wśród moich ciekawość to coś złego. To najniebezpieczniejszy moment w naszym życiu. To wtedy poszukujemy wiedzy o tym, co kryje się na powierzchni. Będę Ciekawa już bardzo krótko>.

– Jesteś dzieckiem?

<Jeszcze tylko przez kilka cykli słońca. Gdy odbędą się żniwa błękitnych płetwali, dołączę do chóru mego ludu. Zaśpiewają mi moje imię i nigdy już nie wypłynę na powierzchnię>.

– Rozumiem. Ile osób liczy wasz chór?

<Ja będę dwunasta. Ale istnieją inne chóry w odległych oceanach>.

Poprosiła mnie o zbudowanie ogniska, ogień zobaczyć chciała. Chciała wiedzieć, gdzie się światelka z nieba podziały, wyjaśniłem jej więc, że je chmury skryły. Nie rozumiała, czemu chmury coś takiego zrobić by światelkom miały. Chciała wiedzieć, czy ludzie nadali tym światłom imiona. Chciała wiedzieć, skąd ludzie biorą swoje imiona i w jaki sposób je w czystości utrzymują.

Opowiedziała mi „Niezwykłe krótką sagę o Sheerth Nadmiernie Ciemnym, który sekretne legowisko Kałamarnicy Wielkiej poszukiwał”. Zaśpiewała mi „Balladę o ćmie walecznej, która z syrenami w wapiennej grocie walczyła”. Wiele tajemnic morskich głębin przede mną odkryła. Los legendarnej Atlantydy poznałem, której złoto i marmury teraz za dom trytonom służą. Wzdłuż wszystkich brzegów niezmierzone skarby leżą, mówiła, a przy nabrzeżach Ameryki Południowej bogowie przepełnieni zimnym złem śpią, a zbudzą się pewnego dnia, przez ludzkie sny o potędze wezwani.

<Czy i ty śnisz o potędze?> spytała. <Czy wezwałeś mnie tu po to, bym zniszczyła twoich wrogów?>

– Nie, oczywiście, że nie. Po prostu jest mi bardzo miło cię poznać i wymienić się wiedzą na temat naszych światów. Możemy wiele się jeszcze od siebie nawzajem nauczyć, nim zdobędziesz imię podczas żniw błękitnych płetwali. Czego ja mógłbym cię nauczyć? Co chciałabyś wiedzieć?

Rozmawialiśmy długo w tę ciemną noc i tylko moje ognisko wody fiordu oświetlało. Wśród nadymających się spódnic chmur pobłyskiwało też czasem, a z rzadka jakaś błyskawica brzeg oświetliła. Po którymś jaśniejszym błysku wielkie stworzenie ku niskiemu nieboskłonowi pysk ciekawy uniosło.

<Co powoduje te światła na niebie?>

Zachichotałem.

– Wiele jest różnych teorii na ten temat. Zwykle uznaje się, że stoi za nimi ten czy inny bóg.

<Jak wyglądają ci bogowie?>

– Bóg Skandynawów nazywa się Thor. Jeździ na rydwanie zaprzężonym w dwie kozy, rogate zwierzęta o czterech nogach, i nosi wielki pas, który podwaja jego siłę.

<Czy to on?>

– Co? Gdzie? – Odwróciłem się, żeby spojrzeć za siebie, i ujrzałem, jak niebo kula światła rozświetla. W jej środku topór widniał, a pod nią wzniesioną dłoń widziałem i twarz wykrzywioną ze złości i jasną czuprynę. Krawędzie rydwanu i rogi obu kóz skrzyły się jasno. Nie można tego było wyjaśnić inaczej jak tym, że bóg piorunów pędzi w naszym kierunku.

Bojąc się o jego intencję, rozpaczliwie wymachiwać począłem.

– Nie! – darłem się. – Zaczekaj!

Lecz Thor zamachnął się i krąg światła wprost między oczy wodnego stworzenia poleciał. Ryknęła z bólu i do tyłu w wodę runęła wodna istota, a za nią więcej się błyskawic posypało, które w jej pokrytym łuską ciele dziury straszne wypalały, gdy tylko się ponad powierzchnię wyłoniła.

Cisnąłem kantele na ziemię i zacząłem skakać i gestykulować, i wyzywać go od odmóżdzonego pomiotu zidiociałego pasterza, lecz na próżno. Wymachiwał młotem, ile miał sił w ręce, gdy biedna istota wy dostać się z płytkiego fiordu na otwarte morze usiłowała. Do mojego szałas pobieglem, włócznię wyciągnąłem i szybko odpowiednio do walki ją zakląłem. W kierunku najbliższej kozy Thora ją cisnąłem. Rydwanem szarpnęło i runął w dół, a bóg piorunów

prosto do morza spadł. To wreszcie jego uwagę na mnie zwróciło.

Ta, która tak pięknie mi śpiewała, teraz uciec przed błyskawicami mogła, chwyciłem więc szybko kantele i przemówiłem do niej:

– Skryj się w głębiny i nigdy już nie wypływaj na powierzchnię! – krzyknąłem za nią. – Tak mi przykro...

Nie otrzymałem żadnej spójnej odpowiedzi, tylko strach, ból i poczucie zdrady. Nie mogłem sobie wybaczyć, że nie skryłem nas obydwójga maskowaniem i że nie powstrzymałem jakoś Thora, nim udało mu się otworzyć całe zło niebios. Jak wysoką cenę zapłacić za ciekawość musieliśmy... Lecząc żyła jeszcze. Miałem nadzieję, że jeszcze nam się uda, jeśli tylko powstrzymać boga grzmotów od dalszych ataków zdołam.

Wypłynął na powierzchnię, by natychmiast ku swemu młotowi jeszcze więcej błyskawic ściągnąć. Zwróciłem się ku niemu i śpiewem ukoić jego złość usiłowałem. Jego jedyna koza starała się jakoś wylądować na brzegu, ciągnąc za sobą nie tylko rydwan, ale i martwą towarzyszkę.

Nie widziałem już lewiatana, ale najwyraźniej Thor jakoś jej położenie wyczuł, pewnym siebie ruchem bowiem tuż przy ujściu fiordu do oceanu uderzył, na moją pieśń niepomyślny, nieczuły na zaklęcia.

Ból, który mnie od morza owiał, mój umysł z taką mocą ogarnął, że aż się zatoczyłem. Potem cisza nastąpiła. Cisza zupełna.

Sobie wtedy zaśpiewać pieśń musiałem, by własną wściekłość uspokoić, bo mnie ze szczętem zalała, niemal moją wolę i rozsądek z kretesem topiąc. Wiedziałem jednak, że jeśli ktoś jest się w stanie jej oprzeć, to właśnie Thor. Wiedziałem też, że zupełnie nieprzygotowany na walkę z tym bogiem jestem. Nic mnie przed piorunami nie chroniło. Zrobiłem więc jedynie to, co znacznie wcześniej zrobić powinienem był, czyli maskowanie na siebie rzuciłem i przed jego oczyma się skryłem. Gdy Thor do brzegu płynął, rozpychając wodę mocnymi ruchami, rzuciłem kolejne maskowanie na swój szalas i jeszcze jedno na głos, żeby Thor, skąd on dochodzi, nie wiedział.

Bóg piorunów z morza tak się wściekły jako i ja wyłonił. Młot zza pasa wyciągnął, bo tam go sobie na czas dopłynięcia do brzegu zatknął, i zaczął nim wygrażać wszystkiemu naokoło.

– Ty tchórze! Wyjdź z ukrycia! Ty, który zabiłeś moją kozę! Odpowiesz mi za to!

– A czy ty odpowiesz za zabicie lewiatana? – zapytałem.

Mój głos z każdej strony naraz zagrzmiął i bóg piorunów obrócił się, namierzyć mnie próbując.

– Za nic nie muszę odpowiadać! – ryknął. – Zrobiłem światu przysługę.

– Zrób światu jeszcze jedną i zabij sam siebie. Ta istota nikogo nie skrzywdziła.

– Głupi śmiertelniku! Zaraz by cię zjadła!

– Bynajmniej. Rozmawialiśmy sobie w spokoju, a ty zamordowałeś ją, nie pytając nawet o jej intencje. I nie jestem śmiertelnikiem.

Najpierw minę wyrażającą niedowierzanie zrobił, potem usta w uśmiech pełen pogardy skrzywił.

– To czym jesteś? Jakimś czarodziejem, który hoduje sobie węże?

– A czym ty jesteś? – tym samym tonem mu odparłem. – Tępym, aroganckim bogiem, któremu się wydaje, że nieśmiertelność usprawiedliwia wszelkie grzechy?

Uśmiech z jego twarzy zniknął. Spurpurowiał, gdy darł się, kręcąc się w kółko, żebym go na pewno usłyszał.

– Ten potwór był pomiotem węży, więc musiał zginąć z mojej ręki! Tylko się wprawiam, nim nastąpi Ragnarök. Jörmungandr nie będzie czekał na ludzkie pozwolenie, by zaatakować

Asgard, a moja ręka nie zawaha się, gdy będę niszczył tych, którzy chcą przyspieszać jego nadejście.

Do swego rydwanu ruszył i wyrwał z ciała kozy moją włócznię, a potem w wody fiordu nią cisnął. Dotknął kozy młotem, w jednej chwili ją ożywiając. Zwierzę na lekko oszołomione wyglądało, ale poza tym żywe było jak przedtem.

– Oto moja moc. Patrz, kimkolwiek jesteś – warknął. – Jestem panem życia i śmierci. Wiedz, co ryzykujesz, drażniąc tak potężnego boga.

Chwilę na odpowiedź czekał, ale żadna nie padła. Nie czas było go wtedy drażnić. Ten czas nadszedł teraz.

Uznał, że mnie zastraszył, i zadowolony z siebie na rydwan wskoczył, lejcami strzelił i z powrotem w kierunku ciemnych chmur poleciał, tych samych, które jego nadejście skryły.

Od tamtego dnia wciąż śmierć mej nienazwanej przyjaciółki oplakuję, a imię Thora przeklinam. Cud oceanu zniszczył. Wszystkim ludziom wiedzę o świecie, którego nigdy nie zobaczą, ukradł. Może i Finowie już starego zaklinacza nie potrzebują, ale ja wciąż jeden obowiązek do wykonania mam: muszę się upewnić, że Thor za swoje bezduszne morderstwo wreszcie odpowie.

Zasoliłem moją nienawiść, uwędziłem, w ciemnej piwnicy mego mózgu trzymałem, czekając na dzień, gdy się moim jedynym pożywieniem stanie. Ten dzień już nadszedł, a ja wgryźć się w to mięso zamierzam, ja się w nim rozsmakuję.



Ostatnie słowa Väinämöinen'a oczywiście gwarantowały mu w tym towarzystwie entuzjastyczny aplauz. Perun zaproponował toast. Wyciągnął nie wiadomo skąd butelkę wódki i zaczął wszystkim nalewać. Przyłączyłem się do toastu, bardziej by docenić jakoś dziki liryzm tej opowieści, niż wyrazić moje nastawienie do Thora. Uderzyło mnie, że opis tej nienazwanej przyjaciółki tak bardzo przypominał to, co powiedział mi Odyseusz w Hadesie. Nie kłamałem, gdy powiedziałem Granuaile, że syreny mówiły mu o hasenpfefferze i morskich węzach. To, co mu naopowiadały, musiało się legendarnemu królowi Itaki wydać stekiem bzdur, ale jak dla mnie naprawdę miało sens. Zaśpiewały mu kilka przepowiedni, które były naprawdę znacznie dokładniejsze od wszystkiego, co spłodził Nostradamus. To na tym polegał fenomen syren – nie obiecywały władzy czy bogactwa, ale dzieliły się z żeglarzami swymi przedziwnymi, acz kuszącymi prorocत्वami, które sprawiały, że ludzie wyskakiwali z okrętów po prostu, żeby spytać, o czym te szurnięte krowy w ogóle mówią, do cholery. Albo, jeśli to nie wystarczyło, wyskakiwali, kiedy syreny im powiedziały, co wiedziały na temat ich przyszłości lub przyszłości ich rodzin. Odyseusz mówił, że kiedy mu wyśpiewały prorocत्व na temat Penelopy i Telemacha, nie zdzierzył i zażądał, by go odwiązano od masztu.

Odyseusz nie dożył czasów, kiedy te przepowiednie się sprawdziły, ale ja owszem. Powtórzył mi, co mu powiedziały – słowo po słowie, bo wbiły mu się one boleśnie w pamięć – i muszę powiedzieć, że prorocтва te były naprawdę przerażająco dokładne. Przewidziały czarną śmierć w Europie i wielkość imperium mongolskiego. Mówiły mu rzeczy w stylu: „Czerwone płaszcze pokonane zostaną w Nowym Świecie” i „Dwa miasta w Azji pod chmurami w kształcie grzybów znikną”. I jeszcze: „Człowiek o szklanej twarzy chodził po księżycu będzie” oraz „W Jeruzalem ludzie nigdy się układać nie będą”. Chyba już tylko jedno z ich prorocत्व się nie spełniło: „Trzyście lat po tym, jak biała broda w Rosji na kolację zajęła zje i o morskich węzach opowie, spłonie świat”.

(Panie dyrygencie, proszę rozedrgane skrzypce w tle).

Czy byłem właśnie świadkiem początku końca? Czy Väinämöinen był heroldem apokalipsy? Przeliczyłem sobie też szybko, choć nie bez sporej dozy niepokoju, że jeśliby ostatnie prorocstwo syren miało się spełnić, od tej chwili licząc, to koniec świata nastąpiłby zaraz po tym, jak Granuaile zakończyłaby swoją naukę i została prawdziwą druidką.

Korelacja nie oznacza jeszcze przyczynowości, przypomniałem sobie w ramach pocieszenia. Zresztą może syreny miały na myśli globalne ocieplenie. Tymczasem Perun rozkręcał się z każdym łykiem wódki. Obalał dwa kieliszki tego trunku na każdy jeden po naszej stronie. Ale poza tym, że wyglądał na coraz radośniejszego, nie widać było u niego żadnych innych skutków upojenia alkoholowego. Być może była to jedna z jego boskich mocy.

– Być czas na moja opowieść, tak? – spytał, wstając dziarsko na równe nogi i uśmiechając się przyjacielsko. – Wy może myśleć, Perun być zazdrosny o Thora. Perun nie chceć dzielić się nieboskłonem. Wy być bardzo w błędzie! – Wycelował we mnie palcem, a potem machnął nim na nas wszystkich. – Starczyć nieba dla każdy bóg. Starczy mężczyzn i kobiet do czczenia, starczy wódki, nie? – Zamarł, unosząc brwi i wyciągając butelkę w naszą stronę. – Wy chceć więcej? – Nikt jakoś się nie palił, wzruszył więc ramionami i nalał sobie kolejny kielonek. – To ja pić sam. – Wypił do dna, zamrugał z ukontentowania i sapnął głośno. – Aaaaa, być dobra ta wódka. Dobra, bardzo dobra. A teraz wy słuchać mnie, słuchać jak złodzieje.

Spojrzałem na niego uważniej, żeby ustalić, czy celowo nawiązał do piosenki INXS-ów, ale wyglądał na zupełnie nieświadomego tego popkulturowego odniesienia. Zresztą nikt z obecnych chyba i tak się nie zorientował.

– Ja wam powiedzieć, co się stać. Ale ja powiedzieć krótko, tak? Angielski nie być dla mnie dobry język.

Rozdział 17

Opowieść boga piorunów

Amerykanie mówić, że wszyscy ludzie równe. Te słowa być bardzo dobre. Ludzie od nich czuć się dobrze, wyjątkowo. Ludzie wiedzieć, że to nie być prawda, nie do końca, ale zawsze mówić, że to być prawda. Ludzie pokazywać te słowa i mówić: takie idee nas wzmacniać. Ludzie zmieniać mysz w miś. Ludzie zmieniać pies w niedźwiedź. Wszystko może być silne jak niedźwiedź, jeśli ty myśleć amerykańskim mózgiem. Ale jeśli wszystko być niedźwiedź, to co ten niedźwiedź jeść?

Amerykanie chcieć magiczny, doskonały świat. Ale taki świat być tylko na filmach. Ludzie nigdy nie być równi, tak jak zwierzęta nigdy nie być równe. Zawsze być ofiara i drapieżnik. Mała ryba być obiad dla duża ryba, tak? I zawsze być gdzieś większa ryba.

Tak samo być z ideami. Kropka w kropkę. Duże idee pochłaniać małe idee. Duże idee zostawać długo w umysłach ludzi. Małe idee być zapomniane, tak jak mała ryba być zjedzona przez duża ryba.

Bogowie być duże idee. Oni zostawać w umysłach długo. Oni chodzić po ziemi albo mieszkać w niebie, albo w wodzie, albo pod ziemią. Ale nawet bogowie być zjadani przez więksi bogowie.

Ja być zjedzony przez Chrystus. Wy rozumieć? Chrystus zjeść dużo bogów. Wy rozumieć, on mnie zjeść jako idea, nie moje ciało. On jeść mnie i inne słowiańskie bogi. On zjeść celtyckie bogi i greckie bogi, i rzymskie, i skandynawskie – nawet Väinämöinen – i on zająć ich miejsce w umyśle człowieka. Niektóre te stare bogi już być martwe. Ludzie o nich zapomnieć kompletnie.

Ale ja nie być zapomniany przez wszystkie umysły. Jeszcze nie. Jeszcze być tacy, co mnie pamiętać. Być tacy, co mnie czcić. Ja nie umrzeć, póki oni pamiętać.

Tylko że ja być słaby jak kociak. Nie silny jak przed Chrystusem. A wszystko przez Odyna i Thora.

Ja najpierw myśleć, że to tylko Thor, ale ja ostatnio zrozumieć, że to Odyn mu kazać. Kiedyś Thor przyjść do mnie i powiedzieć:

– Mój lud buduje mi lepsze posągi niż twój tobie. Oni mnie kochają bardziej niż twój lud kocha ciebie. Nie ma nic wspanialszego nad posągi i kamienie.

On mi pokazać swoje pomniki w Szwecji. Pokazać mi je w Norwegii i Danii i te pomniki być naprawdę wspaniałe. Ja być zazdrosny. Ja poprosić mój lud, żeby mi budować takie pomniki z kamienia. I z drewna też. Nie tylko dla mnie, ale dla całego mojego panteonu. Ja im powiedzieć, że tak trzeba okazywać mi miłość. I przez to dobrzy ludzie to robić, a ja mieć lepsze posągi i rzeźby niż nordyckie bogi.

Dopiero później ja poznać prawdę. Trudno pisać na kamieniu. Tak trudno, że lepiej nic nie pisać. I napis na kamieniu się z czasem ścierać. A potem przyjść Chrystus ze swoimi czytającymi mnichami i drukiem i idea Chrystusa przetrwać, i rosnąć w siłę, a ideę Peruna zmyć deszcz i wytrzeć wiatr.

To tak być silne dzisiejsze bogi: Chrystus, Allah, Jahwe, Budda, Kriszna... Być masę stron o nich. Być masę słów o nich. Te słowa podróżować wszędzie, przenosić ich idee w nowe pokolenia. Ja mieć kamienne pomniki, które nie podróżować nigdzie. Jak ja mieć szczęście, to ja się załapać na pół godziny na History Channel.

Odyn to przewidzieć. On wysłać Thora do mnie, żeby mnie wystrychnąć na dudka, żeby

mnie skazać na powolną śmierć. Potem wysłać Thora do Islandii i tam Thor kazać skaldom napisać *Eddy*. Wieki później, gdy już być za późno, ja zrozumieć, co się dzieć. Nordyckie bogi być pamiętane dzięki *Eddom*. Być słabsze niż Chrystus, ale mocniejsze niż ja. Dzięki słowom. Teraz dzieci w różnych częściach świata często o nich słyszeć. Przez to oni rosnać w siłę.

Co ja mogę teraz zrobić? Jeśli ja się ukazać ludziom i im powiedzieć, że ja być bóg Perun, oni mi powiedzieć, że nie, że ja być tylko włochate straszycło. To się już raz zdarzyć. Jakiś człowiek w Mińsku powiedzieć do mnie: „Odlóż pan ten młot, to pana elegancko zaraz wyczeszę”.

Jak ja mówić ludziom: „Słuchajcie, to ja władam piorunami”, oni mi mówić: „Nie, to naturalna siła. To nauka. Lub przypadek. Magia nie istnieje. Bogowie nie istnieją”. Brak wiary być u nich równie silny jak niedowierzenie.

„A poza tym – oni mi mówić – nawet gdyby bogowie istnieli, to nie możesz być bogiem piorunów. Thor jest bogiem piorunów”.

Wy teraz rozumieć, co zrobić Thor? Ze wszystkich bogów piorunów na całym świecie teraz on być najważniejszy w ludzkich umysłach. On to zrobić oszustwem i słowem. On mi ukraść mój piorun.

I nie tylko mój. Ja odwiedzić innych bogów piorunów: Szango w Afryce, Susanoo w Japonii, Ukko w Finlandii. Oni wszyscy przejść to samo. Do nich wszystkich przybyć kiedyś Thor. Im wszystkim Thor nagadać różne bzdury: że ustna tradycja być najlepsza albo że drewno być najlepsze, albo skała. I żaden z tych bogów nie być teraz pamiętany tak jak Thor, z wyjątkiem Olimpijczyków.

Zeus i Jowisz dobrze się mieć. Ich ludzie dużo o nich napisać. Thor i Odyn dobrze się mieć. A ja wiedzieć teraz, że oni to wszystko już dawno temu przewidzieć. Jednooki rzucić kiedyś tam te swoje runy albo zagadać z Nornami i zobaczyć, co trzeba zrobić, żeby zostać silnym w epoce nauki. On zobaczyć, że on musieć wzmocnić idee nordyckich bogów, a osłabić słowiańskich, celtyckich i resztę. On widzieć, że on to może zrobić słowem, nie włócznią. On wysłać Thora, on mu kazać zrobić pomniki i rzeźby i przez to masę bogów paść ofiarą większych idei.

Ich słowa – ich kłamstwa – zrobić ze mnie mała ryba. Ale ja być rybka o ostrych zębach. Oni mi być winni krew. Mój topór ją wziąć. Być wszystko, co ja mieć do powiedzenia.



Oczy Peruna błysnęły groźnie i wydały mi się znacznie mniej przyjazne niż przedtem. Byłem pod wrażeniem jego boskiej samooceny. Nie wyobrażam sobie, żeby taka Morrigan na przykład przyznała się otwarcie, że jest płotką. Flidais nawet by nie dopuściła do siebie myśli o tym, że być może padła czyjąś ofiarą. To ona zawsze jest grubą rybą i drapieżnikiem. Zdolność Peruna do tak realistycznej oceny sytuacji wynikać musiała z wielu godzin bolesnych przemyśleń. Jego wyśmienity humor był pewnie tylko maską, pod którą kryła się wściekłość.

Rzuciłem okiem na spektrum magiczne, żeby zobaczyć, czy opowieści spełniają zadanie. Wyglądało na to, że owszem. Między mężczyznami, którzy opowiedzieli swoje historie, nawiązały się nici – cienkie niczym babie lato, ale jednak łączące ich aury więzami przyjaźni. Do tych, którzy jeszcze nie przemówili, nici te biegły tylko w jedną stronę. Najślabiej połączony z grupą byłem ja sam. Thor nigdy nie uczynił mi osobiście żadnej krzywdy, toteż trudno mi było nawiązać z nimi więzi oparte na nienawiści do wspólnego wroga. Będę się więc musiał połączyć z nimi później innymi opowieściami, odnajdując jakieś wspólne doświadczenia, które uczynią z

nas braci.

Zostało jeszcze dwóch, którzy nic nie opowiedzieli. Wszyscy spojrzeli na Leifa, ale on skinął w stronę Zhanga Guo Lao, jakby dając alchemikowi pierwszeństwo. Nieśmiertelny starzec odpowiedział mu przychylnym skinieniem i odchrząknął cicho.

– Pozwolicie, że teraz ja podzielę się z wami moim doświadczeniem – rzekł.

Na co padły natychmiast słowa: „Tak, mistrzu Zhang”, „Niech pan mówi” i „Wyśmienicie”.

Nieśmiertelny Zhang Guo Lao wstał, pokłonił się nam i zaczął snuć swą opowieść.

Rozdział 18

Opowieść alchemika

Wybaczcie mi mą prostą, skromną opowieść o błahostce zwykłej, niczym będącej w porównaniu do waszych przygód strasznych i jakże brzemiennych w skutki.

Dawnymi czasy wędrowałem po tej ziemi jako prosty człowiek. Poznawałem tajemnicę tao. Nauka i ćwiczenia doprowadziły mnie w końcu do uzyskania Eliksiru Nieśmiertelności. Walką i eksperymentami zdobyłem sławę. Dzięki legendom i wyznawcom zyskałem boską moc. Wciąż nie dotarłem do mądrości, ale dobrze poznałem głupotę i po dziś dzień nieustannie mi ona towarzyszy, choć wielu moich ludzi uważa mnie za mędrca.

W Chinach znają mnie pod postacią starca na białym osiołku. Mój portret, tak wielokrotnie szkicowany, zawsze przedstawia mnie z mym nieodłącznym towarzyszem. Kłapouch ten był wyjątkową istotą. Znany był wszem i wobec. Co dzień wiół mnie tysiące li, a gdy przybywaliśmy do celu, zwijałem go niczym origami i chowałem do pudełka. Gdy znów byłem gotów do drogi, zwilżałem tylko mego papierowego osiołka wodą z ust, a on rósł i znów stawał się tak duży jak zwykle zwierzę.

To w tej właśnie części świata natknąłem się siedemset trzydzieści lat temu na Thora. Rozbijałem właśnie obóz na noc i już miałem zwinąć osiołka, gdy Thor zjechał z nieboskłonu na swym rydwanie zaprzężonym w dwie kozy. Choć wieczór był chłodny, on miał tylko jakieś futro na biodrach, pas i parę futrzanych butów owiniętych rzemieniem.

Wymieniliśmy słowa powitania. Nie mówił po mandaryńsku, a ja nie władałem staronordyckim, ale obydwaj umieliśmy jako tako porozumieć się po rosyjsku, odczo więc zaczęliśmy ćwiczyć ten język. Uśmiechał się serdecznie i był ujmujący. Zaprosiłem go na skromny posiłek złożony z bulionu z ryby i warzyw.

– Dłaczegóż mielibyśmy się zadowalać mizerną rybą, skoro możemy zjeść porządną kolację z naszych zwierząt? – powiedział.

– Nie mogę zjeść własnego osła – zaprotestowałem, mimo że wydawało mi się to raczej oczywiste. – To zwierzę wozi mnie wszędzie, gdzie chcę.

Thor wzruszyły ramionami.

– I ja potrzebuję moich kóz do zaprzęgu. Lecz to nie powstrzymuje mnie przed zjadaniem ich, gdy tylko zgłodnieję.

– Musisz mieć wielkie ich stado, żeby móc sobie tak dogadzać – zauważyłem.

– Skądże znowu. Mam tylko te dwie sztuki.

– Czyż zatem nie pozbawisz się środka transportu, jeśli je zjesz?

Machnął mi swoim młotem przed nosem.

– Nie. Po prostu dotykam ich potem tym i zmartwychwstają z kości.

– Raczysz żartować.

– A gdzie tam, mówię czystą prawdę. Sam zobaczysz.

Zabił obie kozy jednym potężnym ciosem młota, a potem je wypatroszył i upiekł nad moim ogniskiem. Najedliśmy się do syta, ale nie mogłem przestać myśleć o ich smutnych szczątkach na ziemi. Gdy skończyliśmy, stanął nad zezwłokami swoich kóz i delikatnie, wręcz z czułością dotknął ich swym młotem. Ożyły natychmiast, całe i zdrowe, choć powstały z samych kości i skóry. Zadowolone i spokojne pasły się przez resztę nocy na trawie obok nas.

– Niesamowite – przyznałem. – Nigdy nie widziałem niczego podobnego.

– Grunt to efektywność – odparł Thor. – Ten prosty wynalazek znacznie ułatwia

podróżowanie. Dokąd zmierzasz?

Rozmawialiśmy długo o podróżach, opowiadając sobie o dalekich miastach. Zachowywał się życzliwie i grzecznie, toteż ten wieczór upłynął mi bardzo miło. Kiedy zwinąłem na noc osiołka, wyglądał jak ryba, której zabrakło tlenu.

– To zadziwiające, mistrzu Zhang! – wykrzyknął, nie odrywając ode mnie wzroku, gdy starannie schowałem osiołka do pudełka. – Cóż za nowoczesny sposób na przechowywanie zwierząt domowych! Ale czy przez to nie jest łatwiej go ukraść?

– Nawet na noc nie rozstaję się z tym pudełkiem. Jest bardzo bezpieczne. Zresztą złodziej nie miałby z niego wielkiego pożytku. Dla wszystkich poza mną znajduje się w nim tylko nic niewart kawałek złożonego papieru.

Pozostał ze mną na całą noc, siedząc po drugiej stronie ognia, a rano zapytał, czy może jechać ze mną jeszcze kawałek, ponieważ tak miło mu upłynął ten czas w moim towarzystwie. Zgodziłem się oczywiście, bo inny podróżnik jest zawsze prawdziwą pociechą podczas długiej podróży. Rozmawialiśmy o odkryciach, które można poczynić w różnych zakątkach świata, wymieniając się radami i planując na ich podstawie dalsze wyprawy.

Gdy nadszedł czas na rozbięcie obozu i zorganizowanie kolacji, Thor zaproponował odmianę.

– Już dość mam tego koziego mięsa. Chętnie zjadłbym coś innego. Może zabijemy twojego osiołka? Jutro ci go wskrzeszę.

– O nie, nie mógłbym mu tego zrobić – wzbraniałem się, unosząc dłonie.

– Nic nie będzie potem pamiętał – zapewnił mnie bóg piorunów. – Spójrz tylko na moje kozy. Nie boją się ani ludzi, ani bogów, choć podczas podróży zabijam je każdego dnia. Są równie silne jak tego dnia, gdy je zdobyłem. To jest zupełnie bezbolesne. Zrób mi tę przyjemność. W końcu jestem twoim gościem.

Nie byliśmy w moim domu, jedynie razem podróżowaliśmy. Nie wydawało mi się, by obowiązywały nas prawa gościnności. Mimo to jednak nie chciałem być niegrzeczny czy wyjść na uparte egoiste, zgodziłem się więc.

Zamachnął się młotem i mój biedny osiołek był martwy, nim jeszcze jego czaszka dotknęła ziemi. Zjedliśmy kolację, ale oszczędzę wam szczegółów.

Gdy skończyliśmy jeść, poprosiłem go, by ożywił mojego osiołka, tak jak obiecał.

– Oczywiście, zaraz to zrobię – rzekł Thor, ocierając tłuszcz z rąk o futro na biodrach. – Jeśli mogę cię jednak prosić o chwilę cierpliwości, muszę pójść najpierw na stronę.

Wskazał na las obok i zaraz ruszył w krzaki, by się załatwić. Ja też poczułem potrzebę, więc poszedłem w przeciwnym kierunku i znalazłem zaciszny kącik.

Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy wróciłem do obozu i ujrzałem, że bóg piorunów już wznosi się w swoim rydwanie. Jego zimny śmiech spadł na mnie niczym najgorszy deszcz ze śniegiem.

– Dzięki za posiłek, głupcze! – krzyknął i wtedy dopiero pojąłem, że zadrwił sobie ze mnie.

Zostawił mnie tak na Syberii nad krwawymi szczątkami mojego osiołka, który padł ofiarą moich dobrych manier.

Nikt nigdy tak mnie nie poniżył. Zostać wyprowadzonym w pole przez takiego prostaka – to mi się nadal nie mieści w głowie, lecz taka właśnie jest prawda i nęka ona moje sumienie. Wstyd mój karmi mą wściekłość. Na zawsze już opuścił mnie spokój ducha, kryjąc się przed wrzawą mych emocji. Nawet teraz jeszcze, gdy wam to opowiadam, trzęsę się ze wzburzenia. Od tamtej chwili starzeję się bardzo szybko i wciąż muszę pić eliksir, by w ogóle pozostać przy życiu. Gdybym tylko wreszcie znalazł wytchnienie od tych uczuć... Gdybym w końcu się

uspokoił... Od stuleci niemal co dzień wyobrażam sobie tę walkę, czuję w piersi bolesne pragnienie wymierzenia bogu sprawiedliwości. Nie boję się jego młota. Nigdy mnie nim nie dosięgnie. Przekona się za to, że nie będzie mógł go użyć, by wskrzesić samego siebie.



Leif wykonał kilka dźwięków odchrząkujących. Jako że wampiry nie cierpią na nadmiar śluzu w przętyku, była to z jego strony wyłącznie próba grzecznego poproszenia o głos.

– Jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu – rzekł – chciałbym teraz podzielić się z wami moją opowieścią. Ziemia wciąż się kręci i świt coraz bliżej, a chciałbym skończyć, zanim wstanie słońce, a najlepiej jeszcze wcześniej.

Natychmiast zamieniliśmy się w słuch. To Leifowi właśnie najbardziej zależało na zorganizowaniu tej wyprawy i podejrzewałem, że w ogóle nosi się z tym zamiarem już od tysiąclecia. Kość niezgody między nim a Thorem musiała być wielkości żebra wieloryba, lecz nie dowiedziałem się jak dotąd, na czym właściwie polegał zatarg między nimi.

Rozdział 19

Opowieść wampira

Thora spotkałem raz. Było to tysiąc lat temu, gdy byłem jeszcze człowiekiem. Od tamtego dnia każde moje działanie ma doprowadzić do tego, bym znów go spotkał.

Byłem wtedy osadnikiem na Islandii. Dumnym wikingiem wydzierającym ziemi pożywienie każdego dnia, wiernym rodzinie i bogom. Choć dziś krew mnie zalewa na samą tę myśl, gdy byłem jeszcze człowiekiem, czciłem Thora z oddaniem. Zawsze miałem na szyi jego młot i chwaliłem go jako swego pana, tak jak i Odyna, Freję, Frejra i pozostałych. Miałem nadzieję, że pewnego dnia dołączę do uczty w Walhalli, walkirie podadzą mi miód, a ja zajmę swoje miejsce wśród einherjarów, by podczas Ragnaröku stanąć do walki z dziećmi Muspellu. Wszystko to było w zupełnie innej epoce, lecz muszę wrócić do niej, by wyjaśnić wam, jakie wypadki doprowadziły do tego, że dziś jestem tutaj z wami.

Żona moja na imię miała Ingibjörg. Urodziła mi dwóch synów: Sveinna i Ólafa. Łowiłem ryby, trzymałem kilka owiec i własnymi rękoma pracowałem na roli.

Brano pod uwagę moją kandydaturę do Althingu. Widziałem już Nowy Świat, bo byłem na wyprawie Leifa Erikssona. Może i zaprzyjaźniłbym się z tym słynnym podróżnikiem, gdyby nie to, że przyjął chrzest i nalegał, by wszyscy jego ludzie uczynili to samo. W każdym razie poznałem świat, a mój miecz wysłał już dwudziestu siedmiu ludzi do Walhalli. Każde nowe osiągnięcie powiększało moją sławę, pasło moje ego i składało się na jeszcze jedną opowieść, którą mogłem snuć w oberży przy kuflu piwa. Wiecie z pewnością, jak pijackie rozmowy mogą w ciągu ledwie kilku sekund zejść na przerażająco sprośne tory lub stać się po prostu zupełnie dziwaczne. Ktoś rzuci dowcip, inny go podejmie i nim człowiek się zorientuje, zaczyna się gadać o rzeczach zupełnie śmiesznych, o których nigdy by się nawet nie pomyślało na trzeźwo, na przykład jak wyhodować niebieską krowę albo zrobić broń z dzioba maskonura.

Taka właśnie rozmowa sprowadziła mnie na ścieżkę, którą dotarłem aż tutaj.

W pewien chłodny wiosenny poranek piłem miód z dwoma przyjaciółmi i dwoma nieznanymi. Nieznajomi byli wtedy w Reykjavíku na porządku dziennym. Zawsze ktoś skądś przypląnął, jak to w porcie. Ci dwaj byli roslymi, silnymi mężczyznami, większymi nawet ode mnie, jasnowłosymi i niebieskookimi, o twarzach ogorzałych od rabowania wybrzeży Irlandii. Każdy z nas parął się na jakimś etapie tym zajęciem i dla wielu ludzi byliśmy najstraszniejszą rzeczą pod słońcem. My oczywiście baliśmy się z kolei innych rzeczy i tej nocy usiłowaliśmy się właśnie nawzajem nastraszyć. Ja wyciągnąłem historie zasłyszane na smoczych okrętach, wyszeptane z trwogą w ciemności przez twarde, zaprawionych w boju wikingów. Niektóre opowiadały o ludziach zmieniających się podczas pełni księżyca w wilki. Inne o straszliwych potworach, które zjadają zmarłych i przyjmują postać tego, kogo ostatnio zeżarły. Jeszcze inne, a te słyszałem nie raz, bayały o istotach, które piją krew i żyją całe wieki. Miały one nadludzką siłę i prędkość, bez żadnej tarczy czy miecza mogły rozszarpać nawet berserka, i to w kilka sekund. A co więcej, były diabło inteligentne. Ludzie gadali, że to one dały Rzymianom siłę. A teraz powoli parły na północ i w końcu dotrą do krain wikingów. Kilka tajemniczych zniknięć w Pradze, stolicy Bohemii, kazało się domyślać, że już jedno z tych potężnych stworzeń gdzieś tam osiadło. Dziś nazywa się te istoty wampirami, ale jest to na Zachodzie zupełnie nowoczesne słowo, przyjęte ledwie kilka wieków temu. Dawniej krążyło kilka różnych określeń: *revenant* lub *diable* we francuskim; *blutsauger* w niemieckim, a w Bohemii funkcjonowało pojęcie *chodící mrtvola*, chodzący zmarły. Legendy powiadały, że istoty te rozszerzały swoje zastępy, skazując

ludzkie dusze na zło tak straszne, że nie były one w stanie nawet znieść na skórze pocałunku słońca.

– Czy nie byłoby wyśmienicie być nieśmiertelnym? – rzuciłem od niechcienia do mężczyzn siedzących przy naszym drewnianym stole. – Pomyślcie tylko, jakie skarby można by zebrać, jakie wpływy zdobyć, ile krain zobaczyć, gdyby się tylko miało na to wszystko dość czasu.

– Zrobiłbyś to, gdybyś mógł? – spytał jeden z nieznajomych. Zamiast miecza nosił wielki młot i pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy, iż ta broń dobrze do niego pasuje. – Gdyby te istoty naprawdę istniały, czy poświęciłbyś swoje człowieczeństwo?

– Nie teraz oczywiście. Mam rodzinę, obowiązki. Ale w młodości, w bardziej lekkomyślnych czasach, na pewno skorzystałbym z takiej okazji.

– Doprawdy? Zrezygnowałbyś z Walhalli, ze stawy z Odynowego stołu w zamian za... co?... pozbawioną słońca, krwiożerczą egzystencję w Midgardzie?

– Zapominasz o tym, że byłbym też niesamowicie silny i żył całe wieki – zripostowałem. Moi towarzysze uznali ten dowcip za wyjątkowo udany i wybuchnęli śmiechem. Wszystko jest niezwykle śmieszne, gdy się dość wypije.

– Dobrze. – Nieznajomy rozłożył ręce. – Jeśli tak chcesz to postrzeżać. Lecz czy wybrałbyś to ponad chwałę dołączenia do einherjarów?

– Naprawdę w tej chwili nie mogę odpowiedzieć twierdząco. Mam obowiązki wobec rodziny i wspólnoty. Ale gdybym zaczynał wszystko od nowa, gdyby nic mi nie wiązało rąk, to czemu nie?

Nieznajomy opadł na oparcie krzesła i wbił we mnie wzrok.

– Czemuż nie... – powtórzył.

Spojrzał na swego towarzysza, który stracił w jakiejś walce jedną rękę. Na twarzy pierwszego nieznajomego malowało się jakieś pytanie, a jednoręki odparł na nie wzruszeniem ramion.

Jeden z moich przyjaciół usiłował zmienić temat i zaczął mówić o smokach, ale pierwszy nieznajomy przerwał mu stanowczo.

– Dobrze więc, już postanowione. Nazywasz się Leif Helgarson, prawda?

Zamrugalem lekko zdziwiony. Nie pamiętałem, żebym się mu przedstawiał, ani nie uczynił tego żaden z moich przyjaciół. Rozmawialiśmy z tymi nieznajomymi ledwie chwilę, i to tak jak zazwyczaj weterani wojenni – gotowi pośmiać się razem, ale niechętni do zdradzania swych imion, bo też i nie planowaliśmy ponownego spotkania.

– Tak. A ty kim jesteś?

– Jestem Thor, bóg piorunów.

Moim towarzyszom spodobał się ten dowcip i roześmiali mu się w twarz. On jednak nie podzielał ich wesołości. Jego kompan także się nie uśmiechnął.

– Mówisz, że zostałbyś taką istotą, gdyby nic cię nie powstrzymywało – rzekł. – Oto daję ci wolność, byś mógł ziszczyć swoje marzenia. Nie pętają cię już obowiązki rodzinne, Leifie Helgarsonie. Teraz możesz spełnić swoje przechwałki. Wyzwanie zostało rzucone.

– O czym ty mówisz? – wyszeptalem.

– Chcę się natychmiast napić tego, co ten facet. Co on pił? – wtrącił się jeden z moich przyjaciół.

– Twoja rodzina nie żyje – wyjaśnił nieznajomy. – Nic już nie pęta ci rąk.

Śmiech zamarł nam na ustach.

– To nie jest śmieszne.

– Ponieważ to nie jest żart – odparł obcy.

- Moja rodzina żyje i ma się dobrze. Widziałem ich dziś rano.
- Błyskawica może uderzyć w każdej chwili. Uderzyła przed momentem.

Miałem ochotę strzelić mu pięścią w twarz, ale jako że pragnąłem dołączyć do Althingu, dni bójk były już dla mnie przeszłością. Nic bym nie zyskał na bijatyce w oberży. Zamiast tego tylko pożegnałem się natychmiast i wyszedłem nieco niepewnym krokiem na zewnątrz. Na dworze okazało się, że gdy my piliśmy, nad okolicą przetoczyła się burza. Z trudem wsiadłem na konia i popędziłem do domu, powtarzając sobie, że zachowuję się zupełnie nierozsądnie, to nie mógł być Thor, natknąłem się tylko na jakiegoś drania z młotem i tyle.

Im dłużej jechałem, tym większa ogarniała mnie trwoga i tym żarliwiej przekonywałem sam siebie, że to głupota. To nie mógł być przecież Thor. Ale jeśli jednak tak? Jeśli bezmyślna chwila pijackich przechwałek sprowadziła śmierć na moją rodzinę?

Wyobrażacie sobie moją rozpacz, gdy wpadłem przez drzwi i ujrzałem żonę i synów leżących na ziemi bez życia, które ze szczętem wypalił w nich piorun. Serce moje zmieniło się w popiół, a żółć zalała mi usta.

Poczucie winy, bezgraniczny smutek ścisnęły mnie za gardło, dusząc mnie niemal, aż nie mogło przez nie przejść nic poza zwierzęcym skowytem. Osunąłem się na ziemię, oplakując ich, błagając najbliższych o przebaczenie.

Czasami pocieszam się myślą, że być może zostali dopuszczeni do pałacu Frei na Fólkvangrze, bo przecież nie oni zawinili. Żeby tak się jednak stało, bogowie musieliby okazać łaskę, a Thor nie zna, co to łaska. Najpewniej wysłano ich do Helu, smutnej, pozbawionej słońca krainy tylko dlatego, że mnie w chwili pijackiej fanfaronady zamarzyły się moce niedostępne memu ludowi.

Zbudowałem im pogrzebowy okręt i zepchnąłem na morze w płomieniach. Od tamtej chwili żadna ziemia nie była już dla mnie zielona. Wszystko stało się jałowe, puste. W moim sercu rosła czarna otchłań, pochłaniała mnie co dzień, grożąc, że w końcu mnie zeżre i tym samym zwycięży Thor. Lecz walczyłem z nią – postanowiłem wypełnić ją wściekłością i odkryłem, że moja nienawiść jest równie bezkresna jak ta pustka. Dzięki niej się nie zламаłem. Miałem cel: zdobyć nieśmiertelność i zabić Thora. Rzucił mi wyzwanie.

Tak naprawdę nie widziałem innego wyjścia, jeśli chciałem podjąć z nim walkę. Miałbym się bać potępienia? Już byłem potępiony. Ale nieśmiertelność, siła, prędkość – były to rzeczy, których bardzo potrzebowałem, jeśli miałem pomścić rodzinę, a poprzysiągłem sobie, że uczynię to bez względu na wszystko.

Opuściłem swoje gospodarstwo i pojechałem do Reykjavíku, gdzie zaciągnąłem się na pierwszą lepszą łódź do Europy. Tu się nająłem, tam zrabowałem i tak dotarłem z powrotem nad Morze Północne i stamtąd ruszyłem w górę Łaby, aż do Hamburga. Był rok tysiąc szósty, polski król Mieszko II nie zdążył jeszcze spalić go na popiół. Wystarczyło trochę cierpliwego podpytywania ludzi i wkrótce znalazłem pracę u kupca, który chciał handlować z Pragą. Zależało mu na nawiązaniu stosunków z dworem księcia Jaromira z dynastii Przemyślidów. Podczas podróży do Czechy uczył mnie trochę języka, ale nie szło nam najlepiej. On nie znał staronordyckiego, a mój niemiecki był wówczas godny pożałowania, ale robiłem, co mogłem, żeby choć trochę się poduczyć, wiedząc, że będę musiał uparcie wypytywać okoliczną ludność, gdzie znaleźć nieśmiertelnego krwiopijcę.

Żeby dostać się do Pragi, skręciliśmy i szliśmy wzdłuż Wełtawy. Pradze daleko było wtedy do jej dzisiejszej świetności. Jak wiele innych średniowiecznych miast była brudna, paskudna i pełna analfabetów i chorych. Pasowałem więc tam jak ulał. W centrum miasta kwitł handel niewolnikami. Praga była najważniejszym ośrodkiem całego regionu, toteż nie brakowało tam rozmaitych kupców.

Gdy już pomogłem rozładować towar z Hamburga, znalazłem sobie pracę przy pilnowaniu magazynów na nabrzeżu. Było to zajęcie niezwykle nudne, ale dzięki niemu miałem dach nad głową i strawę, a przy tym cały czas uczyłem się języka. W końcu, gdy spadł śnieg, stałem się bywalcem karczem i zacząłem zadawać pytania. Czasami reagowano na nie pijackim śmiechem i drwiną. W takie miejsca nigdy już nie wracałem. Gdzie indziej moja dociekliwość spotykała się z kamienną ciszą i oschłym ostrzeżeniem, że o takich rzeczach się tu nie mówi. Z jednej gospody wykopano mnie za to, że w ogóle odważyłem się zadać pytanie. Zauważyłem, że te miejsca koncentrują się wszystkie wokół starej warowni Przemysłidów na zachodnim brzegu rzeki – teraz miejsce to nazywają Hradczanami, choć Anglosasi mówią po prostu Zamek Praski.

Męczyłem tak ludzi przez dwa miesiące. Poznałem chyba każdego pijaka z Pragi oraz wiele osób pijących tylko okazjonalnie, a i tak nie dowiedziałem się właściwie niczego. Już miałem się poddać i ruszyć, by próbować gdzie indziej (z tego, co słyszałem, Rzym był pod tym względem doskonałym miejscem), gdy w jednej ze spelun na zachodnim wybrzeżu rzeki przysiadł się do mnie niski człowieczek, odziany w drogie szaty z wysokim kołnierzem wystającym spod szarego futra z wiewiórek. Brodę miał przystrzyżoną tak, że została po niej jedynie cienka linia na szczęce, ale za to mógł się pochwalić potężnymi wąsiskami. Mówił językiem Bohemian, ale miał jakiś akcent, którego nie rozpoznawałem. Szylnik obsługiwał go szybko i nerwowo, by natychmiast zniknąć, jakby za nic nie chciał podsłuchać przypadkiem naszej rozmowy.

– Ty jesteś tym mężczyzną z Północy, który zadaje pytania o krwiopijców – rzekł. Nie było to pytanie.

– A kim ty jesteś? – zapytałem.

– To nie ma znaczenia. Reprezentuję pewnego dżentelmena... naukowca... który być może mógłby odpowiedzieć na twoje pytania. Czy chciałbyś go poznać?

Zmrużyłem podejrziwie oczy.

– Czy zapraszasz mnie na własną śmierć? Przecież widzę te spojrzenia, słyszę te przekleństwa. Szczególnie chrześcijanie nie życzą sobie, bym w ogóle poruszał ten temat. Czy jesteś jednym z nich? Czy przed oberżą już stoi banda twoich ludzi, żeby uciszyć mnie na zawsze?

– Bynajmniej – odparł niski człowieczek, prychając cicho. – Dżentelmen ten pragnie tylko z tobą porozmawiać. Myślę, że być może nawet to przeżyjesz.

– Dlaczego nie przyjdzie tu na rozmowę? Powiedz mu, gdzie jestem.

– On wie, gdzie jesteś. To dlatego właśnie tu jestem. Musisz mu wybaczyć, ale jest odludkiem. Obsesyjnie przemienia swoje zwoje na książki. Słyszałeś o tym wynalazku?

– Tak, widziałem je. Chrześcijańscy mnisi i księża je mają.

– Otóż to. Oni jednakże mają tylko jedną księgę, nieprawdaż? Mój chlebobawca ma ich całą bibliotekę i wciąż sporządza nowe. Nauczył się, jak produkować papier, od Arabów, którzy z kolei posiadli tę sztukę od Chińczyków. Zatrudnia teraz osoby piśmienne do przepisywania treści zwojów do ksiąg.

– Czemu po prostu nie kopiuje zwojów?

– Księgi są solidniejsze. Łatwiej je przewozić. Umiesz czytać?

Wzruszyłem ramionami.

– Znam słowo „karczma” w trzech językach, ale to się pewnie nie liczy.

Niski człowieczek zachichotał.

– Nie, ale to dobry początek. Być może wiele mógłbyś się nauczyć od mego chlebobawcy. Czy udasz się teraz ze mną do jego biblioteki?

– Czy to na pewno nie jest pułapka? – spytałem znowu.

Dopił zawartość szklanki i przez chwilę podkręcał węża, nim odpowiedział.

– Nie podniosę na ciebie ręki ani ja, ani nikt z zatrudnionych przeze mnie ludzi, ani nikt wynajęty przez mego chlebodawcę. Wystarczy?

– A twój chlebodawca?

– Za niego nie mogę ręczyć. Jest on... powiedzmy, że jest gotów bronić wiedzy za wszelką cenę. Lecz sądzę, że pragnie jedynie z tobą porozmawiać. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Hmm. Jak się nazywa twój chlebodawca?

– Poda ci swe imię, jeśli taka będzie jego wola.

– Dobrze więc. Pójdę z tobą.

Zapłaciliśmy oberżycie i wyszliśmy na zalaną łagodnym blaskiem księżyca Małą Stranę. Niski człowieczek nie zabawiał mnie po drodze rozmową i po prostu milczał. Rozglądałem się wokół czujnie i nie zdejmowałem ręki z miecza. Przeszliśmy trzy ulice i zatrzymaliśmy się przed bramą w murze. Strażnicy od razu rozpoznali mojego towarzysza.

– Przyprowadziłem go – powiedział im i brama się przed nami otworzyła. Za murem krył się wspaniały, jak na tamte czasy, dom. Jego fasada oświetlona była pochodniami zawieszonymi na ceglany murze podwórza, na które weszliśmy. Ujrzałem fontannę, rabatki, wyszukaną architekturę. Ten amator ksiąg musiał być zamożnym człowiekiem.

Mój przewodnik wprowadził mnie do oświetlonego świecami holu. Podłogi były marmurowe, pokryte perskimi dywanami. Ze ścian zwisały gobeliny. Podobne bogactwa widywało się tylko podczas grabieży klasztorów, ale takiego przepychu nigdy jeszcze nie widziałem. Nim zdołałem się rozejrzeć po komnatach na parterze, wąż już prowadził mnie po schodach do piwnicy. Szliśmy korytarzem z rzadka oświetlonym lampkami. Zobaczyłem kilkoro drzwi, ale zatrzymaliśmy się przed pierwszymi i mój towarzysz zapukał.

– Wejść – powiedział głos po drugiej stronie.

Weszliśmy do komnaty wypełnionej regałami na książki. Była to oczywiście biblioteka, ale ja widziałem coś takiego po raz pierwszy w życiu. Moją uwagę przykuło biurko zarzucone kartkami, kawałkami skóry i dziwnymi narzędziami. Przy nim stał blady mężczyzna. Zimą w piwnicy panował chłód i byłem szczęśliwy, że mam na sobie ciepły płaszcz, mężczyzna ten jednak jakby w ogóle nie zwracał uwagi na temperaturę. Miał na sobie szatę z purpurowego jedwabiu sprowadzanego z Azji. Wtedy zupełnie nie znałem tego materiału, ale od razu domyśliłem się, że to tkanina znacznie szlachetniejsza niż płótno czy wełna. Przyglądał się książce, którą wyciągnął właśnie z drewnianego imadła.

– Ach, ty musisz być tym mężczyzną z Północy. Doskonale – rzekł.

– Ty musisz być tym tajemniczym naukowcem – odparłem. – Nazywam się Leif Helgarson.

– Cieszę się, że mogę cię w końcu poznać. – Ostrożnie odłożył księgę na stół i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. – Wysoki blondyn i w dodatku wiking. Wyśmienicie.

Mogłem mu na to odpowiedzieć, że on nie ma żadnej z tych zalet, ale nie chciałem być nieuprzejmy. Zamiast tego zapytałem więc:

– A jak ja mam cię nazywać?

Milczał chwilę, jakby dając mi do zrozumienia, że zaraz padnie jakieś zmyślane imię.

– Mów mi Björn.

– To nie jest twoje prawdziwe imię.

– Nie. Ale możesz mnie tak nazywać. Moje imię ma wysoką cenę.

– Moje dostałeś za darmo – zauważyłem.

– Nic bardziej mylnego. Sporo mnie już kosztowały twoje lekkomyślne poszukiwania

krwiopijcy z Pragi. – Przeniósł wzrok na mojego przewodnika. – Dziękuję. Możesz odejść. – A gdy nienazwany sługa zamknął za sobą drzwi, nienazwany naukowiec uśmiechnął się blado i wrócił do rozmowy. – Powiedz mi, Helgarson, czemuż to tak bardzo ci zależy na znalezieniu istoty, która pije tylko krew?

– Jesteś jedną z nich?

Machnął tylko ręką na moje pytanie.

– O mnie porozmawiamy potem. Opowiedz mi o sobie. Twoja ciekawość wzbudziła moją.

Nie było sensu wymyślać żadnych kłamstw. Albo był w stanie mi pomóc, albo nie.

– Słyszałem, że istoty te mają wielką siłę i długo żyją. Potrzebuję jednego i drugiego, by pomścić rodzinę. Została zabita przez Thora, toteż teraz ja muszę zabić jego. Nigdy mi się to jednak nie uda, jeśli nie będę miał dość czasu i środków.

– Chcesz zabić boga? – spytał, unosząc brew.

– Nie byle boga. Chcę zabić Thora.

– I w tym celu chcesz zostać jedną z tych istot?

– Tak.

Naukowiec przyglądał mi się długo, wydymając usta w zamyśleniu. Nagle wybuchnął śmiechem.

– Niezłe. Muszę przyznać, że to dla mnie zupełna nowość. A zatem nie jesteś chrześcijaninem?

– Nie.

– Czy masz świadomość, że chrześcijanie wierzą, iż istoty te są potępione, a być może nawet same są demonami?

– Tak.

– Wiesz, że aby stać się taką istotą, musisz najpierw umrzeć i liczyć na to, że potem wstaniesz ze zmarłych?

– Tak, słyszałem o tym.

– Powiedz mi, wikingu, co jesteś gotów ścierpieć w imię zemsty? Jakich okropieństw się dopuścisz, by pomścić rodzinę?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Gdyby miało mnie to zbliżyć do mego celu, chyba ścierpiałbym wszystko, popełnił prawie każde przestępstwo.

– Prawie każde?

– Nie mam... nie mam sumienia krzywdzić dzieci.

To wywołało na jego twarzy cierpki uśmiech.

– Ponieważ są niewinne?

– Nie, to nie to. Zabiłem niejednego niewinnego człowieka. Kimkolwiek są ludzie, gdy przychodzi ich kres, są tylko tym, czym stworzyły ich Norny, a ja staję się jedynie narzędziem w rękach losu. Lecz dzieci... są nieskończone. Pewnie Norny nie chcą wykańczać tych, którzy umierają, ale ja też nie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Interesujące. Zatem nie lubisz niezalutowanych spraw.

– Otóż to. A zlikwidowanie Thora jest sprawą, która musi zostać zalutowana.

– Czy przypadkiem nie jest tak – rzekł na to kpiącym tonem – że Norny już coś dla niego zaplanowały? Jakąś walkę z węzem, jeśli się nie mylę?

– Coś wymyślę. Ale najpierw potrzebuję czasu.

– Cóż za upór! Chcesz nagiąć los do swej własnej woli. To rzeczywiście będzie wymagało wiele myślenia. Widzę, że wyćwiczyłeś swoje ciało, by pokonywać innych mieczem.

Jesteś gotów wyćwiczyć umysł tak, by pokonywać ich słowem?

– Co masz na myśli?

– Pytam, czy chciałbyś się nauczyć czytać i pisać.

– A jak by miało mi to pomóc? Nie napiszę przecież do Thora listu.

– Pomogłoby ci to na wiele sposobów, ale przede wszystkim dałoby ci szansę na przetrwanie. Założmy, że staniesz się jednym z tych, którzy piją krew. Długie życie i nadludzka siła mają swoją cenę, inaczej czyż takie istoty nie zaludniłyby już dawno tego świata?

– Pewnie masz rację.

– Doskonale. Jak sądzisz więc, jaką to cenę muszą płacić te stworzenia?

Zmarszczyłem brwi.

– Nigdy już nie widzą słońca.

– Prawda. Co jeszcze?

Odpowiedziałem wzruszeniem ramion.

– Jest jeszcze pewnie kwestia potępienia, jeśli się jest chrześcijaninem. Ale ja nie muszę się tym martwić.

– Nie, jest coś jeszcze.

– Co takiego?

Naukowiec westchnął i zamiast odpowiedzieć, rzekł:

– Usiądźmy. Gdzież moje maniere? Może jesteś głodny? Chcesz się czegoś napić?

– Nie pogardziłbym czymś do picia. Piwo, miód, co tam masz.

Wyszliśmy z biblioteki i introligatorni i weszliśmy po schodach na parter. Naukowiec – którego nie chciałem nazywać Björnem – kazał przynieść mi napój do salonu, w którym znajdowały się cztery krzesła i kominek, ale żadnych okien. Na kominku płonął ogień, lecz dym wylatywał jakąś ukrytą dziurą, zamiast wypełniać pomieszczenie. Kiedy gospodarz zobaczył moją zdziwioną minę, wyjaśnił:

– A. Dym wędruje na zewnątrz urządzeniem zwanym kominem, które znajduje się na dachu. Genialny wynalazek. Dzięki niemu możemy korzystać z ognia, nie dusząc się dymem. Kiedyś wszystkie domy będą miały takie właśnie rozwiązanie, przypomnisz sobie wtedy moje słowa.

Wskazał mi krzesło i usiadł naprzeciwko mnie. Piękna młoda kobieta przyniosła mi kufel piwa. Podziękowałem jej, a gospodarz odczekał, aż skosztuję trunku i go pochwałę.

– Nim odpowiem na twoje pytania, pozwolę sobie zadać ci jeszcze jedno: gdzie pracujesz?

Pomyślałem, że z pewnością zna już na nie odpowiedź, ale i tak mu jej udzieliłem.

– Jestem strażnikiem w dokach.

– Przydałoby mi się więcej strażników. Jak pewnie zauważyłeś, mam tu sporo dóbr wartych ochrony. Czy zechciałbyś dla mnie pracować? Płaciłbym ci więcej, a dodatkowo mógłbyś tu mieszkać za darmo.

– Zastanowię się nad tym.

– Dlaczegoż wymaga to zastanowienia? Jest to, rzecz jasna, lepsza oferta.

– Nadal nie wiem, kim lub czym jesteś. Nie odpowiadasz na najbardziej podstawowe pytania. Ciągłe zmieniasz temat.

Błady mężczyzna w purpurowych szatach uśmiechnął się.

– Chyba cię lubię, Helgarson. Nie w ciemię bity z ciebie człowiek. Lecz brak ci pewnej lekkości w konwersacji. Warto, byś się nauczył tej sztuki.

– Znow to robisz.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Tak. Ale mówiliśmy przecież o cenie. Wiedza, jaką zdobyłem na temat tych istot, kosztowała mnie bardzo drogo. Tak jak mojego imienia, nie rozdaję jej za darmo.

– Czego żadasz?

– Lojalności. Pracuj dla mnie na warunkach, które ci opisałem, to jest za lepszą stawkę i mieszkanie tutaj, i nigdy nikomu nie mów nic o tym, czego się tu dowiesz.

– Dobrze.

– Przysięgasz na własną krew?

Pytanie wydało mi się co najmniej dziwne, szczególnie w świetle tematu naszej rozmowy, ale uznałem, że odmowa nic mi nie da.

– Tak – powiedziałem.

Nim miałem czas wziąć oddech, już był przy mojej szyi i ssał moją krew. Usiłowałem go odepchnąć, ale miał żelazny uścisk i mogłem mu tyle zrobić co gwiazdom na niebie. Zadałem mu cios w nerkę, ale jakbym uderzył kamienną kolumnę. W końcu jednak moje uporczywe szamotanie musiało go zirytować, bo uderzył mnie z siłą w brzuch, aż straciłem dech w piersiach.

Odsunął się ode mnie i usiadł, gdy mnie tymczasem robiło się ciemno przed oczami. Usiłowałem wstać z krzesła, ale byłem na to zbyt słaby.

– Teraz wiesz już, czym jestem – rzekł, a jego kły błysnęły tam, gdzie jeszcze przed chwilą w ogóle ich nie było. – Jestem tym, czym i ty się stajesz. Ale najpierw naucz się czytać i pisać w kilku językach i udowodnij, że jesteś człowiekiem lojalnym i dyskretnym. Gdy będziesz gotów, poprzysięgnij mi wierną służbę przez trzysta lat, licząc od chwili, gdy po raz pierwszy wstaniesz z grobu, a ja dam ci życie po śmierci. Odpowiem także na twoje pytania i zdradzę ci swoje imię. Wtedy dopiero możesz zająć się swoją osobistą wendetą. Przystajesz na te warunki?

– Co masz na myśli, mówiąc „kilka”? – wyszeptalem.

Roześmiał się głośno, choć słychać było, że moja krew już tężeje mu w gardle niczym gęsty karmel.

– Jeszcze masz siłę się ze mną spierać?! Wyjątkowo hoży z ciebie człowiek. – Siedział i wpatrywał się we mnie z rozbawionym, czerwonym od krwi uśmiechem. – Powiedzmy, że przynajmniej trzy. – Odliczył mi je na palcach. – Grekę. Łacinę. Niemiecki. Co do języka Bohemian, już nim władasz na wystarczającym poziomie. Nie każę ci zresztą nic w nim pisać.

– A jeśli odmówię?

– Nie wyjdiesz stąd żywy. Jak już wspomniałem, przetrwasz, tylko jeśli nauczysz się czytać i pisać. Jeśli zaś się zgodzisz, a potem mnie zdradzisz, jak robili już inni przed tobą, zginiesz. Wymagam całkowitej lojalności.

– A inni ludzie w tym domu? Czy oni wszyscy chcą być tacy jak ty?

– Wszyscy bez wyjątku.

– Czy ty... czy zamierzasz wszystkich ich przemienić?

– Dobre pytanie. Odpowiedź brzmi: nie. Część zdradzi mnie. Część zginie zwykłą śmiercią, o którą w Bohemii nie tak trudno. Część nigdy nie wykorzysta swojego potencjału.

– Innymi słowy, jeśli nie nauczę się greckiego, łaciny i niemieckiego, zabijesz mnie?

– Bystry jesteś – orzekł. – Chodź. Wciąż tracisz dużo krwi i jak tak dalej pójdzie, wkrótce będziesz zbyt słaby, żeby móc w ogóle wyzdrowieć.

– Przystaję na twoje warunki.

Tak jak przedtem poruszał się zbyt szybko, bym mógł za nim nadążyć, szczególnie że przed oczami robiło mi się coraz ciemniej. Poczulem jego zimną dłoń na karku i potem już nic.

Obudziłem się na materacu wypchanym pierzem, osłabiony, ale żywy. Było to ostatniego miesiąca roku tysiąc szóstego. W tysiąc dziesiątym powiedział mi, że nazywa się Zdenik, i zmienił mnie w wampira. Przekazał mi też wszystkie sekrety wampirów, lecz nie mogę ich wam

zdradzić.

Służyłem mu trzysta lat. Zabijałem dla niego – nie tylko ludzi, ale i wiedźmy, ghule i nawet jednego wilkołaka. Pomagałem mu bronić terytorium przed innymi wampirami i nauczyłem się manipulować ludzką wolą. Wikingowie słusznie się nas bali – rzeczy, które robiłem, były straszne.

W końcu zwolnił mnie ze służby w tysiąc trzysta dziesiątym roku, a wtedy ruszyłem na północ i zacząłem szukać sposobów dotarcia do Asgardu. Radziłem się nordyckich mędrców w całej Skandynawii i wszyscy mówili, że aby dojść do Asgardu, muszę przejść przez most Bifröst lub walkirie muszą posłać mnie do Walhalli. Wyjaśnili mi, że to zupełnie inna kraina, odrębny świat, i dopiero wtedy dotarło do mnie okrucieństwo czynu Thora – choć teraz miałem już siłę, żeby się z nim zmierzyć, zrozumiałem, że nigdy go nie osiągnę.

Dlatego w końcu skupiłem się na poszukiwaniu wędrowców międzykrainowych. Nie jest ich wielu, a i tak większość może podróżować tylko do ściśle określonych krain. Jedynymi istotami, które cieszą się pełną swobodą w podróżowaniu między światami, są Tuatha Dé Danann oraz druidzi. Lecz Tuatha Dé Danann rzadko opuszczają Tír na nÓg, a ich potomkowie, faerie, ograniczeni są potrzebą używania przy transporcie dębu, jesionu i głogu. Myślałem już, że nie ma nadziei. Lecz w osiemnastym wieku natknąłem się na boginię Flidais. Odmówiła mi pomocy w podróży do Asgardu, ale wspomniała o tym, że po ziemi chodzi jeszcze jeden druid, może więc, jeśli go odnajdę, on mnie tam zabierze.

– Gdzie go znajdę? – spytałem.

– Nie wiem – przyznała bogini łowów. – Ukrywa się i udało mu się nawet osłonić jakoś przed wyróżeniem. Ale sądzę, że trzyma się raczej stref tropikalnych i pustyni, żeby nie mogły go namierzyć faerie. Pewnie jest gdzieś w Nowym Świecie. Ale nic się nie martw. Jest starszy od ciebie i nie zamierza umierać jeszcze przez dłuższy czas.

Toteż ruszyłem do Nowego Świata. Wybrałem sobie jakąś pustynię w południowo-zachodniej części kontynentu i czekałem. Oczekiwanie okazało się długie i nudne, ale opłaciło się, bo druid rzeczywiście w końcu się pojawił. Nie mogłem po prostu rzucić na niego uroku i zmusić go siłą do przeniesienia mnie do Asgardu, ponieważ świetnie się umiał bronić przed takimi sposobami. Musiałem zdać się na ludzki urok – zaprzyjaźnić się z nim i zdobyć jego zaufanie.

Wkrótce przeniesiemy się do Asgardu i skończy się milenium moich cierpień. Zapłaciłem setkami lat męczarni za jedną noc pijackich przechwałek. Zniosłem wiele w imię zemsty. Lecz gdy nadejdzie pora, przyjaciele, nie będę tracił czasu na triumfowanie nad bogiem piorunów, nie każę mu cierpieć. Nie chodzi o to, by zadać mu ból, a jedynie o to, by uśmierzyć mój. Nieważne, jak szybko zginie Thor – dla mojej rodziny będzie już i tak za późno.



Rozdział 20

Nie ma co – tym mnie mocno zaskoczył. Gdy poznałem Leifa zaraz po przeprowadzce do Tempe, do głowy mi nie przyszło, że czekał tam specjalnie na mnie. I to od wieków. Nigdy nie przypuszczałem nawet, że nasza zawodowa i osobista znajomość stanowi tylko element sekretnej wendety.

Przez ułamek nanosekundy poczułem się dotknięty, a nawet usłyszałem w głowie cienki głosik: „Wykorzystał mnie!”, ale sam się z siebie zaśmiałem. Przecież to wampir. Dla nich wszystkie inne stworzenia służą tylko po to, by je wykorzystywać do swoich celów. Leifowi udało się jednak omamić mnie na tyle, by mi się zdawało, że on stanowi wyjątek.

I nie tylko mnie. Mina Gunnara świadczyła o tym, że męczy się właśnie z podobnymi do moich myślami. Pytanie brzmiało: czy ta informacja cokolwiek zmienia?

Leif dał słowo i robił wszystko, by je wypełnić. Ja z kolei dałem słowo jemu, a dla mojego pokolenia to nie byle co. W dzisiejszych czasach ludzie coś tam obiecują, potem się z tych obietnic w ogóle nie wywiązują i za całą wymówkę słyszysz: „Staralem się”, choć tak naprawdę nawet się nie starali. Za moich czasów, to jest w epoce żelaza, dane słowo stanowiło podstawę reputacji człowieka, na nim opierała się cała konstrukcja jego honoru, fundamenty jego tożsamości.

I choć często kłamię (ale to zupełnie inna sprawa), nigdy nie zniżam się do łamania obietnic. I nie zamierzałem przymknąć na to oczu. Ani na to, że Thorowi należała się porządna nauuczka. Najlepiej ostateczna.

Tylko że z powodu Jezusa pełen byłem teraz wątpliwości, czy aby zamordowanie Thora jest takim dobrym pomysłem, mimo że wszystko wskazywało na to, że jest on ostatnim dupkiem. Dupki mają na tym świecie tę samą funkcję co dupy nas wszystkich – odwalają głównianą robotę. Są te dupki wstrętne, są brudne, śmierdzą jak sto nieszczęść, ale są nam do życia niezbędne.

To mi z kolei przywiodło na myśl wampiry. Czy i one są niezbędne? Jaką niszę w naturze rzeczy one z kolei wypełniają?

Choć Leif usiłował rzucić na swoje sekrety ciężką zasłonę tajemnicy, wiedziałem o wampirach więcej, niżby chciał. Pewnych rzeczy nie był w stanie przede mną ukryć, bo je po prostu widziałem.

Wokół normalnych ludzi kłębi się życie i ich sploty łączą ich z ziemią. Czynność ich umysłów i stan zdrowia można wyczytać z aur, w których niejako skąpane są ich istnienia. Z wampirami rzecz się ma zgoła inaczej – widać tylko dwa wyraźne punkty ich „istnienia”. Jeden obszar aktywności znajduje się w centrum ich klatki piersiowej, a drugi zaraz za oczami – monotony, czerwony, pulsujący błysk niczym węglík w ognisku. Reszta jawi się jako sterylna, chodząca mieszanina węgla, wapnia i żelaza, choć wampiry mają w sumie wokół głów i torsów ciekłą szarą aurę.

Te czerwone światełka, czymkolwiek one są... te jakieś twory czarnej magii stanowiące tajemnicę wampiryzmu – muszą być zabezpieczeniami. Podejrzewam, że to jakieś maszyny do zmartwychwstawania. To dlatego z pewnością nie wystarczy dźgnąć wampira kołkiem w serce, żeby zapobiec jego odrodzeniu – trzeba mu jeszcze odciąć głowę. Bo jeśli nie, to gdy tylko ktoś wyciągnie kołek, rana się zaleczy i wampir znów jest gotów funkcjonować. Zresztą nawet jeśli takiemu z odciętą już głową wyciągnąć kołek, serce w końcu zdoła doprowadzić do wyrośnięcia nowego łba. W rezultacie twój wampir będzie może ociupinkę wychudzony i zmizerowany oraz nieziemsko głodny, ale będzie żarł, co mu wpadnie w ręce, aż wreszcie wróci do formy.

Według niektórych druidzkich teorii wampiry pochodzą z innej planety, wedle innych –

to symbionty demonów przeniesione do tej krainy tysiąclecia temu. Wszystko to nie miało dla mnie właściwie znaczenia, ważne było tylko to, że mogę im robić, co chcę, bo z punktu widzenia ziemi wampiry nie są istotami czującymi. Dla ziemi jest to mieszanka minerałów i pierwiastków, które będzie kiedyś należało znów do niej przyłączyć, toteż mogę je rozpleść, kiedy mi się żywnie podoba. Druidów nie obowiązuje żadne tabu, jeśli chodzi o używanie naszej magi przeciwko zmarłym – nie możemy tylko robić krzywdy żywym.

Mam taką prywatną teorię na temat upadku druidów, do której nie przyznałem się właściwie Granuaile, ledwie o niej wspominając, gdy pytała o te zamierzchłe czasy, i ta teoria dotyczy właśnie wampirów. Moim skromnym zdaniem Cezar był jedynie mieczem w rękach krwio pijców. W Rzymie istniało (i nadal istnieje) znane gniazdo tych stworzeń i wydaje mi się, że to właśnie one pociągały za sznurki w senacie, aż zapadła decyzja o zniszczeniu druidów. Młodsze wampiry chciały zająć terytoria na północ od Rzymu, ale druidzi z Galii skutecznie im to uniemożliwiali, rozplatając z miejsca każdego napotkanego wampira i zmieniając je wszystkie w papkę z protoplazmy, którą jeszcze podpalali natychmiast, by zapobiec wszelkiemu ryzyku zmartwychwstania.

Prawdę powiedziawszy, zrobiłbym z Leifem dokładnie to samo już przy pierwszym naszym spotkaniu, gdyby nie to, że przedstawił nas sobie Hal, który zapewnił mnie, że to bardzo miły facet, mimo że trochę taki zdechłak. Choć mnie tym strasznie zdumiał, z czasem musiałem mu przyznać rację, bo nauczyłem się cenić towarzystwo Leifa – ba! miałem go za przyjaciela. Teraz jednak nie miałem już pewności, czy jego zachowanie wobec mnie było kiedykolwiek szczere.

Pod wpływem jego opowieści zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle miał świadomość, co mógłbym mu zrobić, gdybym tylko zechciał. Został wampirem już po upadku druidów, jak i najprawdopodobniej jego twórca, Zdenik – choć opierałem to przypuszczenie jedynie na jego imieniu i założeniu, że wampiry nie mogły dotrzeć na tereny Bohemii wcześniej niż w szóstym wieku. Z drugiej strony Zdenik został pewnie stworzony przez Rzymian, więc mogli mu powiedzieć, co potrafią druidzi, a on z kolei mógł przekazać tę wiedzę Leifowi. Uznałem, że pytanie o to Leifa byłoby marnowaniem czasu, toteż odsunąłem od siebie tę myśl. Następna natychmiast wskoczyła na jej miejsce – okropne Gestalt, które bulgotało już od dłuższej chwili, by w końcu wypłynąć na powierzchnię.

Leif wiedział przecież, że gdy opowie nam swoją historię, opadnie mnie zwątpienie, a jednak musiał być pewien, że i tak zabiorę go do Asgardu. Dlaczego?

Wzdrygnąłem się, gdy zrozumiałem, jaka jest odpowiedź na to pytanie. Dałem Leifowi moje słowo, a istota zdolna czekać na swą zemstę całe tysiąclecie nie zawaha się przed użyciem jakiegokolwiek środka, by zmusić mnie do dotrzymania obietnicy. Komuś zdolnemu cierpieć tak, jak on cierpiał, nie drgnie nawet powieka, gdy będzie powodował cierpienie innych. Wiedział, kto jest mi najdroższy. Wiedział, gdzie znaleźć moich najbliższych.

Ledwie zdążyłem sformułować w głowie tę myśl, odrzuciłem ją jako niegodną. Nikogo nie można podejrzewać o taki makiawelizm. Nawet Machiavellego.

A najprostsze rozwiązanie – to jest: rozpleść go jak tyle wampirów, które już w życiu zlikwidowałem – nie było wcale takie proste, nawet już nie ze względu na honor. Leif wypił dotąd całe litry mojej krwi, która stała się teraz jego częścią. Jeśli go rozplotę, czy nie zrobię krzywdy samemu sobie? Tego nikt nie wiedział. Nie było jeszcze w historii druidyzmu takiego precedensu. Nie było zresztą już czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo wszyscy się na mnie gapili i pojęcia nie miałem dlaczego. Myślałem na głos czy co?

Zhang Guo Lao rozjaśnił mi sytuację, uprzejmie pytając, czy już łączą nas wystarczające więzy przyjaźni, by udało nam się ruszyć do Asgardu.

– Och, robimy świetne postępy! – zakrzyknąłem, bo ulżyło mi, że tylko tyle chciał wiedzieć. – Ale obawiam się, że czeka nas jeszcze trochę pracy.

– Reszta jutro w nocy – zarządził Leif, wstając. Skinął mi głową, a jego twarz pozostawała nieprzenikniona. – Życzę wam wszystkim miłego dnia.

– Dobrego wypoczynku – odpowiedział mu Gunnar, a pozostali dodali swoje uprzejmości.

Leif skłonił nam się i zniknął z kręgu światła ogniska, by poszukać jakiejś kryjówki przed słońcem.

Tuż po świcie, gdy Leif spał już na dobre, ruszyliśmy z Gunnarem na małą przechadzkę.

– Zamierzasz mimo wszystko dokończyć, co zaczęliśmy? – spytał bez owijania w bawełnę, wiedząc dobrze, że zrozumie, co ma na myśli.

– Odnoszę wrażenie, że Leif nie ma co do tego wątpliwości.

– Nie, nie ma. Nie wiem, w co on gra, ale mam nadzieję, że w tej grze my jesteśmy po jednej stronie, a nordyccy bogowie po drugiej.

– W odróżnieniu od jakiej sytuacji?

– Każdy po swojej.

– Hmm. Nie mogę mówić za niego i pojęcia nie mam, po czyjej jest stronie. Ale ja jestem po twojej – odpowiedziałem i skinąwszy głową w kierunku pozostałych naszych towarzyszy, dodałem: – Oraz po ich stronie.

Alfa zmrużył oczy.

– Myślisz więc, że nie musimy nic robić?

– Nie w tej chwili. Zobaczmy, jak się potoczy druga runda.

Zaczęła się, gdy tylko po zachodzie słońca wstał Leif. Od razu poprosił mnie o rozmowę z dala od naszego nocnego ogniska. Gunnar spojrział na mnie pytająco, ale ja ledwo zauważalnie pokręciłem głową, więc puścił nas samych.

W milczeniu szliśmy brzegiem jeziora długą chwilę, z rękami w kieszeniach i wzrokiem wbitym w ziemię. Leif czekał chyba, aż pierwszy coś powiem, ale to przecież on poprosił o rozmowę. W końcu zatrzymał się, więc i ja się zatrzymałem i odwróciłem w jego stronę.

– Miałeś cały dzień, by się na mnie wściec, a jednak wciąż tu stoję, głowę mam na karku, a serce wolne od kołka – powiedział. – Dobry z ciebie człowiek, Atticusie.

– A ty jesteś uroczym wampirem.

Pokiwał głową z żalem.

– Zasłużyłem sobie na to. Rozumiem, naprawdę. Ale chciałbym, żebyś miał świadomość, że wczoraj wieczorem nie miałem żadnego niekontrolowanego wylewu uczuć. Wyznałem wszystko celowo.

– Tak konkretnie: w jakim celu?

– Żeby panowała między nami całkowita szczerłość.

– Jak miło. Czemu mi to teraz mówisz?

– Bo tak robią przyjaciele, Atticusie. Prawdą jest, że gdy się poznaliśmy, tylko grałem i udawałem. Miałeś coś, czego chciałem, a jedynym sposobem, by to zdobyć, było zaprzyjaźnić się z tobą. Ale z czasem nasze potyczki słowne i szermierskie, twoje próby zmodernizowania mojego języka, walka ramię w ramię... wszystko to sprawiło, że naprawdę cię polubiłem. Już od kilku lat nie musiałem udawać tej przyjaźni.

– Przykro mi. – Pokręciłem głową. – Trudno mi w to uwierzyć. Brzytwa Ockhama mówi, że poprawne jest najprostsze wyjaśnienie. A najprostsze wyjaśnienie jest takie, że jesteś manipulantem i draniem jak każdy inny wampir.

– Atticusie, nie musiałem nic mówić. I tak wypełniłbyś dane mi słowo. Najprostsze i

jedyne wyjaśnienie jest takie, że chciałem to powiedzieć, żeby pokazać ci, jak ci ufam i jak cenię twoją przyjaźń, że nie zawiodę cię i nie zdradzę, i nigdy już nie będę mieć przed tobą tajemnic. Mam już dość tych wszystkich sekretów.

Nie opuszczały mnie wątpliwości, ale najwyraźniej to właśnie chciał mi powiedzieć i oczekiwał, że to kupię. Zresztą może z czasem mu uwierzę. Jego czyny potwierdzą jego słowa lub zadadzą im kłam. Teraz najlepiej przyjąć jego wyjaśnienie i nie tracić czujności. Być może był ze mną szczery, ale nie umiałem już mu w pełni zaufać i teraz to ja musiałem udawać przyjaźń.

– Chcesz dopuścić mnie do swoich tajemnic? – spytałem, przechylając głowę ze złośliwym uśmiechem. – Wampirzych tajemnic?

Leif uniósł dłonie.

– Tak, ale tylko z tobą. Nikt poza tobą nie może wiedzieć.

– Chcesz powiedzieć, że mogę cię teraz spytać o cokolwiek na twój temat czy na temat wampirów w ogóle i mi powiesz prawdę? – Mój uśmiech stawał się coraz szerszy.

Ręce mu opadły i westchnął z rezygnacją, pewien, że wie, co zaraz nastąpi.

– No, dawaj – mruknął niechętnie.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz o kryjówce Theophilusa.

Złapałem go na ułamku sekundy zdziwienia. Pewnie myślał, że go spytam, czy wampiry robią kupę albo o jakąś równie nieważną bzdurę. Jakie znaczenie miały teraz takie rzeczy? Tymczasem moje myśli zaprzętały o wiele ważniejsze sprawy. Jeśli ten tajemniczy Theophilus był rzeczywiście starszy niż ja, to być może wiedział, kto stał za rzymskim pogromem druidów. Być może sam maczał w nim palce. Taką osobę warto by było namierzyć.

– I żadnych wykrętów – dodałem. – Proszę o szczerą odpowiedź. Jak sądzisz, gdzie on może teraz być i jak się z nim skontaktować?

– Zamierzasz zakończyć jego egzystencję? – spytał Leif.

– Nie, jeśli nie da mi po temu powodu. Chcę jedynie z nim porozmawiać.

– Będzie chciał wiedzieć, jak go znalazłeś.

– Powiem mu, że sam zgadłem.

– Przejrzy twoje kłamstwo. Twoje przyspieszone tętno, substancje chemiczne na twojej skórze, wyraz twarzy... od razu będzie wiedział, że ktoś ci powiedział, i zażąda, byś mu zdradził swoje źródło.

– Może sobie żądać, ile wlezie. Nic ze mnie nie wydobędzie, Leifie. Dobrze o tym wiesz.

– Nie wiem – powiedział Leif, kręcąc ze smutkiem głową.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Włada telepatią czy co?

– Nie, po prostu naprawdę nie wiem. Nigdy go nie spotkałem. Moje informacje o nim są mętne i bardzo niepewne.

– Mniejsza z tym. Dawaj, co masz – poprosiłem. – Nigdy się ode mnie nie dowie, że to ty puściłeś parę z ust.

Leifowi zafalowały nozdrza, gdy zrobił przez nie długi wydech z frustracji.

– Ponoć dzieli swój czas między Grecję, Vancouver i małą tropikalną miejscowość w Australii, zwaną Gordonvale. Podąża za chmurami.

– Słucham?

– Chodzi o zachmurzenie. Jest podobno tak stary, tak potężny, że umie chodzić przez krótki czas po ziemi za dnia, jeśli nie ma za dużo słońca.

Brwi podskoczyły mi aż na czoło.

– Ty też tak umiesz?

– Nie. Mnie kosztuje wiele wysiłku niespanie po świcie, nawet jeśli przebywam w

zaciemnionej piwnicy.

– Hmm. Wspomniałeś o Grecji. Gdzie konkretnie?

– W Salonikach.

Zmarszczyłem brwi.

– To nie jest specjalnie zachmurzone miasto.

Leif wzruszył ramionami.

– Moja prywatna teoria jest taka, że po prostu stamtąd pochodzi.

To by w sumie pasowało do greckiej etymologii jego imienia. Rzucałem pytanie za pytaniem i przyglądałem się Leifowi uważnie, wyglądając oznak uników. Jeśli kłamał, był w tym diablo dobry. Czy mówił mi prawdę, czy nie, na pewno były to już jakieś wskazówki, coś, od czego można by zacząć. A jego – być może pozorna – szczerłość dawała mi nadzieję, że niewykluczone, iż rzeczywiście zależało mu na naszej przyjaźni.

Całą tę noc i jeszcze następną spędziliśmy na snuciu opowieści z przeszłości, na opowiadaniu dowcipów (czasem takich, które po przetłumaczeniu na angielski zupełnie nie były śmieszne), na opisywaniu przygód w odległych krainach i kulturach, które dawno już zgasły. Usiłowaliśmy przyćmić jeden drugiego w konkursie na Najokropniejsze Świństwo Jakie Kiedykolwiek Jadłem (wygrał Väinämöinen). Zhang Guo Lao wyciągnął swój bębenek i próbował zagrać coś w duecie z kantele Väinämöinena, ale wyszło z tego takie pomieszanie stylów, że najlepiej o tym zapomnieć – trochę jak indonezyjska folk death polka.

Leif nie poprosił już o moją krew, a ja mu jej nie zaproponowałem. Nikt inny też się jakoś do tego nie palił. Leif nie wyglądał przez to na jakiegoś wygłodniałego, więc najwyraźniej nie musiał znowu tak koniecznie pić każdej nocy.

Nad ranem trzeciej nocy opowieści, gdy spojrzałem na więzy między nami, stwierdziłem z zadowoleniem, że dostatecznie się wzmocniły. Czuję, że teraz już wiem, jak uchwycić istotę tych ludzi.

– Panowie – rzekłem. – Wydaje mi się, że jesteśmy gotowi. Jutro w nocy przenosimy się do północnej krainy.

Rozdział 21

Namówienie pięciu chłopca do symultanicznego dotknięcia mnie oraz korzenia drzewa przypominało jakąś szaloną homoerotyczną grę w Twistera i z trudem powstrzymywałem śmiech, szczególnie że ich miny dość jednoznacznie mówiły, iż wszyscy zadają sobie to samo pytanie: „czy on jest gejem?”. To by jednak pozbawiło mnie zbyt wielu punktów testosteronowych, twardo więc skupiłem się na zadaniu i przepchnąłem nas wszystkich do północnej krainy.

Tym razem studnia Mimira była pod obserwacją. Usłyszeliśmy jedno z tych orlich „Iijaaaaa!”, które brzmiało kropka w kropkę jak muzyka z czołówki do programu *The Colbert Report*. Wszyscy obejrzeliliśmy się, żeby zobaczyć źródło tego dźwięku.

– To nie ptak! – stwierdził po sekundzie wahania Väinämöinen. – To olbrzym mrozu. – Jego magiczny wzrok był tak dobry jak mój, jeśli nie lepszy. Kiedy spojrzałem na aurę ptaka, zobaczyłem, że wcale nie wygląda jak orzeł. Widziałem za to olbrzymią istotę dwunożną w kolorze lodowego błękitu. – No to dawaj, Atticusie.

Zdecydowano, że to ja mam się zająć gadaniem, gdyby zaszła taka potrzeba. Väinämöinen mówił wprawdzie po staronordycku, ale Leif posługiwał się tym językiem znacznie sprawniej, toteż miał pełnić funkcję tłumacza.

– Witaj, szanowny panie. Czy mogę zamienić z panem słowo? – zwróciłem się do ptaka. – Przybyliśmy do Jötunheimu porozmawiać z Hrymem, jeśli byłoby to możliwe.

Orzeł zeskoczył z drzewa i zmienił się w olbrzyma tak wielkiego, że aż od jego skoku zatrzęsała się ziemia, a tumany śniegu uniosły się w powietrze. Wielkolud miał ze cztery metry wysokości, a skórę kilka odcieni jaśniejszą niż niebiescy ludzie w *Awatarze*. Jego broda składała się z prawdziwych włosów, ale pokrytych długimi soplami, tak zresztą jak i brwi. W płątaniu ciemnych włosów kryły się pasma białego mrozu. Mimo że wyraźnie wiało od niego chłodem, nie miał na sobie nic poza odrobiną futra na biodrach, co mnie mocno zastanowiło. No bo jeśli olbrzymy mrozu wpadły na to, że futro ociepli nieco intymne części ich ciał, to czemu nie przyszło im do głowy, że więcej futra ogrzałoby i resztę? Nigdy nie martwiły się o hipotermię? Ale biorąc pod uwagę ich naturę, były pewnie odporne na wszelkie zimno, a skromne odzienie i mrozący krew w żyłach wygląd miał raczej wywoływać hipotermię u tych, którzy się na nich natknęli.

– Kim jesteś? – zagrzmiał, a jego głos był niczym beczki toczące się po doku.

– Nieprzyjacielem Azów – zapewniłem go, założywszy, że to pewnie znacznie ważniejsze niż nasze imiona. Następnie podałem mu je także na wszelki wypadek i jako że wciąż nie rozgniótł nas na miazgę, uznałem, że nasze stosunki układają się naprawdę dobrze. Olbrzym mrozu wbił w Peruna lodowate spojrzenie (niby na jakie inne mógłby się w ogóle zdobyć?).

– Grrr! Nie lubię bogów piorunów. Nie ufam im. Co chcecie powiedzieć Hrymowi?

– Możemy zakończyć tyranię Azów jeszcze dziś w nocy lub jutro, lub kiedy tylko zechcą mroźni Jötnarowie. Odyn jest bezsilny i dobrze o tym wie. Thor to kaleka, choć jeszcze o tym nie wie. Freja jest do wzięcia. Norny nie żyją. Wszyscy Azowie to owoce, które Hrym może zebrać w każdej chwili, jeśli tylko jest głodny.

Olbrzym śmiał się zupełnie jak chorzy z poważnymi zaburzeniami układu oddechowego.

– Mrr-hrr-ha-ha! Cóż to za bzdury? Wydaje wam się, że takie wychudłe przekąski jak wy mogą pokonać Azów?!

Wymienianie słów z prostytutkami o przerośniętej tkance mięśniowej to strata czasu. Porozumiewają się oni za pomocą fizycznych działań i tak tylko można do nich przemówić.

Odwróciłem się do nieśmiertelnego Zhanga Guo Lao i szepnąłem do niego po mandaryńsku:

– Mistrzu Zhang, odnoszę wrażenie, że temu panu przydałaby się lekcja dobrych manier. Może mógłbyś pokazać mu, jak się rozmawia na naszym poziomie.

Pod rzadkimi, rozwichrzonymi wąsami starożytnego alchemika zaigrał złośliwy uśmiešek. Starzec skłonił mi się szybko. Rozsupłał swój węzełek i odłożywszy na bok bębenek z ryb, wyciągnął z tobołka żelazny pręt.

– Pozwoli pan, że mój towarzysz pokaże panu, jaką mniej więcej mocą władamy – rzekłem do olbrzyma, przechodząc znów na staronordycki. – Być może chętniej pan nas wysłucha, gdy już pan zobaczy, co potrafimy.

– Grrr! – prychnął tylko Jötunn. – A co mi niby robi ten staruch? Pierdnie na mnie?

Mam nadzieję, że nigdy nikt na mnie tak nie pierdnie, jak to zrobił Zhang Guo Lao w wypadku mroźnego olbrzyma. Najpierw kopnął go w rzepkę, żeby mu dać znać, że ma poważne zamiary. Wielkolud ryknął z bólu i zaczął rozpaczliwie wymachiwać tą nogą. Wtedy Zhang zebrał się w sobie i skoczył w kierunku olbrzymiej twarzy, robiąc przy tym takie salto, że wylądował rozłożonymi w szpagacie nogami na jego szyi. Zaciśnął je mu na gardle i zawisł do góry nogami, aż olbrzymowi oczy wyszły na wierzch ze zdziwienia: jakim cudem w tak krótkiej chwili zyskał ten dziwny naszyjnik ze starca? Potężne dłonie ruszyły w stronę piersi z wyraźnym zamiarem zerwania sobie Zhanga z szyi, ale nieśmiertelny mędrzec, choć zwiślał, nie pozwolił, by jemu coś zwiślało. Nadal głową do dołu swoim żelaznym prętem z chirurgiczną precyzją przeprowadził kilka uderzeń w odpowiednich miejscach uciskowych na olbrzymiej piersi i szyi – buch-bach-buch-buch-bach. Po ostatnim ręce wielkoluda zamarły. Był od talii w górę zupełnie sparaliżowany. Wciąż w pozycji nietoperza Zhang rozluźnił się i rozłożył ramiona na boki, jakby chciał zakrzyknąć: „Ta-da!”, toteż za moim przykładem nasza skromna wycieczka nagrodziła go eleganckimi, acz cichymi oklaskami. Powolutku, powolutku do olbrzyma docierało, co mu się przytrafiło, i zachwiał się niebezpiecznie, gdy usiłował poruszyć górną częścią ciała. Kiedy zrobił krok do tyłu, Zhang zgiął się wpół i złapał za kosmyki jego brody. Potem spuścił nogi z szyi olbrzyma, aż jego stopy oparły się o obojczyki, i odbił się od nich do tyłu, jakby uczestniczył w konkursie skoków do wody z wieży. Po kilku skrętach i różnych takich (nie jestem ekspertem w dziedzinie gimnastyki) wylądował z wdziękiem na stopach, które natychmiast pogrzyły się w głębokim śniegu. Dla odróżnienia olbrzym runął do tyłu zupełnie bez żadnego wdzięku. Nie mogąc nawet powymachiwać wściekle rękami dla zachowania równowagi, zawył tylko i plasnął głośno w śnieg.

Spojrzałem na Leifa.

– Gdybyż nas tu nie było, czy wydałby taki dźwięk?

Leif prychnął, ale nie odpowiedział.

Znów po mandaryńsku szepnąłem:

– Mistrzu Zhang, zakładam, że skoro jest zdolny robić tyle hałasu, nadal może mówić, prawda?

Zhang Guo Lao skinął mi tylko głową i razem ruszyliśmy w stronę lba olbrzyma.

– Pan wybaczy ten mały pokaz siły – przemówiłem do Jötunna. – Zapewniam pana, że nie podniósł pan żadnych trwałych szkód i że wkrótce pana uwolnimy. Mogę poznać pana imię, to stare?

– Jestem Suttung! – ryknął olbrzym. – Co to za paskudna magia? Wypuście mnie natychmiast!

– Oczywiście. Wystarczy, że przysięgnie pan nam pokój i zabierze nas do Hryma.

– Oszukaliście mnie!

Miotał się po śniegu, próbując wstać, co okazało się niemożliwe z pomocą samych nóg.

Pozwoliłem mu popróbować, potem znów przemówiłem, gdy już się poddał wściekły z bezsilności.

– Tu się z panem nie zgodzę. Powiedzieliśmy panu, że wiemy, jak obalić Azów, a pan nie raczył nam uwierzyć. Szybciej było pokazać, co mamy na myśli, niż się klócić. Czy mogę teraz prosić o gwarancję bezpieczeństwa?

– Grrrr. Nie mam przecież wyjścia, bo inaczej będę tu tak leżał jak kłoda.

– I zabierze nas pan do Hryma?

– Tak. Nadzieje was na rożen i upiecze z rozmarynem, a dziś w nocy wszyscy spróbujemy waszego mięsa. Jutro nie będziecie niczym więcej jak gównem na śniegu.

– Pańska dyplomacja pozostawia wiele do życzenia. Nie wiem, czy można to nazwać gwarancją bezpieczeństwa. Choć pewnie nie może pan mówić za Hryma. Mistrz Zhang, ten pan dał mi słowo. Można go uwolnić. – Wszystko to powiedziałem po staronordycku, żeby Suttung zrozumiał, i tylko ostatnie dwa zdania powtórzyłem po mandaryńsku.

Zhang zwinnie wskoczył na pierś Jötunna, dźgnął go palcem tu i tam i po chwili ręce Suttunga drgnęły i opadły z siłą w śnieg, a on sam uniósł się do pozycji siedzącej. Zhang wykonał jakieś skomplikowane akrobacje, by zejść mu z drogi, i tym samym zaliczył kolejny perfekcyjny skok.

Suttung wstał i długą chwilę się upewniał, że wszystkie części ciała działają mu tak jak wcześniej. Gdy już w końcu się uspokoił, postanowił się lepiej przyjrzeć Zhangowi, usiłując dojrzeć to, co wcześniej przeoczył, a mianowicie, że ten wąły staruszek jest dość niebezpieczny. Potem obdarzył nas wszystkich podejrzliwym – lodowatym oczywiście – spojrzeniem, zastanawiając się wyraźnie, czy nasze siły są zdolne pokonać Azów.

– Grr. Chodźcie – rzekł w końcu i ruszył na wschód, szurając nogami, by jego potężne stopy torowały nam drogę w śniegu.

Wieś mroźnych Jötnarów znajdowała się dwie godziny marszu w przenikliwym chłodzie. Moje dzinsy i skórzana kurtka zdecydowanie nie były odpowiednie na tę pogodę, o sandałach nawet nie wspominając, musiałem więc wyblagać koc i rakiety śnieżne od Väinämöinen, który dał mi je z wyrazem twarzy sugerującym, że jestem ostatnim frajerem. Odmrożyny umiałem stosunkowo łatwo leczyć, gorzej było z poważniejszymi odmrożeniami. Pozostali wydawali się znacznie bardziej przyzwyczajeni do zimna albo przynajmniej na nie przygotowani.

Perun, który szedł tuż obok mnie, poklepał się po piersi pokrytej zmierzwionymi lokami. Na plecy zarzucone miał futro, ale pod tym tylko cienką koszulę, tak rozpiętą, że i tak wystawało spod niej jego prywatne futro.

– Ty widzieć? Włosy być dobre na takie miejsce. Być głupim, kto się golić.

– Taką samą radę dałbyś kobiecie? – zapytałem.

– Oczywiście! Włochata kobieta dobra. Dawać mi tu zaraz solidne włochate baby!

– Akurat mi wszystkie wyszły. Ale wiesz co? To by była świetna nazwa na grupę rockową. Solidne Włochate Baby. Tylko pomyśl o logo, o możliwościach promocyjnych. To by mogło wyznaczyć zupełnie nowe trendy.

Perun popatrzył na mnie zdezorientowany.

– My lepiej mówić pa ruski. Bo ja nie widzieć, o czym ty teraz gadać.

Przeszliśmy więc na rosyjski i gawędziliśmy sobie miło, idąc za Suttungiem. Perun bardzo się przejął na myśl o tym, że być może zaraz spotkamy jakąś olbrzymkę, która przecież może okazać się i solidna, i włochata. Wywnioskowałem z tego, że już od dłuższego czasu nie przeżył żadnej miłości.

Mroźni Jötnarowie nie mieszkali w jaskiniach czy prymitywnych szałasach, ale w solidnych blokach rzeźbionego lodu izolowanych śniegiem. W niektórych wokół okien i tuż nad

ziemią widniały urocze wzory wyrzeźbione w śniegu. Wszystkie budowle miały spadziste dachy, kominy i bardzo wysokie drzwi.

Po ulicy nie wały się ludzkie kości, nic też nie wskazywało na to, żeby olbrzymy regularnie defekowały na śnieg. Wieś była nadzwyczaj, niemal pedantycznie czysta, bez żadnych śladów śmieci czy zaniedbania, którego by się oczekiwało po ludziach, którzy lubią mówić „grr!”. Pośrodku osady znajdowało się wielkie miejsce na ognisko, ale wyglądało na dawno nieużywane. Być może, pomyślałem sobie, wszystkie te ludzkie kości po prostu zasypał śnieg, a wraz z nimi śmieci i inne objawy nędzy.

Wszystko wskazywało na to, że mieszkańcy wsi postanowili dziś spędzić sobie spokojny wieczór w domu. Pokryta śniegiem główna ulica była zupełnie opustoszała, ale pomarańczowe błyski okien i dym z kominów sugerowały rodzinne ciepło w środku. Mimo całego tego idyllicznego krajobrazu nic w wiosce nie uspokoiło nas zbyt. Wręcz przeciwnie – niemal oczekiwaliśmy zasadzki.

– Gdzie się wszyscy podziali? – spytałem Suttunga.

– Grrr. Ukrywają się przed szpiegami Odyń. Od kilku dni Hugin i Munin oblatują okolicę zdecydowanie za często.

Bardzo interesujące. Czyżby szukali mnie tutaj?

– Powinniśmy pewnie jak najszybciej też skryć się do środka. Lepiej, żeby nas tu teraz nie zobaczyli.

– Jesteśmy na miejscu. – Suttung zatrzymał się przed domem nie większym od pozostałych i w ogóle niczym się właściwie niewyróżniającym. Wprawdzie jak wszystkie domy był naprawdę wielgachny, ale jednak nie miał żadnych specjalnych zdobień wokół drzwi, żadnych czaszek na włączni czy innego sprytnego znaku, że wódz jest w środku. Natychmiast włączył się mój alarm przeciwpułapkowy i rozejrzałem się czujnie wokół. Leif, Gunnar i Zhang Guo Lao też zwrócili się odruchowo twarzą na zewnątrz naszej grupy, jakby szykując się na atak. Tylko Perun i Väinämöinen rozglądali się wokół beztrosko. Nie było jednak widać żadnego korpusu olbrzymich oficerów z włączniami i żadne nordyckie zombi nie wypadło zza rogu, by zjeść nam mózgi.

Może Hrym w ogóle nie był aktualnie wodzem. Kazałem Suttungowi prowadzić się właśnie do niego, bo on miał jakoby przewodzić mroźnym Jötnarom podczas Ragnaröku, więc uznałem, że powinien coś wśród nich znaczyć.

– Tu mieszka Hrym? – zapytałem.

– Tak. Lepiej dla was, żeby nie był głodny.

Suttung walnął dwa razy pięścią w drzwi, po czym otworzył je na oścież. Nie wiem jak inni, ale ja oczekiwałem, że ujrzę Hryma na gigantycznym lodowym tronie, z włącznią w dłoni i niedźwiedziem polarnym u stóp, grzejącym mu palce mięciutkim futrem. W drugiej dłoni wódz powinien mieć monstrualny kufel grzanego piwa albo miodu. Tuż przy tronie stałby jakiś szambelan albo inny dworzanin, a poza tym oczywiście aż się powinno roić od służby przy długim stole uginającym się od mięs, serów i świeżo wypieczonego chleba.

Zamiast tego oczom naszym ukazały się dwa olbrzymy taplające się głośno w czymś, na co naprawdę nie ma lepszego określenia niż potworny kałużojeb.

Rozdział 22

Są na tym świecie takie widoki, które raz zobaczone nie chcą się nijak zatrzeć w pamięci. Gorzej – powtarzają się w kółko i w kółko w domowym kinie z Dolby Surround twojego umysłu, aż w końcu wpadasz w taką desperację, że gotów jesteś zamienić ten obraz na jakikolwiek inny, byle się go choć na chwilę pozbyć.

Długi stół, którego się spodziewałem, nawet stał gdzie trzeba. Na niego posadził Hrym swoją partnerkę, ale nie miał widać czasu odsunąć tac z jedzeniem czy porozlewanych kufli z miodem, a już na pewno był zupełnie nieświadom tego, że ich bunga-bunga zyskało właśnie widownię. Choć nie jestem wcale pewien, czyby przerwali je z naszego powodu.

– Grrr – powiedział Hrym. Łupu-cupu-łupu-cupu.

– Grrr – odparła na to jego partnerka. Łupu-cupu-łupu-cupu.

Suttung zrobił wszystko, by drzwi zamknęły się szybko i dyskretnie, ale moja psychika już doznała nieodwracalnego uszczerbku. Rozpoznając niebezpieczeństwo, zamknąłem oczy i zacząłem śpiewać:

– „Pije Kuba do Jakuba, Jakub do Michała, wiwat ty, wiwat ja, i kompanija cała. A kto nie wypije, tego we dwa kije, łupu cupu, cupu łupu...” Cholipcia, ta się nie nadaje! Chłopaki, ratujcie, potrzebuję jakiejś innej piosenki!

– O co chodzi, Atticusie? – spytał Gunnar.

– Potrzebuję niezwykle irytującej, ogłupiającej piosenki, którą mógłbym śpiewać, żeby nie odtwarzać ciągle w głowie tego, co przed chwilą widziałem. Czuję, że muszę natychmiast o tym zapomnieć.

– O. Świetny plan. Popieram – ucieszył się Gunnar, równie przerażony tym, co widział. – Co ty na *I Will Always Love You* Whitney Houston?

– Może być, wpada w ucho, ale chyba nie dostaniemy od tego zbyt szybko katatonii.

– Mam! – wtrącił się nieoczekiwanie Väinämöinen. – Było morze, w morzu kołek, a ten kołek miał wierzchooolek. Na wierzchołku...

– Jesteś genialny! – krzyknąłem. – To właśnie to, czego nam potrzeba! A teraz wszyscy razem, trzy-czte-ry!

I wkrótce już całą szóstką wyliśmy tę okropną piosenkę z wielkim przekonaniem i lekką paniką w oczach, stojąc głęboko w śniegu. Perun i Zhang Guo Lao jej jakoś nie znali, ale szybko się poduczili tekstu i już za drugim razem dołączyli do chórkę.

Mroźny Jötunn imieniem Suttung gapił się na nas zbity z tropu, zawstydzony swoim faux pas i głęboko przekonany, że jesteśmy kompletnymi szaleńcami.

Rozdział 23

Zanim nasze zwoje nerwowe rozplynęły się i zmieniły w zupełną pulpę, uratowało nas pojawienie się czarnego ptaka na czarnym niebie. Leif pierwszy go zauważył dzięki swojej doskonałej noktowizji, a wszyscy powitaliśmy tę wiadomość z ulgą, bo odrywała nasze myśli od podwójnej traumy wywołanej oglądaniem małżeńskich ćwiczeń Hryma i śpiewaniem najbardziej zabójczej dla spokoju duszy piosenki świata. Z wnętrza lodowych domów błyskały światelka palenisk, dzięki którym nie było zupełnie ciemno.

– Może to Hugin i Munin? – zastanawiał się na głos Perun.

– To nie oni. Jest tylko jeden – nie zgodził się z nim Väinämöinen.

– To co to? – spytał Gunnar.

– Może zwykły ptak? – rzucił Zhang Guo Lao.

Leif pokręcił głową.

– Nie. Jego krew pachnie jakoś podejrzanie.

– A niech to lichy – wyszeptalem, uświadamiając sobie kto to, dopiero gdy wrona sfrunęła na ziemię i zmieniła się w nagą kobietę o śnieżnobiałej skórze. – To Morrigan.

Poleciała za mną aż do krainy Normanów. Tak jak druidzi Tuatha Dé Danann mogą podróżować wszędzie, ale zwykle ograniczają swoje wyprawy do krain irlandzkich – z uprzejmości dla innych panteonów.

Jej oczy błysnęły czerwienią, gdy ruszyła w naszą stronę. Zimno wyraźnie miała za nic. Kątem oka sprawdziłem reakcję Suttunga. Chyba zrobiła na nim niezłe wrażenie, bo wyglądał, jakby chciał zapytać, czy ta pani jest już zajęta. Gdyby był dość bystry, wpadłby na to, że panie z czerwonymi oczami zwykle są bardzo, bardzo zajęte i lepiej nie zawracać im głowy żadnymi pytaniami.

– Siodhachanie Ó Suleabháinie – rzekła, a w jej głosie zabrzmiały takie minorowe nuty, że mnie przeszły ciarki po plecach. – Musimy porozmawiać, nim popełnisz to szaleństwo.

Zadrzałem. Mróz plus głos Morrigan zadziałają na każdego faceta.

– Jasne. Oczywiście. To tego... porozmawiajmy. Chłopaki, moglibyście może rozpalic tymczasem jakieś ognisko, jak mnie nie będzie? Pogadam z Hrymem zaraz po powrocie. Znaczy, jeśli będzie w nastroju do gadki.

Znów zadrzałem. Wszyscy moi towarzysze zapewnili mnie zgodnie, że zaraz rozpalą ognisko, nie zaprząją sobie tym głowy, do zobaczenia potem, Atticusie. Ruszyliśmy więc z Morrigan na zachód na tyle daleko, żeby nikt nas nie słyszał.

– Źle się ubrałeś na ten klimat – zaczęła Morrigan, choć sama była zupełnie nieubrana.

– No. Masz może przypadkiem jakiś termoaktywny koc w kieszeni? – spytałem.

Morrigan ciągnęła, jakbym nic nie powiedział:

– To znak, że źle zaplanowałeś całą tę przygodę. To bardzo nierozsądne. Z pewnością zdajesz sobie sprawę z tego, że nie potrafię pomóc ci w Asgardzie? Nawet tu, w Jötunheimie, nie mogę cię już chronić. Jeśli zginiesz, walkirie zabiorą cię, gdzie im się będzie żywnie podobało.

– No, jeśli chodzi o walkirie, to okazuje się, że w moim wypadku nie bardzo mogą szafować tą śmiercią.

Morrigan raptownie zwróciła głowę w moją stronę i wbiła wzrok w moją twarz, żeby sprawdzić, czy sobie żartuję. Uznawszy, że nie, zapytała:

– Skąd wiesz?

– Wpadłem na nie z tydzień temu i usiłowały mnie wykończyć. Amulet mi się wyiębił, ale nic poza tym. Wyszedłem żyw z tamtego starcia, więc wracam na drugą rundę.

– Będziesz walczył bezpośrednio z nimi?
– Nie wiem. Jeśli będą na mnie polować, niewykluczone. Ale mnie nie bardzo interesuje walka. Chodzi mi tylko o to, żeby nie złamać słowa danego Leifowi, a obiecałem mu, że przepchnę go do Asgardu. Pewien jestem, że nie chciałybyś, bym zaczął nagłe łamać dane innym obietnice, skoro jedną z nich złożyłem tobie.

– Ale po co rozmawiać z mroźnymi Jötnarami? – zapytała. – Nie obiecałeś chyba Leifowi, że ich też będziesz rekrutował? Ani że będziesz ciągnął ze sobą te pasożyty? Wyrzuć wampira, gdzie trzeba, i znikaj stąd, a resztą się nie przejmuj.

– Morrigan, Thor to ostatnia kanalia. Gdybyś ty wiedziała, co on zrobił tym ludziom. To kompletny skurwibąk.

– Skurwi... co?

– Nieważne. Słuchaj, im więcej mam ze sobą ludzi, tym większa szansa, że uda mi się to przeżyć. Po prostu pozwolę Leifowi spróbować i zobaczę, co będzie. Jeśli Thor go zabije, znikamy stąd. Jeśli on zabije Thora, też znikamy. Nie zamierzamy tu długo zabawić.

– Bez względu na to, jak się potoczy ta wyprawa, jej konsekwencje będą straszliwe, Siodhachanie.

– Już przerabiałem tę rozmowę z Jezusem i mówię raz jeszcze, że nie zamierzam zmieniać planów. Na mój rozum konsekwencje będą o wiele straszliwsze, jeśli ta wyprawa nie dojdzie do skutku.

– Nic nie wiem o twoich rozmowach z chrześcijańskim bogiem, ale ja miałam wizję, która zapowiada twoją śmierć.

Przystanęłam. Nie da się spacerować sobie spokojnie, gdy ktoś ci właśnie prorokuje śmierć.

– Tu czy na Ziemi?

– Na Ziemi.

Zmarszczyłem brwi.

– A nie miałaś mnie tam przypadkiem chronić?

Czerwień jej oczu zbladła.

– Miałam i mam. A jednak miałam wizję twojej śmierci. Było to... niepokojące.

No ja myślę. I niby co ona robiła w tej wizji?

– Hmm. Obiecuję, że będę miał jeszcze większą ekstraparanoję w Asgardzie i superturboparanoję, jak wrócę. Ale jednak jadę tam, Morrigan.

– Wiem. Chcę tylko zminimalizować siłę twojego uderzenia.

– Uderzenia w co?

Zamiast odpowiedzieć mi jak człowiek na proste pytanie, zrobiła krok w moją stronę i odczekała, aż mój wzrok napotka jej spojrzenie.

– Siodhachanie, niektóre walkirie... – Jej usta zadrżały i odwróciła wzrok, gdy szukała odpowiednich słów. Nie mogła przecież powiedzieć, że są jej przyjaciółkami. – Znam je – powiedziała w końcu.

– Możliwe. Ale każda usiłowała mnie zabić i przez to ośmieszyłem je wszystkie, gdy im się nie udało. Gdy się znów spotkamy, nie ograniczą się do rzucania we mnie pomidorami, kumasz?

– Mogę sobie łatwo wyobrazić, jakie są na ciebie złe – zgodziła się Morrigan. – Wiem też lepiej niż ktokolwiek, że nie jesteś w stanie mi niczego obiecać, jeśli chodzi o bitwę. Przybyłam tylko, by ci poradzić, żebyś w tej sytuacji raczej wypełniał dosłownie swoją obietnicę, a nie dbał o jej ducha czy intencje.

Uśmiechnąłem się do niej cierpko.

– Nie sądzisz, że jest to mądra rada w każdej sytuacji?
– Tak, owszem, dość często.
– I na tym właśnie polega różnica między nami. – Wciąż męczyło mnie to, co powiedziała wcześniej. – Mówisz więc, że podczas wizji widziałaś moją śmierć?
– W bardzo wyraźnym śnie, tak dokładnie. Nie było to podczas wróżb czy rzucania różdżkami. Czasami mi się to zdarza.
– Zdarzyło się, żeby któraś wizja się kiedyś nie sprawdziła?
– Nie.
Zacisnęła usta i odwróciła wzrok.
– I jesteś pewna, że to byłem ja, a nie jakiś inny przystojniak z czarodziejskim mieczem?
– Nie ma znowu aż tak wielu czarodziejskich mieczy. Ani rudych druidów, którzy nimi wymachują. Jestem pewna.
– No cóż. Cokolwiek ma się stać, i tak miałem dotąd dość dużo szczęścia, prawda? Nie mam prawa narzekać. – Nie zamierzałem jej pytać, kiedy dokładnie, gdzie czy jak umrę. Nie chciałem tego wiedzieć, zresztą i tak mogła nie znać odpowiedzi. Westchnąwszy, patrzyłem, jak mój oddech krystalizuje się w ciemności. – Powiedz, Morrigan, czy kiedykolwiek przyszłaś do kogoś i powiedziałaś: „Gratulacje! To będzie dla ciebie wspaniały rok pod wieloma względami, ale szczególnie dlatego, że jeszcze w tym roku nie umrzesz!”?
– Nie – przyznała Morrigan. – To mi nigdy nie przyszło do głowy. To by było niepoważne.
– Ale może przyjemne. Ludzie może by zaczęli cię bardziej lubić. Szczególnie gdybyś potem ich przelatywała, a oni by wiedzieli, że to przeżyją.
Zachichotała.
– Czy ty mi tu próbujesz zasugerować, że chciałbyś znów cieszyć się moimi względami, Atticusie?
– Och, nie – zaprotestowałem z uśmiechem, starając się zachować lekki ton, gdy tymczasem zmroziło mnie na samą myśl o tym. Morrigan jest olśniewająco piękna, ale kocha się w stylu zapaśniczym klasycznym – gdy ostatnim razem „cieszyłem się jej względami”, Oberon myślał, że wdałem się w jakąś bójkę uliczną i przegrałem. – Muszę teraz oszczędzać siły przed bitwą. Poza tym trzeba jeszcze nawiązać sojusz z olbrzymami mrozu. A jak ci idzie praca nad amuletem? – zapytałem, by skutecznie zmienić temat.
– Powoli, ale wydaje mi się, że jednak robię postępy. Znalazłam żywiołaka żelaza, który zechciał ze mną porozmawiać. Dałam mu na pożarcie trzy faerie, sądzę więc, że następnym razem może szybciej odpowiedzieć na moje wezwanie.
– Doskonale, tak trzymać – pochwaliłem ją.
Morrigan zamruczała zadowolona i przysunęła się, by pocałować mnie na pożegnanie. Syknęła, gdy przylgnęła do mojej piersi.
– Jesteś cholernie zimny! – krzyknęła.
– A co? Tobie nie jest zimno? Paradujesz tu po śniegu z gołym tyłkiem i chcesz mi powiedzieć, że mimo to jesteś gorąca?
– Podnieś ciepłość głęboką ciała, głupcze!
– Aha. – Pokiwałem głową, jakbym wiedział, o czym ona w ogóle do mnie mówi, ale gapiła się na mnie wyczekująco, jakby chciała sprawdzić, czy wykonam rozkaz, więc musiałem w końcu powiedzieć: – Yyy... a jak to się robi?
Rąbnęła mnie po gębie. W rękach Morrigan nie była to nawet nagana. Po prostu chciała mieć pewność, że się dostatecznie koncentruję.
– Jak ci się udało przetrwać tyle wieków bez tak podstawowego splotu?

- Zwykle używam wielu warstw odzieży, tak jak wszyscy.
- I gdzie są teraz te warstwy?
- Daleko. Niestety.
- Ale umiesz, mam nadzieję, spleść przynajmniej swój wzrok z magicznym spektrum? –

spytała.

Mógłbym się za to pytanie obrazić, bo był to jeden z pierwszych splotów, jakiego uczył się wszyscy druidzi. Ale był długi, co sprawiało, że trudno go było zastosować w stresującej sytuacji, więc uprościłem sobie sprawę już wiele lat temu.

– Tak. Po to właśnie mam ten charms – powiedziałem, wskazując na jeden z charmsów po lewej stronie amuletu. Używałem ich dosłownie tak, jak się używa ikonek, żeby włączyć jakąś aplikację. Były to skróty, dzięki którym oszczędzałem czas i energię, bo nie musiałem za każdym razem pleść danego wiązania od zera. Po lewej stronie amuletu miałem charmsy od kamuflażu, noktowizji, uzdrawiania, szkło faeryczne i jeszcze jedną zawieszkę. Po prawej wisiały: charms, którym posługiwałem się przy zmienianiu w zwierzęta, oraz niedźwiedzi charms, który służył mi do magazynowania magii. Włączyłem szkło faeryczne i poprosiłem: – To pokaż mi, jak się podnosi tę ciepłotę.

Morrigan wszystko mi pokazała i nauczyła mnie słów wiązania. Okazało się, że polega ono po prostu na dostosowaniu poziomu hormonów tarczycy i podwzgórza, żeby przyspieszyć metabolizm, przez co więcej spalałem w komórkach i dzięki temu uwalniało się więcej ciepła, a zarazem zapobiegałem w ten sposób obkurczeniu się naczyń krwionośnych od zimnego powietrza wychładzającego powierzchnię skóry.

– Pamiętaj, żeby trochę więcej jeść – wyjaśniła Morrigan. – I nie zapomnij dostosować odpowiednio poziomu hormonów, jak już wrócisz do cieplejszego klimatu, bo inaczej będziesz się pocić jak mysz.

– Dziękuję, Morrigan. To mi się bardzo przyda – powiedziałem, bo od razu zrobiło mi się cieplej. – I doceniam, że udało ci się to wszystko tak bezboleśnie mi wytłumaczyć.

Na co Morrigan grzmotnęła mnie pięścią w twarz. Runąłem w śnieg ze złamanym nosem.

– Za szybko mówisz i używasz za dużo ironii – rzekła. – A mogliśmy się pożegnać pocałunkiem. Zapamiętaj to sobie. I pamiętaj też, że odradzałam ci walkę z Normanami. Przemyśl to.

Rozłożyła ręce, które natychmiast jej szerniały. Nogi uniosły się nad ziemią i też ściemniały, gdy jej całe ciało splatało się z postacią wrony. Odleciała na zachód, w stronę korzenia Drzewa Świata, by zniknąć z tej krainy, a ja pozostałem zakrwawiony i zły na siebie za niefortunny dobór słów.

Rozdział 24

Gdy wróciłem do wsi (z leczącym się nosem, a krew otarłszy garścią śniegu), ubrany, bogom dzięki, Hrym siedział wraz z Suttungiem i moimi towarzyszami przy ognisku. Ktoś zdobył skądś suche sosnowe drewno i wesołe płomienie pięknie oświetlały całą scenkę. Wokół stało kilkoro olbrzymów, których ciekawość wygnała z domu na mróz i przy których moi przyjaciele wyglądali jak niziołki. Rozejrzałem się wokół przez szkło faeryczne i stwierdziłem, że na szczęście Väinämöinen wziął na siebie osłonięcie okolicy maskowaniem, dzięki czemu nie powinni nas dojrzeć szpiedzy Odyna.

Olbrzymy mrozu miały bardzo ciekawe aury. Biały szum ich magii wynikał oczywiście z ich żywiołu i ograniczał się do lodu, ale poza tym widziałem kolory ciekawości i nieufności, a nawet złości wywołanej naszą obecnością. Nie byłem jednak pewien, czy dobrze interpretuję to, co widzę, bo przecież zupełnie nie znałem się na mroźnych olbrzymach.

Hrym był wyższy niż Suttung i znacznie szerszy w kłacie. Niczym warczący heavymetalowiec miał na nadgarstkach pasy czarnej skóry nabijanej ćwiekami. Na ramiona narzucił wspaniałe futro, oznakę władzy, a i całkiem rozsądną ochronę przed ziąbem. Nie wiem jednak, czy udało mu się w ogóle zakończyć, co miał zakończyć ze swoją partnerką, bo wyraz twarzy i odcień skóry świadczyły o lekkim przygnębieniu.

Krzywił się właśnie na Leifa, który usiłował coś mu tam wyjaśnić po staronordycku, gdy jeden z olbrzymów dał mu znak, że nadchodzę. Otaksował mnie swoimi zimnymi oczyma i chyba nie zrobiłem na nim większego wrażenia. Sople na brodzie miał szersze niż moja szyja i dłuższe niż mój tors.

– Ty jesteś druidem? – zapytał.

– Tak. Mów mi Atticus.

– Jestem Hrym – rzekł i prezentacje zostały zakończone. Wycelował palcem w Leifa. – Ten martwy facet mówi mi, że umiesz dotrzeć do Asgardu, omijając most Bifröst.

– To prawda. Już to robiłem.

– Mówi mi też, że nie żyją Norny oraz wielka wiewiórka Ratatosk.

– To także prawda. To dlatego Hugin i Munin były ostatnio takie aktywne. Szukają mnie.

– Grrr. Te przekłete kruki zawsze mnie prześladowają. Wiedzą dobrze, że poprowadzę Jötnarów do ostatecznej bitwy.

– Czy nie przyszło ci do głowy, że ostateczna bitwa może przebiec inaczej, niż zapowiadano, skoro prorokujące ją Norny nie żyją?

Jötnarowie popatrzyli po sobie, żeby zobaczyć, czy któremuś przyszło to do głowy. Wyglądało na to, że nie.

– Proroctwo może przeżyć proroka – rzekł Hrym po dłuższej chwili.

– Grrrr – dodali Jötnarowie zgodnym chórem, kiwając głowami w uznaniu mądrości Hryma. Od tej nieoczekiwanej aktywności odpadło im z bród kilka sopli.

– Sleipnir także nie żyje – powiedziałem. – Czy to nie zmieni przebiegu Ragnaröku?

– Nie – stwierdził Hrym. – W niektórych podaniach Odyn jedzie na Sleipnirze, by walczyć z wilkiem Fenrisem. Ale w innych nie. To nic nie zmienia.

– Ale bez Norn, które przedły nić ich życia i śmierci, Azowie są teraz bezbronni. Możemy zmienić wszystko.

– Chcesz już rozpocząć Ragnarök?

– Nie. Chcę tylko wymierzyć Thorowi sprawiedliwość za wszystkie okrucieństwa przeciwko ludzkości i Jötnarom. I dlatego prosimy was o pomoc.

– Dlaczego mielibyśmy pomagać?
– Żeby zniszczyć swego odwiecznego wroga.
– Jörmungandr robi to za nas – odparł Hrym. – Musimy tylko poczekać.
– Jak długo? Mroźni Jötnarowie nie muszą już kryć się dłużej w Jötunheimie. Pomóżcie nam zabić Thora, a rozkosze Asgardu będą wasze. Na przykład bogini Freja...
– Freja! – krzyknął Suttung, a imię to powtórzył jak echo chór napalonych olbrzymów. Poczuliem się, jakbym wszedł na jakąś nerdowską imprezę i krzyknął „Tricia Helfer!” albo „Katee Sackhoff!”. Ponownie sprawdziłem ich aury i wszystkie męskie zrobiły się czerwone z podniecenia. Kobiety przewracały oczami i starały się nie zwymiotować. To oznaczało, że aury olbrzymów można jednak czytać mniej więcej z taką samą łatwością jak ludzkie.
– Są też inni bogowie, których trzeba by najpierw pokonać – zauważył Hrym, słusznie zresztą. – Freja nie rusza się nigdzie bez swego bliźniaka Frejra. Jeśli będzie walczył Thor, Týr też się pewnie dołączy. Przeciw nam stanie Heimdall, może nawet sam Odyn, że już nie wspomnę o walkiriach i einherjarach. Jesteśmy potężnym ludem, ale nauczyliśmy się na własnych błędach, że sami nie jesteśmy w stanie stawić czoła połączonym siłom Asgardu.
– No właśnie. I dlatego pozwól, że ci przypomnę, iż tym razem nie będziecie sami. Będziecie mieć nas. A zresztą einherjarzy nie powinni stanowić większego problemu, bo pojawimy się w zupełnie innej części tej krainy. Wystarczy, że wywołacie masę mrozu i cierpienia, gdy się tam tylko dostaniemy, a Azowie wyślą do nas tych, którzy będą mogli najszybciej zareagować, czyli tych, którzy umieją latać, nie? Oczekiwałem zatem Thora, Frejra, Odyna i walkirii, chyba że jeszcze kogoś zdołają podrzucić na swoich wierzchowcach. Ale na pewno nie einherjarów. Uderzamy szybko, zabijamy Thora, zabieramy Freję i znikamy. Azowie będą zdruzgotani i...
– Grrr! – przerwał mi Hrym. – Ale jak mamy walczyć z Thorem? Zniszczy nas przecież piorunami!
– Aha. Pewnie jeszcze nie miałeś czasu poznać wszystkich moich towarzyszy. Mamy tu własnego boga piorunów. – Zwróciłem się do Peruna po rosyjsku, prosząc go szeptem, żeby podał mi jeszcze kilka fulgurytów. – Oto Perun – przedstawiłem go Hrymowi. – Z jego pomocą główna broń Thora zostanie zupełnie zneutralizowana. Tymczasem Azowie nie będą raczej mieć na stanie takiej ochrony, jako że nigdy dotąd jej nie potrzebowali. Nasz atak nie będzie przypominał niczego, co znają i na co są przygotowani. Żaden z twoich ludzi nie zostanie porażony z powietrza przez tego tchórza. Jeśli Azowie będą chcieli was pokonać, będą to musieli zrobić własnoręcznie, a nie wątpię, że twoi wojownicy umieją o sobie zadbać podczas bitwy.
– Strzeż się podstępów, Hrymie – ostrzegła jedna z kobiet. – To może być tylko przynęta, mająca nas zwabić w pułapkę Azów.
– Sprawdź sama, o pani, jeśli nie wierzysz, że mówię prawdę. Proszę – powiedziałem, rzucając jej mój fulguryt.
Chwyliła go i popatrzyła na niego zaskoczona. Pewnie nigdy przedtem w ogóle nie widziała piasku. Dałem Perunowi znak i wstrzymałem oddech, bo nie byłem pewien, czy jego moce będą nadal działały tu, w nordyckiej krainie – ale zadziałały. Piorun strzelił wprost w olbrzymkę, a mroźni Jötnarowie rzucili się na ziemię.
– Grrr! – zakrzyknęli.
Ale potem obejrzel się na postrzeloną kobietę i zobaczyli, że się z nich śmieje i że nic jej nie jest.
– Widzisz, Hrymie? Nadszedł dzień, by odplacić Azom pięknym za nadobne. Nie musisz z tym czekać do Ragnaröku. Równie dobrze możecie to zrobić już jutro.
Perunowi paliła się robota w rękach, bo musiał teraz rozdać fulguryty wszystkim

mroźnym Jötnarom. Uśmiechał się do nich promiennie, a od bliskiego kontaktu z wielkoludami na brodzie rosły mu potężne sople lodu.

Hryma jednak nie opuszczały wątpliwości.

– Czy to był prawdziwy piorun z nieba?

Przetłumaczyłem to pytanie Perunowi, który zareagował natychmiastowym zniszczeniem czyjegoś lodowego domu, by udowodnić, że to stuprocentowo prawdziwy, zupełnie zarąbisty piorun z nieba. Jeden z Jötnarów zawył z wściekłości, ale Hrym uznał tę destrukcję za przezabawną i śmiał się tak, jakby chciał oczyścić gardło z mokrego cementu.

– Dobrze więc, malutki człowieczku imieniem Atticus. Możesz mi opowiedzieć o swoim planie. Jak właściwie mamy pokonać Azów?

No to mu powiedziałem.

Rozdział 25

Olbrzymów mrozu nie trzeba było przekonywać, że Thora powinno się zabić. Zdołał zamordować członków rodziny czy przodków dosłownie każdej rodziny we wsi, toteż gdy tylko przekonałem ich, że jest choć cień nadziei na przetrwanie, poproszenie ich, by do nas dołączyli, było jak proszenie umierającego z głodu, by zjadł porcję kurczaka. Mimo to jednak nie udało nam się zabrać całej wsi, jedynie dwadzieścia osób, przy czym wszyscy zwerbowani umieli zmieniać się w orły, a niektórzy przybyli też z innych wsi w okolicy. Wezwano ich, gdy Leif spał w najlepsze, a my staraliśmy się jak najlepiej przygotować przed nocą, drzemiąc ile się da. Perun dał mi też nowy fulguryt zamiast tamtego, który oddałem olbrzymce.

Gdy tego wieczoru zaszło słońce, a Leif oświadczył, że jest gotów wreszcie zemścić się na Thorze, Hrym zaproponował, że nas wszystkich zaniesie pod korzeń Drzewa Świata, bo jesteśmy cholernie powolni na śniegu.

Na marginesie (dnia: 3 grudnia): Jazda olbrzymostopem jest nie tylko przyjemna, ale i przyjazna środowisku. Po pierwsze, emisja gazów jest niemal zerowa. Można przy okazji usłyszeć o wszystkich zaletach urody Frei. Hałasu właściwie nie ma, jeśli nie liczyć „grrr”. A jako że nie trzeba kierować ani sterować, można się po prostu rozkoszować podziwianiem krajobrazów z wysokości trzech metrów nad ziemią. Minus jest tylko taki, że ta forma transportu śmierdzi jak kostki lodu zrobione nie z wody, lecz z potu.

Szliśmy doliną wijącą się między skalistymi pasmami gór lodowcowych, których jakoś zupełnie nie zauważyłem poprzedniej nocy, gdy drżący brnąłem w śniegu za Suttungiem. Z pewnością była tu piękna łąka latem – to jest jeśli lato w ogóle następowało czasem w tej części Jötunheimu – ale po świeżym opadzie śniegu zdawało się, że wszystko pokrył kobaltowy kobierzec falujący lekko na nocnym horyzoncie. Zimozielone drzewa, przywalone ciężkim śniegiem, patrzyły na nas z obu stron, niczym niemi i drżący świadkowie wyprawy. Gdzieś na południu słychać było wycie wilka i Gunnar zrobił trochę tęskną minę.

Gdy dotarliśmy do korzenia, zeskoczyliśmy z olbrzymów, a one przemieniły się w orły (cholernie duże orły), które poleciały natychmiast prosto do góry wzdłuż korzenia prowadzącego do Asgardu. Hrym powiedział mi przedtem, że dawno temu pewni młodzi Jötnarowie próbowali wspiąć się po korzeniu, żeby sprawdzić, czy nie można się w ten sposób dostać do Asgardu, ale nigdy nie wrócili. Może zabił ich Ratatosk, może Norny. Teraz jednak nikt już nie stał im na tej drodze do krainy bogów.

Resztę załogi miał przerzucić Perun. Mogłem niby zmienić się w orła i polecieć razem z Jötnarami, ale chciałem jeszcze choć przez chwilę pobyc w ubraniu. Väinämöinen i Zhang Guo Lao schowali swoje bagaże pod korzeniem, żeby wziąć je w drodze powrotnej, a ja wetknąłem swój portfel i komórkę do rzeczy Väinämöinena, bo reguła numer jeden wszelkich wariackich wybryków brzmi: nie bierz ze sobą żadnych dowodów tożsamości.

– Wy rozłóżyc ręce na boki, a nogi trzymać razem – poinstruował nas Perun, pokazując nam to na sobie.

Wszyscy wykonaliśmy jego komendę, ale Gunnar w szczególności wyglądał na nieco spiętego, a jego żółte ślepia świadczyły o tym, że ma trudności z utrzymaniem swojego wilka pod kontrolą. Była to sprawa kontroli i nic poza tym, bo Perun zapewnił nas, że dostaniemy się na górę drogą powietrzną. Bogowie piorunów potrafią oczywiście przesuwac całe burze tu i tam, więc wezwanie wiatru, który by nas pchnął w górę drzewa, to była dla niego bułka z masłem. Trudniej szło mu z utrzymaniem całej naszej szóstki w jako takim porządku, żeby nikt się nie pogubił i gdzieś nie odleciał. Wyobraźcie sobie wyjątkowo paskudne turbulencje w samolocie

bez pasów. I bez torby na rzygowiny. I bez samolotu. Pierwsze pół mili było naprawdę ciężkie, ale najbardziej dało się we znaki Gunnarowi, bo wilki w ogóle nie przepadają za lataniem.

Podczas lotu podwiało brodę Väinämöinenowi, aż twarz zupełnie skryła mu się za włosami i tylko słychać było równomierny potok fińskich przekleństw dochodzący zza białej kurtyny. Potwierdziły się przy okazji moje podejrzenia co do ukrytej pod nią broni: przy tunice na piersi umocowane miał siedem cienkich pochew na ostrza do ciskania. Trzy rękojeści sterczały mu z prawej, cztery z lewej strony.

W końcu Perunowi udało się nas ustabilizować i lecieliśmy już znacznie spokojniej do góry. Wypchnął się naprzód, żeby lepiej mu było pokierować wiatry na szczycie korzenia, gdzie będziemy musieli dać nura do dziury Ratatoska, skąd mieliśmy już prostą drogę do wyjścia na równinę Idavoll. Stopniowo układał nas sobie w równy ciąg tak, żeby jeden leciał za drugim, przez co łatwiej nam było przelecieć przez węższe etapy korzenia.

Plan był prosty. Gdy tylko dotrzemy do równiny Idavoll, wprowadzimy w życie nieśmiertelną strategię Ebby'ego Calvina „Nuke” LaLoosha i „z przekonaniem ogłosimy [naszą] obecność”. Perun ściągnie na Asgard burzę z piorunami, a wtedy wszyscy zaczną wrzeszczeć na Thora, że ich nie kontroluje. Wścieknie się, że stracił twarz, więc przybędzie natychmiast, by namierzyć źródło kłopotów. W tym samym czasie olbrzymy mrozu ześlą na Folkvangr burze lodowe, a Freja zaprzęże swoje kotki, żeby się z tym rozprawić. Nie będzie żadnej mowy o długim marszu i atakowaniu fortyfikacji. Oni po prostu przyjdą do nas. Taki był plan. Prosty. Oparty na naszych mocnych stronach i wykorzystujący słabe strony wroga. Cóż się mogło nie udać?

Odpowiedź brzmi: Heimdall.

Zamiast zajmować się Bifröstem, czaił się przy korzeniach Yggdrasilu, pewnie skutkiem mojej nocnej eskapady po złote jabłko, i widać uznał, że to trochę dziwne, iż nagle z dziupli Ratatoska wyleciało dwadzieścia olbrzymich orłów. Toteż gdy wyłoniliśmy się z dziury zaraz za wyżej wspomnianymi orłami, a Perun pozwolił nam opaść na świeży śnieg tuż pod drzewem, były już na nim ślady krwi. Heimdall ściął dwa z olbrzymów, gdy przybierały swoje dwunożne formy, ale większości udało się skutecznie przeobrazić i właśnie na niego nacierały. Nie miał chyba dużych nadziei na przetrwanie, a gdy zauważył nas i uznał, że też nie jesteśmy przyjaznymi turystami, ten dziewięciokrotnyskurwysyn przyłożył do ust róg – Gjallarhorn, tak dla ścisłości – i dał z mocą, póki olbrzymy nie zgmiotły go na miazgę z głośnym chrzęstem i chlupotem.

Ludzie Hryma uznali to za w pełni pozytywny zwrot akcji i zarechotali radośnie, spoglądając na smętne resztki boga. Zgniecenie Heimdalla na krwawe jabłko było dla nich namacalnym, dobitnym dowodem na to, że możemy jednak zmienić przyszłość i że Ragnarök nie rozegra się jednak zgodnie ze scenariuszem Norn. Heimdall miał zabić Lokiego na Polach Vigrid i sam zostać przez niego zabity. Co więcej, miał być ostatnim bogiem, który zginie; zamiast tego był oto jednym z pierwszych.

Ale ja czułem, że ta radość jest zdecydowanie przedwczesna. Gjallarhorn miał w założeniu ostrzec wszystkich w Asgardzie, że rozpoczął się Ragnarök. Teraz każdy, kto tylko ma w zasięgu ręki cokolwiek ostrego, popędzi w kierunku źródła tego magicznego wezwania, nie wyłączając berserków z hord einherjarów.

– Kontrolujcie horyzont na zachodzie, Leif. To stamtąd przyjdą. Ja się zorientuję, czy jest tu jeszcze mój Moralltach – powiedziałem.

– A gdzie tu jest zachód? – spytał Leif i zrozumiałem, że ten lot musiał mu zupełnie zaburzyć orientację w terenie, a na dodatek gwiazdy były przecież zupełnie inne niż widziane z Midgardu.

– Tam – wskazałem mu pasmo górskie okalające Asgard.

Leif zaczął wykrzykiwać po staronordycku, a potem powtarzać swój komunikat jeszcze po angielsku, żeby wszyscy koniec końców patrzyli na zachód. Kazał też Hrymowi i Suttungowi postawić mur z lodu za nami, żeby nie było nas tak łatwo zaskoczyć od strony Yggdrasilu, i poprosił Vainämöinena o rzucenie maskowania, żeby nie namierzyły nas siły zwiadowcze Hugina i Munina. Bardzo mi się podobało to zaklęcie, bo było wymierzone w cały obszar, a nie w nas konkretnie, toteż mój amulet go nie wyłączał.

Stanąwszy niepewnie na miejscu, które wydawało mi się dość bliskie punktu, w którym schowałem Moralltacha, przekopałem się przez niemal metrową warstwę śniegu i dopiero wtedy dotarłem do na w pół zamrzniętej ziemi. Burza śnieżna, która naniósła aż tyle śniegu, musiała się zacząć zaraz po mojej wizycie. Byłem naprawdę szczęśliwy, że Morrigan nauczyła mnie tego triku z ciepłotą ciała, bo ziemia okazała się cholernie zimna, gdy postawiłem na niej bose stopy. Tatuż na pięcie znów nawiązał to delikatne połączenie, jakie miałem tu z ziemią, dzięki czemu mogłem zacząć szukać żelaza, które wskazywałoby na obecność miecza. Na szczęście trafiłem na nie zaledwie po kilku sekundach poszukiwań. Moralltach znajdował się z metr na lewo. Oznaczało to jeszcze więcej kopania w śniegu, ale warto było. Zamrznięta ziemia zachrzęściła i chrupnęła głośno, gdy rozsuwała się na mój rozkaz, oddając Moralltacha w moje dłonie. Nie miałem nawet czasu mu się przyjrzeć.

– Atticusie! – ryknął Leif. – Nadciąga Thor z walkiriami! Jesteś mi potrzebny tu na górze!

Bogowie niejedyni, ale tempo. Róg Heimdalla ściągnął na nas jazdę z zawrotną szybkością. Nawet jeszcze nie byłem gotowy. Miałem wysunąć się na czoło formacji, gdy tylko pokaże się Thor, a tymczasem tkwiłem kilka metrów za swoimi, i to ciągle w ubraniu.

Rozebrałem się pospiesznie i popędziłem do reszty z Fragarachem i Moralltachim. Przemknęła mi przez głowę nieco szalona myśl, że latanie na golasa po śniegu jest chyba jakąś studencką tradycją w którymś college'u i że powinienem być brać w tym udział, tak dla wprawy. Śnieg spowalniał mnie, nogi wpadały głęboko i uderzałem go rozpaczliwie rękami, biegnąc na pozycję awangardy.

Chciałem się znaleźć z przodu, bo tylko ja miałem doświadczenie w robieniu uników przed tutejszymi zaklęciami bojowymi. Młot Thora, Mjöllnir, wyposażony był w to samo zaklęcie namierzające co włócznia Odyna. Poza tym Odyn i walkirie z pewnością opisali mnie innym bogom – i to pewnie jako rudego, nagiego szaleńca – więc chciałem, żeby Thor ujrzał tego, kogo szukał. Jako że to ja byłem mordercą Sleipnira, Thor będzie chciał mnie sprzątnąć pierwszego, żeby zdobyć dodatkowe punkty u Odyna.

Ponadto po prostu nie mogliśmy pozwolić sobie na to, żeby walkirie namierzyły resztę grupy. Nie licząc Leifa, który już i tak był martwy, resztę mogły w jednej chwili skazać na śmierć i po zabawie. Choć wcale nie miałem na to ochoty, wiedziałem, że przede wszystkim muszę zlikwidować walkirie, nawet jeśli tym samym Morrigan straci swoje psiapsiółki od serca. Miałem jednak nadzieję, że na tym zakończy się mój udział w tej bitwie.

– Vainämöinen! Skurcz swoje maskowanie! – krzyknąłem, rzucając Leifowi zamokłą pochwę z Moralltachim. Najprawdopodobniej miecz ucierpiał trochę od kontaktu z wodą, ale miałem nadzieję, że lód powstrzymał rdzewienie. Obnażyłem Fragaracha i rzuciłem pochwę w śnieg, nie dbając już nawet o to, czy ją potem znajdę.

Maskowanie Fina zsunęło się ze mnie i od razu znacznie przyspieszyłem, zaskoczony tym, że najwyraźniej spowalniało dotąd moje ruchy. Przebiegłem z dziesięć metrów i zatrzymałem się zziębnięty, bo przez pokrywą śnieżną nie mogłem dosięgnąć ziemi, a nie chciałem pobierać mocy z niedźwiedziego charmsu, jeśli nie będzie to konieczne. Ze wschodu nadciągały burzowe chmurzyska. Thor musiał już być gdzieś tam na horyzoncie, ale mój wzrok nie mógł się

równać ze wzrokiem Leifa, nawet po włączeniu noktowizji, więc cały czas go jeszcze nie widziałem. Walkirii też zresztą nie. Nie wiedziałem, jak dobre mają oczy, ale dzięki maskowaniu Väinämöinen nie powinny w tej chwili widzieć nikogo poza mną.

– Leif! – krzyknąłem. – Gdzie są walkirie względem Thora?

– Na ósmej, trochę za nim! – odkrzyknął. – Lecą w kluczu.

– Väinämöinen, zrób teraz ten twój myk z głosem! – ryknąłem.

„Myk z głosem” stał się dla mnie terminem specjalistycznym. Nie miałem żadnych szans, żeby Thor mnie stąd usłyszał, ale Väinämöinen miał swoje sposoby. Mógł w każdej chwili wyciągnąć to swoje kantele i wyszeptać jakieś flirtujące bzdury do dziewczyny z Harajuku z Tokio, gdyby tylko miał taką fanaberię. I choć stałem dobre trzydzieści metrów przed nim i lekko na prawo, mógł zrobić tak, żeby się zdawało, że ja to mówię. Thor nigdy nie słyszał mojego głosu, więc nie miał szans się zorientować, że się go robi w jajo. Wraz z Leifem pouczyliśmy wcześniej Fina, co dokładnie ma powiedzieć po staronordycku, żeby Thor wpadł w morderczy nastrój, i teraz Väinämöinen wyrecytował to bez zająknięcia, a jego głos złowieszczo zagrział na równinie Idavoll:

– Thorze Kozojebco, Gwałcicielu Zwierząt Dużych i Małych, przybywaj na spotkanie śmierci! Jörmungandr to marny robak w porównaniu ze mną! Zabiłem Sleipnira i powaliłem Odyna na tyłek! Zamordowałem Norny, a teraz twój los jest w moich rękach!

No. Podziałało. Amulet stał się znów lodowaty w znajomy sposób, gdy walkirie ponownie postanowiły obdarować mnie śmiercią. Zabawne, jak takie rzeczy zmiatają w jednej chwili wszelkie rozterki. Bez względu na to, czy wyprawa ta była decyzją rozsądną czy nie, teraz wszystko sprowadziło się do jednego wyboru: zabić lub być zabitym. Niebo rozświetliła błyskawica i piorun strzelił w moje ciało, ale dzięki fulgurytowi od Peruna poczułem tylko łaskotanie. Fulguryt zawiesiłem sobie obok naszyjnika, tak żeby dotykał karku. Roześmiałem się, a mój śmiech powtórzył znacznie głośniej Väinämöinen. Chcieliśmy mieć pewność, że Thor wie, iż jego pioruny są tu na nic. Natychmiast zostałem trafiony jeszcze siedmioma błyskawicami, ale wszystkie okazały się równie nieszkodliwe jak ta pierwsza. To także przewidzieliśmy, więc krztusząc się ze śmiechu, Väinämöinen zareagował odpowiednio przygotowaną kwestią:

– Przestań, Thor! Mam łaskotki!

To miało go sprowokować do ciśnięcia we mnie młotem. Wiedzieliśmy z Leifem z doświadczenia, jak działa męska psychika: jeśli nie poskutkowała jedna broń, przerzuć się na inną i staraj się nią ciąć na boki przez otwór o wiele za mały na wygodne wejście.

Chmury nade mną wybuchnęły wściekłością Thora i usłyszałem za sobą stłumiony krzyk Leifa:

– Przygotuj się, Atticusie! Oto nadciąga! – Widziałem bladą smugę na tle ciemnego nieba i założyłem, że to Thor, którego Leif już widział w HD. – Teraz! – wrzasnął Leif, żeby mnie poinformować, że Thor cisnął młotem i że dane o celu zostały pobrane.

Znak, że czas na szybki trik. Odrzuciłem Fragaracha w śnieg i skoczyłem za nim, uruchamiając charms, który splatał mnie z postacią wydry morskiej. Zakłęcie nakierowujące Mjöllnira prysło i młot pchały już tylko zwykłe prawa fizyki. Dwa wdzięczne susy wydry wystarczyły, by dotrzeć do miecza, i już zmieniałem się z powrotem w człowieka.

– Teraz, Leif! – zawołałem, podnosząc Fragaracha ze śniegu.

Nim skończyłem wymawiać jego imię, wampir już wybiegał z za fińskiego maskowania. W prawej dłoni dzierżył Moralltacha, a na twarzy miał dziki uśmiech, w którym odślaniał kły.

– Czas na Hammera – mruknąłem i oprzytomniałem. – Sorki.

– Za co?

Nim miałem czas przedstawić Leifowi krótką historię krótkiej sławy MC Hammera, w

śnieg przed nami zarył Mjöllnir. Młot ten wyposażony jest w zaklęcie, którego włócznia Odyna, Gungnir, nie ma, a gwarantuje ono mianowicie, że młot wróci do ręki osoby, która nim cisnęła. I na to właśnie liczyliśmy.

– Rzucaj się! – zakomenderował Leif, a ja szybko skoczyłem w śnieg i chwyciłem lewą ręką jego prawą nogę. Leif wyciągnął lewą dłoń i złapał rączkę Mjöllnira, która po kontakcie z ziemią już zwracała się z powrotem w stronę Thora. Szarpnęła i poleciliśmy raptownie w górę, szybko nabierając prędkości. Pędziliśmy prosto na pierwszej klasy dupka, który pojęcia nie miał, że świństwa, które popełniał przez wieki, wreszcie się na nim zemszczą, i to z tysiącletnimi odsetkami.

Thor nie należał do mnie. Ja chciałem tylko dorwać walkirie. Już dwa razy (jak dotąd) usiłowały mnie sprzątnąć, i to bez słowa uprzedzenia, wiedziałem więc dobrze, że to samo będą usiłowały zrobić pozostałym z naszej drużyny, jeśli tylko dam im szansę. Problem w tym, że ich było dwanaście i każda na latającym koniu, a ja tylko jeden, przy czym leciałem z gołym tyłkiem na powietrznodesantowej nodze wampira uzbrojony w jeden skromny miecz. Właściciel nogi zamierzał zaraz zaangażować się w walkę z pewnym bogiem piorunów, wołałem więc zniknąć do tego czasu, żeby mu tego nie utrudniać.

Problem stanowiła też moja aura. Gdybym położył ręce na Mjöllnirze, mój amulet prawdopodobnie zdusiłby wraz z innymi elementami magicznymi zaklęcie zwracające młot do rzucającego i zostałyby nam tylko zwykły młot. To by pozbawiło Thora potężnej broni, ale i tak by nie rozwiązało kwestii dwunastu walkirii, które zesłałyby całą naszą drużynę na śmierć, gdy tylko by ją zauważyły. Co ciekawe, choć mieliśmy zaraz stanąć twarzą w twarz ze wszystkimi gospodarzami Asgardu, walkirii obawialiśmy się najbardziej, ponieważ to one były tu szafarkami śmierci. Dlatego właśnie wczoraj, podczas wieczornej burzy mózgow z mroźnymi olbrzymami, Gunnar zaproponował ten ryzykowniejszy fortel. Jego celem ostatecznym było zabicie Thora, ale wcześniejsze ukatrupienie walkirii zyskało status priorytetu.

Nim skupiłem się na czym innym, rzuciłem jeszcze szybko okiem na Thora. Nie był to na pewno ten elegancko ogolony mężczyzna, do którego przyzwyczyli Amerykanów komiksy. Potargana, jasna broda pokrywała mu szczękę, ale nie ciągnęła się na szyję. Nie miał na głowie hełmu ze skrzydełkami, ani w ogóle żadnego hełmu zresztą, tylko cienki pas skóry na czole, żeby mu nie wpadały do oczu długie włosy. Miał na sobie kolczugę, a na to zarzucił czerwoną tunikę, z przypasanym Meginjördem, który podwajał jego i tak już ogromną siłę. Járngræipery, czyli żelazne rękawiczki, zaciskały się na lejcach rydwanu z taką mocą, jakby Thor wyobrażał sobie, że trzyma w garści nasze cieniutkie, malutkie szyje. Gębę, zaciśniętą od powstrzymywanej złości, miał tak czerwoną, że niemal tego samego odcienia co tunika. Nie mógł wprost uwierzyć, że nie tylko żyje jeszcze, ale na dodatek ściągnąłem sobie kumpla do pomocy w bitwie. Patrząc, jak się zbliżamy, puścił lejce i lewą ręką uniósł tarczę z rydwanu.

Mój czas się skończył. Jeśli Leif miał mieć porządną szansę w starciu z Thorem, nie mogło mu się nic dyndać u nogi. Walkirie pędziły za Thorem i trochę pod nim, dokładnie tak jak opisał mi to Leif. Szybki powrót Mjöllnira do Thora sprawił, że znajdowaliśmy się właśnie na poziomie ich oczu. Gdy tylko ten poziom osiągnęliśmy, cisnąłem Fragaracha wysoko w górę i uruchomiłem sowi charms, potem puściłem nogę Leifa i trzepocząc jak szalony, poleciałem za mieczem. Leif pruł nadal wprost na Thora, a walkirie znalazły się teraz pode mną. Zobaczyłem, jak grawitacja dosięga Fragaracha i zwalnia jego lot w górę, ułatwiając mi tym samym zbliżenie się do niego. Przemieniłem się z powrotem w człowieka, chwyciłem rękojeść w powietrzu i spadłem – goły i wrzeszczący – na walkirie pode mną.

Ostrzeżenie wykrzywane przez towarzyszkę z tyłu nie zdążyło ocalić drugiej walkirii, od czoła klucza licząc. Przebiłem się przez jej czaszkę i kręgosłup samą siłą przyciągania

ziemskiego, a Fragarach przeciął jej zbroję i ciało z równą łatwością co nożyce jedwab. Połówki jej ciała odskoczyły na boki i zalały mnie krwią. Kiedy moje nogi wylądowały na bokach jej konia, uklękłem i odbiłem się do tyłu, robiąc salto, by trafić w następną walkirię w kolejce. Łudząc się, że jej to pomoże, uniosła tarczę, bo widać nie miała dość czasu, żeby sobie przemyśleć, jakiego rodzaju bronią się posługuję. Przebiłem się przez jej tarczę i tors, a potem znów odbiłem od konia na spotkanie z następną. Ta była sprytniejsza. Po prostu odsunęła mi się z drogi, raptownie ciągnąc wierzchowca na lewo, gdzie nie dałem rady jej dosięgnąć. Zacząłem spadać, więc skręciłem ciało, żeby oszacować sytuację. Dwie zaliczone, zostało dziesięć, formacja bojowa rozbita i mnie goni. Oj, czyli jednak dziewięć! W blasku pioruna i stali zobaczyłem jeszcze jedną walkirię opadającą na ziemię z wampirem u szyi. Jej koń spadał na złamanie karku ze zwichniętym skrzydłem. Jakimś sposobem Thor zdołał odepchnąć Leifa i rzucić go na pożarcie wojowniczkom Walhalli. Ale prawda była taka, że nie radziły sobie one lepiej ze starym wampirem niż bóg piorunów.

Przekręcając się znów, by spojrzeć na coraz bliższą ziemię, wypuściłem Fragaracha i po raz kolejny przemieniłem się w sowę, dzięki czemu wylądowałem bezpiecznie na śniegu tuż obok miecza. Leif i jego ofiara runęli jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie, ale wampir natychmiast od niej odskoczył i ryknął w stronę nieboskłonu. Cztery walkirie zanurkowały w jego kierunku, pięć w moim. Przemieniłem się znów w człowieka i złapałem za Fragaracha, pobierając moc z niedźwiedziego charmsa, żeby dodać sobie szybkości i siły. Charms był już zresztą niemal całkiem pusty po tym całym zmienianiu się ciągle wte i wewte.

Pierwsza walkiria rzuciła się na mnie z optymizmem jazdy, założywszy widocznie, że mnie po prostu strątuje, ale odskoczyłem z drogi jej ostrza, żeby zająć się tą drugą, która musiała nadjechać po pierwszej, jako że w starym rytmie na raz-i-dwa zawsze trzeba się bardziej martwić tym-dwa. Druga pędziła w dół jeszcze szybciej i już była na poziomie śniegu, pewna, że jej koń przerobi mnie na mielone. Ja tymczasem wpadłem już w irlandzką furię, więc nie w głowie mi było robić przed nią unik. Zawylem mało elegancko i popędziłem wprost na wierzchowca, lewym ramieniem naprzód. Moja magicznie podrasowana moc pozwoliła mi uderzyć z taką siłą w podstawę jego szyi, że koń stanął jak wryty, a oszołomiona walkiria wylądowała makówką w śniegu. Koń zachwiał się i zaczął łopotać skrzydłami, żeby nie upaść. Lewa ręka wyskoczyła mi boleśnie z panewki stawowej, a obojczyk roztrzaskał się w drzazgi, ale prawa ręka – czyli ta, na której końcu wciąż tkwił Fragarach, nadal działała bez zarzutu. Odwróciłem się i odrąbałem walkirii obie ręce, nim miała czas wstać ze śniegu, co znacznie jak zwykle ułatwiła lekkość, z jaką Fragarach przebijał się przez każdą zbroję. Zaczęła drzeć się i miotać, a krew tryskała wokół na śnieg i tego właśnie mi było trzeba. Jej towarzyszki rzuciły jej się na ratunek, a przemożna chęć niesienia jej pomocy i zemśczenia się na mnie zadziałała jak klapki na oczy.

Cztery klnące walkirie wylądowały więc, zeskoczyły z wierzchowców i otoczyły mnie z obnażonymi mieczami i uniesionymi tarczami. Jedna wskazała na moje części intymne i roześmiała się.

– Hej! – zdenerwowałem się. – Tu jest cholernie zimno. A te skrzydełka na waszych hełmach cholernie głupio wyglądają.

Leifa dręczyły trzy pozostałe, bo jednej zdołał już rozerwać gardło. Wyglądało na to, że jest w lepszym stanie ode mnie – obie jego ręce sprawnie jeszcze działały. Widząc, że moje przeciwniczki zacieśniają krąg, krzyknąłem po rosyjsku:

– Perunie! Pomóż! – i pomodliłem się do Brighid, żeby mnie tylko usłyszała.

Rosyjski bóg piorunów nie mógł się wcześniej ujawnić, boby ryzykował, że walkirie nałożyłyby na niego klątwę śmierci. Nie byłem zresztą pewien, czy to zadziała, bo Thor mógł im przecież dać jakiś rodzaj ochrony, ale co mi szkodziło spróbować. Teraz, gdy cała ich uwaga

skupiona była na druidzie i wampirze, Perun mógł spokojnie zaszaleć. Z niebios runęło siedem piorunów i ukatrupiło mi na miejscu pozostałe walkirie, a gdy ich dymiące ciała opadły na śnieg, Väinämöinen znów się roześmiał – straszliwym śmiechem w stylu Vincenta Price'a, który poniósł się echem pod okapem z chmur. Potem zdjął swoje maskowanie i odsłonił całe nasze wojsko przed oczami zasranego napuszonego Aza unoszącego się w powietrzu nad nami.

Daliśmy Thorowi kilka sekund na przemyślenie tego, co widzą jego oczy. Walkirie wszystkie zginęły co do jednej, i to w ciągu zaledwie minuty, pokonane przez trzech tylko członków dziwacznej, niezapowiedzianej przez żadne proroctwa siły dwóch tuzinów wojowników. A teraz jako pierwszy bóg przybyły na pole walki był siłą rzeczy zdany tylko na siebie.

– Perunie! Usmaż mu te kozy – zawołałem.

Dwa kolejne pioruny zabłysły na niebie i Thor ryknął z gniewu i zdumienia, kiedy jego rydwan runął na równinę Idavoll, ciągnięty w dół przez dwa zwęglone zewłoki.

Rozdział 26

Kto ostatni, ten gapa! – krzyknąłem i chłopcy ruszyli z kopyta.

Był to bardzo ciekawy wyścig. Myślę, że w normalnych okolicznościach, na płaskiej powierzchni, zwyciężyłby Leif, ale Gunnar był w stanie w wilczej postaci sadzić bardzo zgrabne susy po śniegu, gdy tymczasem Leif musiał walczyć przy każdym kroku. Väinämöinen, Perun i Zhang Guo Lao nie mieli żadnych szans, choć ten ostatni robił, co mógł, pomagając sobie nadludzkimi skokami, które w filmach wymagałyby masy jakichś kabli. Mroźni olbrzymi tylko stali i patrzyli, jak małe stworki pędzą na Thora. Jeśli nie liczyć tego, że stracili na wejściu dwóch ludzi, to bardzo się jak na razie dobrze bawili podczas tej wizyty w Asgardzie.

Gdyby Thor był inteligentny, cisnąłby swym młotem w kogoś innego. Nikt inny nie był w stanie zrobić uniku przed zaklętym Mjöllnirem, a takie małe zwycięstwo pozwoliłoby mu odzyskać pewność siebie. Ale jego ukochane kozy wyzionęły właśnie ducha i nawet przygaszona żaróweczka jego mózgu była w stanie zrozumieć, że choćby je ożywił, Perun i tak je znów zabije. Przez chwilę myślałem, że cisnie młotem w Gunnara, bo wymachiwał nim imponująco, jakby miał nim rzucić, ale zamiast tego cisnął nim, ale nie puścił rączki, a cel obrał jakiś bardzo daleki, tak że Mjöllnir pociągnął go przez powietrze zupełnie tą samą techniką, jak przed chwilą mnie i Leifa.

– Grr-ha-ha-ha! – ryknął śmiechem Hrym, wytykając Thora palcem. – Poleciał po tatusia.

Mroźni Jötnarowie wybuchnęli śmiechem i zaczęli się zastanawiać, kiedy i czy w ogóle wróci oraz kogo ze sobą zabierze tym razem.

Jedyną osobą, która mogłaby go teraz dogonić, był Perun, ale i on nie miał szans go dorwać, nim Thor dotrze do swoich posiłków. Te latające wierzchowce walkirii, które przetrwały, nie mając nic lepszego do roboty, poleciały z powrotem do Asgardu bez jeźdźców.

– Tchórz! – krzyknął za znikającym bogiem Leif, a Gunnar warknął wściekle.

– Hej, Leif, nie pomógłbyś mi tu? – powiedziałem normalnym głosem. – Mógłbyś może wepchnąć mi toto z powrotem do panewki?

Wampir oczywiście usłyszał mnie bez problemów, choć dzieliło nas pięćdziesiąt metrów. Odwrócił się, namierzył moje położenie i pobiegł mi na pomoc. Adrenalina opadała już i moje ciało zastanawiało się, czy nie zdecydować się po prostu na szok.

– Hmm – rzekł Leif, zatrzymując się raptem tuż przede mną i przyglądając się mojej ręce.

– Złamałeś też kość.

– Dobra. Najpierw panewka, potem kość, a od środka już ja to załatam.

– Gotowy?

– Nie, czekaj. Muszę dotknąć ziemi, nim zaczniesz. Skończyło mi się paliwo.

Leif sprawnie zrobił mi dziurę w śniegu, a ja wetknąłem w nią nogę, żeby pobrać moc z ziemi i ogłuszyć nerwy w ramieniu.

– Dobra, to już – powiedziałem.

Chwycił mnie za rękę i wcisnął mi ją z powrotem do panewki z głośnym zgrzytem. Potem wziął mój strzaskany obojczyk i przytrzymał porządnie w miejscu pierwszego złamania (a było tych miejsc aż trzy), żebym mógł założyć choćby podstawowy splot wiążący kości.

– Następne – mruknąłem, a on od razu przeszedł do kolejnego miejsca złamania i jeszcze następnego. – Może być – stęknąłem, ostrożnie odkładając Fragaracha i kładąc się na prawym boku, żeby jak największa część tatuaży dotykała ziemi.

Leif patrzył na mnie w milczeniu przez całą minutę, nim dotarło do niego, że przyjęcie pozycji horyzontalnej nie jest niestety żadnym wstępem do wykonania jakiegoś genialnego

strategicznie zagrania. Wtedy zapytał:

– Czy zamierzasz tu tak leżeć, aż wrócą?

– Ho-ho, całkiem jesteś bystry jak na trupa. Co się stało tam, na górze? Ja ci załatwiłem twoją szansę, a ty ją schrzaniłeś.

– Nie da się zaprzeczyć. – Leif skrzywił się nieprzyjemnie. – Rozwaliłem jego tarczę, ale zanim zdążyłem się znów zamachnąć, rąbnął mnie młotem.

– To teraz pewnie masz jakieś ała.

– Potrzaskał mi żebra – przyznał z uśmiechem. – Ale walkirie ładnie mnie zaraz wyleczyły. Ich krew jest bardzo mocna. Pierwszy porządny posiłek od kilku dni.

– To dobrze. Przyda ci się teraz. – Westchnąłem. – Zużyliśmy już wszystkie niespodzianki, Leif. Kiedy Thor wróci, nic już nie będzie łatwe, a nasze szanse na wyjście z tej przygody bez szwanku przepadły.

Leif pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Podeszedł do nas Gunnar, szczerknął raz w ramach pozdrowienia i położył się obok, plecami do mnie. Próbował mnie jakoś ogrzać. Uśmiechnąłem się. W życiu by się do tego nie przyznał, ale traktował mnie trochę jak namiastkę Watahy. Widziałem, że za nimi tęskni. Miałem tylko nadzieję, że da radę do nich wrócić. Da, jeśli wycofamy się natychmiast. Wszyscy wtedy damy radę.

– Leif.

– Hmm? – Wpatrywał się w niebo, czekając na powrót Thora.

– Muszę ci coś powiedzieć. Zupełnie szczerze.

Spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Co takiego?

– Złożyło mi wizytę dwóch różnych bogów. Widziałeś zresztą Morrigan, a drugim był Jezus. Obydwoje są zwykle cholernie dobrzy w przewidywaniu przyszłości.

– Tak?

– Tak. I obydwójce powiedzieli, że zabicie Thora to wyjątkowo głupi pomysł.

– I? – Zacisnął szczękę.

– I dlatego spadajmy stąd i uznajmy to za zwycięstwo.

– Zwycięstwo? Niczego nie wygraliśmy!

– Nie żyje Heimdall oraz dwanaście walkirii. Zapłacili krwią za twoją rodzinę, i to całkiem nieźle. Udowodniłeś im, co chciałeś, i nadal żyjemy. Spadajmy stąd, póki jesteśmy górą.

– Nie jesteśmy górą. Źle podliczasz wynik. Liczy się tylko śmierć Thora.

– A moja? A Gunnara? A reszty? Czy to się też będzie liczyło? Bo ryzyko, że tu zginiemy, znacznie wzrośnie po powrocie Thora z resztą Azów.

– Idź więc, jeśli chcesz, ale zostaw mnie tutaj.

– Wiesz dobrze, że tego nie zrobię. – Hal by się do mnie w życiu nie odezwał, gdybym zostawił tu Leifa na pastwę losu. – Musimy zniknąć stąd razem.

Leif przyklęknął przy mnie na śniegu i bardzo niskim tonem powiedział:

– Tysiąc lat, Atticusie. Pragnąłem tego, potrzebowałem tego, czekałem na to tysiąc lat bezsłonecznej egzystencji. Ty stawiasz przeciw temu dziesięć lat naszej znajomości. Choć jesteś mi przyjacielem, nie ma argumentu, którym przekonałbyś mnie do zboczenia z kursu. I wątpię, byś był w stanie przekonać kogokolwiek z pozostałych tą gadką o przyszłości. Jeśli czują choć ułamek tej nienawiści co ja, to jedyna przyszłość, jaka jest dla nich ważna, to przyszłość bez Thora. Poza tym nic nie ma znaczenia.

Gunnar sapnął tylko z cicha na potwierdzenie jego słów i skinął łbem. Westchnąłem pokonany. Zemsta i rozsądek nigdy ze sobą nie sypiały.

– Znaczenie ma przetrwanie – powiedziałem, choć wiedziałem już, że przegrałem tę

bitwę.

– To prawda – zgodził się Leif, który w tej chwili zgodziłby się ze wszystkim, co nie dotyczyło naszego znikania z Asgardu. – I dlatego rusz głową i wymyśl, co mamy robić. Czy powinniśmy coś załatwić, skoro i tak już tu czekamy? A jeśli on w ogóle nie wróci?

– Wróci, wróci. Zgodnie z planem olbrzymy wysłały zamiecie śnieżne w stronę Folkvangru. Perun też może dodać swoje trzy grosze. Możemy zacząć ciągnąć losy, kto weźmie na siebie Týra, bo on się na pewno tu pojawi. – Nordycki bóg walki może i miał tylko jedną rękę (drugą odgryzł mu całe wieki temu wilk Fenris), ale to mu i tak wystarczyło, by całkiem skutecznie siać zniszczenie. – I każ Väinämöinenowi znów rzucić na nas maskowanie. Nie chcemy, żeby Hugin i Munin obejrżeli nas sobie teraz dokładnie i zanieśli Odynowi zbyt wiele informacji o tej rundzie. Niech się trochę pomęczy z werbalnym raportem Thora.

Miałem prawie całą godzinkę na gojenie, nim rozległ się krzyk, że zbliżają się Azowie. Obojczyk był wciąż delikatny, ale za to staw ramienny działał bez zarzutu, a mięśnie wokół były może trochę obite i sztywne. Gdy wstałem, na zachodzie nie widać już było gwiazd, które zakryły chmury burzowe, ledwie mieszczące furię Thora. Gunnar też wstał i się przeciągnął.

Potężny pień Yggdrasilu wciąż majaczył mi na północy – szary mur, zapewniający nam ochronę z prawej, choć oddzielała mnie od niego śnieżna łąka długości boiska futbolowego. Znajdowaliśmy się z Gunnarem najdalej na prawo od naszych towarzyszy, a reszta była rozciągnięta bardziej na południe i wpatrywała się w zachodnią część nieba.

Mimo noktowizji niewiele miałem tam do oglądania, bo widziałem jedynie jasny punkcik, który był pewnie dzikiem Gullinburstim. Zmuszony byłem polegać w tej kwestii na wzroku Leifa, więc spytałem go, co widzi.

– Odyna i Frejra na pewno. Ta dama na rydwanie zaprzężonym w koty to musi być Freja.

Wymówienie tego imienia w towarzystwie Jötnarów okazało się poważnym błędem. Tak się podekscytowali, że zaczęli powtarzać jej imię jak jacyś fani, a niektórzy nawet zaczęli pocierać swoje futra.

Leif kontynuował raport coraz głośniej, żeby przekrzyczeć chór napalonych olbrzymów.

– Widzę jeszcze trzy inne postacie.

– W tym Thora?

– Nie. Thora nie widzę.

– Sześcioro Azów, ale nie ma Thora? Coś tu nie gra.

– Chciałbym wykorzystać tę okazję, by ogłosić cię Sherlockiem oraz zauważyć, że nie ma kitu.

– Co?! Nie, Leif. Wszystko pomieszales. Powinieneś był powiedzieć: Bez kitu, Sher...

– Już leci! – przerwał mi Leif. – Włócznia Odyna! Z takiej odległości trudno mi określić, w kogo celował.

– Bogowie niejedyni – wyszeptalem. – Jak może celować w któregokolwiek z nas? Nie jesteśmy już zamaskowani?

– Owszem, jesteśmy – zameldował Väinämöinen.

– Najwidoczniej choć maskowanie jest odporne na Hugina i Munina, nie jest przeszkodą dla samego Odyna.

Zmieniłem się w psa, a potem znów w człowieka, na wypadek gdybym to ja był celem. Zabrałem Fragaracha i przesunąłem się trochę na lewo, wciąż wpatrując się w fosforyzujący błysk Gullinburstiego, który rósł w oczach. Teraz był już tak mocny, że oświetlał ciężką koldrę z chmur nad nami.

– Oż cholercia, chmury! – krzyknąłem. – Thor jest ponad chmurami!

Ale nikt mi nie odpowiedział, bo właśnie wtedy uderzył w nas plan Odyna. Długi lot jego

włóczyński zakończył się w piersi Väinämöinena, a Fin poleciał z dziesięć metrów do tyłu i padł w śnieg martwy. Wraz z jego śmiercią zniknęło maskowanie i teraz Azowie mieli nasze pozycje jak na dłoni. Skąd Odyn wiedział, jak namierzyć Väinämöinena, pozostawało dla nas tajemnicą, ale ewidentnie oparł na tym cały swój plan.

– Jeden z Azów ma łuk – relacjonował Leif. – Lecą strzały.

Musiał to być Ullr.

– Pozbądź się go, Perunie!

– *Da!* – Wesoły włóchaty bóg piorunów uśmiechnął się i niebo rozświetliła błyskawica, ale poza tym nic się nie stało. Jeden z mroźnych olbrzymów padł ze strzałą w gardle.

– Tym razem są na to przygotowani – stwierdziłem. – Uczą się jednak na własnych błędach. Chronią się przed piorunami tak jak my. Będziesz sobie musiał radzić toporem. Gdy zauważysz któregoś z kruków Odyna, strzelaj od razu. – Popędziłem w kierunku mroźnych Jötnarów i dobiegłem do nich, właśnie gdy kolejna strzała osiągnęła cel, choć tym razem nie okazała się śmiertelna. – Hrym! Suttung! Możecie coś zrobić z tym łucznikiem? Wiatrem? Lodem? Czymkolwiek, co by mu nie pozwoliło celować? Bo inaczej nas tu powystrzela jak kaczki.

– Grrr – odparł Hrym. – Hrrrrr – dodał i podłużny kawał lodu wyrósł mu na ręce jakby jakiś potężny sopel.

Inne olbrzymy poszły za jego przykładem, kondensując i mroząc sobie własne maczugi, którymi następnie zgodnym ruchem wskazali Azów. Po chwili zasłoniła nas kurtyna gęstego śniegu, bo jakieś sto metrów od nas rozpełtała się miniaturowa zawieja śnieżna, która z pewnością sprowadzała z toru wszystko, co leciało w naszym kierunku, nie wykluczając skrzydlatych koni, rydwanów, wielgachnych lśniących świń krasnoludzkiej proweniencji – oraz strzał.

– Niezłe, niezłe – pochwaliłem ich. – Ale miejcie też oko na niebo nad nami. Thor znajduje się ponad chmurami i będzie zaraz próbował nas zaskoczyć z góry.

Wróciłem do ciała Väinämöinena, żeby odzyskać włóczyński Odyna. Zimne żelazo, które weszło z nią w kontakt poprzez moje dłonie, nie dezaktywowało naprowadzających na ofiarę run na grocie, miałem więc gwarancję jednego pewnego ciosu. Tyle że jeśli się nią posłużę, to dam Azom szansę znów rzucić ją na nas.

Fiński czarodziej wyglądał na zaskoczonego. Jego oczy były szeroko otwarte, skupione na włóczyńskiej wystającej z piersi. Zamknąłem mu powieki, mając nadzieję, że jego dusza jest zadowolona z tego krótkiego wkładu w naszą walkę. Ja nie byłem zadowolony – chciałbym usłyszeć więcej jego opowieści, jego ballad. Chciałbym, by czuł, że pomścił tamtego morskiego węża. I chciałem mieć czas opłakać go w spokoju, ale w bitwie trzeba się poruszać szybko, jeśli się chce przeżyć.

Chwyciłem włóczyńnię w lewą rękę i postanowiłem, że zachowam ją w rezerwie. Może nastąpi jakaś idealna chwila, by jej użyć. Na razie Azowie, żeby ją odzyskać, będą musieli się zmierzyć ze mną.

Niestety to, że podniosę włóczyńnię, okazało się częścią ich planu. Leif krzyknął ostrzegawczo i to mnie uratowało. Odskokczyłem w prawo i ledwo udało mi się uniknąć młota Thora – spadał na mnie z ręki boga piorunów, który znalazł się dokładnie nade mną. Ziemia zatrzęsała się od uderzenia, a cała nasza drużyna padła na śnieg, który wybuchł wysoko białym dymem, smagając mnie, gdy upadałem kawałek dalej. Nim miałem czas się pozbierać, Thor już był w małym kraterze, który właśnie stworzył. Zauważyłem, że sprawił sobie nową tarczę i nową zbroję, co oznaczało, że traktuje nas teraz jednak ciut poważniej. Nadal miał na sobie kolczugę, ale na nią nałożył płytkową zbroję z barwionej na czerwono, utwardzanej skóry. Nagolenice i zarękawia też były skórzane, choć normalnego, brązowego koloru, a na udach nie miał właściwie

niczego, jeśli nie liczyć spódniczki z kolczugi. Głowę chronił hełm z nosalem, ale bez żadnych głupawych skrzydełek czy rogów, spod którego spojrzały na mnie złowrogo błękitne oczy.

– Pomścimy zamordowanych! – ryknął po staronordycku i ruszył na mnie z uniesionym młotem, jakby chciał zrobić z mojego mózgu tapiokę.

– No, właśnie o to nam chodzi! – odpowiedziałem, wycofując się mało honorowo niczym krab.

Jedyne, na co mogłem teraz liczyć, to że uda mi się może zejść mu z drogi. Nie było mowy o sparowaniu czy odbiciu jego ciosu z tak niewygodnej pozycji, zresztą sparowywanie młota bojowego jest niemal niemożliwe nawet w najlepszej sytuacji. Moja – leżenie nago na śniegu – była daleka od optymalnej.

Płomień w oczach Thora przyciemniał ociupinkę, gdy dotarło do niego, że to nie pojedynek jeden na jednego, lecz raczej ogólna bijatyka. Oderwał ode mnie wzrok na tyle szybko, by jeszcze unieść tarczę i przyjąć na nią Leifa. Przetoczyli się obok mnie w śniegu, wampir syczał, bóg ryczał, a ja miałem dzięki temu czas, żeby wstać i zacząć się martwić, kto jeszcze się dołączy. Piekielnie zdeterminowany pędził już Gunnar, a z nim Zhang Guo Lao. Tak byli przejęci swoim atakiem, że nawet nie zauważyli, co pędzi na nich – równie piekielnie zdeterminowane. Azowie pokonali już śnieżną kurtynę olbrzymów i teraz każdy z nich wybrał sobie jakiś cel.

– Za tobą! – wrzasnąłem, licząc na to, że obaj się odruchowo obejrzą, ale tylko Zhang Guo Lao mnie posłuchał. Odwrócił się, spiął z tymi swoimi żelaznymi prętami w dłoniach i z wdziękiem odparł atak Týra, który rzucił się na niego od tyłu ze swego skrzydlatego konia. Týr odziany był na podobną modłę co Thor, tylko że jego skórzana zbroja płytkowa była pofarbowana na niebiesko. Walczył lewą ręką oczywiście, tarczę mając umocowaną do resztek po prawej.

Gunnarowi natomiast dzik wbił kiel prosto w brzuch. Gullinbursti ubódł go z tyłu, wbijając mu jeden z potężnych kłów pod tylne nogi i trafiając wprost w miękkie podbrzusze. Gunnar zaskomlał ciśnięty wysoko w powietrze, a za nim połała się krew wraz z jelitami. Niesamowita ilość watów oddawanych przez krasnoludzkiego dzika zupełnie mnie oślepiła przy włączonej noktowizji, ale i tak nie miałem wątpliwości, że ta czarna postać na jego grzbiecie to bóg Frejr. Uniósł miecz, by rozplatać spadającego na ziemię Gunnara na dwoje. Liczyłem na to, że przynajmniej tę część bitwy przesiedzę w kącie, żeby brakiem udziału w jatce nadrobić wywołaną tu złą karmę (słowa Jezusa i Morrigan wciąż huczały mi w uszach), ale po prostu nie mogłem stać z założonymi rękami, gdy Frejr zamierzał posiekać mi Gunnara.

Nie jest ze mnie najlepszy mańkut, ale odległość była naprawdę niewielka, a runy albo zadziałają, albo nie, więc cisnąłem włócznię Odyna tak szybko jak mogłem, mając nadzieję, że dotrze do celu na czas. Wbiła się Frejrowi pod ramię i pchnęła go tym samym z powrotem na grzbiet Gullinburstiego, gdy tymczasem jego miecz przeciął ciało Gunnara, ale dość płytko, po prawej stronie klatki piersiowej. Wilk wylądował w śniegu, warcząc wściekle – nie zabity, ale poważnie ranny. Wielgachny złoty dzik – rozmiaru przeciętnego vana – przebiegł obok mnie, przeciągnąłem mu więc po prawym boku Fragarachem, wywołując tym zdumiony ryk zwierzęcia, które postanowiło się jednak zatrzymać i zakręcić, by znów na mnie pobiec, co dało mi szaloną sekundę na ocenienie sytuacji na polu bitwy.

Leif i Thor nadal się szamotali; tak zresztą jak i Zhang Guo Lao z Týrem. Pozostałych czworo Azów uwzięło się na olbrzymów mrozu i już kilka wielkich, niebieskich ciał leżało bez ruchu w śniegu. Rozpoznałem dwóch Normanów: Odyna i Freję. Odyn miał na sobie ten sam hełm okularowy co przy poprzednim naszym spotkaniu, ale zrezygnował z prostej tuniki z renifera i na kolczugę nałożył skórzaną zbroję z szerokimi lamówkami; zdobyły je jakieś runy,

bez wątpienia magicznie sprawiające, że zbroja ta była tak mocna jak płytowa, lecz nie tak ciężka i nieograniczająca ruchów.

Freja natomiast nie okazała się nawet w połowie tak gorąca, jak oczekiwałem. W sumie to w ogóle nie wiedziałem, co w niej widziały olbrzymy mrozu. Była ładna, to fakt, ale bez przesady. Na każdej plaży w Rio czy na południu Francji znalazłbym tuziny kobiet z większym seksapilem. Była blondynką, włosy splecione miała w dwa długie warkocze, na które nałożyła hełm ozdobiony kwiatami. Na kolczugę i kirys z zielonej skóry zarzucony miała biały płaszcz, spięty broszą na prawym ramieniu. Pasek miała wąski i złoty, a od niego w dół ciągnęły się po zielonej płytkowej spódnicy cienkie kwitnące pnącza. Było to dziwne pomieszanie różnych obrazów, ale też Freja była dziwną boginią – w równej części odpowiadającą za płodność, piękno i wojnę. Myślę, że płodność i wojna podobały się mroźnym olbrzymom tak samo jak piękno, bo też jej wygląd nosił pewne ślady wpływu wojny. Jej szczęki były odrobinę za kwadratowe, zbyt męskie, żebym mógł ją nazwać naprawdę piękną. Ale na olbrzymy działała bez pudła.

Strzelałem, że jeden z pozostałych Azów to syn Odyna, Widar. Jego zbroja była ponura, czarna i nabijana stalą. Nie miał brody. Ostatni bóg, ten z łukiem, to musiał być Ullr. Brodę splótł w dwa warkocze. Perun zamierzał dosięgnąć Odyna, ale Ullr zachowywał się jak goryl tatusia i puszczał w kierunku Rosjanina strzałę za strzałą. Większość z nich Perun odganiał dłonią, przed częścią zrobił unik, ale co najmniej dwa trzonki wystawały mu już z lewego ramienia.

Więcej nie zdążyłem zobaczyć, bo podczas prawdziwych bitew naprawdę nie ma czasu na takie rozrywki jak rozglądanie się wokół i picie herbatki. Walka jest zwykle szybka, dzika i może się raptownie skończyć dla każdego z uczestników.

Dla mnie mogła się skończyć nadzwyczaj raptownie, gdybym się nie ruszył. Stałem właśnie między rannym dzikiem a rannym wilkołakiem i każde z tych zwierząt mogło mnie w jednej chwili zmienić w sos mięsny. Fragarach na nic się nie przyda, jeśli Gullinbursti postanowi szarżować na mnie łbem do przodu. Nawet jeśli go dźgnę między oczy, stratuje mnie samą siłą bezwładności.

Odczekałem, aż dzik nabierze pary, i wtedy rzuciłem Fragaracha w stronę ciała Frejra i zmieniłem się w wilczarza. Pognałem za mieczem, a dzik rzucił się za mną. Był szybszy ode mnie, ale nie tak szybki jak Gunnar. Warczący wilkołak wykorzystał kąt, pod jakim mu wystawiłem zwierzynę, i rzucił się na grzbiet dzika, wbijając się mu pazurami w ciało i pozbawiając mnie tym samym niepożądanego ogona. Dzik zakwiczał, usiłując zrzucić z siebie wilkołaka, ale Gunnar zamienił się cały w kły i pazury, by metodycznie wrywać z bestii kawały mięsa, gdy tymczasem sznury jego własnych jelit wysuwały mu się z brzucha.

Już miałem na końcu języka radosne szczeknięcie, bo widziałem, że Gunnar wrywa z dzika jakieś wielkie pulsujące rzeczy (to po prostu musiały być niezwykle ważne organy wewnętrzne), ale zamiast szczeknąć, zaskomlałem w panice, gdy dzik runął na ziemię, wyjąc z bólu i przygniatając Gunnara swym monstrualnym cielskiem. Podbiegłem do niego, gotów zmienić się w człowieka, by wydobyć przyjaciela spod bestii, ale Gunnar już sam przechodził przemianę – ostateczną, tę jedyną bezbolesną. Ranny tak bardzo, że już nie zdołałby go wyleczyć nawet jego wewnętrzny wilk, gasł w oczach, a jego twarz złagodniała i stała się tak spokojna jak nigdy za życia.

Chciałem krzyknąć: „Nie!”, zapomniawszy, że jestem psem, więc wypadło to jak żaloszny skowyt.

Nieraz już przedtem traciłem przyjaciół na polu bitwy – więcej, moja żona Tahirah zginęła podczas walki – ale zawsze czułem wtedy to samo. Najpierw błyskawiczny cios rozpaczy, który chowałem pospiesznie gdzieś na tyły umysłu na potem, na chwilę, gdy będę miał czas na takie luksusy jak rozpacz. Tymczasem moja celtycka furia rozpaliała się do białości, a na

tak wysokie temperatury może poradzić tylko jedna rzecz: krew wrogów. Śmierć Gunnara nacisnęła w mojej głowie ten jeden straszny przycisk i znów byłem celtyckim wojownikiem: nieustraszonym, irracjonalnym mordercą, który zabija tak długo, jak może. Oczy zaszyły mi czerwoną mgłą, ślina spieniła się w kącikach ust, a z gardła wyrwał się nieposkromiony ryk.

Popędziłem do ciała Frejra i natychmiast zmieniłem się w człowieka. Był martwy, Gungnir zrobił, co trzeba, więc wyrwałem z trupa zaczarowaną włócznię, żeby znów zrobić z niej użytek. Rozejrzałem się niecierpliwie za nowym celem, ale wszyscy byli częściowo przysłonięci przez moich sojuszników. I wtedy spojrzałem w górę. Tam, nad jatką między nielicznymi już mroźnymi Jötnarami a Azami, krążyły Hugin i Munin. Pojęcia nie miałem, który jest który, ale jeśli utrata przytomności Odyna mogła ich strącić na ziemię, to czy możliwe, by śmierć jednego z nich, a może obydwu, mogła ukatrupić Odyna? Czas było to sprawdzić. Wybrałem jednego z ptaków i cisnąłem Gungnira z całych sił prawą ręką. Na moich oczach zagiął się w locie, jak dobrze kopnięta piłka zagina lot, by trafić do bramki, i z nieomylną dokładnością pomknął w stronę celu. Przeszył pierś ptaka, a gdy kruk spadł spiralą w śnieg, Odyn zamarł w połowie ciosu, który miał zadać Hrymowi, i pozwolił Jötunnowi dzielić się potężną maczugą. Jednooki bóg poleciał przez powietrze jak wór kości, a ta jego nietypowa podróż zwróciła uwagę zaniepokojonej Frei, która wrzasnęła i zaprzestała swego ataku, zawracając rydwan i spiesząc na ratunek. Zupełnie z tego wszystkiego zapomniała, że mroźne olbrzymy mają bardzo długie łapy. Suttung chwycił ją i sprzątnął z rydwanu, po czym natychmiast zamroził od stóp do głów, aż został po niej tylko boski lód. Rydwan ciągniony przez koty poleciał w stronę Odyna.

– Grrr! – zawył z radości Suttung, unosząc zdobycz nad głową. – Mam ją!

– Ojcie! – zawołał na to Az w czerni, potwierdzając tym samym, że jest Widarem.

Uciekł olbrzymom znacznie sprawniej, niż to uczyniła Freja, i rzucił się na pomoc ojcu bogów. Był to najlepszy moment na wycofanie się z pola walki i zniknięcie stąd, póki jeszcze to było możliwe, albo chociaż na to, by pomóc Leifowi, Zhangowi Guo Lao lub Perunowi w ich potyczkach, ale zamiast tego chwyciłem Fragaracha ze śniegu i zacząłem gonić za synem Odyna, niepomny na ostrzeżenia Jezusa i Morrigan, zupełnie już straciwszy głowę.

A powinienem był ich posłuchać.

Gdy tak biegłem, coś uderzyło mnie mocno w lewy bok, powalając na ziemię, po której potoczyłem się jak ostatnia łamaga. Ból poczułem chwilę później i ręka odruchowo powędrowała do drzewca strzały białej pod żebrami. Nie byłem w stanie oddychać z bólu, ale przynajmniej rozumiałem, co się stało. Ullr strzelił do mnie zamiast do Peruna, bo nie był taki głupi i nie przepuszczał łatwych celów. Pociągnąłem moc z niedźwiedziego charmsa, żeby zdusić najgorszy ból. Drżąc, wstałem i obejrzałem się na Peruna, który właśnie rozrąbał drania na pół. Odetchnąłem z ulgą zimnym powietrzem, ale wola walki opuściła mnie już przy wydechu. Wrócił rozsądek i sformułował jedną myśl: niech sobie Widar zajmuje się połamanym ciałem Odyna, a ja tymczasem zajmę się swoimi wnętrznościami.

Miałem w środku jeden wielki, krwawy bałagan, a z każdą chwilą było gorzej. Grot strzały nie przeszedł na wylot, więc będę go musiał jakoś sam przepchać, żeby wyrwać strzałę z ciała. Rozglądając się za następnym wrogiem, Perun zauważył mnie na śniegu, więc zamachałem do niego niemrawo. On miał już trzy białe strzały, wszystkie po lewej stronie ciała. Dwie, które zauważyłem już wcześniej, wciąż wystawały mu z ramienia, a trzecia wbiła się w udo, przez co na wpół kulał, na wpół skakał w moją stronę. Pięć olbrzymów, które przeżyły, zbiło się w kupkę, by podziwiać zamarzniętą Freję, którą wciąż dzierzył dumnie Suttung.

Gdy Perun parł w moją stronę, wciąż trwały dwie mordercze walki. Tór odkrywał właśnie, że nijak nie umie przewidzieć ruchów pijanego boksera, którymi raczył go Zhang Guo Lao. Jego ciosy zaś trafiały w powietrze lub w nic zupełnie poza powiewającym materiałem szat

nieśmiertelnego mędrca, i biedny bóg ograniczył się w końcu do chowania się za tarczą przed atakami Zhanga.

Trochę dalej, niemal pod samym murem lodu, który wzniesli Jötnarowie zaraz po naszym przybyciu, Leif pojedynkował się z Thorem. Znając szybkość i sprawność Leifa w szermierce, byłem pewien, że już dawno zakończył tę potyczkę. Ale i Thor był szybki jak błyskawica – w sumie logiczne. A jego nowa tarcza była naprawdę znacznie lepsza od tej starej. Pewnie ją jakoś magicznie podrasował.

Perun wsadził mi łeb pod ramię i zarzucił sobie moją rękę na włochatą szyję. Razem pokuśtykaliśmy jakoś w stronę korzenia Yggdrasilu.

– Odyn nie żyć? – spytał.

– Nie wydaje mi się. Ale dorwałem jednego z jego kruków, więc funkcjonuje teraz bez myśli... albo może bez pamięci. – Drugi kruk krążył nad leżącym Odynem. Widar pochylał się nad ojcem, usiłując go ocucić. – Że już o skutkach bliskiego spotkania z maczugą Hryma nie wspomnę.

Rosyjski bóg piorunów zarechotał.

– Dla mnie wystarczyć. Dla mędrca być kaleką na umyśle być gorszy los niż śmierć.

– Musimy stąd zniknąć – powiedziałem. – Jeśli dotrą tu einherjarzy albo więcej Azów, nie damy rady.

Zginęło dwóch naszych i piętnastu olbrzymów. A mogliśmy się wycofać tylko z dwoma martwymi olbrzymami, gdy żyli jeszcze Väinämöinen i Gunnar. Na myśl o tym zachciało mi się po prostu płakać.

– *Da*. Być prawda. Ale Thor nadal żyć i walczyć.

– Leifowi pewnie przydałaby się nasza pomoc.

Perun uśmiechnął się ponuro.

– Ja nie myśleć, że my potrzebować duża pomoc.

Leif usiłował dorwać się do boga skrytego za tarczą, okrążając go po prostu. Potrzebował tylko jednego ciosu Moralltchem. W przeciwieństwie do Fragaracha Moralltach nie mógł przebijać się przez tarcze czy zbroje, ale za to uśmiercał jednym cięciem. Odrąbanie małego palca, rana w łydkę, odrobina mięsa zdartego z ramienia – wszystko jedno. Każda rana była śmiertelna, jeśli zadano ją Moralltchem. A przynajmniej takie było założenie. Nigdy jeszcze go nie wypróbowałem od strony magicznej, bo gdy pozbawiłem czerepów Norny, właściwości magiczne Moralltacha właściwie nie miały znaczenia. Ale Thor wciąż wymykał się ciosom Leifa. Z rzadka sam usiłował zamachnąć się młotem, lecz nie trafiał nawet obok niego.

Wiedziałem więc już, że mój przyjaciel jest odrobinę szybszy od boga piorunów. Tylko że cały czas nie wymyślił jeszcze, jak obejść tę tarczę. Potrzebny był mu jakiś nowy pomysł. Ledwie zdążyłem to pomyśleć, a raptownie przestał kołować wokół Thora i odskoczył na jakieś dziesięć metrów od boskiej tarczy. Ludzka pierś unosiłaby się ciężko od zadyszki, ale Leif oddychał zupełnie spokojnie – jasny ninja na białym polu. Lewą nogę zgiął na prawej, prawą rękę uniósł nieco tak, że rękojeść Moralltacha znajdowała się na poziomie jego ucha, a ostrze błysnęło niebiesko w ciemności nad jego głową.

Zapadło milczenie. Zhang Guo Lao odskoczył trzy razy, by się oddalić od Týra, dając mu dłonią znak, żeby zaczekał. Bóg walki zamarł. Mroźne olbrzymy oderwały wzrok od Frei i przestały nawet pomrukiwać.

– Czy wiesz, kim jesteśmy, boże piorunów? – spytał Leif, przerywając ciszę.

Przetłumaczyłem jego staronordycki dla Peruna.

– Nie dbam o to.

– I dlatego właśnie tu jesteśmy. Jesteś bezmyślnym bogiem, który nie dba o nic poza sobą

i pięknymi mitami o sobie. Jesteś mordercą niewinnych. Tysiąc lat temu zabiłeś moją rodzinę i wyzwałeś mnie do zostania wampirem. Pewnie nawet tego nie pamiętasz, prawda?

– Nie. – Głos boga piorunów był aż ciężki od szyderstwa. – Czemu miałbym pamiętać chwilę rozrywki sprzed tysiąca lat?

– Rozrywki? Zamordowanie mojej rodziny było dla ciebie rozrywką? Jest zatem tak, jak myślałem. Podejź, Thorze – rzekł Leif, kiwając na niego lewą rękę. – Twoje przeznaczenie już czeka.

Chciał, żeby Thor się na niego rzucił, liczył, że coś na tym zyska, ale nie bardzo wiedziałem co. Thor ryknął i popędził na niego z tarczą i młotem uniesionym wysoko. Leif ani drgnął i dopiero gdy zobaczyłem, jak bóg się zbliża, pojąłem jego plan.

– Nie, Leif – wyszeptalem.

Żeby Thor mógł spuścić na niego swój młot, musiał zniżyć tarczę i obrócić ją trochę na lewo. Przez ułamek sekundy jego lewe ramię będzie odsłonięte i tę chwilę chciał wykorzystać Leif. Ale w ten sposób nie mógł uniknąć młota.

Ich starcie zamazało mi się przed oczami – chrzęszcząca kotłowanina kości. Młot Thora przebił się przez czaszkę Leifa jak przez arbuza, a wampir opadł na ziemię bez głowy. Thor za to stał nad nim.

– Ha! – darł się. – I kogo spotkało jego przeznaczenie? Nie mnie!

Lecz w tej chwili opadła jego tarcza i odwrócił się twarzą do widowni. Moralltach utkwił mu w mięśniu nad obojczykiem, między szyją a lewym ramieniem. Ominął brygantynę i skutecznie przebił się przez kolczugę. Zbroja Thora nie miała obojczyka. Krwawił porządnie, choć nie można powiedzieć, żeby krew lała się strumieniami. Thor upuścił młot i wyrwał sobie miecz prawą ręką, ciskając go na ziemię.

– Ha! – powtórzył i pochylił się, żeby podnieść Mjöllnira.

Ale jego twarz, zarumieniona od zwycięstwa, spochmurniała. Skóra wokół rany zaczęła czernieć, coraz szybciej zagarniając kolejne fragmenty ciała – szyję, potem ramię niczym wylew ropy.

– He? A to co za gusła? – ryknął bóg piorunów.

Były to jego ostatnie słowa. Zabójcza zgnilizna dotarła do jego serca, a może i do rdzenia kręgowego, wyciskając z niego wszelkie życie. Padł twarzą do przodu, martwy, nim dotknął ziemi, a rozkład ciała postępował nieprzerwanie i już po chwili cały był czarny i obślizgły.

Były to oczywiście gusła faeryczne. Na śnieżnej równinie zapadła chwila pełnej zdumienia ciszy. Do gapiów powoli docierało, co się dzieje.

– Nie! – wrzasnął Týr, pędząc w stronę Thora, zupełnie zapomniawszy o pojedynku z Zhangiem Guo Lao. – On nie może zginąć! Przecież miał zabić Jörmungandra!

Týr zupełnie się odsłonił, poddał emocjom (tak zresztą jak i ja przed chwilą). Prawdę powiedziawszy, moje uczucia wciąż dawały o sobie znać i usiłowały zagarnąć całą moją uwagę – rozpacz po śmierci Gunnara i Leifa, bezsilność, złość na siebie, że nie zdołałem temu wszystkiemu zapobiec... Zdusiłem je w sobie i skupiłem się na oszacowaniu strat.

– Hej, Perun, musimy coś zrobić z tym Týrem. Sprawdź, czy przypadkiem nie działają już twoje pioruny, co? Skoro Thor nie żyje, może jego ochrona też przestała działać. Ale nie zabijaj go.

– Ty nieźle rozumować – zgodził się ze mną, kiwając głową. – Ja go strzelić małym piorunkiem.

Týr zawył dziko, gdy jego ciałem zatrząsł piorun, osmalając mu skórę i wywołując u niego szalone podrygiwania.

– Świetnie. A mógłbyś teraz pchnąć nas tam wiatrem?

– Ja myśleć, że tak – odparł uprzejmie, a ja stęknąłem cicho z bólu, bo nagły powiew nie tylko poderwał mnie z ziemi, ale i poruszył moją strzałą w boku.

Po chwili byliśmy już nad krwistymi pozostałościami pojedynku. Mroźni Jöttnarowie szli do nas, by potwierdzić śmierć Thora, a Zhang Guo Lao od niechcienia sparaliżował bezbronno Tóra techniką punktów uciskowych, żeby Az już nam nie zawracał głowy. Wtedy wbiłem wzrok – magiczny – w Leifa.

Resztki jego głowy wały się po śniegu i nie widziałem ani jednej całej kości. Thor startł na miazgę wszystko aż do szyi. Ale w jego piersi wciąż tlił się czerwony węgielek wampiryzmu. Gdyby się tak nie wykończył, miałby jeszcze szanse na przeżycie. Mój niedźwiedzi charms był już niemal zupełnie pusty po tych wszystkich przemianach i wysiłku, jakiego wymagało powstrzymanie ciała od wejścia w szok albo i jeszcze co gorszego. Żeby zrobić cokolwiek więcej nad to, by nie zemdleć, musiałbym dotknąć ziemi. Zresztą i tak mało nie omdlałem, kiedy Perun posadził nas przy ciele Leifa.

– Hrym, mógłbyś zabrać stąd trochę śniegu, żebym dał radę dotknąć ziemi? – poprosiłem, gdy olbrzym się do nas zbliżył.

– Grrr – zgodził się.

Skierował lodową maczugę na śnieg, który posłusznie się odsunął, tworząc mały kopiec u stóp Leifa.

Stałem na zmarzniętej ziemi i poczułem czekającą tam na mnie energię.

– Dziękuję – powiedziałem. Magia popłynęła przez moje tatuaże i mogłem wreszcie stłumić ból, opanować urazy i normalniej funkcjonować. Porządne zalecenie wszystkiego wymagało czasu, którego teraz nie miałem. – Przykro mi, że straciliście dziś tylu ludzi – dodałem.

Ku mojemu zdumieniu, mroźny Jötunn zareagował obojętnym wzruszeniem ramion.

– Straciliśmy kilka osób, ale wiele zyskaliśmy. Thor nie żyje, a z nim Ullr, Heimdall, Frejr i walkirie. Po Odynie została tylko pusta powłoka. I w końcu mamy Freję. Zwykle nic nie zyskujemy.

– A – powiedziałem, bo nic więcej nie przyszło mi do głowy.

Jego podliczenie umarłych przypomniało mi o tym, w jakie się wpakowałem kłopoty – i nie mam tu na myśli strzały w bebechach. Gdy tylko rozniesie się wieść o tej bitwie, będzie mnie szukał cały światek istot nadprzyrodzonych, że o tych Normanach, co przeżyli, nawet nie wspomnę.

– Spełniłeś swoje obietnice, mały człowieczku – rzekł Hrym. – Powiem to memu ludowi. Teraz już idziemy.

– Aha, dobra. Nie będę was zatrzymywał – wybąkałem.

Mroźni Jöttnarowie upuścili maczety i przemienili się w gigantyczne orły. Obstawiający tyły Suttung chwycił w szpony zamarznąłą Freję i unieśli się, by odlecieć w kierunku dziury Ratatoska w Yggdrasilu. Trochę mi się jej zrobiło żal, gdy tak patrzyłem, jak odlatują. Niby sam im ją obiecałem w zamian za pomoc, ale nigdy nie przypuszczałem, że im się ją naprawdę uda wziąć żywcem i zabrać do Jötunheimu. Wolałem nawet nie myśleć, co jej robi całe plemię napalonych olbrzymów, gdy już odtaje.

Nie tylko mnie męczyły takie myśli. Śmignęło mi przed oczami coś szarego, nocne powietrze przeszło głośne miauknięcie, a Suttung zawył, gdy to szare coś wbiło się w niego od dołu. Upuścił Freję i zaczął kołować, a z nim reszta orłów, żeby zobaczyć, co to ich zaatakowało. Były to latające koty Frei, wciąż zaprzężone do jej rydwanu (bodaj najbardziej kuriozalnego środka lokomocji jak mitologia długa i szeroka). Były równie szybkie i zwinne jak zwykłe koty na Ziemi. Zanurkowały pod spadającą Freję i schwytały ją do jej własnego rydwanu. Część lodu

rozprysła się od upadku, resztę rozbiła sama bogini i natychmiast kazała kotom uciekać.

Były z tych kiciusiów niezłe spryciule. Nie miałyby żadnych szans z mroźnymi Jötnarami w ich dwunożnej postaci, ale olbrzymie orły nie mogły ich przecież zdzielić lodową maczugą ani nawet wykonać najbardziej podstawowych zaklęć. Teraz natomiast koty musiały tylko ująć orleją pogoni i wszystko wskazywało na to, że mają całkiem spore szanse. Pomknęły na południowy zachód, w stronę włości Frei, czyli Folkvangru, a za nimi sunęły skrzeczące orły.

Potrząsnąłem głową, żeby ją oczyścić z nieważnych spraw, i skupiłem się na Leifie. Jakiś głos we mnie szeptał, że może lepiej będzie go tu po prostu zostawić. Może Normanów pocieszy to, że zabójca Thora też nie żyje. Ale wątpiłem w to.

Nie wątpiłem natomiast, że postawiłem przez to wszystko w okropnej sytuacji Hala. Poprosił mnie tylko o jedną rzecz – żebym przywiózł ich z powrotem żywych – a ja zawiodłem. Odbierze to jako zdradę, a mnie opadły takie wyrzuty sumienia, że już się bałem mu spojrzeć w twarz. Lecz być może, jeśli mi się naprawdę poszczęści, uda mi się jeszcze uratować Leifa. Tak jakby.

Patrząc przez szkło faeryczne, załatałem mu wszystkie cieknące naczynia w szyi, żeby nie tracił już więcej krwi. Czymkolwiek było to czerwone światełko w piersi, na pewno potrzebowało krwi, żeby przetrwać. Ta część była prosta. Trudniej było wymyślić, jak tu go napompować nową krwią, nową energią, bez żadnych kłów ani nawet głowy, w której by one miały rosnąć. Gdyby go pozostawić samemu sobie, takiemu wampirowi i tak w końcu urosłaby głowa, ale czy nadal byłby to Leif, czy też raczej niemyślący, krwiożerczy potwór? Wampiry tego rodzaju miały dość niski wskaźnik przetrwania. Zabijały zbyt wielu ludzi, likwidowały je więc inne wampiry, żeby zachować w tajemnicy swoje istnienie.

Na to, co chciałem zrobić, nie było żadnego charmsa. Musiałem mozolnie wymówić spłot po splocie od zera, w dużej części improwizując, bo nigdy jeszcze niczego takiego nawet nie próbowałem. Perun i Zhang Guo Lao stanęli na czatach, wysłuchując przekleństw bezsilnego Týra, a ja powoli wiązałem z powrotem wszystkie kawałki, jakie znalazłem w śniegu. Kawałki mózgu, fragmenty węgla i wapnia, które kiedyś były czaszką Leifa, pasma włosów. Wszystko to spłotłem do kupy, aż przypominało mniej więcej kształt głowy – groteskowej imitacji Leifa, podobnej mocno do prymitywnych laleczek wudu. Nie było mowy o rzeźbieniu na niej teraz prawdziwych rysów Leifa ani odtwarzaniu złożonych kości i innych tkanek. Próbowałem tylko dać jego maszynie do zmartwychwstania w piersi jak najlepszy materiał wyjściowy, żeby Leif miał jakąś szansę wrócenia do nas jako cień siebie. Gdy już uformowałem głowę i jako taką szyję, przyczepiłem to do kikuta na jego ramionach, załatałem szyję i otworzyłem naczynia w środku, żeby krew mogła wpłynąć do głowy, a wampir mógł się zacząć regenerować.

– To wszystko, co mogę zrobić – powiedziałem, wzdychając.

Gruda materii, która była kiedyś głową Leifa, tkwiła żałośnie nad czarną skórzaną kurtką, za mała, bo pozbawiona płynów, ale więcej naprawdę nie potrafiłem zrobić. Mój stary archdruid nauczył mnie tylko w teorii, jak odwiązywać części składowe wampirów, a i tak w praktykę wprowadziłem jego nauki wiele stuleci później. Nikt mi nigdy nie pokazał, jak później z powrotem sklecić tego wampira, ani nawet nie przegadał ze mną takiej hipotetycznej konieczności. Obawiam się, że nikt zresztą nie uważałby tego za dobry pomysł. Ja też nie byłem pewien, czy to mądre posunięcie. Próbowałem tylko uratować cokolwiek z tego pogromu. Skoro dzięki temu Leif być może będzie mógł wrócić i zapobiec wojnie wampirów w Arizonie, to przecież musiał być dobry pomysł.

Perun wykrzywił usta, jakby miał jakieś wątpliwości.

– I to działać? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. Ale mam nadzieję. Tylko że jeszcze stąd nie uciekliśmy. A

powinniśmy w tej chwili.

– To być dobry plan. – Poklepał mnie lekko po ramieniu. – Mnie się ten plan podobać.

Rozdział 27

Gdzieś na polu było jeszcze trzech Azów. A przybędzie więcej, choć pewnie nie przed świtem. Róg Heimdalla wezwał wszystkich. Frigg, żona Odyna, pojawi się bez wątpienia, by zająć się mężem. Jeśli ktoś mógł go uleczyć, to tylko ona.

Ja musiałem się zająć leczeniem własnej osoby, ale na pewno nie w Asgardzie. Musiałem jak najszybciej znaleźć się w Midgardzie albo w jednej z krain faerycznych, gdzie miałbym święty spokój, bo jak już zacznę tego rodzaju leczenie, to mogę wpaść w trans. Najpierw trzeba było pozalutować, co było do pozalutowania, i powiedzieć, co było do powiedzenia. Zebraliśmy moje miecze i włócznię Odyna (uznałem, że teraz jest moja) i ułożyliśmy je pod Yggdrasilem obok ciał naszych poległych. Perun, tak jak kiedyś Thor, miał iście herkulesową siłę i nawet tak ciężko ranny potrafił jedną ręką ściągnąć Gullinburstiego z ciała Gunnara.

Potem pokuśtykaliśmy z Perunem, krzywiąc się z bólu, do sparaliżowanego i przeklinającego Týra, gdy tymczasem Zhang Guo Lao szedł sobie spokojnie obok nas. Spisał się podczas walki naprawdę nieźle, zemścił się i w dodatku wyszedł z tego niemal bez szwanku, jeśli nie liczyć jednego czy dwóch siniaków po długotrwałym pojedynku z Týrem. Co jakiś czas popijał swój eliksir, żeby się trochę pokrzepić.

Po kilku minutach Týr raczył wreszcie zamknąć się na wystarczająco długą chwilę, by nas wysłuchać. Ubzdurał sobie, że przyszlismy go wykończyć, toteż chciał nas odpowiednio skląć, nim trafi do Helu. Na szczęście klątwy na łożu śmierci mają to do siebie, że nie działają, jeśli zmienisz zdanie i jednak nie umrzesz, a nam przecież ani w głowie było go zabijać. Gdy w końcu przekonałem go, że nic mu nie zrobimy, wbił we mnie wściekły wzrok. Perun natomiast miał cały czas oko na zachód. Widar nie odstępował ciała Odyna, a nad nim nadal krążył samotny kruk. Ani Freja, ani mroźne olbrzymy nie wróciły z południowego zachodu.

– Twój przeciwnik uwolni cię zaraz od paraliżu i puścimy cię wolno – powiedziałem do Týra w staronordyckim. – Jeśli spróbujesz nas zaatakować, zostaniesz zabity. Chcę, byś wrócił do Gładsheimu i przekazał im, co dziś widziałeś, ale co ważniejsze, chcę, żebyś wiedział, dlaczego do tego doszło. Przybyliśmy zabić Thora i tylko jego, ale oczywiście ten tchórz nie odważył się sam z nami zmierzyć. Wieki jego krwawych, podłych czynów, jego bezmyślnych morderstw sprowadziły na was ten straszny los. Gdybyśmy nawet zabili wszystkich Azów i Wanów, nadal nie byłaby to dostateczna cena za wszelkie przewinienia Thora. Jeśli masz choć mgliste pojęcie o jego poczynaniach w Midgardzie, wiesz, że mówię prawdę.

Podejrzywałem, że miał. Jednoręki towarzyszy Thora z opowieści Leifa to musiał być właśnie Týr.

– Kim jesteś? – spytał.

Stałem tam przed nim ze strzałą w boku, jak gdyby nigdy nic, choć tak naprawdę potwornego wysiłku wymagało samo trzymanie się do kupy. Jego pytanie było jednak zbyt dobre, by je zbyć.

– Jestem nieśmiertelnym Bachusem – oświadczyłem z dumą. – Reprezentuję konsorcjum stworzeń, które postanowiły wspólnie uregulować porachunki z Thorem. Współpracują z nami także mroczne elfy, które pokazały mi, jak się tu dostać bez przekraczania Bifröstu. Naprawdę powinniście byli grzeczniej z nimi postępować.

Czułem, że moja wersja wydarzeń nie wytrzyma żadnej analizy, szczególnie jeśli zaczną mówić mroźne olbrzymy, ale być może na jakiś czas bogowie to kupią. Da mi to szansę na uratowanie skóry, a Bachusowi zajdzie za skórę. Odwróciłem się do mistrza Zhanga i poprosiłem po mandaryńsku o uwolnienie Týra z paraliżu, ale nietracenie czujności. Skoczył do przodu tak,

że Týrowi oczy wyszły na wierzch, a potem pacnął go w pięciu miejscach swoim żelastwem, choć nie był chyba przy tym zbyt delikatny. Takie uderzenia raczej zostawiają ślady.

Odsunęliśmy się, a Týr skoczył na równe nogi z morderczym wyrazem twarzy. Tarczę i miecz miał jeszcze w śniegu, raczej bezużyteczne, więc być może chciał sobie urządzić z nami zapasy.

– Idź w pokoju i ujrzyj wschód słońca – przemówiłem. – Albo, tak jak stoisz, trzaśnie cię piorun z nieba.

Chwilę mu zajęło przemyślenie moich słów. Naprawdę chciał się bić, ale w końcu przeliczył nas sobie i pojął, że nas jest trzech, on tylko jeden, no i była jeszcze sprawa piorunów. Zrobił kilka kroków w tył, obrzucając nas wyzwiskami, które chyba miały nas zdenerwować, typu: „wy, rzygowiny tchórzliwej łasicy” oraz „śmierdziejcie jak wielorybie gównem o smaku klonowym”.

Wymamrotałem prośbę do Peruna i zaraz wiatr przepchnął nas pod sam korzeń. Wziąłem miecze, Zhang Guo Lao zgodził się łaskawie ponieść mi Gungnira i raz jeszcze obejrzelismy się na południowy zachód. Nie było widać żadnych orłów. Miałem tylko nadzieję, że olbrzymy nie są aż takie głupie, żeby lecieć za Freją do samego Folkvangru.

– Lećmy, Perunie – powiedziałem. – Hrym i jego ludzie sami odnajdą drogę powrotną do Jötunheimu.

Tak jak podczas naszej podróży w tę stronę, Perun wezwał ściśle kontrolowane wiatry, które poniosły nas (w tym także ciała Leifa, Gunnara i Väinämöinena) tunelem Ratatoska w dół. Dopiero w drodze powrotnej pozwoliłem wypłynąć na powierzchnię emocjom, które dotąd skutecznie tłumilem. Złość i poczucie winy, rozpacz po Gunnarze i Leifie, niepewność i strach przed konsekwencjami czekającymi mnie w przyszłości – wszystko to zagrzało w moim gardle i trysnęło oczami, porwane natychmiast przez wiatr.

Dotrzymałem słowa, a moi przyjaciele pomścili drogie im osoby, ale Wataha z Tempe na pewno mi za to nie podziękuje. Przeze mnie stracili swojego alfę. Nie wiem, co miałbym zrobić, gdy już się zaczęła bitwa, by uratować któregokolwiek z nich, ale w głowie wciąż huczała mi myśl, że trzeba było ich tu w ogóle nie zabierać. Złamałbym słowo, a oni by mnie zniecierzyli, ale przynajmniej by żyli. Teraz ja byłem wprawdzie człowiekiem honoru, ale oni – martwi (albo gorzej). I co na tym zyskałem? Spieprzyłem wszystko tak dokumentnie, że Hal może mi tego nigdy nie wybaczyć. Teraz wbrew woli awansował na alfę, a Leif był poza grą na diabli wiedzą jak długo. Zresztą nie wiadomo, czy w ogóle kiedykolwiek odzyska dawną osobowość. Wojna wampirów pewnie i tak nastąpi, mimo moich rozpaczliwych prób przywrócenia Leifowi życia.

Przy studni Mimira nie marnowaliśmy czasu, bo zostało nam tylko kilka godzin ciemności. Zabraliśmy jedynie zostawione tam wcześniej pakunki, zajrzałem do tobołka Väinämöinena, żeby się upewnić, czy mój portfel i komórka nadal tam są, i stłoczyliśmy się pod korzeniem. Trochę trudno było się tym razem zorganizować, jako że aż troje z nas nie żyło, ale udało mi się przepchnąć wszystkich na Ziemię i głośno odetchnąłem z ulgą (nie bardzo głośno, bo wciąż miałem tę strzałę w boku). Nasz obóz w ogóle się nie zmienił i nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek go odwiedził pod naszą nieobecność.

– No dobra, dość już wykręcania się przed tym, co musi nastąpić – powiedziałem, krzywiąc się na samą myśl. – Perun, weź mi przepchnij tę strzałę i odłam grot, to ja ci przepchnę te twoje trzy.

– Umowa stoi – przystał na moją propozycję. – Gotowy?

– Prawie. Jesteś w stanie powiedzieć, czy grot wyjdzie gdzieś w tatuaże?

Przyjrzeni się obaj z Zhangiem Guo Lao i oświadczyli, że kąt wbicia strzały wskazuje na to, iż grot wyjdzie kawałek obok tatuaży, bardziej od strony brzucha.

– Dobra, to ułatwi sprawę – stwierdziłem.

Tatuże odnawiają się same razem z moją skórą za każdym razem, kiedy piję Młodości Czar. Dlatego wcale nie wyglądają, jakby miały dwa tysiące lat. Ale gdyby były porwane, musiałbym je podmalowywać, a to z kolei oznaczałoby w tej sytuacji zwrócenie się o pomoc do jednego z Tuatha Dé Danann. Nie, dziękuję.

Poczuwszy ziemię pod nogami, spytałem Zhanga Guo Lao, czy mógłbym pożyczyć jeden z jego prętów. Podał mi go, więc wsadziłem sobie pręt między zęby, na co zbladł. Kto by pomyślał, że ma zarazkofobię?

– Dobra. – Skinąłem na Peruna. – Już.

Tak, oszukiwałem i wyciszyłem receptory bólu. Też byście tak zrobili. Wciąż czuję to dżgnięcie i niesamowicie nieprzyjemne uczucie, gdy rozdierają ci się różne rzeczy w środku. I już mniejsza o ból, i nawet nie chodzi o krwawienie, ale kwas żołądkowy i inne różne toksyczne substancje rozlały się wszędzie gdzie nie trzeba. Gdyby nie kontakt z ziemią, byłyby to rana śmiertelna.

Ale to nie koniec. Perun oderwał grot, a ja poczułem przez rdzeń, jak strzała drgnęła. Pieczołowicie wyskubał wszystkie drzazgi, a potem zagryzłem zęby na żelaznym pręcie, a on pociągnął trzonek strzały z powrotem przez moje ciało.

Bogom niejedynym dzięki, że nie musiałem przechodzić tego zabiegu na jakimś cemencie. Ziemia była dla mnie tak hojna, i gdy korzystałem z jej energii, by połączyć swoje wnętrzości, znów przypomniałem sobie o tym, że i ja muszę jej pomóc się leczyć w Superstition Mountains. Za każdym razem, gdy mi pomagała, tylko zwiększał się mój dług.

Po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że strasznie boli mnie szczęka, i wtedy dopiero zauważyłem ze zdziwieniem, że nadal zaciskam zęby na żeliwnym pręcie. Moi towarzysze gapili się na mnie z niepokojem. Wyciągnąłem z ust trochę obśliniony pręt i podałem go Zhangowi Guo Lao z podziękowaniami.

– Potraktuj to jak prezent ode mnie – rzekł, lekko przerażony. – Sprawię sobie nowy.

Znów mu podziękowałem i by skupić się na leczeniu, zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, Perun już nie miał ani jednej strzały w ciele i właśnie namawiał chichoczącego Zhanga Guo Lao na jeszcze jeden kieliszek wódki. Siedzieli na pniach przy ognisku. Był już dzień.

– Gdzie Leif? – wymamrotałem. – Chłopaki? Gdzie jest Leif?

– Druid gadać! – ucieszył się Perun, wyrzucając radośnie ręce w górę, a przy okazji prezentując porost pod pachami niemal równie potężny jak na brodzie. Na jego włochatej twarzy pojawił się uśmiech od ucha do ucha. – My musimy się teraz napić!

– Szanowny druidzie... – zaczął nieśmiertelny Zhang Guo Lao, machając do mnie. Musiał być już niezłe wcięty, bo ten niewinny ruch spowodował, że ześliznął się ze swojego pnia i spadł do tyłu, nogami do góry.

To tak rozśmieszyło Peruna, że mało sam też nie spadł.

– Chłopaki? Ale poważnie! Gdzie jest Leif?

– Być dobrze – wybełkotał Perun. – Być bezpieczny. My go pochować za tobą. – Wskazał mi miejsce paluchem, więc się obróciłem i ujrzałem trzy kopce w kształcie grobów. Głos Peruna stał się zupełnie trzeźwy, bez śladu zniknęła wesołość. – Innych my też pochować. Być dobrze?

Nie byłem pewien, jak się z tym czuję.

– Pochowaliście Gunnara?

– *Da*. Ty spać na stojąco, my nie móc cię obudzić, to my się zabrać do roboty.

Zhang Guo Lao usiadł z powrotem i zamachał, żeby zwrócić moją uwagę.

– Szanowny druidzie, mam pytanie.

– Tak?

– Mam pytanie – powtórzył.

– Ty już to raz mówić – wytknął mu Perun.

– Dziękuję za uwagę. Moje pytanie brzmi: kiedy zamierzasz się ubrać?

Spojrzałem w dół i z zawstydzeniem przypomniałem sobie, że wszystkie ubrania zostawiłem w Asgardzie. Na taką właśnie reakcję liczyli i ryknęli tak niepohamowanym śmiechem, że aż się musieli trzymać za brzuchy.

Rozdział 28

Zhang Guo Lao zebrał się około południa i ruszył na wschód ze swoim tobołkiem i rybim bębenkiem. Nim nas opuścił, zaoferował mi nawet swój płaszcz „w ramach służby publicznej”, ale w tobołku Väinämöinena znalazłem zapasowe ubrania – proste spodnie i tunikę, którą związałem liną, bo nie mogłem znaleźć paska.

Perun zgodził się pomóc mi przetransportować Leifa i Gunnara do Tempe. Przenieśliśmy też gdzieś Väinämöinena, gdybyśmy wiedzieli gdzie, ale z braku takich informacji uznaliśmy, że tu już będzie jego grób. Każdy z nas powiedział kilka słów – zupełnie nieadekwatnych do takiego życia – i pożegnaliśmy go ze smutkiem.

– Jak myślisz, dlaczego Normanowie jeszcze tu nie przylecieli? – spytał Perun.

Teraz, kiedy byliśmy tylko we dwóch, mówiliśmy po rosyjsku, którym on władał znacznie lepiej niż ja.

– Mają na głowie pogrzeby i poważny kryzys polityczny – odpowiedziałem. – A może i kryzys tożsamości. Wielu z nich całe życie poświęciło przygotowywaniu się na Ragnarök. Teraz mają niezaprzeczalny dowód na to, że nic nie odbędzie się tak, jak prorokowano.

– Tak, będą potrzebować nowego celu w życiu – zgodził się Perun. – Rozumiem to.

– A poza tym, żeby przenieść się do Midgardu, muszą przejść przez most Bifröst. Nie umięją przemieszczać się między krainami tak jak ja. Ale ponieważ zrzuciłem winę na mroczne elfy i Bachusa, pewnie najpierw do nich się przyczepią.

Perun zachichotał.

– To było niezłe. I da nam teraz trochę czasu, żeby się ukryć.

– Będziesz się teraz ukrywał?

– Tak, i to długo.

– Bogowie piorunów się nie ukrywają.

Piorunodzierzca wzruszył ramionami.

– Nie jestem taki jak Thor. Mam słowiańską duszę. Lubię pomagać ludziom, a nie ich krzywdzić. Zwykle pomagam wódką. Chcesz trochę?

– Nie, dzięki, w tej chwili to może raczej nie powinienem pić. Mam teraz dość wydelikacowany układ pokarmowy.

Uśmiechnął się promiennie.

– Mogę pomóc w inny sposób. Pośpij jeszcze trochę i się polecz. Ja stanę na warcie.

Wdzięczny za to, że daje mi więcej czasu na dojście do siebie, rozłożyłem się na ziemi i znów wpadłem w uzdrawiający trans. Dużo było jeszcze do wygojenia i przez jakiś czas będę musiał poprzestać na spożywaniu samych płynów, ale nic mi już nie ciekło, a kwasy zostały zneutralizowane. Nie zrobiłem jeszcze nic z zewnętrznymi ranami i rozdartymi mięśniami brzucha, po części dlatego że nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia, a po części dlatego że liczyłem, iż trochę mi pomogą, kiedy stanę twarzą w twarz z Halem. I tak już z pewnością wiedział, że Gunnar nie żyje, bo magia alfy przeszła teraz na niego.

Perun obudził mnie o zachodzie słońca. Czuję się znacznie lepiej. Wkrótce może zdołam się zająć mięśniami ściany brzucha, a może nawet nadal słabym obojczykiem.

Poprosiłem ziemię, by się rozstąpiła i oddała mi ciała Gunnara i Leifa. Leif nie prezentował się ani trochę lepiej, ale też nie gorzej. Podnieśliśmy ich z Perunem do pozycji pionowej, a potem on wezwał wiatry, które poniosły nas na południe do lasu, a stamtąd mogłem już przerzucić nas do Tír na nÓg. Nie chciałem marnować przez Leifa całego dnia w krainie faerycznej. W Arizonie jednak był już poranek, więc jeśli chcieliśmy się od razu tam przenieść,

musieliśmy ochronić jakoś jego ciało przed słońcem. Rozwiązaniem byłaby tu trumna bez gwoździ.

Drzew w Tír na nÓg nie brakuje. Problem w tym, że do ścięcia trzeba znaleźć takie, które nie jest niezbędne do przenoszenia się tu z takiej czy innej krainy. Musieliśmy przejść całą milę, nim znalazłem wreszcie młody jesion, który się nadawał. Perun chwycił za swój topór i wyciosał mi proste deski, a ja splotłem je magicznie, tak żeby nie przedostawało się przez nie żadne światło. Potem zbudowaliśmy też trumnę dla Gunnara.

Uporawszy się z tym zadaniem, przeniosłem nas z powrotem do kanionu Aravaipa.

– Tu mnie jeszcze nie było – oświadczył Perun, patrząc na rzekę i rosnące wzdłuż brzegu jawory o bladych, cienkich gałęziach głaszczących niebo. – Pięknie tu.

Zgodziłem się z nim i rzuciłem kamuflaż zarówno na nas, jak i na trumny. Gdy już dotrzemy na zaludnione obszary, przechodnie pewnie poczują wiatr, gdy będziemy ich mijać, a może nawet zauważą jakieś podejrzane zamazanie nad głowami, ale wszystko mi już było jedno. Uznałem, że zrzucą to na ufoludki albo tajne eksperymenty wojskowe, albo spożyte wcześniej grzybki i tyle. Pamiętałem jednak, by wszelką magię pobierać z niedźwiedziego charmsa, a nie bezpośrednio z ziemi, bo miałem teorię, że Młoty Boga są w stanie jakoś monitorować te pobrania i w ten sposób namierzają moje położenie. To by wyjaśniało, skąd wiedziały o większości moich działań, choć nie tłumaczyło, jak mnie znalazły w Rúli Búli. O tym zamierzałem pomyśleć później, a na razie mój plan zakładał dietę niskomagiczną na terenie Arizony. Szukało mnie teraz zbyt wielu ludzi i bogów. Nie zamierzałem im tego ułatwić.

– Gdzie teraz? – spytał Perun.

Z tych samych powodów nie chciałem lecieć do Tempe. Każda magia, nie wyłączając magii Peruna, mogła zwrócić za dużo uwagi. Podałem mu więc miejscowość znajdującą się około siedemdziesięciu mil od Tempe w nadziei, że uda mi się załatwić moją ninjowską operację na odległość.

– Na północny zachód stąd, do górniczego miasta zwanego Globe. Znam tam jedno idealne miejsce. Podrzucić mnie tam, a kupię ci Dużego Chłopca.

– Nie gustuję w dzieciach.

– Nic się nie martw. To tylko napój.

Dotarliśmy do Globe trochę po jedenastej rano, pchani dobrymi wiatrami, i skierowałem Peruna w zaułek za Broad Street w centrum – konkretnie w uliczkę za pubem sportowym o nazwie Huddle. Nie był to typowy miejski zaułek pełen szczurów i gnijących śmietników, ale mała uliczka z parkingiem i kilkoma drzewami. Położony lata temu asfalt był popękany i skruszały, więc tu i ówdzie przebijały się przez niego różne zielska.

Za pubem znajdowało się patio dla palących, które wychodziło na nieużywany parking po drugiej stronie uliczki, zamknięty teraz łańcuchem. Przy płocie stał w cieniu australijskiej akacji śmietnik. Poprosiłem Peruna, by wylądował tuż obok, i ustawiliśmy trumny jedną na drugiej ze dwa metry od śmietnika. Nikt nas nie widział, bo Huddle naprawdę nie odwiedza zbyt wielu palaczy o jedenastej przed południem. Palacze w ogóle mają zwyczaj wychodzić na świat raczej w nocy.

– Muszę stąd trochę podzwonić – powiedziałem, wskazując na tylne wejście do pubu. – A potem walniemy sobie po Dużym Chłopcu.

Wybrałem to miejsce właśnie dlatego, że ma tylne wyjście. Takie wynalazki się czasem bardzo przydają.

Rozsuplałem nasze kamuflaże, ale zostawiłem je na trumnach. Chwilę musiałem poświęcić na przekonanie Peruna, że naprawdę nie potrzebuje swojego futra w amerykańskim barze w porze lunchu. Zresztą byliśmy teraz w Arizonie. W grudniu temperatura oscyluje tu

zwykle w okolicy piętnastu stopni Celsjusza. Zdjął futro i okazało się, że pod nim ma kolejną warstwę – własnego, które wylewało się spod bezrękawnika na ramiona i ręce. Uśmiechnął się wesoło, gdy zakamuflowałem jego futro rzucone na trumny. Jak wiadomo, Amerykanie żywią instynktowny strach przed owłosieniem, co wykorzystują hipisi, motocykliści i brygadziści, wiedziałem już więc, że wygląd Peruna i tak na pewno wystraszy wszystkich w barze, motocyklistów nie wykluczając.

Przypomniałem Perunowi, że teraz znów powinniśmy mówić po angielsku, i wkroczyliśmy do pubu. Pomachałem do Gabby, właścicielki lokalu, która charakteryzowała się głośnym śmiechem i niesamowitą pewnością, że ze wszystkim jest sobie w stanie poradzić. Patrzyłem, jak lustruje Peruna, który był od niej chyba z pół metra wyższy, a ważył pewnie ze dwa razy tyle co ona, i z uznaniem zobaczyłem, że szybko wyciągnęła wnioski i on nie jest jej straszny – i to mimo że nadal trzymał w dłoni włócznię Odyna.

– Cześć, Atticusie, kopę lat. Miło cię znów widzieć – powitała mnie. Ją i jej lokal poznałem przy okazji kilku polowań, które urządziliśmy sobie z Oberonem w sąsiedztwie. Wskazała na naszą broń. – Będziecie to musieli zostawić za barem.

– Oczywiście. – Ostrożnie oparłem miecze i włócznię o lodówkę z piwem.

– Czego się napijecie?

– Dwa razy Duży Chłopiec Budweisera.

Miała tu pełen bar i nawet wielkie lustro za nim, ale większość tubylców przychodziła na litrowe kufle piwa. Przysunęliśmy sobie z Perunem stołki i staraliśmy się unikać kontaktu wzrokowego z pozostałymi klientami. Gapili się na nas, zastanawiając się, czy gdyby Gabby tu nie było, warto byłoby wszczynać z nami bójkę. Po jakiejś minucie ich wzrok odsunął się od nas. Pewnie uznali, że ktoś tak agresywnie nieogolony jak Perun musi być niezwykle niebezpieczny.

Gabby podała nam nasze piwa, a Perun popatrzył na swoje niepewnie.

– To być Duży Chłopiec?

– Tak.

– To nie być wódka – zauważył.

– Tak. Ale jesteśmy teraz w amerykańskiej knajpie, więc musimy się dostosować, żeby się wtapiać w tłum.

Perun rozejrzał się po barze i pozostałych klientach, którzy w większości mieli na sobie dzinsy, T-shirty i byli rozsądnie ogoleni.

– Ty naprawdę myśleć, że ja móc się wtopić w tłum?

– Nie, nie masz żadnych szans. Ale imperatyw nakazuje się chociaż starać. Zdrowie!

Brzdęknałem swoim kuflem o jego szkło i zacząłem pić. Perun wziął kilka ostrożnych łyków, a potem nagle wypił wszystko do dna, wzdrygając się, gdy trochę mu pociekło po brodzie.

– Amerykanom to smakować? – spytał.

– Tak mówią. To najlepiej sprzedające się piwo w Stanach.

– Ja mieć wyrazić swoje uszanowanie czy współczucie?

– Trudno powiedzieć, nie? – mruknąłem. – Hej, Gabby, mógłbym od ciebie zadzwonić w kilka miejsc?

Miałem komórkę, ale za nic nie zamierzałem jej włączyć. Zresztą i tak już pewnie nie działała. Gabby podała mi słuchawkę telefonu stacjonarnego, a ja wbiłem numer z pamięci, gdy Perun rozglądał się ciekawie po lokalu. Było na co patrzeć – poczynając od szakalopa w okularach przeciwsłonecznych tuż przy lodówce. Ze ściany gapiała się na nas szklanymi ślepiami głowa pekari, jako że martwe zwierzęta są obowiązkowym elementem wystroju każdego szanującego się baru w Arizonie. Najważniejszym zaś dziełem sztuki w tym lokalu był rzeźbiony

z drewna motocykl marki Indian oparty o stary barek i zwisający z sufitu na łańcuchach. Dwa stoły bilardowe z tyłu sali czekały na graczy w pool, a z szafy grającej stojącej w kącie naprzeciwko baru wyli Lynyrd Skynyrdowie.

Granuaile zaskoczona odebrała telefon, choć wyświetlił się nieznany numer.

– Cześć, to ja, cały i z powrotem – powiedziałem. – Nie podawaj żadnych imion. Jesteś już w mieście czy nadal pracujesz nad rzeką?

– Wróciłam kilka dni temu.

– Świetnie. Przyjedź po mnie jak najszybciej do pubu Huddle na Broad Street w Globe.

– Stoję za barem – powiedziała, przez co miała na myśli, że jest w Rúli Búli. – Dopiero zaczęła się moja zmiana.

– Czas rzucić tę pracę.

– Znowu?

– Znowu i tym razem na dobre. Musimy jechać. Twoje nowe życie właśnie się zaczęło.

– O. Mam zabrać psa?

Rozsądnie byłoby powiedzieć, że tak, ale chciałem jeszcze ten ostatni raz zobaczyć się z wdową, więc powiedziałem:

– Nie, pojedziemy po niego już razem.

– Dobra. Widzimy się za godzinkę.

Była taka szybka i stanowcza. Naprawdę miałem nadzieję, że uda jej się przeżyć do końca szkolenia. I że mnie też się to uda. Wciąż nękała mnie myśl o wizji Morrigan, że już nie wspomnę o konsekwencjach, o których mówił Jezus.

Nim zdołałem wystukać kolejny numer, Perun szepnął nerwowo:

– Ty mieć arizońskie pieniądze? Bo ja być goły.

Jak słodko z jego strony, że się w takiej chwili martwi o rachunek.

– Nie ma sprawy, Perun. Ja stawiam – uspokoilem go. – Szczególnie że za bardzo ci to piwo nie wchodzi.

– A. Wielkie dzięki. To ja już chyba pójść, Atticus, ja zobaczyć kraj, znaleźć miejsce na kryjówkę.

– Tak szybko?

Podziękowałem mu za nieocenioną pomoc i wyraziłem nadzieję, że podczas zwiedzania Ameryki napotka miasteczko pełne solidnych, włochatych bab.

– Są takie miejsca w Ameryce? – zapytał, a jego twarz zajaśniała nadzieją zabarwioną zdumieniem.

– Na pewno. To w końcu kraj możliwości – zapewniłem go.

Dał mi jeszcze dwa dodatkowe fulguryty dla Granuaile i Oberona, a ja zdjąłem kamuflaż z jego futra na zewnątrz.

– Bardzo miło było cię poznać – powiedziałem mu na do widzenia. – Prawdę powiedziawszy, poza tą znajomością niewiele było miłych rzeczy podczas tej wyprawy. Jesteś jednym z najfajniejszych bogów, jakich w życiu spotkałem.

– A ty jedynym druidem, jakiego ja spotkałem – odparł. – Ale myślę, że najfajniejszym.

Usiłował poprzestać na poklepaniu mnie po męsku po plecach, ale w ostatniej chwili się rozmyślił i przytulił mnie z miażdżącą kości serdecznością. Było trochę tak, jakbym się znalazł między wielkimi włochatymi głazami. Gdy wyszedł tylnym wyjściem pubu, starałem się nie parsknąć śmiechem na widok ulgi, jaka wypłynęła na twarze bywalców. Skryłem ubawienie, biorąc kolejny potężny łyk piwa.

Dodatkowe procenty dały mi odwagę potrzebną do wykonania kolejnego telefonu. Wybrałem numer i spałem się cały przed tą nieprzyjemną rozmową.

- Hal, to ja. Wróciłem. I mam złe wieści.
- Czekalem na telefon od ciebie – powiedział nowy alfa Watahy z Tempe z napięciem w głosie. – Już wiem, że jest źle, ale jak źle? Zginęli obaj czy tylko mój alfa?
- To nie jest jeszcze pewne. Lepiej, żebyś sam zobaczył – odparłem. – Przywiozłem ich obu, Hal. I zrobiłem wszystko, co mogłem. – Powiedziałem mu, gdzie mnie znaleźć i żeby mi przywiózł nowe paszporty dla mnie i dla Granuaile, które zamówiłem u niego przed wyjazdem. – I przyjeźdź jakimś vanem albo pożycz furę od Antoine'a – dodałem, bo szef okolicznych ghuli miał zwyczaj zbierać ciała do ciężarówki z chłodziarką.
- Nim wyjadę, powiedz mi tylko jedno – rzekł Hal. – Udało im się zemścić?
- Tak. Ale mnie nie udało się ich spytać, czy było warto.
- Myślę, że nie było – powiedział.
- Nie. Nie było.

Epilog

Wszystkie moje ulubione miejsca były teraz potencjalnymi pułapkami, a wizja mojej śmierci, którą przekazała mi Morrigan, sprawiała, że dosłownie bzikowałem od paranoi. Granuaile już się ze mnie nabijała, że cały czas się za siebie oglądam – pół żartem, pół z prawdziwej irytacji; przeze mnie i ona zaczynała się niepokoić. Mimo jej niecierpliwego wzdychania i przewracania oczami uparłem się, że ma zaparkować kawałek dalej, tak żeby nas nie było widać z domu wdowy. Dzięki temu mogłem najpierw spokojnie nawiązać mentalne połączenie z Oberonem.

Oberon, słyszysz mnie?

<Atticus! Nie zbliżaj się tu!>

Wcale się nie ucieszył. Przeciwnie – był przerażony moim powrotem. Coś tu nie grało.

Co? Dlaczego?

<Tu nie jest bezpiecznie. Wyjdę do ciebie>.

Czy u wdowy wszystko w porządku?

<Nie, nic tu nie jest w porządku. Wyjaśnię potem. Masz jak zniknąć natychmiast z miasta?>

Tak.

Siedziałem z Granuaile w samochodzie, tuż przy University Drive.

<Dokąd?>

To pytanie wywołało u mnie nagłą panikę. A jeśli w ogóle nie rozmawiam z Oberonem? Przypomniała mi się scena z *Terminatora 2*, jak Schwarzenegger naśladuje głos Johna Connora, a T-1000 udaje przybraną matkę. Nie byłem pewien, czy taką podmiankę dałoby się magicznie osiągnąć, ale wołałem nie ryzykować. Zamiast mu odpowiedzieć, sam zadałem pytanie.

Oberonie, dasz radę wymknąć się z domu?

<Już jestem na zewnątrz. Na podwórzu>.

Przeskocz przez płot i wybiegnij na ulicę przed domem. Sam. Teraz.

<Dwa razy nie musisz mi tego powtarzać!>

– Włącz silnik – powiedziałem do Granuaile.

Skinęła głową i przekręciła kluczyk w stacyjce. Po kilku sekundach przed domem wdowy pojawił się Oberon. Najpierw spojrzał na południe Roosevelta, a potem na północ, w naszą stronę.

Widzisz ten niebieski samochód? To my.

<Już lecę!> Z miejsca rozwinął pełną prędkość. <Mam nadzieję, że macie pełen bak! Musimy jechać i jechać, aż uciekniemy do jakiejś bezpiecznej jaskini>.

O czym ty mówisz?

Wysiadłem z samochodu i otworzyłem mu tylne drzwi, żeby mógł wskoczyć do środka. Nawet się nie zatrzymał na pogłaskanie ani nic. Wpakował się na na siedzenie i nim miałem czas zamknąć drzwi, już szczeakał na Granuaile.

<Jedź! Gazu! Gazu! Musimy stąd spadać, nim ona nas zobaczy!>

Co jest, u licha? Oberon, przestań świrować!

Wskoczyłem do samochodu i zamykając drzwiczki, powiedziałem Granuaile, żeby zabrała nas z Roosevelta. Zachowanie Oberona wymagało wyjaśnienia, ale jeśli sytuacja była tak pilna, jak mówił, głupio byłoby tego wyjaśnienia żądać przed opuszczeniem tej ulicy. Zawsze przecież możemy się cofnąć, jeśli to tylko jakieś nieporozumienie. Granuaile zawróciła i ruszyła na wschód, w University, w stronę Rural Road.

– Dokąd, sensei? – spytała, patrząc kontrolnie w lusterko.

– Tam, gdzie zaplanowaliśmy – powiedziałem. – Oberon mówi, że musimy zniknąć z miasta.

Obróciłem się na siedzeniu, żeby wydobyć z mojego psa wyjaśnienie.

Teraz mów, dlaczego uciekamy. Co się stało z wdową?

<Dobra. Ze dwa dni temu... a może z pięć... no wiesz, jakiś czas temu, mniejsza z tym, wdowa umarła, słowo daję. Spała w łóżku i usłyszałem takie charczenie, ale to nie było chrapanie, wiesz, no to poszedłem zobaczyć, co się dzieje. Już nie oddychała, Atticus. Trąciłem ją nosem, polizałem jej twarz i zero reakcji. Szczeknąłem jej prosto do ucha, ale ona ani drgnęła. Wtedy nagle usłyszałem, że drzwi do domu otwierają się i zamykają, więc poszedłem zobaczyć kto to. Ale nikogo tam nie było i to było bardzo dziwne, bo serio, słyszałem skrzypnięcie drzwi, a przecież kotom nie wyrosły nagle przeciwstawne kciuki, nie? Zacząłem węszyć. Śmierdziało zgnilizną i przy drzwiach było jakoś dziwniej, ale może tylko mi się zdaje. Potem usłyszałem nagle, że skrzypi łóżko, więc pobiegłem z powrotem do sypialni wdowy i patrzę, a ona wstaje z łóżka>.

A! Czyli jednak żyje?

<No nie. Nie wydaje mi się. Myślę, że to nie ona. Ona nie żyje, Atticusie. Widziałem to. Czuję to. Słyszałem to>.

To kto niby chodził po jej domu, karmił cię, wypuszczał na dwór? Coś bredzisz, Oberonie.

<Nie wiem kto, ale to nie jest wdowa. Już nie gada do siebie. Nie głaskała mnie i nie mówiła, że jestem dobrym pieskiem. Karmiła mnie tylko w milczeniu, dawała wodę i wypuszczała od czasu do czasu na dwór. To było straszne>.

Nie wiem, Oberonie, ale może po prostu załapała dołek. Ostatnio była lekko przybita.

<Tak przybita, że już nie pije?>

Co takiego?

<Odkąd wstała z martwych, nie wypła ani łyka whisky. Nie widziałem też, żeby jadła. Mówię ci, Atticusie, ona już nie żyje. Kimkolwiek jest to coś, co chodzi po domu, to nie jest pani MacDonagh>.

Odwróciłem się przodem do kierunku jazdy i osunąłem bez sił w fotelu. Szok sprawił, że opadły mi szczęki, a oczy zaszczyły mgłą.

– Sensei? Atticus? Co się dzieje? – Granuaile oderwała na moment wzrok od drogi i spojrzała na mnie, a między jej brwiami pojawiły się zmarszczki niepokoju.

– Jedź, jedź – powiedziałem tylko. – Oberon ma rację. Musimy zniknąć z tego miasta.

Podziękowania

Moja redaktorka w Del Rey, Tricia Pasternak, jest osobą wiecznie podtrzymującą na duchu i mogłaby być mistrzem zen od uspokajania nerwowych pisarzy. Emanuje spokojem nawet z e-maili. Oto jeden z jej koanów: jaki dźwięk wydaje rozwijający się wątek poboczny?

Mike Braff, jej zastępca, zaznajomił mnie z wikińskim death metalem, a w szczególności z zespołem zwanym Amon Amarth i ich utworem *Twilight of the Thunder God* (*Zmierzch boga piorunów*). Słuchałem tego w kółko, kiedy pisałem scenę bitwy, a teraz muszę walczyć z pokusą zakupienia obosiecznego topora i rogu do picia.

Moja adiustatorka Kathy Lord oraz redaktorka naczelna Nancy Delia zasłużyły na butelkę czegoś irlandzkiego, bo i tak już pewnie zaczęły przeze mnie pić, to już lepiej, żeby to było coś dobrego. Niesamowicie mi pomogły i jestem im bardzo wdzięczny za wsparcie.

Mój agent Evan Goldfried z JGLM znalazł na szczęście superfajnego rabina Jenny'ego Amswicha, który był tak uprzejmy i pomógł mi z hebrajskim. Jeśli w tekście pojawiają się jakies błędy, to proszę o nie oskarżać mnie, a nie tego dobrego rabina.

Eli Freysson z Iceland pomagał mi z niektórymi słowami islandzkimi, ale proszę się z niego nie nabijać, jeśli coś pokręciłem, bo trochę wszystko jeszcze zangielszczyłem.

Jak zawsze wdzięczny jestem moim pierwszym czytelnikom – Alanowi O'Bryanowi oraz Tawni Graham-Schoolitz. Nick Steinkemper także bardzo szybko wyświadczył mi przysługę, za którą mu serdecznie dziękuję.

Kimberly, Maddie i Gail Hearne są najbardziej wspierającą rodziną, o jakiej pisarz może sobie zamarzyć, i mam wielkie szczęście, że jestem częścią ich życia.

Tak jak w innym moich książkach, większość lokalizacji (z tego świata) jest prawdziwa, choć używam ich w fikcyjny sposób. Jeśli ktokolwiek kiedyś spróbuje tej whisky za siedemdziesiąt pięć dolarów za kieliszek w Rúli Búli, niech mi da znać, czy było warto. Od razu mogę wszystkich zapewnić, że Smithwick's z fish'n'chipsami jest tam zawsze wart swej ceny.

Drewniany motocykl w Huddle w Globe też wart jest zobaczenia. Wygląda jeszcze lepiej po kilku Dużych Chłopcach. Dużo zawdzięczam właścicielce tego pubu, Tracy Quick, która oprowadziła mnie po centrum miasta i nawet pokazała stare tunele pod ulicami.

Znajdziecie mnie na www.kevinhearne.com. Jestem też na Twitterze (@kevinhearne). Mam nadzieję, że uda nam się spotkać na jakiejś imprezce, może na zlocie miłośników science fiction i fantasy lub komiksów, może nawet zobaczymy Neila Gaimana i popiszczymy sobie w ultradźwiękowym stereo.